

Jolanta Kosowska

w labiryncie  
obłądu

NOVAE RES

Jolanta Kosowska

w labiryncie  
obłądu



NOVAE RES

# **Spis treści**

[W LABIRYNCIE OBŁĘDU](#)

**S**tanąłem jak wryty, zastanawiając się, gdzie w tej ciemności znajduje się kontakt. W otaczającej mnie czerni widziałem tylko żar papierosa, którego nieznajomy trzymał w ręku. To wszystko trwało zaledwie ułamek sekundy. Zgasilem światło w poczekalni, wyszedłem na korytarz, właśnie miałem włożyć klucz do zamka, kiedy kątem oka zobaczyłem zwalistą postać faceta, który blokował swym cielskiem pół klatki schodowej. Odwróciłem się w jego stronę, gdy raptem na schodach zgasło światło. Chciałem się cofnąć do gabinetu, ale jak na złość drzwi zamknęły się za mną z charakterystycznym trzaskiem, który towarzyszy blokadzie zamka. Przez moment poczułem się nieswojo. Zrobiłem krok do tyłu. Oparłem się plecami o drzwi. Pomyślałem, że poza mną i tym facetem nie ma w budynku już nikogo. Ciekawe, czy on również o tym wiedział. Biura na górze opustoszały tuż po osiemnastej, sklep na parterze zamknięto o dziewiętnastej. Maria wyszła dzisiaj wcześniej. Zwolniłem ją tuż po piątej, kiedy zadzwoniono z przedszkola, że jej mąż kolejny już raz zapomniał odebrać synka. Nie lubię jej męża. Mówiąc ściślej, to wręcz nie cierpię tego gnoja. Niereformowalny dupek, nędzna kreatura, zapatrzony w siebie snob, z tępym wyrazem twarzy, rozbudowaną do niebotycznych rozmiarów

muskulaturą, idealnie wypielęgnowaną twarzą, nieproporcjonalnie małą mózgowiczką, zimnymi oczami, przy których oczy ryb pływających w stojącym na moim biurku akwarium wydają się ciepłe i pełne wyrazu. Związek Marii z tym facetem jest typowym przykładem na to, że ludzie, nie wiadomo dlaczego, dobierają się często na zasadzie przeciwieństw, jakby w każdym związku miało być tyle samo ciepła co chłodu, mądrości co głupoty, dobra co zła... Kiedyś próbowałem z Marią o tym porozmawiać. Powiedziała, że jestem w błędzie, że oni są jak dwie połówki tego samego jabłka. Pomyślałem sobie wtedy, że te połówki różnią się od siebie znacznie, jakby jedna z nich dojrzewiała w pełnym słońcu, a druga, nadjedzona przez robaki, zarażona pleśnią – w głębokim cieniu, jakby ta druga była odbiciem pierwszej w krzywym zwierciadle. Pal licho Marię. W otaczającej mnie ciemności coś drgnęło. Facet zbliżył papierosa do ust. W nikłym świetle papierosowego żaru pojawił się zarys jego twarzy. Skąpy blask oświetlił nieogolone policzki, mocne szczęki, zdecydowanie za długie włosy... Mężczyzna zrobił krok w moją stronę i raptem poczułem się osaczony.

- Pan Wojciech Krzewiński? - spytał.

- Tak - odpowiedziałem niechętnie.

Facet stał tak blisko mnie, że na twarzy czułem jego oddech. Zapach mięty mieszał się z wyraźnym zapachem wody kolońskiej. „Pedant jakiś” - pomyślałem mimo woli. Ubrany był też pedantycznie. Zanim zgasło światło, zdążyłem zauważyć pod rozpiętym jasnym płaszczem ciemną marynarkę i pasujące do niej, odrobinę jaśniejsze spodnie.

- Ma pan chwilę czasu? - zapytał. - Muszę z panem porozmawiać - dodał, nie czekając na odpowiedź.

- Może kiedy indziej - burknąłem. - Spieszę się...

- Zabiorę panu tylko chwilę. - Głos nieznajomego zadudnił po klatce schodowej. Odbił się echem od pustych ścian i metalowych poręczy. Dla mnie miał moc gromu. - Ktoś potrzebuje pana porady.

- Nie udzielam porad - rzuciłem odruchowo. Byłem chyba bardzo zmęczony. Mój mózg przestał panować nad językiem, a rozum przestał panować nad emocjami. - Nie jestem doradcą, lecz psychoterapeutą.

- Wiem, kim pan jest - warknął nieznajomy. - Wiem też, czym się pan zajmuje. Udało mi się coś niecoś o panu dowiedzieć. Nie było to znowu takie trudne. Nie aż tak wielu ludzi pracuje w pana zawodzie. Ta dziura też nie jest milionową metropolią. Ma pan dziwną opinię: stukniętego, kontrowersyjnego psychoterapeuty, który ma równie dużo zachwyconych pacjentów, co zagorzałych wrogów. Bałbym się na pana miejscu. - Cedził powoli każde słowo, umiejętnie rozkładał akcenty, próbował mnie przestraszyć. Niby bawił się słowami, ale próbował się bawić moim strachem. - Nie chciałbym być na pana miejscu. Kochają pana i nienawidzą, uwielbiają i mają ochotę zabić. Stosuje pan niekonwencjonalne metody terapii. Budzi pan w pacjentach niesamowite emocje. Rozbudza pan uczucia, których oni wcześniej nie znali. Wyzwala pan dusze z ciał. Wskrzesza drzemiące w ludziach dobro i zło. Uwalnia ukryte szaleństwo. - Mówił powoli. Wyraźnie artykułował każde słowo. Raptem przyszło mi na

myśl, że on ten tekst ma dobrze przygotowany. Brzmiał tak perfekcyjnie, że aż sztucznie. – Budzi pan śpiące w ludziach demony. Balansuje na granicy ludzkiej wytrzymałości. Kiedyś te demony obrócą się przeciwko panu. Ktoś tego nie wytrzyma i skręci panu kark. Nikogo to zapewne nie zdziwi... Niebezpiecznie jest igrzać z ludzkimi emocjami. Zawsze można przesadzić. Mówią, że jest pan wyjątkowy w swej branży. Można powiedzieć, że doskonały. Słyszałem, że czyni pan swoiste cuda...

Facet miał dziwny akcent. Przez chwilę strach zastąpiła u mnie ciekawość. Znałem ten akcent. Nie potrafiłem go tylko zlokalizować. W tym momencie to, co mówi, było dla mnie mniej ważne od tego, jak mówi.

– Jest jednak coś, czym mnie pan rozczarował... Cykl audycji radiowych. Te audycje to koszmar. – Nieznajomy mówił dalej. Pastwił się nade mną metodycznie. – One nie pasują do pana. Są jak fałszywa nuta. Brzmią kłamliwie. Mamią i oszukują...

Zamilkł na chwilę. Podniósł do ust papierosa. Zaciągnął się. Żar papierosa stał się na moment jaśniejszy. Jeszcze raz mignęła mi w skąym świetle jego twarz. Mocne szczęki, policzki pokryte parodniowym zarostem... Nic specyficznego. Nic, co można byłoby zapamiętać. Nic, co pozwoliłoby go rozpoznać. Nijaki, bezpłciowy, bezbarwny. Zapewne gdybym go kiedyś wcześniej spotkał, to i tak bym go teraz nie rozpoznał. Taki zupełnie niecharakterystyczny typ.

– Szaleństwo rozumiem – ciągnął nieznajomy. – To coś wielkiego, niepowtarzalnego... A tu raptem czysta komercja

i szmal. Kupili pana. - Zabrzmiało to jak wyrzut. - Brzydzą się przekupstwem. Komercja, szmal... W końcu wszystkich można kupić. Tylko cena bywa różna. Forsa rządzi światem. Nie ma wyjątków. Podziwiałem pana, a pan okazał się pospolitym oszustem. Prowadzi pan co poniedziałek audycję radiową, w której próbuje przekonać słuchaczy, że w sześćdziesiąt sekund można poczuć się lepiej. Słuchałem pana kilka razy. Totalne bzdury. Trening autogenny w minutę. Relaksacja Jacobsona w sześćdziesiąt sekund. Medytacja transcendentálna w okamgnieniu... Wizualizacja na zamówienie... Mami pan ludzi. Zamiast prawdziwej broni daje im pan teatralne rekwizyty, tak samo fałszywe jak całe przedstawienie. Słuchacze próbują podążać za wskazówkami i nic im z tego nie wychodzi. Sądzą, że są złymi uczniami, a tak naprawdę to trafił im się nieuczciwy nauczyciel. Ich frustracje narastają z tygodnia na tydzień. Robi pan z ludzi idiotów. Napisał pan książkę *Kieszonkowy psychoterapeuta*, w której znalazły się wszystkie pana wcześniejsze radiowe wystąpienia. Sam pan chyba w to nie wierzy... Nie wygląda pan na idiotę. Że też ludzie płacą za takie bzdury...

- Spieszę się - próbowałem mu przerwać. Byłem coraz bardziej rozdrażniony. Że też głupi brak światła może spowodować taką bezsilność! Ze wszystkich stron otaczała mnie ciemność, a drogę na zewnątrz nieprzerwanie blokowała zwalista postać faceta, który swym cielskiem wydawał się wypełniać całą szerokość klatki schodowej. Z minuty na minutę robiło mi się coraz bardziej duszno. Strach to jednak idiotyczne uczucie. Jeszcze moment hiperwentylacji i za



chwilę zaliczę glebę z powodu hiperkapnii. Kim jest ta góra mięsa? Rozjuszonym mężem jednej z pacjentek? Potencjalnym pacjentem? Krewnym pacjenta czy nawiedzonym psychopatą? Czułem się coraz bardziej niepewnie. Dziwny facet, totalnie popierdolony. Od dłuższej już chwili próbowałem bezowocnie namacać stopą pierwszy stopień prowadzących w dół schodów.

- Czy może mi pan zejść z drogi? - rzuciłem w kierunku papierosowego żaru. - Spieszę się. Jestem umówiony.

Facet się nie cofnął. Wręcz przeciwnie, zrobił krok w moją stronę. Brzeg jego płaszcza otarł się o moje spodnie. Na twarzy znowu poczułem jego oddech. Dziwne połączenie zapachu mięty pieprzowej i cedru.

- Ktoś potrzebuje pana pomocy. Nieetycznie jest odmawiać potrzebującemu.

- Spieszę się - powtórzyłem głośniej, coraz bardziej poirytowany sytuacją. Facet nawet nie drgnął. Poczułem się jeszcze bardziej osaczony.

- Taki ceniony psychoterapeuta, a takie małe zainteresowanie problemem? - powiedział z ironią.

- Terminy przyjęć ustala sekretarka. Proszę zadzwonić do niej - powiedziałem spokojnie, słysząc dochodzące gdzieś z dołu kroki i siarczyste przekleństwa kogoś, kto podobnie jak ja zmagał się z ciemnością. Zapewne znowu jakaś poważniejsza awaria elektryczna, bo przecież przy wejściu do budynku łatwo jest znaleźć włącznik światła. Ktoś czegoś zapomniał i teraz piął się po schodach w kierunku mieszczących się na drugim piętrze biur. Jak dobrze, że ludzie

czasami czegoś zapominają. Kroki się zbliżały. Stawały się coraz głośniejsze. Raz po raz migało po ścianach mdłe światło komórki, którą ktoś oświetlał sobie drogę. Poczulem się pewniej. Obcy się cofnął. Stał pod ścianą. Odpłynął gdzieś zapach cedru i mięty.

- Już dzwoniłem do pana sekretarki... - rzucił w moją stronę. - Nie ma żadnych wolnych terminów aż do końca maja...

- W takim razie nic nie da się zrobić.

- Nawet jeżeli pana klientką miałyby być Karolina Bielawska?

\*\*\*

Karolina... To imię nadal miało dla mnie moc gromu. Coś nagle zaczęło mnie dusić w gardle i gniesć w okolicy żołądka. Miałem wrażenie, że przez głowę przelewa mi się w rytm mojego pulsu wodospad Niagara. Nie wiem, jak wróciłem do domu. Skąd ten facet może znać Karolinę? Karolina i psychoterapia? To tak jak ja i boks albo zapasy. To pasuje do niej jak pięść do nosa. Pewna siebie, znająca swoją wartość, podążająca za swoimi marzeniami, odważnie wyznaczająca sobie cele, budująca dzień po dniu swój świat, z którego mnie kiedyś wyrzuciła. Piękna i uwodzicielska, władcza i zaborcza, kusząca i przyciągająca, wabiąca, drażniąca wszystkie zmysły, powodująca, że nikt nie może przejść koło niej obojętnie. Karolina i psychoterapia... Bzdury. Takie dziewczyny nie potrzebują psychoterapii. Wszyscy inni być może tak, ale nie one. Nie mogłem zasnąć. Zamykałem oczy i znowu widziałem

Karolinę. Wszystko wróciło, choć już myślałem, że udało mi się to od siebie oddalić, że natłok późniejszych wydarzeń zatarł w mojej pamięci jej obraz. Znowu czułem na wargach jej pocałunki, moje ciało znów domagało się dotyku jej ciała, moje dłonie przypomniały sobie jej kształty. Poczulem zapach tamtych perfum, które przywiozłem jej kiedyś z Paryża, a na twarzy muśnięcia kosmyków jej włosów, usłyszałem jej przyspieszony oddech, cichy szept, że niech tak jak teraz będzie już na zawsze. Koszmar... Że też nie potrafię się uwolnić od tych wspomnień. Było, minęło, i niech tak zostanie. W końcu nic takiego się nie stało. Nadal jesteśmy znajomymi. Od czasu do czasu piszemy do siebie e-maile i przesyłamy zdjęcia. Pozdrawiamy się z okazji świąt i urodzin. Między nami zniknęło uczucie, a jego miejsce zastąpiła ciepła poprawność. Ona też ma swoją wartość. Skąd znowu tyle zgubnych emocji? Bzdury! To tylko zmęczenie. Wszystko przeszło i minęło, oddaliło się i zajęło jakieś miejsce w pamięci. Życie toczy się dalej.

Poznaliśmy się nietypowo. Pamiętam tamten wernisaż. Obiecałem Markowi, że przyjdę. Spóźniłem się. Ostatni pacjent miał myśli samobójcze. Po długich negocjacjach zgodził się na hospitalizację. Bałem się, że w drodze do szpitala może się jeszcze rozmyślić. Wolałem sam go tam zawieźć. Kiedy wyszedłem z izby przyjęć, to nie miałem już siły na nic, zwłaszcza na wernisaż. Nie przepadam za współczesnym malarstwem. Nie znam się na tym. Poszedłem tam, bo prosił mnie o to Marek. Był kiedyś moim pacjentem. Aż trudno mi w to uwierzyć. Zawsze spokojny, prawie

flegmatyczny facet, ze swoistą filozofią życiową i pozornie dużym dystansem do otaczającej go rzeczywistości - nie powinien mieć nigdy depresji. A jednak miał. Poznaliśmy się, kiedy jeszcze pracowałem w szpitalu. Przyjęto go na oddział z powodu myśli samobójczych. Nigdy bym wtedy nie pomyślał, że kiedyś będziemy przyjaciółmi. Ten wernisaż otwierał jego wystawę. Kiedy dotarłem na miejsce, pomieszczenia pełne już były gości, a ilość wypitego alkoholu znacząco podniosła poziom zrozumienia współczesnej sztuki. W tłumie nie mogłem znaleźć Marka. Pewnie siedział gdzieś na uboczu, rozprawiając z kimś, tak samo jak on nawiedzonym, o współczesnych trendach w sztuce, a przede wszystkim w malarstwie. Pomachałem z daleka ręką jego żonie. Anna stała nieopodal wejścia. Witaa i zegnała gości. Dla Marka ten wernisaż był bardzo ważny. Po wielu miesiącach zastoju wiatr znowu powiał mu w żagle. Stworzyli z jakąś dziewczyną cykl prac, które nazwali *Cztery pory roku* i które zupełnie niespodziewanie, na długo przed otwarciem wystawy, zaczęły zbierać pochlebne opinie. Niepojęte są gusta krytyków, bo ja nie zauważyłem nic nadzwyczajnego w tych plątaninach linii i plam. Może kolory? Oddawały atmosferę kolejnych miesięcy następujących po sobie pór roku. Były genialne. Czyżby w tym Marka malarstwie chodziło nie o kształty, perspektywę, formę, lecz o kolory? W końcu to one budują emocje. Wystawiane tego dnia prace w większości znalazły już kupców, a Markowi zamarzył się wyjazd na Florydę. W tłumie obcych mi ludzi, popychany i przeprasany, nagabywany i zaczepiany, poczułem się jeszcze bardziej znużony. To nie był mój dobry dzień. Nie

lubię sztuki. Nie znam się na sztuce. W każdym razie nie znam się na sztuce współczesnej. Jakaś starsza kobieta próbowała ze mną dyskutować na temat płótna *Krokusowo*. Wmawiała mi, że widzi łąny krokusów, a pomiędzy nimi jeszcze suchą, miejscami zgniłą ubiegłoroczną trawę i wiele zeszłorocznych liści, które po zimie nie były już ani czerwone, ani złote, ani brązowe, tylko bure, wyprane z kolorów, wyblakłe i wypłowiałe. Kobieta sądziła, że znalazła we mnie wiernego słuchacza. Z minuty na minutę nakręcała się coraz bardziej, a ja poza plamami o różnych odcieniach błękitu, bieli i fioletu nic więcej na tym płótnie nie widziałem. Pociągnęła mnie za sobą do następnego pokaznego płótna. Wypiłem już parę lampek szampana, w głowie mi lekko szumiało, mimo to nadal nie czułem tej współczesnej sztuki i wciąż niewiele więcej z niej rozumiałem. Pod pokaznych rozmiarów płótnem o tytule *Żar sierpnia*, od którego biło w oczy różnymi odcieniami czerwieni, stała dziewczyna. W pierwszej chwili mój wzrok przykuł jej ubiór. Na tle drogich garniturów, wieczorowych kreacji, markowych butów, wyszukanej biżuterii, misternych fryzur i makijaży ta stojąca pod płótnem dziewczyna wyglądała, jakby pochodziła z innych czasów, jakby przybyła z innej rzeczywistości, z zupełnie odmiennej czasoprzestrzeni. Długie jasne włosy miała splecione w dredy i związane na czubku głowy pękiem kolorowych rzemyków. Ubrana była w spódnicę ze zgrzebnego lnu sięgającą prawie do kostek i w wydziergany ze sznurka sweterek z wplecionymi gdzieś w ścieg różnokolorowymi koralikami i wstążkami. Stopy, pomimo jesieni, miała oplecione

rzemykami sandałów. Nadgarstek dziewczyny zdobiła płatanina sznurków i rzemyków. Dekolt sweterka był za szeroki, opadał, odsłaniając lewe ramię, gdzie królowały wytatuowane dwie jaskółki. Płataniny koralików, drutów i wstążek pełniły funkcję zwisających do ramion kolczyków. Zawiesiłem na dziewczynie wzrok chyba odrobinę za długo, bo i ona zaczęła przyglądać mi się uważnie.

- To jest właśnie Karolina Bielawska i jeden z jej obrazów.  
- Usłyszałem za swoimi plecami.

Dziewczyna podeszła do mnie. Zaczęła opowiadać, i tak wśród tych odcieni czerwieni, wśród kolorów sierpniowych zachodów słońca, rumianych jabłek, malin i poziomek poznałem Karolinę. Wydała mi się uosobieniem swojego imienia: zdolna, wszechstronna, pracowita, uwodzicielska, kobieca. Przede wszystkim uwodzicielska i kobieca. Nawet koloryt jej obrazu odpowiadał temu imieniu: malinowy, rubinowy i gorący. Usta jej się nie zamykały. Opowiadała, śmiała się, potrząsała dredami, tańczyła wokół mnie i wokół tego obrazu.

- Moje obrazy to emocje. Rozumiesz? Sztuka to emocje - mówiła ciepło. - Poza emocjami nic nie ma znaczenia. Poza sztuką, w codziennym życiu, też liczą się tylko emocje. Każdy z nas ma inną wrażliwość, te płótna u każdego wzbudzą inne uczucia. Ten obraz przedstawia sierpień. Nie patrz na niego. I tak zapewne w tej chwili nic na nim nie widzisz. Oczekujesz przekazu treści, a to jest przekaz emocji. To inne malarstwo. Zupełnie inne spojrzenie na sztukę. Usiądź tutaj wygodnie! Przymknij oczy! Pomyśl: „sierpień”! Pozwól, aby twoje myśli

płynęły swobodnie. Wyobraź sobie sierpień. Co widzisz?

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz? - W jej głosie usłyszałem rozczarowanie.

„Sierpień” - pomyślałem. „Nic szczególnego”. W tym roku w sierpniu bardzo dużo pracowałem. Wbrew pozorom wielu ludzi cierpi latem na depresję. Przeczekują zimę, liczą, że poczują się lepiej wiosną, mija wiosna i nic się nie zmienia. Przychodzi lato i nasila się strach przed samotnością, melancholią i jesienią... W tym roku w sierpniu była tylko praca, praca i praca, upał, zmieniające się twarze pacjentów, duchota w gabinecie, zepsuta klimatyzacja, zdecydowanie za ciepła woda mineralna...

- No i co widzisz?

- Nic. To znaczy nic szczególnego - poprawiłem się szybko. - Miałem w sierpniu dużo pracy...

- Nie myśl o pracy. Mówimy o sztuce, o uczuciach i emocjach. Pomyśl o sierpniu i o kimś bliskim.

Pomyślałem wtedy: „sierpień” i „ona”. Sam poczułem się tym zaskoczony. Wydawało mi się, że po rozstaniu z Marzeną na długo wyleczyłem się z jakichkolwiek poważniejszych związków. Ale to przecież była tylko zabawa. Nic nie było i nie miało być na poważnie. W głowie szumiał mi szampan. Siedziałem na podłodze oparty plecami o ścianę. Przez moment zamarzyłem o tej szalonej dziewczynie. A więc „sierpień i Karolina”...

- Spacer plażą przy zachodzie słońca... Gorąca kula powoli chowająca się za linię horyzontu - zacząłem mówić

spokojnie. - Czerwona poświata na niebie, podbite złotem i czerwienią pojedyncze obłoki błakające się gdzieniegdzie po powoli ciemniejącym nieboskłonie, czerwonozłota łuna na wodzie. Każda fala znaczone ciepłym blaskiem. Mokre ślady na piasku, odbijające jak lustro ostatnie promienie powoli zachodzącego słońca.

- Widzisz, potrafisz...

- Pachnący żywicą, rozgrzany letnim słońcem las. Pnie wysokich świerków rzucające długie, miękkie cienie w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca.

- Cudownie.

- Zmęczenie po dniu wędrówki. Ostatnie promienie słońca ślizgające się po szczytach gór. Jeszcze jasno, złoto, ciepło. Za chwilę słońce skryje się za szczytem, w dolinach zaczną snuć się zmrok, a później ciemność.

Poczułem, że usiadła koło mnie. Delikatnie chwyciła mnie za rękę. Nasze palce splotły się mimo woli. Oparła głowę na moim ramieniu. Serce zabiło mi szybciej. W głowie szumiało jeszcze mocniej. „Dziwny wieczór” - pomyślałem. Na co dzień nie zawieram tak szybko znajomości. Zwykle mam dystans do ludzi. Czuję się wtedy bezpieczniej. A tu raptem wszystko było inaczej niż zwykle.

- Czy sierpień to tylko słońce? - Usłyszałem jej szept tuż przy moim uchu. Połaskotało mnie delikatnie ciepło jej oddechu. Moja dłoń zacisnęła się jeszcze mocniej na jej dłoni.

- Nie, nie tylko...

Pomyślałem, że coś musiało być dodane do tego szampana. Marek miewa takie pomysły. Ja się zwykle bardziej kontroluję.



Zresztą to przecież wszystko jedno. Może to tylko wybuchowa mieszanka alkoholu i zmęczenia? Mam za sobą ciężki dzień. Na koniec pracy jeszcze ten chłopak, który postanowił popełnić samobójstwo, bo odkrył romans ukochanej dziewczyny z kumplem ze swojej grupy studenckiej. Dobrze, że przyszedł mi o tym powiedzieć, że dało się jeszcze coś z tym zrobić, że nie było jeszcze za późno. Pomogłem na chwilę czy na długo? Czy w ogóle zdołałem pomóc?

- Dlaczego zamilkłeś?

- Miałem dzisiaj ciężki dzień. Niespodziewanie coś do mnie wróciło...

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie. Mówmy o sierpniu... Sierpień to żar ogniska rozpalonego na polanie. - Próbowałem odgonić tamte myśli. - Złote iskry śmigające w kierunku rozgwieżdżonego nieba... Dźwięk gitary... Gorycz piwa.

Przylgnęła do mnie jeszcze bardziej. Wtopiła się we mnie. Słuchała. Może i ona zamknęła oczy i pod powiekami widziała ten mój wymarzony sierpień.

- Sierpień to czerwone jabłko kupione na straganie, jedzone z kimś na spólkę. - Usłyszałem jej cichy głos. - Zapach leśnych poziomek. Kiedyś myślałam, że tak jak poziomki musi pachnieć słońce. Sierpień to czerwone kapelusze muchomorów odcinające się od zieleni mchu...

- Dla mnie to malinowy chruśniak pełen buczących groźnie owadów - wszedłem jej w słowo. - Duże, soczyste maliny, których sok spływa po palcach... Słodycz ust pobrudzonych malinowym sokiem...

Pocałowała mnie. Mimo szumu w uszach poczułem zaskoczenie. Aż tak pijany, żeby się nie zdziwić, jeszcze nie byłem. „Dziwne” – pomyślałem. „Ona wygląda tak bezradnie i niewinnie. Jak to można się w życiu pomylić”.

- Noc na sianie. Letnie niebo usiane gwiazdami. Noc spadających meteorytów. Spadające gwiazdy i marzenia... - szeptała.

- Masz dużo marzeń?

- Całe mnóstwo... A ty?

- Parę... Zresztą to nie są marzenia. To cele, które być może kiedyś osiągnę. Z marzeń już chyba wyrosłem...

Udało mi się zrozumieć to jej płótno. Kiedy otworzyłem oczy, zamiast linii i czerwonych plam zobaczyłem blask zachodzącego słońca, czerwień jarzębiny, przybierające kolor purpury liście winorośli... Siedziałem na podłodze, opierając się plecami o ścianę, trzymałem za rękę dziewczynę, którą przed chwilą poznałem, czułem się jak odurzony. Ależ mi Marek zafundował wieczór. Dźwignąłem się leniwie.

- Na mnie już czas – powiedziałem z ociąganiem.

- Ktoś czeka na ciebie niecierpliwie w domu? – spytała, przyglądając mi się uważnie. Wydawało mi się, że w jej głosie słyszę rozczarowanie.

- Bardzo niecierpliwie. Kumpel, wyjeżdżając na urlop, zostawił mi psa. Pewnie mam zdemolowane pół mieszkania, a sąsiedzi od jego wycia już ogłuchli.

- Miłego sprzątnia – parsknęła śmiechem. Ustami musnęła mój policzek. Przytuliła się na chwilę, odepchnęła mnie lekko i ruszyła w kierunku obrazu.

- Wszystkim w ten sposób prezentujesz swoje obrazy? - rzuciłem w kierunku oddalającej się ode mnie tanecznym krokiem Karoliny.

- Chyba żartujesz! - Odwróciła się oburzona. - Marek mówił, że jesteś kimś wyjątkowym, bardzo ważnym dla niego, że zależy mu na tym, żebyś zrozumiał tę naszą sztukę. Zobaczyłam cię i pomyślałam, że go rozumiem. Ciepły z ciebie facet. Taki jeden z ostatnich okazów wymarłego już prawie gatunku. Może wpadłbyś w piątek do mojej pracowni? Pokażę ci, co jeszcze maluję.

\*\*\*

Polubiłem obraz *Zar sierpnia* i zakochałem się w Karolinie. Znosiłem wernisaże, tolerowałem plenery, próbowałem powstrzymać się od ziewania na prelekcjach o trendach panujących w sztuce. Z czasem przestały mi przeszkadzać plamy farb na podłodze, brudne ręce odbite na ścianach, artystyczny nieład, który zapanował w moim mieszkaniu. Wtargnęła w moje życie przebojem, jak na zodiakalnego lwa przystało. Wprowadziła wiele emocji w moje uporządkowane, przewidywalne i ustabilizowane życie. Kiedy coś robiła, to całą sobą. Wszystko albo nic... Żadnych połowicznych sukcesów, niedokończonych planów, nieosiągniętych celów. Pamiętam, jak zostałem jej modelem. Chciała i musiała narysować akt męski. Siedziałem nagi w fotelu i powtarzałem w myślach już chyba po raz setny, że to przecież nic takiego. Z minuty na minutę irytowało mnie to jednak coraz bardziej.

- Czego się na mnie tak gapisz? - warknąłem.

- Przecież cię rysuję. Muszę patrzeć. Dobieram proporcje, łapię perspektywę, muszę zobaczyć, jak układają się cienie... - wymieniała matowym, pozbawionym emocji głosem znudzonego profesjonalisty, który w rutynowy sposób próbuje wytłumaczyć kompletnemu laikowi tajniki swojej pracy.

- Wydaje mi się, że już od piętnastu minut tylko się na mnie gapisz. Nie ruszyłaś nawet ołówkiem...

- Wydaje ci się... - Przechyliła głowę, wbiła we mnie wzrok jeszcze uważniej. Zaczęła omiatać mnie wzrokiem od bosych stóp po czubek głowy i z powrotem. Przygryzła wargi. Zmarszczyła brwi. Przymrużyła oczy i gapiała się na mnie coraz bezczelniej i coraz bardziej nachalnie. Mimo woli poczułem się niepewnie.

- Zimno mi - powiedziałem pod nosem.

- Nie przesadzaj.

- Naprawdę. Zdrętwiałem. Nie mogę już dłużej tak siedzieć bez ruchu.

- Wydaje ci się. Możesz - powiedziała łagodnie.

- Zesztywniałem już cały.

- Złudzenie.

- Może zrobisz zdjęcie i później będziesz się na nie patrzeć do woli.

- Chyba żartujesz! Sam nie wiesz, co mówisz... Jesteś strasznie marudnym modelem. Nikomu takiego nie życzę. Przyda ci się to doświadczenie. Przyjdzie kiedyś do ciebie do gabinetu jakiś facet i opowie ci, że miał fatalny sen. Śniło mu się, że był modelem jakiejś postrzelonej artystki, że szczęki

już mu latały z zimna, penis się skurczył, worek mosznowy zmarszczył, włosy zjeżyły się na rękach, usta zbladły, a ta wiedźma coraz wolniej ruszała ołówkiem, coraz bardziej i bardziej mu się przyglądała, pożerała go już po prostu wzrokiem, a on z minuty na minutę czuł się coraz bardziej niepewnie...

- Ja cię chyba uduszę...

- Proszę bardzo, ale w łóżku. - Ruszyła biegiem w kierunku sypialni. - Wskoczę pierwsza, to ogrzeję ci kołdrę. Nie dotykaj mnie, póki się nie zagrzejesz. Nie chcę mieć wrażenia, że kocham się z umarłym. Nekrofilia nie leży w zakresie moich zainteresowań.

Była namiętna i gorąca, rozbudzała wszystkie moje zmysły, doprowadzała mnie do szaleństwa. Z każdym dniem uzależniałem się do niej coraz bardziej i bardziej, tak że w końcu już nie mogłem wyobrazić sobie mojego życia bez Karoliny.

\*\*\*

- Coś nie tak?

Karolina podniosła wzrok znad leżącego przed nią na stole rysunku. Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. Intuicja jej nie zawiodła. Czułem się fatalnie. Zabrakło mi wiedzy i umiejętności. Chciałem, ale nie potrafiłem komuś pomóc. Poczulem się paskudnie, jak nadęty balon, z którego ktoś nagle wypuścił powietrze. Z barwnego balonu został nędzny kawałek pomarszczonej, pozbawionej kolorów, brudnej gumy. Wiedza dla wiedzy. Czysta teoria naprzeciw twardej

rzeczywistości. Facet wyszedł i trzasnął drzwiami. Zostawił mnie z głupią miną i z narastającym z minuty na minutę uczuciem przegranej. Zawiodłem go. Nie potrafiłem mu pomóc.

- Pytam, czy coś się stało? - Głos Karoliny przebił się do mojej świadomości.

- Nie, wszystko w porządku - skłamałem.

- Wyglądasz jakoś dziwnie...

Nie przestawała mi się przyglądać. Jej wzrok raz po raz wędrował po mojej twarzy. Na krótką chwilę nasze spojrzenia się spotkały. Uciekłem wzrokiem. Nie potrafię przekonująco kłamać. Zawsze uważałem, że kłamać jest trudniej niż mówić prawdę. Przynajmniej tak jest ze mną.

- Wydaje ci się. Jestem tylko paskudnie zmęczony. - Chciałem szybko rozwiać jej wątpliwości, uciec od dalszych pytań. - Wezmę prysznic. Coś zjem. Wypiję herbatę. Zaraz odtaję.

- Stało się coś? Przecież widzę. Nie kłam.

- Nic się nie stało - brnąłem w nieprawdę. - Padam ze zmęczenia.

- Już nieraz byłeś zmęczony...

- Ale nie tak jak dzisiaj - burknąłem.

Nie wiem, czy mi uwierzyła. Nagle leżąca przed nią na stole kartka papieru stała się znowu najważniejsza. Wróciła do rysowania. Musiała rysować coś bardzo dla niej ważnego, bo oczy jej błyszczały, policzki miała zaczerwienione, wyglądała, jakby miała gorączkę. Przechyliła na bok głowę, przygryzła wargi. Nagle cały jej świat skurczył się do

trzymanego w ręku ołówka i czarnych kresek na kartce papieru.

- Co robisz?

- Rysuję. Nie widać? - Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Widać.

- Próbuję wskrzesić w sobie dziecko.

- Z nieletnimi nie sypiam - palnąłem bez zastanowienia. -  
Musimy w takim razie z salonu zrobić drugą sypialnię.

- Nie bredź. Ja mówię poważnie.

- Poważnie?

- Obrazy sprzedają się ciężko. Mało kto rozumie współczesną sztukę. Jeszcze mniej ludzi ma ochotę ją kupować - zaczęła tłumaczyć. - Udało mi się wygrać konkurs. Będę ilustrować baśń dla dzieci. Czego ludzie nie robią dla pieniędzy. Wyobrażasz to sobie? Ja i książka dla dzieci...

Nie wyobrażałem sobie. Karolina to kobiecość, pożądanie, seks, namiętność, to gorące szepty, szalone pomysły... Cała gama przewrotności i zmienności. Jej sztuka jest odzwierciedleniem szaleństwa jej duszy. Karolina to ciało ściśle splatające się w tańcu z moim ciałem, ręce bezwstydnie wędrujące po moich plecach i karku, długie spacerowanie nocą, seks na ławce w parku... Prędzej wyobraziłbym sobie Karolinę projektującą erotyczny komiks niż ilustrującą książkę dla dzieci. Ona też miała wątpliwości, ale zupełnie innej natury.

- Ja i ilustracje dla dzieci? Mam wątpliwości. Dzieci mają niczym nieskrępowaną wyobraźnię... Dorośli są pod tym względem upośledzeni. Podświadomie weryfikują swoje marzenia zależnie od realiów i możliwości. Żeby widzieć

i myśleć jak dzieci, muszę odnaleźć w sobie dziecko.

Usiadłem obok. Skoncentrowana na rysunku, nie spojrzała nawet w moją stronę. Patrzyłem, jak rysuje, a potem zgniata w kulkę i wyrzuca kolejne kartki.

- Skończ już! Nie chce mi się dzisiaj iść wyrzucać śmieci. Zimno na zewnątrz. Zasypiesz nas tym papierem.

Spojrzała na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

- Co mówisz?

- Nic, tak sobie bredzę.

- Nie idzie mi.

- Widzę.

- Czytano ci kiedyś baśnie?

- Nie pamiętam. Może...

- Poczytam ci.

- Coś ty!

- Poczytam, może coś mi wtedy wpadnie do głowy.

Nigdy tego nie zapomnę - ciepły głos Karoliny, półmrok, mały krążek światła padający na trzymane w jej ręku kartki papieru. Ależ przewrotne i zmienne są kobiety. Przymknąłem oczy i próbowałem sobie to wszystko wyobrazić: kolorowe zaczarowane kamienie - ramary i atmany, czarodziej Don Metro z wystającym spod płaszcza ogonem węża, latająca miotła zwana Pomyłką, smok o imieniu Samsung... Jak to się miało do mojego dnia: rozmów z alkoholikiem, wynurzeń młodego narkomana, dziewczyny ze sznytami na rękach, zgwałconej przez ojczyrna czternastolatki i siedemnastoletniego niedoszęego samobójcy? Powoli wszystko oddalało się ode mnie. Napięcie zmalowało. Myśli



zaczęły krążyć leniwiej. Głos Karoliny zanikał, był coraz cichszy. Pojedyncze słowa zaczęły się zlewać z tykaniem zegara, z wpadającym przez uchylone okno cichym szumem powoli układającego się do snu miasta. Zasnąłem. Obudziłem się z dziwnym uczuciem niepokoju. Dałem ciała dzisiaj w pracy. Nie zabrakło mi wiedzy, ale zabrakło umiejętności. Nie potrafiłem pomóc, bo nie potrafiłem zrozumieć. Nie mogłem zrozumieć, bo zabrakło mi wyobraźni. Zabrakło mi wyobraźni, bo nigdy nie byłem alkoholikiem, nigdy nie zalałem się w trupa, nigdy nie chlałem przez tydzień, nie miałem objawów odstawienia, nie przeżyłem delirium... Wydawało mi się, że o alkoholizmie wiem wszystko. Dziesiątki objawów, współzależnienie, strach przed oceną innych, każdego dnia ucieczka, każdego dnia coraz bliżej dna. Gównu wiedziałem! Facet trzasnął drzwiami i wyszedł. Wcześniej nazwał mnie dupkiem z papierową wiedzą. Pomyślałem, że ma rację. Jak ja mogłem być dla niego przekonujący? Karolina chce trafić do dzieci, szukając w sobie dziecka. A ja? Jak mam pomóc alkoholikowi, skoro nie ma we mnie nawet wspomnień alkoholika. Karoliny nie było w pokoju. Spod zamkniętych drzwi sączyła się wąska smużka światła. Zastałem ją w kuchni. Zajęta rysowaniem, nawet nie usłyszała, że wchodzę.

- Nie położysz się dzisiaj? - spytałem. - Zimno bez ciebie...

- To się przykryj!

- Byłem przykryty, a i tak zmarzłem.

- To rozpal w kominku... Pracuję właśnie nad postacią Don

Metro. Siadaj! Popatrz na tę kartkę i posłuchaj: „W tym miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą przemknęło rude kocisko, stał wysoki i niezwykle chudy mężczyzna. Ubrany był dziwacznie. Miał długie, sięgające do ziemi szare szaty. Na jego szyi wisiał ciężki łańcuch, który wyglądał jak splecione ze sobą węże. Spod podartych rękawów wyłaniały się bransolety zdobione w głowy węży, a grube pierścienie na palcach ozdabiały żmije z oczami z kolorowych kamieni. Czarodziej, pomyślałam. Don Metro obrócił się na pięcie. Ruszył przed siebie. Jego ruchy przypominały pełzanie węża. Szara szata wlokła się za nim po ziemi. Byłam pewna, że spod szaty raz po raz wyłaniał się ogon”. I co?

- Bomba!

- Naprawdę?

- W każdym razie coś widzę. Dużo więcej niż przy pierwszym rzucie oka na *Żar sierpnia*.

\*\*\*

- Co ty wyczyniasz?! Zidiociałeś do reszty?! Mieszkanie przypomina chlew. Wszystko przesiąkło odorem petów i alkoholu. Jak ty wyglądasz? Ciebie do końca już popierdoliło?!

Wykrzyknik gonił wykrzyknik. Powietrze drżało od krzyku. Wydawało mi się, że moje błony bębenkowe wpadły w wibracje. Łeb napieprzał mnie coraz bardziej. Karolina? Niemożliwe. Karolina jest na plenerze we Włoszech. Maluje wiosnę w Toskanii... Pojechała na dwa tygodnie. Wyjechała przed paroma dniami. Nie mogła już wrócić. To jakaś mara.

Spojrzałem na nią uważniej. Koronkowa grzeczna bluzka w kontraście ze zgrzebną lnianą spódnicą, krótkie włosy odrastające po ścięciu dredów, w fazie sterczenia we wszystkie strony, magiczne koraliki na szyi... Mara wyglądała jak Karolina, ale Karolina nie potrafi krzyżeć. Nigdy nie słyszałem jej krzyczącej. To nie ona. To mój stęskniony mózg płata mi figle. Ta mara przybrała tylko postać Karoliny. Z trudem próbowałem się spionizować. Ściany w tym pokoju są krzywe. Trudno jest się po nich wciągnąć. Świat zawirował dookoła jeszcze szybciej. Trzymałem się kurczowo ściany, a ona jak na złość też zaczęła tańczyć. Oparłem się o nią plecami, a ona zaczęła uciekać. Jak oni teraz niechlujnie budują! Jak ja mogłem odebrać to mieszkanie. Wszystko jest niestabilne i na pokaz. Poczułem się jak na karuzeli. Żołądek raptem podskoczył mi do gardła. „Chyba się zrzygam” – pomyślałem. Krople potu spływały mi po twarzy. Trzęsącą się ręką sięgnąłem po butelkę. Jeden łyk, później drugi i trzeci... Wszystko we mnie drżało, serce biło jak szalone, buntowały się wszystkie mięśnie. Spojrzałem na postać przy drzwiach. Nie zniknęła. Stała cały czas w tym samym miejscu, nawet nie drgnęła, tylko na chwilę zamilkła. Patrzyła na mnie z oburzeniem i wzgardą. Jakim prawem jakaś durna zjawa patrzy na mnie z pogardą? Nikt nie będzie tak patrzeć na mnie w moim domu.

- Spierdalaj, maro przebrzydła! - ryknąłem w jej stronę.  
Ani drgnęła.

- Spieprzaj! Nie słyszysz, co mówię?!

Zrobiłem krok do przodu i rzuciłem w kierunku zjawy

butelką. Potknąłem się o własną stopę i runąłem jak długi na ławę pełną pustych flaszek. Brzęk tłuczonego szkła zahuczał mi w głowie. Że też w tym domu wszędzie są kafle. Nie miałem siły się podnieść. Zasnąłem. Obudził mnie poranny chłód. Za oknem świtało. Aż nie do wiary, że w maju bywają takie chłodne noce. Pewnie u Karo w Toskanii jest dużo przyjemniej. Głowa bolała mnie potwornie. Próbowałem dźwignąć się na łóżku.

- Niech się pan nie rusza! - padł rozkaz. - Wyrwie pan kroplówkę - dokończyła odrobinę łagodniej starsza pielęgniarka krzątająca się przy szafce z lekami. - Zresztą już dostatecznie pan narozrabiał. Jeszcze chwila, a przez głupotę pożegnałby się pan z życiem. Miłość jest ślepa. Ja już dawno zostawiłabym takiego opoja, a ona zadzwoniła po karetkę, hamowała krwotok z przeciętej tętnicy, pomimo że minutę wcześniej rzucił pan w nią butelką. Dobrze, że nie trafił jej pan w skroń. Zabiłby pan dziewczynę. Ma wstrząs mózgu, ale może teraz wreszcie oprzytomnieje. Taka piękna dziewczyna i taki zafajdany opój...

O czym ona mówi? Jaka dziewczyna? Jaki krwotok? Ja rzuciłem w kogoś butelką? Pamiętałem tylko tamtą marę, która przybrała postać Karoliny. Stała w drzwiach do sypialni i patrzyła na mnie z politowaniem, z nieukrywanym obrzydzeniem, drażniła i prowokowała, próbowała wzbudzić we mnie poczucie winy... Czyżby to nie była mara, tylko człowiek? Czyżby to Karolina wróciła wcześniej?

- O czym pani mówi? Musiała pani coś pomylić...

- Tu nie da się niczego pomylić - rozgadała się nagle,

jakby znęcanie się nade mną sprawiało jej wyjątkową przyjemność. – Ma pan złamaną podstawę czaszki, chirurg przez ponad dwie godziny usuwał z pana dłoni i twarzy drobiny szkła, ma pan ranę ciętą głowy, przeciął pan sobie tętnicę promieniową... Jak na bilans parodniowego pijackiego ciągu, to wyjątkowo dużo. Miał pan takie zaburzenia elektrolitowe, że aż dziwne, jak pana serce to wytrzymało... Pan Bóg czuwa nad tymi, którzy błądzą. Normalnego człowieka szlag by już trafił. Alkoholicy jakoś zawsze mają w niebie specjalne względy. Ponoć alkoholizm to choroba. A chorych Pan sobie upodobał...

– Mnie nie o to chodzi...

– A o co?

– Rzuciłem w kogoś butelką?

– Niestety. Ma pan wybitnie tolerancyjną dziewczynę. Powiedziała, że nie złoży na pana doniesienia. Miłość jest ślepa... Ja na jej miejscu już dawno kopnęłabym pana w dupę... Nawet minuty bym się nad tym nie zastanawiała.

\*\*\*

Wyprowadziła się, kiedy byłem w szpitalu. Nie odbierała telefonu. Nie odpisywała na e-maile. Zniknęła, przynajmniej dla mnie. W jej dawnym mieszkaniu mieszkał już ktoś inny. Jej siostra udawała, że mnie nie zna. Marek twierdził, że wyjechała i tworzy ilustracje do kolejnej bajki. Żona Marka uraczyła mnie stwierdzeniem, że zachowałem się jak kompletny dupek, że nie zna większego ode mnie idioty i że większego idiotę trudno sobie nawet wyobrazić. Byłem parę

razy na akademii. Nasi wspólni znajomi traktowali mnie jak powietrze. Z uporem maniaka każdego dnia wysyłałem SMS-a o jednakowej treści: „Kocham cię. Wybacz. Chcę się tylko wytłumaczyć”. Zawsze było tak samo. Wracalem po pracy do domu. Wysyłałam SMS-a, czekałem na jakąkolwiek odpowiedź, żeby po paru godzinach kolejny raz stwierdzić, że wykreśliła mnie ze swojego życia na zawsze. Kiedy zupełnie straciłem nadzieję, przyszła odpowiedź: „Spotkajmy się jutro o dwudziestej u tego Włocha na rogu”.

Czekałem na nią już od osiemnastej. Tak na wszelki wypadek, gdyby przyszła wcześniej. W lokalu robiło się coraz tłoczniej i tłoczniej. Siedziałem w bezruchu, wpatrując się w drzwi w obawie, że mogę jej nie zauważyć w tym gęstniejącym z minuty na minutę tłumie. Weszła, rozejrzała się dookoła, pomachała ręką jakimś znajomym, pewnie ruszyła w moją stronę. Ładna jest ta Karolina... Ładna jak zawsze. W przykrótkim czarnym sweterku i wąskiej czarnej spódnicy kończącej się znacznie powyżej kolan, w utkanej przez siebie chuście zdobionej dziesiątkami kolorowych motyli, z gładko przyczesanymi, błyszczącymi od olejku włosami wyglądała tajemniczo, przyciągała wzrok, drażniła i prowokowała. Sposób ubierania się zawsze ją wyróżniał.

- Cześć - rzuciła niedbale, a mnie serce podeszło do gardła.

- Cześć. - Sam nie poznałem własnego głosu.

- Chciałeś ze mną pogadać. - Spojrzała na mnie przelotnie.

- Pobyć i pogadać.

- Pobyć, mówisz? To zawsze było przyjemne. No, przynajmniej do pewnego momentu.

Usiadła naprzeciw mnie. Uśmiechała się jak kiedyś. Opowiadała o ilustrowanej właśnie książce, o następnym plenerze, na który ma pojechać, o psie, którego koniecznie chce kupić, o Toskanii, do której wyjeżdża, o włoskich znajomych, z którymi musi się spotkać. Piła cappuccino. Zamówiła martini bianco. Usta się jej nie zamykały. Siedziałem, słuchałem, cieszyłem się tym spotkaniem, byłem oczarowany Karoliną, jak zawsze.

- Muszę już lecieć - powiedziała niespodziewanie.

- Zostań jeszcze chwilę. Chciałem ci coś wytłumaczyć. Chciałem cię przeprosić.

- Nie musisz - przerwała mi gwałtownie. - Nic mi nie musisz tłumaczyć. Nie musisz mnie przeproszać. Ja wiem i rozumiem. Wiem, rozumiem i akceptuję - powiedziała dobitnie. - Podjąłeś pewną decyzję, rozumiem ją i się do niej ustosunkowałam. Nie masz mnie za co przeproszać. Chcesz być świetnym psychoterapeutą i pewnie będziesz... Postawiłeś to sobie za cel i po trupach do niego dążysz. Każdy człowiek ma własną hierarchię wartości...

- To nie chodzi o żadną hierarchię wartości - wszedłem jej w słowo. - Ilustrując bajkę, powiedziałaś, że jeżeli twoje ilustracje mają rozumieć dzieci, to musisz spojrzeć na świat oczami dziecka. Ja wtedy pomyślałem...

- Wiem, co powiesz - przerwała mi gwałtownie. - Powiesz, że cię wtedy olśniło, dlaczego nie zawsze rozumiesz swych pacjentów. Mówiłeś mi o tym. Wiedza wyniesiona z książek to

dla ciebie za mało. Ty chcesz myśleć i czuć jak oni. Uważasz, że tylko wtedy będziesz potrafił im pomóc. Rób, jak chcesz! To w końcu twoje życie, ale mnie w to nie mieszaj. Ja chcę żyć inaczej! Ciekawe, ile jeszcze po tych wszystkich doświadczeniach jest w tobie ciebie. Czy ja spotkałam się dzisiaj z tamym tobą czy już z zupełnie innym facetem?

- Jestem taki sam jak przed rokiem, kiedy tłumaczyłaś mi, jak należy widzieć i czuć *Żar sierpnia*.

- To tylko tobie tak się wydaje.

- Jestem taki sam. Może tylko czuję i rozumiem znacznie więcej.

- To prawda, czujesz i rozumiesz więcej, ale jakim kosztem?

- Przecież ty mnie rozumiesz...

- Rozumiem - powiedziała cicho. - Oczywiście, że rozumiem, ale już nie mogę. Nie chcę tak żyć. Nie chcę być raz dziewczyną narkomana, innym razem alkoholika czy też tydzień później niedoszłego samobójcy. Moje życie nie może zależeć od tego, jaki problem będzie miał następny z twoich pacjentów.

- To się już nie powtórzy. Obiecuję. Przemyślałam wszystko.

- Nie kłam! Dobrze wiesz, że to nieprawda. Po co to mówisz? Kiedy wypiliśmy kakao z marihuaną i zjadłem marihuanowe ciasteczka, wydawało ci się, że tyłek masz w łóżku, a twoja głowa doszła już do łazienki. Było to dla mnie dziwne, ale jeszcze śmieszne. Wróciłeś z łazienki i spytałeś mnie, czy twój tyłek był tam z tobą. Powiedziałam, że chyba



tak, bo głowę już widzę, a jego jeszcze nie ma. Ubaw miałam po pachy. Później było dużo mniej śmiesznie. Kiedy zrobiłeś sobie sznyty na ręce, żeby zobaczyć, czy ból jest w stanie przyćmić wszystkie inne odczucia, pomyślałam, że cię już równo pokopało - mówiła cicho, spokojnie, bawiąc się leżącą na stole łyżeczką. - Spytałam cię wtedy, co czujesz. Powiedziałeś, śmiejąc się, że to jakieś brednie, łapa cię boli, blizny będziesz miał jak jakiś psychopatyczny idiota, a nadal mnie kochasz. Ręka ci się zagoiła. Blizn nie masz, ale mnie się już wiele razy w nocy śniła ta żyłtka, którą trzymałeś w ręce, i te strużki krwi płynące z rozciętej skóry na przedramieniu. Kiedyś powiedziałeś mi, że chcesz wjechać windą na szczyt wieżowca i spojrzeć w dół, żeby zrozumieć niedoszęłego samobójcę, który nie zdołał skoczyć. Przerazona nie mogłam zasnąć. Kochaliśmy się, a mnie się wydawało, że to ostatni raz. Następnego dnia pojechałam tam z tobą. Patrzyłam, jak stoisz przy krawędzi dachu, jak patrzysz w dół. Myślałam, że umrę ze zdenerwowania. Wystarczyło, żebyś dostał zawrotów głowy. Wystarczyłby tylko moment nieuwagi. Obiecałeś mi, że na tym koniec, że nie musisz już nic więcej, że już chyba wszystko potrafisz sobie wyobrazić i zrozumieć. Uwierzyłam ci. Pojechałam na ten plener, ale od początku czułam, że coś jest nie tak. Ty zawsze jechałeś ze mną, a tu nagle miałeś tyle pracy, że nie skusiła cię nawet Toskania. Pierwszego dnia zadzwoniłeś z pracy, że zgubiłeś telefon. Zadbaleś o to, żebym nie mogła zadzwonić. Po paru dniach zadzwoniłam do twojego gabinetu. Pani Maria powiedziała mi, że odwołałeś na dziesięć dni wszystkie przyjęcia. Nie pojechałeś do Toskanii, ale

wzięłeś urlop? Zrozumiałam. Myślałam, że umrę, zanim dojadę do domu. Przyjechałam autostopem. Tak było najprędzej. Byłam przerażona. Powiesiłeś się? Rzuciłeś się z okna? Połknąłeś całe opakowanie środków nasennych, żeby zobaczyć, jak się poczujesz, kiedy się wybudzisz? A może klej? Może twarde prochy? Może postanowiłeś sprawdzić, co czuje facet, który próbował się zmierzyć z tramwajem? Jakoś nie przyszło mi na myśl, że chcesz się przekonać, jak się czuje człowiek w delirium. Prawie umarłeś, bo właśnie miałeś takiego pacjenta i bardzo zapragnąłeś mu pomóc - mówiła coraz ciszej i ciszej, coraz bardziej smutno. - Skoncentrowałeś się na jakimś alkoholiku, zupełnie zapominając o nas. Liczył się wtedy tylko ten obcy człowiek. On był ważniejszy od nas.

- To nieprawda...

- Czemu teraz też kłamiesz? - Spojrzała na mnie rozczarowana. - Okłamałeś mnie parę razy...

- Bałem się, że mnie nie zrozumiesz...

- Bałeś się, że się nie zgodzę - odparła zaczepnie.

- Przepraszam...

- „Przepraszam” to gówniane słowo - przerwała mi gwałtownie. - Myślisz, że ono coś zmienia? Że jest w stanie wymazać z pamięci to wszystko? Że powiesz to durne słowo i sprawa zostanie załatwiona? Oddali się w niebyt? Zniknie z pamięci?

- Przepraszam...

- Za to nie można przeprosić. W pijackim amoku rzuciłeś we mnie butelką. Trafiłeś mnie w głowę. Wylądowałam

w szpitalu...

- Nie wiedziałem, co robię...

- Co z tego, że nie wiedziałeś? Czy to usprawiedliwia albo coś zmienia? Nie wiedziałeś, bo miałeś już omamy wzrokowe. Runąłeś na ławę, rozbijając dziesiątki butelek. Właśnie zamierzałam stamtąd uciec, spojrzałam jeszcze raz w twoją stronę i ujrzałam cię w kałuży krwi. Plama powiększała się w oczach. Pochyliłam się nad tobą i zobaczyłam, jak z rany na przedramieniu w rytm twojego serca tryska krew. Całą twarz miałeś usianą kawałkami szkła. Pomyślałam, że tracę kogoś, kogo kocham. Złapałam się na tym, że w myślach klepię modlitwę. Na karetkę pogotowia czekałam piętnaście minut. Tych minut nigdy nie zdołam zapomnieć...

- Przepraszam.

- Wypchaj się tym swoim „przepraszam”... Minęło parę tygodni, a ja co noc widzę, jak leżysz w tej kałuży krwi. Ty mnie nie kochasz. Nie kochasz też samego siebie. Dla ciebie liczą się tylko ci twoi mniej lub bardziej kopnięci pacjenci.

Zamilkła. Dopiła kawę. Wyglądało na to, że zaraz ruszy do wyjścia.

- Daj mi szansę! Zaufaj mi ostatni raz.

- Nie dam rady! - powiedziała głośno. - Nie rozumiesz, że już nie dam rady. Ty rozumiesz wszystkich poza mną. Wszyscy są ode mnie ważniejsi.

Para siedząca przy stoliku obok spojrzała z zainteresowaniem w naszą stronę. Podniesiony głos Karoliny dotarł do nich, przebił się jakimś cudem przez gwar rozmów i cichą muzykę.

- Wojtek, ja nie dam rady. Za bardzo cię kocham. Ja z tego wychodzę - powiedziała Karolina ściszone głosem. - Za bardzo cię kocham, żebym mogła być dalej z tobą.

Wstała gwałtownie. Odsunięte z impetem krzesło runęło na podłogę. Nie obejrzała się nawet. Ruszyła do wyjścia. Patrzyłem, jak przepycha się pomiędzy gęsto poustawianymi stolikami. Po chwili zniknęła mi z oczu. Nie zatrzymałem jej. Nie zawołałem. Nie poszedłem za nią. Pozwoliłem jej odejść, chociaż do dziś dnia mam wrażenie, że mogłem ją wtedy jeszcze zatrzymać.

\*\*\*

Dwa miesiące później przysłała mi bajkę *Dione Metis*. „Od niej zaczęło się to piekło” - pomyślałem. Opętała mnie ta durnowata idea i straciłem to, co nadawało mojemu życiu sens, wypełniało wszystkie myśli, zajmowało popołudnia i wieczory, powodowało, że marzyłem o nocy. Straciłem wszystkie najbliższe plany i odległe cele. Zatrzęsło moją codziennością. Przez głupi pomysł wszystko, co budowaliśmy dzień po dniu, rozsypało się jak domek z kart. Nagle zniknęła z mojego życia Karolina i nie było już niczego. Zostałem sam i tylko do siebie mogłem mieć pretensje. Tego, co wtedy wyczyniałem, nikt by nie wytrzymał. Jak Karolina mogła to wytrzymać? W pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem tę książkę, miałem ochotę ją wyrzucić. Tomik leżał na biurku, kusząc kolorową okładką, której projekt wyszedł spod ręki Karoliny. Na okładce widniała dziewczyna siedząca na grzbiecie smoka, który unosił się nad wylaniającą się powoli z porannej mgły

Wenecją. Smoczysko miało zawadiacką minę i obłe kształty, jego cielsko wydawało się olbrzymie w porównaniu z maleńkimi skrzydłami, ale pomimo to jego lot był pełen wdzięku i gracji. Byliśmy kiedyś z Karoliną w Wenecji. Mówiła, że to mekka artystów, że każdy powinien spróbować malować w tym mieście. To zaczarowane miejsce, gdzie promienie słońca odbite od wód laguny powodują, że wszystko wokół nabiera niesamowitych kolorów, których nie ma nigdzie poza Wenecją. Nie wiem, może to prawda. Dla mnie Wenecja to nie kolory. Dla mnie Wenecja to gorące usta Karoliny odważnie wędrujące po moim ciele, to jej przyspieszony oddech, muśnięcia jej włosów na mojej twarzy, namiętne szepty, to jej dłoń w mojej dłoni, cienka firanka unoszona przez delikatny podmuch wiatru, okrągły księżyc odbijający się w wodach śpiącej laguny, kuszący zapach jej perfum, niesione przez wodę głosy pozdrawiających się gondolierów zmieszane z pomrukami rozkoszy. Wenecja to nasze kroki dudniące po bruku, odbijające się echem od murów gęsto obok siebie stojących domów. Podwójne echo kroków, jak zgodne bicie dwóch serc. To kamienna ławka tuż obok studni na zapomnianym przez wszystkich *campo*, to rozstawione sztalugi, kapelusz rzucający na jej twarz nieregularne cienie, każdego dnia coraz bardziej opalone ramiona Karoliny... Wenecja i Karolina, tego nie da się zapomnieć. Że też ten smok leci akurat nad Wenecją. Jaki dziwny zbieg okoliczności. Usiadłem przy stole i zacząłem oglądać tę książkę. Dziwne, każda ilustracja była takim zbiegiem okoliczności. Ilustracje do bajki przyciągały mnóstwo wspomnień. Poczuję się tak,

jakby obok mnie siedziała Karolina. Nawet smok Samsung siedział w rabatce, na której rosły jasnoseledynowe eustomy, kwiaty, które Karolina lubi najbardziej. Latająca miotła zwana Pomyłką śmigła nad moim domem, Dione Metis spotkała Don Metro dokładnie w tym miejscu, w którym podarowałem Karolinie w Wenecji pierścionek... W sumie bardzo ciekawa książka.

\*\*\*

Czekałem na faceta z niecierpliwością. Zżerała mnie ciekawość. Powiedziałem, żeby przyszedł do gabinetu o osiemnastej, że porozmawiam z nim po pracy. Twierdził, że Karolina potrzebuje mojej pomocy. Skłamał. Karolina była już od wielu miesięcy we Włoszech. Pisała do mnie od czasu do czasu. Takie tam krótkie e-maile, jakie pisze się do znajomych lub starych przyjaciół. Wczoraj je odszukałem. Niepotrzebnie, znam je prawie na pamięć. Ostatni otrzymałem jakieś dwa miesiące temu.

*Udało mi się znaleźć ciekawą pracę. Wyobraź sobie, mam stałe zajęcie na dobrych parę miesięcy. W moim zawodzie to prawie cud. Będę robić ilustracje do przewodnika po Toskanii. W zdobyciu pracy pomogła mi Francesca. Pamiętasz Francescę? Poznałeś ją, kiedy byliśmy w Wenecji. Musisz ją pamiętać. Trudno ją zapomnieć. Siedzieliśmy z nią i jej kuzynką w restauracji tuż obok Ponte Rialto. Francesce usta się nie zamykały, opowiadała o śnie, który przyśnił jej się pierwszej nocy w Wenecji. Sen był erotyczny, a ona opowiadała go w najdrobniejszych szczegółach i bez*

najmniejszego skrępowania. Spytałeś mnie wtedy, czy wszyscy moim znajomi są tak popierniczeni jak ona. Przez krótki czas studiowałyśmy razem. Znalazła się na naszej uczelni w ramach programu Erasmus. Po studiach zajęła się projektowaniem mody. Twierdzi, że to też jest swoisty rodzaj sztuki, mniej lub bardziej użytkowej. Jej chłopak Enrico jest autorem tego przewodnika po Toskanii. Spotkaliśmy się kiedyś na kawie, pokazałam im, nad czym ostatnio pracuję, spodobało się, zostałam zaproszona do wydawnictwa i podpisano ze mną umowę. Wszystko wydarzyło się w ciągu dwóch dni i teraz nie muszę już sprzedawać swoich rysunków na ulicach i malować portretów za parę euro w celu zdobycia środków na tworzenie tego, co mnie fascynuje. Będę robić ilustracje do przewodnika. W sumie ma ich powstać około pięćdziesięciu. To będzie inny przewodnik niż wszystkie. Poza zdjęciami Enrica, opisami zabytków, atrakcjami turystycznymi, pojawią się moje rysunki. Przewodnik ma prowadzić od ogółu do szczegółu, po ciekawostki nieznane nawet mieszkańcom. Enrico szuka legend, pikantnych opowieści, sensacji, niewyjaśnionych spraw i niedopowiedzianych historii. Czegoś, co może zainteresować, zdziwić, zaskoczyć, ściągnąć w te miejsca jeszcze większe rzesze turystów. Na początek pojechałam dzisiaj do San Gimignano. Miasteczko nazywają „średniowiecznym Manhattanem”. W średniowieczu wybudowano w nim siedemdziesiąt dwie wieże. Miały spełniać funkcje obronne i służyć do suszenia tkanin barwionych szafranem, które – żeby nie stracić intensywnie

złotego koloru - musiały schnąć bez dostępu światła. Czy Ty wiesz, co to jest szafran? Wpadłam w bezdech, kiedy dowiedziałam się od Enrica, że to krokus. Nieważne... Wieże miały podkreślać znaczenie i bogactwo właścicieli. Do naszych czasów zachowało się ich czternaście. Byłam tam dzisiaj. Siedziałam przy Piazza del Duomo na schodach romańskiej świątyni i całe popołudnie rysowałam. Powstało kilkanaście szkiców. Nie podobają mi się. Muszę jeszcze pomyśleć, poszukać czegoś innego. Ponoć najpiękniej San Gimignano prezentuje się od północy, kiedy zbliżamy się do miasta od strony Certaldo. Tak przynajmniej twierdzi Enrico. To rodowity Toskańczyk. Zapewne wie, co mówi. Pokazywał mi też zdjęcia robione z tamtej strony. Bomba. Średniowieczne miasto na wzgórzu, nad którym wznosi się las kwadratowych wież różnej wysokości. U podnóża podwójne szpalery wysmukłych cyprysów, znaczące linie polnych dróg, charakterystyczna, jakby rozmyta zieleń gajów oliwnych obok wyraziście zielonych winnic. Gdzieś widać jakieś małe kamienne domki o czerwonych dachach, które przycupnęły u stóp wzgórza. Spróbuj to sobie wyobrazić! Różne odcienie zieleni, czerwień dachów, kamienne wieże, lazur włoskiego nieba i wszechobecny zapach rozgrzanych słońcem cyprysów. Widzisz to? Czujesz? Jesteś tam ze mną? Pojadę tam jutro. Dzisiaj nie robię już nic. Kładę się spać. Żadnych fantazji! Idę spać sama. A zresztą możesz sobie pofantazjować. Gorąco tu dzisiaj. Na pewno nie włożę na noc piżamy. Wino szumi mi w głowie. Czuję się oczarowana - Toskanią, San Gimignano, toskańską kuchnią.



*Piję miejscowe wino. Ono jest tajemnicze jak San Gimignano, zresztą nazywa się Vernaccia di San Gimignano. Nie siedź po nocach! Dbaj o siebie! Jedz śniadania! Nie utożsamiaj się z pacjentami! Idź już spać! Niech Ci się przyśni Toskania.*

Nie przyśniła mi się wtedy Toskania, tylko Karolina. Siedzieliśmy naprzeciw siebie i piliśmy wino. Karolina uniosła do góry lampkę, poruszyła nią delikatnie. Rozkołysana, gęsta, jasna ciecz omiotła ścianki kieliszka. Przez moment trunek wydał się złoty. Dziewczyna uniosła lampkę do ust. Patrzyłem na Karolinę jak zauroczony. W blasku świec wydawała się jeszcze bardziej zmysłowa, jeszcze bardziej pociągająca, jeszcze piękniejsza. Mógłbym tak na nią patrzeć i patrzeć bez końca. Czułem palce jej stopy muskające moją stopę, widziałem płomyk świecy odbijający się w jej oczach, czułem zapach jej perfum, widziałem, jak czubkiem języka zwilża usta, czułem dotyk jej dłoni na mojej ręce, słyszałem szept: „Chodźmy do domu”. Obudziłem się wtedy zlany potem. Serce łomotało mi jak oszalałe. Ależ ze mnie dureń, że tak schrzaniłem to wszystko. Jaki ze mnie idiota, że pozwoliłem jej odejść.

\*\*\*

- Wychodzę. - Maria przez uchylone drzwi wsadziła głowę do mojego gabinetu. - Pan jeszcze niegotowy? - Spojrzała na mnie zdziwiona. - Mogę chwilę poczekać - dodała niepewnie, widząc, że nie zbieram się jeszcze do wyjścia.

- Zostaję. Umówiłem się z klientem.

- Ta kobieta, która wyszła przed chwilą, była dzisiaj

ostatnia. - Maria patrzyła na mnie z nieukrywanym zdziwieniem. - Mogę jeszcze raz sprawdzić - dorzuciła - ale jestem pewna, że nikt już więcej nie był na dzisiaj umówiony. Jest przecież czwartek. W czwartki kończymy wcześniej. Zawsze spieszy się pan na tenisa.

- Nie idę dzisiaj na korty. Umówiłem się z klientem - powtórzyłem.

- Nie wiedziałam - powiedziała zdezorientowana. - Nic pan wczoraj o tym nie wspominał... Nic nie szkodzi. Zostanę. Wczoraj przecież wyszłam wcześniej... Zostanę - powtórzyła zdecydowanie. - Tak będzie lepiej.

Przed miesiącem nie została. Zapewne męczyły ją teraz wyrzuty sumienia. Nie chciałem z nią na ten temat rozmawiać. Ani wtedy, ani później. W sumie nie było o czym. Ona wyszła do domu, zostawiając mnie z ostatnim klientem, bo jej mąż umówił się z kumplami na bilard i nie miał z kim zostawić dziecka. Ona poszła gasić kolejny już pożar w swojej rodzinie, a pod jej nieobecność rozjuszony mąż jednej z pacjentek rzucił mną o ścianę. Nie miałem żadnych szans. Różnica wagi i temperamentu była olbrzymia. Skończyło się izbą przyjęć w szpitalu i tygodniowym pobytem na oddziale chirurgii urazowej. Miałem wstrząśnienie mózgu i dwa złamane żebra. Do dziś czuję ból, kiedy głębiej oddycham. Rzucił mną o ścianę, bo nagle doszedł do wniosku, że ja jestem winny wszystkim niepowodzeniom, które go spotkały. Wcześniej miał idealnie poukładany świat, co do minuty zaplanowane życie, a ja mu to wszystko zburzyłem. Należał do tych, co to wiedzą wszystko najlepiej, uzurpując sobie prawo do rozporządzania

każdą minutą czyjegoś życia. Podporządkował sobie żonę, zdominował ją, pozbawił pewności siebie, uzależnił od siebie, spowodował, że bez niego nie potrafiła samodzielnie żyć. Na pierwsze spotkanie z Martyną musiałem pojechać do niej do domu. Namówiona przez koleżankę zgodziła się na psychoterapię, ale miała już wtedy tak nasilone zaburzenia lękowe, że przyjazd do mojego gabinetu był dla niej czymś niewykonalnym. Bała się wszystkiego i wszystkich. Dzień i noc towarzyszył jej paraliżujący, bezimienny lęk, który od czasu do czasu przeradzał się w ściśle określony strach. Pamiętam dokładnie tamto nasze pierwsze spotkanie. Usiadłem, a ona cały czas stała. Widziałem, że każdy jej mięsień jest napięty jak struna, że całym swoim ciałem gotowa jest do ucieczki. Dłonie miała zaciśnięte na oparciu krzesła. Patrzyła na mnie nieufnie. Zacząłem coś mówić, ale ona nie słuchała. Myślę, że moje słowa odbijały się od niej jak od muru, nie były w stanie przebić się przez ograniczający ją lęk. Bała się mnie. Bała się mnie tak samo jak wszystkich innych ludzi. Zachowywała się jak nieufne, zaszczute zwierzę. Wydawało mi się, że jeszcze moment, a ona ucieknie. Nie uciekła. Przez dwa lata, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, walczyliśmy o jej powrót do normalności. Przeszliśmy razem przez to wszystko. Mieliśmy sukcesy i porażki, momenty zwątpienia i chwile radości. Udało się. Odrodziła się jak feniks z popiołu. Niedawno wpadła niespodziewanie do mnie do gabinetu. Usiadła naprzeciw mnie i z ożywieniem opowiadała o swoich sukcesach. Po kilku latach przerwy wróciła do pracy zawodowej. Znowu jest nauczycielką. Chodzi na fitness i to sprawia jej przyjemność.

Zimą wybiera się na narty, bo już nie pamięta, kiedy ostatni raz jeździła. Zapisła się na kurs języka hiszpańskiego, bo latem jedzie do Hiszpanii. Wpadła do mnie, bo właśnie umówiła się w kawiarni z przyjaciółkami na kawę i do spotkania miała jeszcze trochę czasu. Siedziała naprzeciw mnie piękna, pewna swojej wartości, tryskająca radością życia, uśmiechnięta młoda kobieta. Aż trudno uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, która przed dwoma laty nie potrafiła sama wyjść z domu, która spędzała dni skulona na kanapie z głową przykrytą poduszką, bała się dźwięków, ludzi, mroku, drżała przed wytworami własnej wyobraźni.

- Noszę zawsze przy sobie swoisty talizman - wyrwał mnie z zamyślenia jej głos. - Pudełko po zapalkach, które mi pan kiedyś podarował. Pamięta pan? Dał mi pan to pudełko, kiedy po raz pierwszy miałam sama pójść na spacer. Wyszliśmy razem z mojego domu. Powiedział pan, że obliczył pan obwód budynku, że to tylko jakieś nędzne sto pięćdziesiąt metrów, że pan pójdzie w prawo, a ja w lewo i spotkamy się w połowie drogi, że w końcu mam przejść sama do tego naszego spotkania tylko siedemdziesiąt pięć metrów. Dał mi pan wtedy to pudełko. Powiedział pan, że to na szczęście. W pudełku była kartka: „Uda się. Jestem tego pewien. Wierzę w Ciebie”. Udało się. Udało się przejść te siedemdziesiąt pięć metrów, kupić znaczki na pocztę, pojechać tramwajem, wejść do galerii handlowej... Każdy dzień przynosił nowe sukcesy. Z czasem wszystko wróciło do normy, ale pudełko noszę. Tak na wszelki wypadek, gdyby ogarnęło mnie kiedyś zwątpienie...

Przemiana Martyny należała bez wątpienia do

spektakularnych sukcesów terapeutycznych. Z tym że nie dla wszystkich, bo przecież w życiu wszystko zależy od punktu widzenia. Jej mąż nie uważał tego za sukces. Sądził, że jakiś nieobliczalny psychoterapeuta odmienił mu żonę. Jego uległa, lękliwa, ciągle przez niego zastraszana i poniżana żona przeszła swoistą metamorfozę. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie wymaga już jego opieki i wsparcia, dlaczego nie spędza całych dni w domu, nie liczy się niewolniczo z jego zdaniem, nie daje się zastraszać, szuka przyjaźni wśród obcych ludzi. Nie mógł pojąć, dlaczego przestała bać się wychodzić z domu, rozmawiać z innymi ludźmi, jeździć tramwajem. Nagle stał się jej niepotrzebny, a może potrzebny w inny sposób, którego on nie chciał i nie potrafił zrozumieć. Martyna wystąpiła o rozwód. Myślę, że to była słuszna decyzja, pomijając moje złamane żebra i wstrząs mózgu.

\*\*\*

Wszedł do mojego gabinetu. Usiadł we wskazanym fotelu. Rozejrzał się dookoła niepewnie. Miał ze trzydzieści lat, lekko przydługie, idealnie przystrzyżone ciemne włosy, które wydawały się mokre od nałożonego na nie żelu. Na twarzy dwudniowy zarost, który kładł się cieniem na śniadych policzkach. Ubrany był w granatową marynarkę, idealnie do niej dobraną niebieską koszulę i jasne spodnie. Marynarka należała do tych, co to pomięte wyglądają lepiej niż wyprasowane, koszula była niedbale rozpięta do połowy klatki piersiowej. Spod koszuli, niby przypadkiem, wystawał biały podkoszulek. Spodnie nigdy nie widziały kantu. Buty nie

pasowały do całości. Czarne, idealnie wypastowane i wypolerowane, z czubkami, w których można było się przejrzeć, bardziej pasowałyby do smokingu lub czarnego garnituru. Powiało południem Europy, gwarnymi włoskimi kafejkami, leniwym wieczorem po upalnym dniu... Facet wydał mi się niższy niż poprzednio. „Może to sprawa płaszcza” – przyszło mi do głowy. „A może wyobraźni? W końcu wtedy było ciemno. Umysł w ciemności płała figle. Strach ma wielkie oczy”. W gabinecie snuł się zapach wody kolońskiej. „Coś tu nie gra” – pomyślałem. W pierwszej chwili nie potrafiłem tego sprecyzować. Zapach, który wczoraj rozchodził się w ciemności, był wonią cedru. W tej chwili czułem zupełnie inny zapach – ostrzejszy, drażniący, cytrusowo-ziołowy, z wyraźną nutą lawendy i rozmarynu. „Czepiam się szczegółów” – pomyślałem. Sam nie jestem wierny używanym perfumom. Moim zdaniem muszą pasować do chwili. Może jemu dzisiaj do naszego spotkania bardziej pasował zapach cytrusowo-ziołowy? Może wydawał mu się bardziej męski? Może tym zapachem dodawał sobie odwagi? Facet był wyraźnie spięty. Siedział z założonymi rękami. Uciekał wzrokiem. Z minuty na minutę czuł się coraz bardziej niepewnie. Nie spieszyłem się do rozmowy. Czekałem. Chciałem, żeby to on zaczął mówić. Milczenie się przedłużało. Wczoraj próbowałem się dodzwonić do Karoliny. Usłyszałem, że abonent jest chwilowo niedostępny. Zadzwoiłem do Marka. Ostatni raz rozmawiał z Karoliną jakoś przed tygodniem. Opowiadała mu podekscytowana o pracy nad przewodnikiem. Przesłała mu nawet przez Internet rysunki

z Certaldo. Mówił, że są bardzo dobre, ale nie pasują do Karoliny. Twierdził, że te rysunki i akwarele to czysta komercja, że to z prawdziwą sztuką niewiele ma wspólnego. Powiedział mi, że jeżeli chodzi o tę prawdziwą sztukę, to szykują razem jakąś wystawę, która odbędzie się jesienią we Florencji. To będzie coś zupełnie innego, coś zaskakującego, czyste emocje przelane na płótno. To będą obrazy przedstawiające uczucia. Mówił, że takie pomysły może mieć tylko Karolina.

- Punktem wyjścia są kolory i tylko kolory - tłumaczył mi podniecony. - Pomysł jest szalony. Już Goethe pisał, że cenniejsze od złota jest światło, światło to kolory, a kolory to uczucia. Pozornie to proste, ale tylko pozornie. Każdy z nas ma jakieś skojarzenia. Najczęściej banalne i proste, na przykład czerwień kojarzy się wielu z miłością. To bzdura! Czerwień to agresja, wyzwolenie, władza, niezależność, impulsywność, siła, seks, gwałt, przemoc, dominacja... To dziesiątki i setki skojarzeń. To słodkie truskawki i maliny, przerażająco kwaśne wiśnie, mdły arbuż, pomidory, pikantna papryka chili... To drażniący i podniecający zapach tysięcy czerwonych róż... To murzyńskie bębny wybijające rytm... To krew płynąca w żyłach - nakręcał się z minuty na minutę coraz bardziej. - Jeden kolor to dziesiątki emocji, cała gama uczuć i burza skojarzeń...

- Rozumiem - przerwałem mu. Tym jednym słowem zdołałem go sprowadzić z obłoków z powrotem na ziemię.

- Gównu rozumiesz! - warknął. - Może ty, Wojtek, znasz się na ludziach, ale o sztuce współczesnej to nie masz

zielonego pojęcia. Coś taki sceptyczny? – fuknął.

- Nie mam dzisiaj ochoty na dyskusję o sztuce – powiedziałem szczerze. – Chciałem się tylko dowiedzieć, co słyhać u Karoliny. O emocjach zawartych w kolorach możemy pogadać kiedy indziej.

- No przecież mówię, że u Karoliny wszystko jest dobrze. Można by rzec, że nawet wyśmienicie. Karolcia robi rysunki do przewodnika, organizuje wystawę, tworzy nowe obrazy... Z kim sypia, tego nie wiem, bo ze względu na znajomość z tobą unikamy takich tematów. Ale patrząc na to, jaka jest radosna, myślę, że dzieli z kimś łożę. Zresztą, kto ją tam wie, po znajomości z tobą mogła się na długo wyleczyć...

- Daruj sobie te prywatne wycieczki! – burknąłem pod nosem.

- Czemu do niej nie zadzwonisz? Stara miłość nie rdzewieje? Zateśniłeś? – padało pytanie za pytaniem.

- Dzwoniłem. Ma wyłączoną komórkę.

- Zawsze ma wyłączoną, kiedy coś tworzy... Jak znam życie, to ty dzwonisz, kiedy ona z wypiekami na twarzy tworzy dzieło, które ma przekonać cały świat, jak wielkie znaczenie ma dla ludzkości na przykład kolor zielony.

Ta rozmowa była wczoraj. Dzisiaj siedział przede mną facet, który chciał mi coś powiedzieć o Karolinie. Milczenie stawało się nie do zniesienia. Ciszę zaburzało tylko miarowe tykanie zegara, którego wskazówki przesuwają się leniwie.

- Słucham. Chciał pan ze mną porozmawiać – przerwałem ciszę. – Mnie dzisiaj czas goni. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia.



- Karolina Bielawska potrzebuje pana pomocy - wykrztusił.

W jego głosie było coś dziwnego. Nie potrafiłem tego nazwać. Może obcy akcent? Może dziwna intonacja? Nie wiem.

- Karolina potrzebuje pana terapii... - mówił dalej.

- Czemu nie przyjdzie sama? - przerwałem mu. - Przecież tak byłoby znacznie prościej. Czemu nie zadzwoni? Nie napisze e-maila?

- Nie jest w stanie - padła szybka odpowiedź. Chyba spodziewał się tego pytania. Odpowiedź była już wcześniej przygotowana.

- Co to znaczy, że nie jest w stanie? - spytałem spokojnie.

- Nie wiem, czy mogę panu zaufać - zawahał się.

- Skoro pan tego nie wie, to chyba ta nasza rozmowa nie ma sensu. W końcu to pan prosił mnie o spotkanie - powiedziałem bez emocji. Nie przestawałem obserwować jego twarzy. Nie uciekał już wzrokiem. Raz po raz nasze spojrzenia się spotykały.

- Nie znam pana - wycedził powoli. - Mnie trudno byłoby panu zaufać, ale Karolina panu ufa.

- To chyba w sumie jest najważniejsze... - wszedłem mu w słowo. - A tak w ogóle, to z kim mam przyjemność rozmawiać? - spytałem. - Zapomniał się pan przedstawić.

- Jestem przyjacielem Karoliny - powiedział bez wahania. Zabrzmiało prawdziwie.

- Brzmi ciepło i ładnie - starałem się uniknąć ironii. - Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Miło

mi poznać. Jest pan przyjacielem, który nie ma imienia?

- Przepraszam - odrzekł zakłopotany. - Wydawało mi się, że mówiłem. Może faktycznie zapomniałem. - Grał na zwłokę, próbował coś wymyślić. Nagle stał się dla mnie zupełnie niewiarygodny. - Nazywam się Antonio Tiazzo.

- Niesamowite - powiedziałem z sarkazmem. - Ma pan wyjątkowo popularne włoskie nazwisko. Chyba drugie co do częstotliwości występowania po Rossi. - Tym razem nie darowałem sobie zgryźliwego tonu.. - A więc jest pan Włochem? - bardziej stwierdziłem niż zapytałem. - Jak na cudzoziemca wyjątkowo dobrze mówi pan po polsku.

- Moja babka była Polką. W jej domu mówiło się po polsku. Często tam bywałem... Prawdę mówiąc, spędziłem tam większą część mojego dzieciństwa...

- Powiedział pan, że jest pan przyjacielem Karoliny - przerwałem mu. Nie interesowały mnie jego koligacje rodzinne ani dzieciństwo. W końcu chodziło nie o niego, lecz o Karolinę. - A kim jest dla pana Karolina? - spytałem.

Spojrzał na mnie zaskoczony. Nie odpowiedział od razu. Wyglądało na to, że w popłochu szukał w myślach odpowiedzi.

- Jest moją dziewczyną - odpowiedział po chwili. Zabrzmiało mało przekonująco.

- Też ładnie...

Nie kleiła się nam ta rozmowa. Facet intrygował mnie coraz bardziej. Był Włochem, i to chyba było jedyną prawdą wśród paru kłamstw, które zdążył już powiedzieć.

- Zapali pan? - Wyciągnąłem w jego stronę rękę z paczką papierosów.

- Dziękuję. Rzadko palę.

„Jak szybko ludzie się zmieniają” - przemknęło mi przez myśl. Wczoraj nie wyciągał papierosa z ust. Życie to teatr, a ludzie to aktorzy. Dzisiaj widocznie grał inną ze swoich życiowych ról.

- A ja mogę zapalić? - spytałem.

- Oczywiście.

Zaciągnąłem się papierosem. Na chwilę ukryłem się za chmurą dymu. Coraz bardziej intrygowało mnie to wszystko.

- Powiedział pan, że Karolina potrzebuje mojej pomocy, że potrzebuje terapii. Tak się składa, że znam ją dobrze. Nie mogę sobie jakoś wyobrazić, żeby potrzebowała psychoterapii.

- Karolina jest chora...

- Nie jestem lekarzem. Nie leczę - wszedłem mu w słowo.

- Skończyłem medycynę, ale nigdy nie praktykowałem. To nie dla mnie. Zupełnie nie moje klimaty. Mam ukończony drugi fakultet. Jestem psychologiem.

- Wiem, kim pan jest - przerwał mi gwałtownie. - Rozmawialiśmy o tym wczoraj. Człowiek ma duszę i ciało. Lekarze zajmują się ciałem. Jej potrzebny jest ktoś, kto leczy duszę...

- Osobiście nie do końca jestem wierzący...

- O czym pan mówi? - spytał zdezorientowany.

- O duszy... Od duszy są chyba księża.

- Chodzi mi o psychikę - burknął niewyraźnie pod nosem.

- O psychikę? - Udawałem, że nie dosłyszałem.

Specjalnie go denerwowałem. Chciałem go sprowokować.

Jego zdenerwowanie z minuty na minutę rosło. Mówił coraz głośniej, coraz bardziej impulsywnie. Ręce mimo woli zacisnął na poręczy fotela. Wszystko zaczynało się toczyć po mojej myśli. Zdenerwowani ludzie popełniają więcej błędów. Emocje zaburzają samokontrolę.

- Jeżeli chodzi o jakiś problem psychiczny, to mogę spróbować pomóc.

Ulżyło mu. Usiadł wygodniej. Zapadł się w fotel. Oparł głowę o oparcie fotela. Nawet ręce położył swobodnie na kolanach.

- Karolinie coś się stało - zaczął opowiadać. - Od paru tygodni zachowuje się dziwnie. Na początku wyglądało to wszystko bardzo niewinnie. Myślałem, że to zabawa, gra... Z czasem wszystko nabrało rozmachu. Zaczęło się toczyć coraz szybciej i szybciej. Karolina straciła kontrolę nad własnym życiem. Boi się sama siebie. Sama siebie nie rozumie. Nie kontroluje tego, co robi. Wiele rzeczy wykonuje nieświadomie. Momentami mam wrażenie, że to nie jest jedna Karolina, tylko co najmniej dwie różne osoby. Ciągłe towarzyszy jej lęk. Nie potrafi go sprecyzować. Każdego dnia boi się coraz bardziej i bardziej. Momentami lęk przeradza się w paraliżujący ją strach. Wydaje się jej, że ktoś ją śledzi. Ma wrażenie, że ktoś kontroluje jej myśli. Ostatnio zaczęła widzieć rzeczy i ludzi, których nie ma. Tworzy koszarne rysunki na ścianach swojego pokoju. Nieświadomie pisze sama do siebie listy. Maluje piękne pejzaże obok poobcinanych głów. Prześladowuje ją wizja człowieka w białej masce, z ustami otwartymi w niemym krzyku rozpacz albo przerażenia. Tę

postać widzi coraz częściej. Maluje ją też na ścianach swojego pokoju. Wielokrotnie opowiada o rzeczach, które nie mogły mieć miejsca, które dzieją się tylko w jej głowie. Ostatnio widziała mężczyznę z nożem w plecach. Ten człowiek wypadł ze stojącego na poboczu drogi samochodu. „Widziałam, jak na jego koszuli powiększa się plama krwi...” Opowiadała mi o tym w kółko i bez końca...

- Dlaczego pan nie wezwał lekarza?

- Karolina nie chce. Powiedziała, że może porozmawiać tylko z panem, że tylko pan może jej pomóc.

- Może Karolina gra?

- Nie rozumiem. - Spojrzał na mnie zdziwiony.

- To pan nie wie? - zablefowałem. - Karolina grywa w teatrze amatorskim. Uwielbia to robić. Kiedy ćwiczy jakąś rolę, to potrafi przez wiele godzin być kimś zupełnie innym. Kiedyś udawała prostytutkę, innym razem narkomankę, była już rozkapryszoną starą panną, widziałem ją w roli zakonnicy... Jest w tym doskonała - zmyślałem jak z nut. Kłamałem jak najęty. Facet miał coraz głębszy wyraz twarzy. Nie potrafił ukryć zdziwienia. - Pewnie teraz dostała rolę obłąkanej. Z tego, co pan mówi, wynika, że być może wcieli się w rolę schizofreniczki...

Zamilkłem i zająłem się obserwacją jego twarzy. Blef był dobry. Facet zwątpił. Wpadł w bezdech. Raz po raz otwierał usta tylko po to, żeby je znowu zamknąć.

- Nie, to nie to. W każdym razie nie tym razem - mówił powoli, jakby próbował coś jeszcze wymyślić. - Ostatnio mówiła, że jest Julią Capuletti.

- Znowu Julią? - udałem zdziwienie. - Julią już była parę razy... - kłamałem jak najęty. - Zawsze musi mieć suknię z długim rękawem z powodu tego durnowatego tatuażu na przedramieniu. Mnie on nie przeszkadza, ale ludzie teatru bywają starej daty. A przecież te dwa serca przebite strzałą są takie słodkie...

- Też je lubię - nieznajomy próbował nie wypaść z roli faceta Karoliny. - Mnie też się podobają.

\*\*\*

Miałem za sobą nieprzespaną noc. Nie udało mi się zmrużyć oka. Facet wyszedł, a ja z tym wszystkim zostałem. Cała ta historia nie pasowała mi do Karoliny. Nawet jeżeli miał to być żart, to raczej nie w jej stylu. Karolina była subtelna i delikatna, miała wrażliwość i ufność małego dziecka. Gdzie ona mogła poznać takiego palanta? W Toskanii? Facet był obślizły jak wąż, wił się jak piskorz, kłamał jak najęty, kiepsko odgrywał swoją rolę. Karolina stroni od takich ludzi, nienawidzi fałszu. Pod koniec rozmowy byłem już pewny, że on wcale nie zna Karoliny, że chyba jej nawet nie widział. Karolcia i teatr? Pamiętam, jak kiedyś poszliśmy razem do teatru. „Teatr to też rodzaj sztuki - powiedziała mi później - ale ja za nim nie przepadam. Odgrywa się tam ludzkie uczucia i emocje, wszystko cuchnie fałszem: papierowe dekoracje, nieprawdziwe rekwizyty... To świat na niby. Opada kurtyna i nie zostaje nic. Aktorzy kłamią, a sztuka powinna być prawdą. Powinna odzwierciedlać wnętrze artysty, powinna ukazywać jego duszę. Popatrz, na przykład muzyk swoją

muzyką oddaje światu całego siebie...” Wolałem wtedy z nią nie dyskutować. Dyskusje o sztuce i tworzących ją artystach zawsze kończyły się tak samo. Stwierdzeniem, że na czym jak na czym, ale na sztuce to ja się nie znam. A ten facet dał się wciągnąć w swoistą grę, dał się blefem sprowokować do pasma kłamstw. Karolina ma jeden tatuaż, który bardzo lubię i który zauważyłem już przy pierwszym naszym spotkaniu – wytatuowane na lewym ramieniu dwie jaskółki. O co chodzi? Czemu ma służyć ta mistyfikacja? Gostek powiedział, że przyszedł do mnie, bo jeszcze dzisiaj musi wyjechać. Mówił, że boi się zostawić Karolinę samą. Karolina nie życzy sobie żadnej pomocy. Zgodziła się tylko na mnie. Powiedział, że rano wyśle mi SMS-em jej adres. Czyżby go jeszcze nie znał? Idiotyczna historia. Aż trudno uwierzyć, że dzieje się naprawdę. Grubymi nićmi szyta mistyfikacja, która nie wiadomo komu i czemu ma służyć. Musiałem z kimś o tym pogadać. Prosto z gabinetu pojechałem do Marka. Zastałem go w pracowni.

- Tylko nie teraz! - jęknął na mój widok. Obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem. Poczulem się jak intruz. - Nie przeszkadzaj mi teraz! Siądź! Nie ruszaj się! Nic nie mów! - W powietrzu zaroilo się od wykrzykników. - Butelka z winem stoi na podłodze przy nogach fotela. Kieliszków nie mam.

Usiadłem posłusznie. Spojrzałem na butelkę - chianti. Nie przepadam za czerwonym wytrawnym winem. Wydaje mi się za ciężkie. Chianti produkują w Toskanii. Od długiego już czasu Toskania kojarzy mi się wyłącznie z Karoliną. „Niech będzie - pomyślałem - może być i chianti, jeden łyk za

Toskanię i jeden za Karolinę”. Jeszcze jeden i jeszcze jeden, zrobiło mi się przyjemnie ciepło. Czas nagle zwolnił. Przestałem się spieszyć. Dzisiejsze popołudnie oddaliło się i wyblakło. Wszystko straciło na znaczeniu. Zacząłem się zastanawiać, czy ta niedawna rozmowa odbyła się naprawdę, czy był to tylko sen. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu i nagle poczułem się zmęczony. Jeszcze jeden łyk wina, i jeszcze jeden. Za Toskanię, za sztukę, za miłość, za Karolinę, za własną głupotę... Świat zawirował wokół mnie. Wszystko zaczęło tańczyć. Mocne jest to chianti albo ja jestem głodny i zmęczony. Patrzyłem, jak Marek maluje. Potrafi godzinami siedzieć w bezruchu na podłodze. Siedzi tak ze spuszczoną głową i przymkniętymi oczami, opierając się plecami o ścianę. Wygląda, jakby drzemał. Nagle wybudza się z letargu, otwiera oczy, zrywa się na równe nogi i biegnie do sztalug. Domalowuje na płótnie jakiś drobiazg, przygląda się swojemu dziełu z różnej perspektywy, po czym znowu siada na podłodze, żeby kolejne minuty spędzić w całkowitym bezruchu. Nie znam zbyt wielu artystów. Dzięki Markowi poznałem paru, którzy wydawali mi się mniej lub bardziej nawiedzeni i opętani tworzoną przez siebie sztuką. Dobrze znam tylko jego i Karolinę. Karolina maluje zupełnie inaczej niż Marek. On sprawia wrażenie, jakby się przy tym bardzo męczył, jakby jego dzieła rodziły się w bólach. Każda kreska jest głęboko przemyślana, każdy ruch ręki celowy, każdy kolor dobierany godzinami. Karolcia natomiast tańczy wokół sztalug, podśpiewuje pod nosem, jakby każdy jej obraz rodził się w radości. Marek jest sporo starszy od Karoliny. Może i on



kiedyś malował z radością? Może sztuka, jak wszystko, męczy, wypala i zabija? Marek już od dłuższej chwili siedział bez ruchu. Miałem wrażenie, że zasnął. Zacząłem się rozglądać. Lubię tę jego pracownię. Teraz panował tu półmrok, ale w dzień jest idealne światło. Pomieszczenie znajduje się na poddaszu domu Marka. Za dnia przez szklany dach dociera tu mnóstwo światła. Teraz przez sufit widać było rozgwieżdżone ciemnogrnatowe niebo i okrągły księżyc, powoli wyłaniający się zza szarej chmury. Mrok rozpraszało światło niewielkiej lampy ustawionej tuż przy sztalugach i migotliwe ogniki kilku świeczek rozstawionych w różnych miejscach na podłodze pracowni. Czemu on maluje prawie po ciemku? Z tej odległości widziałem na płótnie tylko jedną ciemną, bezkształtną plamę.

- Niech szlag trafi Karolinę! - Z zamyślenia wyrwał mnie podniesiony głos Marka. - Dałem się namówić nawiedzonej. Mam słabość do pięknych kobiet. To mnie gubi... Uczucia i kolor fioletowy... To jakiś obłąd. Tylko kobiety mogą być tak popierniczone. Uczucia i tylko uczucia, emocje i tylko emocje. Uczucia i emocje, i tak w kółko. Można oszaleć. A ja jak idiota poddaję się temu szaleństwu. Za słabości słono się płaci. Niech diabli wezmą piękne kobiety! Z czym ci się kojarzy kolor fioletowy? - zapytał niespodziewanie. Wbił we mnie wzrok i czekał, co powiem. A ja, jak na złość, na temat koloru fioletowego nie miałem zupełnie nic do powiedzenia.

- Z niczym mi się nie kojarzy - burknąłem pod nosem. - To taki beznadziejny kolor.

- Beznadziejny, nie beznadziejny... - zrzędził. - Takie

głupie gadanie. Musi ci się z czymś kojarzyć.

- Z religią - palnąłem bez zastanowienia. - Z kościołem, z mszą, pogrzebem, pychą...

- Z czym jeszcze? - Spojrzał na mnie uważnie.

- Z władzą, majestatem, przepychem...

- Z czym jeszcze?

- Z sektami.

- Jeszcze z czymś?

- Z denaturatem.

- Jak ty coś wymyślisz...

- Ze śliwkami, z likierem fiołkowym...

- Piłeś kiedyś likier fiołkowy? - Popatrzył na mnie jak na szaleńca. - Ta twoja praca popierdoliła cię już do reszty.

- Dostałem od pacjentki...

Nie stał już przy sztalugach. Był metr ode mnie. Wbił we mnie wzrok i czekał, jakby nagle te skojarzenia były dla niego najważniejszą sprawą na świecie.

- Skup się jeszcze przez chwilę! Pomyśl, kolor fioletowy... Z czym ci się jeszcze kojarzy ten fiolet?

- Z pedałami... Z homoseksualizmem - poprawiłem się odruchowo.

- Z czym jeszcze?

- Z modą kobiecą?

- Z modą kobiecą? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak.

- A dlaczego?

- Nie wiem. Może dlatego, że połączenie rózu z fioletem mogę sobie wyobrazić tylko w damskiej odzieży.

- Coś jeszcze?

- Chyba nic... - skłamałem. Nagle pomyślałem sobie: „Kolor fioletowy i Karolina”. Raptem pojawiło się mnóstwo skojarzeń i wspomnień. Każde z nich było gorące jak ogień, pełne uczuć, emocji i pożądania. Pamiętam nasz pierwszy wyjazd do Toskanii. Kochaliśmy się wśród fioletowych łąn kwitnącej lawendy. Pamiętam wrzosa nad Bałtykiem, bukiet fioletowego bzu, który Karolina postawiła w moim mieszkaniu, a którego zapach przyprawiał mnie o zawrót głowy. Pamiętam kwiaty bugenwilli zaglądale do okien naszej sypialni w Chorwacji, bukiet fioletowych eustom, który podarowałem Karolinie na urodziny, pierwsze fiołki, które zapowiadały nadejście wiosny. Pamiętam fioletowe krokusy na tatrzańskich halach, przebijające się nieśmiało pomiędzy łąkami topniejącego śniegu. Czuję słodycz ust Karoliny umazanych jagodowym sokiem. Pamiętam winobranie we Francji i kiście winogron, które trzymała w ręku... „Chyba faktycznie mocne jest to chianti” - pomyślałem. Jeszcze przed chwilą wydawało mi się, że to wszystko już dawno zapomniałem. Nagle wróciło tyle gorących wspomnień. Jej twarz przy mojej twarzy, jej dłoń w mojej dłoni, oszałamiający zapach jej perfum, ciepło jej ciała, gładkość jej skóry, przyspieszone oddechy, czułe szepty, dziwne wrażenie, że cały świat nagle skurczył się tylko do nas. Szalony i podniecający jest ten kolor fioletowy. Niesie z sobą mnóstwo emocji i bardzo dużo ciepłych wspomnień. Nigdy bym go o to nie podejrzewał.

- Coś tak zamilkł? Zabił cię fiolet? - Głos Marka wyrwał mnie ze wspomnień. - Ja też już umieram. Tego nie da się

zrobić. To w równiej mierze genialny, co idiotyczny pomysł. Wiesz, że kolor fioletowy wycisza, łagodzi stres, uspokaja, usypia, tłumi uczucie głodu, poprawia koncentrację, zwiększa poczucie własnej wartości...? Ja ją chyba uduszę.

- Mówisz o Karolinie?

- A o kim? Tylko Karo ma takie pomysły. Pozornie proste, genialne, ale powalające na kolana, niewykonalne... Na końcu zwykle mam wrażenie, że jestem zerem, że Pan Bóg poskąpił mi talentu... Bóg dzieli niesprawiedliwie. Jej ponoć idzie doskonale...

- Nie wierzyłbym jej do końca. Może to kwestia kolorów?

- Sam sobie wybrałem - warknął. Spojrzał na mnie, jakby mnie dopiero zobaczył. - A ciebie co tu przywiało? Nie grasz w tenisa? Przecież dzisiaj czwartek... - Patrzył na mnie podejrzliwie. - Stało się coś?

- Nie wiem.

- Jak to, nie wiesz, czy coś się stało? - Wybałuszył na mnie oczy ze zdziwienia.

Zacząłem opowiadać. Początkowo śmiał się, później uśmiech zastygł na jego twarzy. Spoważniał, kiedy opowiedziałem mu o dzisiejszym popołudniu. Skończyłem, a on czekał, co powiem dalej.

- I co? Pójdiesz tam? - dopytywał się niecierpliwie.

- Pójdę.

- Pieprzysz! - wściekł się. - Ciebie chyba pokopało! Tobie ta twoja praca odbiera resztki rozsądku. Szukasz guza?! Ktoś próbuje cię zrobić w jakieś gówno. Przecież to jakaś totalna ściema.

- Ściema - powiedziałem spokojnie - ale musisz przyznać, że intrygująca.

- Nawet bardzo intrygująca... Ciebie popierdoliło do reszty! Może ty jesteś niepoczytalny? Zbadali cię dokładnie po tym urazie głowy? - nakręcał się coraz bardziej. - Ładujesz się w jakieś gównno. Mało ci było? Mam wrażenie, że jakiś niezrównoważony mąż którejś z twoich pacjentek raptem zapragnął się zemścić. Finezyjny pomysł. Geniusz! Po prostu geniusz! Nie doceniłeś jakiegoś faceta. Odpuść to, bo ktoś cię znowu poturbuje.

\*\*\*

Stałem za szklanymi drzwiami wiodącymi na oddział intensywnej opieki medycznej i nie mogłem niczego zrozumieć.

- Chciał pan ze mną rozmawiać. - Głos lekarza z trudem przebił się do mojej świadomości. - Kim pan jest dla pacjentki?

Zatkało mnie. Zadał pozornie proste pytanie, na które nie potrafiłem odpowiedzieć. „Byłem facetem” - brzmi żałośnie. „Znajomym” - idiotyczne. „Przyjacielem” - to nie do końca prawda.

- Psychoterapeutą - palnąłem.

- To się pan odrobinę spóźnił - powiedział z ociąganiem. Obrzucił mnie niechętnym, wrogim spojrzeniem.

Spóźniłem się, sam wiem, że się spóźniłem, chociaż nie potrafię tego zrozumieć. Rano dostałem SMS-a z adresem tego hotelu. Nie byłem tu nigdy wcześniej. Zresztą kto bywa w hotelach w swoim mieście? Ciekawość mnie zżerała.

Rozsądek nakazywał trzymać się od tego z daleka. Słyszałem nie tak dawno pewną niemiecką piosenkę – *Herz über Kopf*. Tytuł wydawał mi się w pierwszej chwili idiotyczny. Nagle zacząłem go rozumieć. Serce ponad głową, uczucia ponad rozsądkiem. Kiedy zdecydowałem się, że jednak jadę, to byłem już spóźniony. Zakorkowane ulice nie sprzyjały szybkiemu przejazdowi przez miasto. Na każdym skrzyżowaniu stałem po trzy cykle świetlne. Wydawało mi się, że z nerwów pogryzę kierownicę. Kiedy dojeżdżałem do hotelu, miałem już ponad pół godziny spóźnienia. Gdy próbowałem znaleźć miejsce do parkowania, spod hotelu ruszyła na sygnale karetka. Dźwięk syreny rozdarł ciszę. Nie czułem jeszcze niepokoju. Patrzyłem obojętnie, jak karetka minęła klomb z kwiatami i zaczęła nabierać szybkości na prostej prowadzącej ku bramie wyjazdowej. Zaniepokoiłem się dopiero, kiedy zobaczyłem samochód Karoliny. Nie pamiętałem numeru rejestracyjnego, ale stojące pod płotem auto na pewno należało do niej. Karolina zawsze miała problem ze znalezieniem swojego samochodu na parkingu. Twierdziła, że wszystkie są do siebie podobne, zasadniczo różnią się tylko wielkością i kolorem. Wśród stojących obok siebie srebrnych samochodów nigdy nie mogła odnaleźć swojego. Kiedyś w akcie desperacji namalowała na masce samochodu białego słonia – na szczęście. Srebrny mondeo stojący pod płotem, z pokaźnych rozmiarów słoniem królującym na przedniej masce, na pewno należał do Karo. Dyndający przy lusterku anioł stróż przyjechał z nią kiedyś z jakiegoś pleneru w Bieszczadach, zawisł przy przedniej szybie i miał przynosić szczęście. Anioł

miał znudzony wyraz twarzy, jakby próbował tą spokojną miną przekonać wszystkich, że w jego obecności nigdy nikomu nic złego się nie przydarzy. Wyprana z emocji twarz zapowiadała monotonię, stabilizację i nudę. Samochód zaparkowany był pod rozłożystym kasztanem. Musiał tam stać co najmniej od wczorajszego wieczoru. W nocy przeszła burza, pozostawiając na masce dziesiątki opadłych w trakcie wichury kwiatów. Wczoraj dzwoniłem do Karoliny wiele razy. Była poza zasięgiem. W końcu uwierzyłem w to, co mówił Marek, że ona wyłącza komórkę, kiedy maluje. Pomyślałem, że podobnie jak Marek rzuciła się w wir pracy, próbując wyrazić uczucia, operując nie kształtem, lecz kolorem. A teraz zobaczyłem ten jej samochód. Poczułem się niepewnie. Jeszcze przed chwilą uważałem wszystko za blef i mistyfikację, za głupi żart. Karo tutaj, a nie w Toskanii? Serce zaczęło mi bić szybciej. Czyżby było coś z prawdy w tym, co mówił wczoraj tamten facet? Przyspieszyłem kroku. Miałem do hotelu jeszcze ze sto metrów, kiedy minął mnie radiowóz. Mimo woli poczułem serce gdzieś w gardle. To było chyba najdłuższe sto metrów w moim życiu. Kiedy nareszcie dobrnąłem do wejścia, podjazd do hotelu blokował policyjny samochód, a w wahadłowych drzwiach prowadzących do holu zderzyłem się z okazałym policjantem.

- A pan dokąd? - Sierżant obrzucił mnie wrogim spojrzeniem. - Jest pan gościem hotelu?

- Jestem tutaj umówiony. Mam się z kimś spotkać - zacząłem się mimo woli tłumaczyć.

- Proszę podać nazwisko. Może da się coś zrobić.

- Nazywam się Wojciech Krzewiński. Jestem umówiony z panią Karoliną Bielawską.

Policjant odwrócił się błyskawicznie. Spojrzał na mnie uważnie.

- Z kim jest pan umówiony?

- Z Karoliną Bielawską - powtórzyłem.

„Coś nie tak” - pomyślałem. Serce znów podeszło mi do gardła i coś ścisnęło mnie w żołądku.

- Proszę wejść! - Zabrzmiało to jak rozkaz. - Proszę usiąść przy barze i poczekać! Ktoś do pana za chwilę przyjdzie.

Znałem faceta, który podszedł do mnie po chwili. Można powiedzieć, że kiedyś znaliśmy się bardzo dobrze. Szkoda, że był gliną. Za glinami nie przepadam. Swego czasu z nim współpracowałem. Dawne dzieje. Pierwsza fucha, tuż po studiach. Pracowałem jako psycholog negocjator. Po nieudanej akcji, w wyniku której siedemnastolatek skoczył z trzynastego piętra, wyleczyłem się na zawsze ze współpracy z policją, a z Krzysztofem Burzyńskim w szczególności. Usiadł naprzeciw mnie, rozsiadł się wygodnie, zamówił kawę, obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

- Zapalisz?

Wyciągnął w moją stronę paczkę papierosów.

- Nie, dziękuję. Staram się nie palić.

- Ludzie się zmieniają...

Wyjął papierosa. Zapalił go. Zaciągnął się głęboko. Wypuścił z ust obłok dymu, zza którego nie przestawał mi się przyglądać.



- Muszę ci zadać parę pytań - powiedział matowym, pozbawionym emocji głosem.

Nie spieszył się. Słowa cedził powoli. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Skoro musisz...

- Jesteś ponoć umówiony z Karoliną Bielawską... - powiedział.

- Jestem.

- Musisz na jakiś czas odłożyć to spotkanie.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział od razu. Zaciągnął się papierosem. Wypuścił ustami kolejny obłok szarego dymu. Milczał. Zaniepokoiło mnie to jego milczenie.

- Dlaczego? - powtórzyłem pytanie. - Dlatego, że prowadzicie tutaj jakieś śledztwo?

- Nie, nie dlatego - powiedział powoli.

Raptem wszystko wydało mi się jasne.

- Czy śledztwo dotyczy Karoliny?

Szum w uszach zagłuszał wypowiedane przeze mnie słowa. Mój własny głos wydał mi się obcy, docierał do mnie z daleka, jakby z innej czasoprzestrzeni. Głośniejsze od wypowiedanych słów słyszałem bicie własnego serca. „To niemożliwe - powtarzałem w myślach - to nie mogło się zdarzyć!”

- Czy coś się stało Karolinie? - powtórzyłem natarczywiej.

- Nie mogę za dużo powiedzieć. Sam rozumiesz... Pracowałeś z nami. Nie mogę powiedzieć niczego, co mogłoby zaburzyć przebieg śledztwa.

Pił kawę, palił papierosa, raz po raz rzucał w moją stronę uważne spojrzenia. Mierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Jego ruchy wydawały się spowolniałe, a we mnie wszystko krzyczało.

- Nadal jesteś psychoterapeutą? - spytał niespodziewanie.

- To mój zawód. Chyba nic więcej nie potrafię...

- Negocjatorem też byłeś niezłym.

- Dawne czasy...

- Nie tak dawne - zaprzeczył. - Minęły zaledwie trzy lata...

Powiedział, że trzy lata, a mnie się wydawało, że prawie wieczność. „Muszę spróbować żyć trochę wolniej” - pomyślałem. Te trzy lata wypełniło tyle wydarzeń, że pewnie połowa z nich wystarczyłaby wielu na całe życie. Dziesiątki twarzy pacjentów, dziesiątki życiorysów, które splotły się niby przypadkiem z moim własnym życiem. Rozstanie z Marzeną, szalony czas z Karoliną. Alkoholizm, narkomania, myśli samobójcze, lęk, strach, depresja. Koszmary opowiadane przez pacjentów przeplatały się z wernisażami, plenerami, podróżami. Toskania, Alpy, Wenecja, wyspa Hvar, Park Narodowy Kornati i Korčula... Krzysztof coś się nie spieszył z tym przesłuchaniem. Zapewne czuł się niezręcznie. Nie dziwię się. Kiedyś byliśmy kumplami. Zapalił kolejnego papierosa. Zaciągnął się głęboko. Znowu na chwilę schował się za obłok dymu.

- O której miałeś się spotkać z Bielawską? - zapytał po chwili.

- O dziesiątej.

- Spóźniłeś się. Dochodzi jedenasta. Zawsze spóźniasz się na spotkania? - spytał obojętnie.

- Staram się nie spóźniać.

- A więc twoje spóźnienie w dniu dzisiejszym należy do wyjątkowych?

- Można tak powiedzieć - odpowiedziałem powoli. Próbowałem ważyć każde słowo.

- Dlaczego się spóźniłeś?

Pytanie padało za pytaniem. Przesłuchanie nabierało tempa. Glina jednak zawsze zostanie gliną.

- Wyjechałem za późno. Na mieście były korki - zacząłem się odruchowo tłumaczyć. - Przebicie się przez centrum w godzinach przedpołudniowych graniczy z cudem.

- Czy jesteś w stanie to udowodnić?

- To, że na mieście były korki? - spytałem zdeorientowany.

- Nie to. Pytam, czy jesteś w stanie udowodnić, że byłeś w drodze między dziewiątą trzydzieści a dziesiątą piętnaście?

- Między dziewiątą trzydzieści a dziesiątą piętnaście? - powtórzyłem za nim bezwiednie. - Jestem. Jestem w stanie to udowodnić. O dziewiątej czterdzieści wyszedłem z domu. Mieszkam w odległości dziesięciu kilometrów od tego hotelu. Droga wiedzie przez centrum miasta. Nie można tu dojechać obwodnicą. Liczba skrzyżowań i świateł po drodze uniemożliwia przemierzania tej drogi w czasie krótszym niż czterdzieści minut.

- Ale zawsze można wyjść wcześniej...

- Nie wyszedłem wcześniej - burknąłem. Coraz bardziej

drażniło mnie to przesłuchanie.

- A jest ktoś, kto może to poświadczyć?

Z minuty na minutę denerwował mnie coraz bardziej. Że też ludzie miewają taki wkurzający sposób bycia. Założył nogę na nogę. Huśtał się na krześle. Przyglądał mi się spod przymrużonych powiek. Palił papierosa za papierosem i stawiał pytanie za pytaniem.

- Nie wyszedłem przed dziewiątą czterdzieści. - Byłem coraz bardziej poirytowany. - Wyjeżdżając z parkingu, odbiłem kartę. Możesz sprawdzić. Wychodząc z domu, spotkałem sąsiadkę, która poprosiła mnie o wykupienie leków. Mam nawet receptę w portfelu. Na parkingu rozmawiałem z facetem z ochrony na temat kocich łap odbitych na karoserii mojego samochodu. Macie monitoring uliczny. Możecie sprawdzić, kiedy przejeżdżałem przez Powstańców Śląskich...

- Sprawdzę, oczywiście, że będę musiał to sprawdzić.

Zaciągnął się głęboko. Wypuścił ustami obłok dymu. „Facet pali jak parowóz” - pomyślałem. „Odpala jednego papierosa od drugiego. Kiedyś też tak paliłem”.

- Stało się coś Karolinie? - próbowałem się czegoś dowiedzieć.

- Dobrze znasz Bielawską? - zignorował moje pytanie.

- Dobrze.

Spojrzał na mnie uważniej.

- Myślę, że bardzo dobrze - powtórzyłem. - Na tyle, na ile człowiek jest w stanie poznać drugiego człowieka.

- To twoja pacjentka?

- Nie. Była dziewczyna. Przez ponad rok mieszkaliśmy

razem.

Zaskoczyłem go. Na moment przestało skrzypieć krzesło. Krzysiek zamarł w bezruchu.

- Dziewczyna?

- Czy w fakcie posiadania dziewczyny jest coś zdroźnego?  
- palnąłem bez zastanowienia. Zabrzmiało to zaczepnie. Udał, że nie słyszy.

- Powiedziałeś, że ponad rok mieszkaliście razem. Od kiedy mieszkacie osobno?

- Od roku.

- Mówisz, że od roku - powtórzył za mną, jakby chciał się upewnić, czy dobrze mnie zrozumiał. - Od roku nie mieszkacie już razem?

Pomyślałem, że on stępał. Kiedyś wydawał mi się bystrzejszy.

- Tak jakoś wyszło... Czasami w życiu coś się nie układa.

- I właśnie teraz zapragnęliście się spotkać?

- Można tak powiedzieć.

- Dlaczego się rozstaliście?

Z minuty na minutę utwierdzałem się w przekonaniu, że go nie lubię. Próbował siłą wdrzeć się w moją prywatność. Wejść z butami w moje wspomnienia i zdeptać moje najczulsze miejsca.

- Ponoć z miłości - rzuciłem obojętnie.

- Z miłości? - spytał zdziwiony. - Pierwszy raz słyszę, żeby ludzie rozstawali się z miłości...

- Rozstaliśmy się, żeby siebie już więcej nie ranić.

- Było aż tak źle? - dopytywał się.

- Moim zdaniem nie było źle, ale każdy człowiek czuje inaczej... - mówiłem spokojnie. Próbowałem nie dać się wyprowadzić z równowagi. Facet był coraz bardziej wkurzający. Kiedyś tej jego cechy nie zauważałem. A może kiedyś był inny? - Nie mam żadnego żalu do Karoliny. Bardziej do samego siebie. Odeszła, a ja to zaakceptowałem.

- Z racji zawodu jesteś w stanie zaakceptować wszystko?

- Może nie wszystko, ale wiele. Mój zawód nauczył mnie patrzeć na życie cudzymi oczami. Spojrzałem na nasze życie oczami Karoliny i ją zrozumiałem.

- Widywaliście się później?

- Tylko jeden raz. Poszliśmy razem na kolację. Musieliśmy sobie coś niecoś wyjaśnić. Potem Karolina wyjechała do Toskanii. Ja zostałem tutaj. Piszemy do siebie e-maile, przesyłamy zdjęcia, czasami gadamy przez telefon...

- Bielawska mieszka w Toskanii? - spytał zdziwiony.

- Tak, w Toskanii. W małej wiosce Fiano niedaleko od Florencji...

- I nagle zapragnęliście się spotkać?

- Tego nie wiem - powiedziałem szczerze.

- Czego nie wiesz?

- Nie wiem, czy Karolina chciała się ze mną spotkać.

- Nie rozumiem.

Przestał się huśtać na krześle. Wyprostował się nagle. Nogi krzesła uderzyły o podłogę. Wbił wzrok w moją twarz. Czekał na to, co powiem.

Opowiedziałem mu wydarzenia ostatnich dwóch dni.

- Ty jesteś popierdolony! - jęknął. - Świat pełen jest

kopniętych ludzi. Ludzie sami się proszą, żeby spotkało ich nieszczęście. Jak ty możesz być psychoterapeutą?! Ciebie powinno się leczyć. Jesteś szalony. Nikt o zdrowych zmysłach na twoim miejscu by tu nie przyjechał. To śmierdzi na kilometr. Nie przyszło ci na myśl, że w tym coś nie gra?

- Oczywiście, że przyszło. Walczyłem z sobą jeszcze dzisiaj rano. Właśnie dlatego później wyjechałem z domu. Ciekawość zwyciężyła. Pomyślałem sobie, że dziwne, nielogiczne, bzdurne, ale ciekawe...

- Bardzo ciekawe. - W jego głosie wyczułem ironię. - Ktoś chciał cię zrobić w morderstwo.

- Morderstwo? - Wiedziałem, że mówię głośno. Wszystko we mnie krzyczało.

- Karolina żyje - uspokoił mnie. - Żyje przez czysty przypadek. Pokojówka chciała posprzątać pokój. Myślała, że pani Bielawska już wyszła. Nie zauważyła zawieszanej na drzwiach kartki: „Proszę nie przeszkadzać”. Całe szczęście. Weszła i zobaczyła Bielawską na podłodze w kałuży krwi. Ponoć pani Bielawska podcięła sobie żyły. Obok niej leżał zakrwawiony nóż do otwierania listów. Lekarz pogotowia natychmiast zawiadomił policję... Myślę, że to ty miałeś się natknąć na zwłoki. Ktoś cię chyba bardzo nie lubi... Może nie lubi was obojga... Macie jakichś wrogów?

- Pewnie jak każdy...

- Tak myślisz? Myślisz, że każdy ma wrogów? - spytał zdziwiony.

- Myślę, że każdy. Ja w każdym razie na pewno. Ostatnio jeden z nich mnie poturbował.

- Złożyłeś doniesienie?

- Nie.

- Dlaczego?

- On w pewnym sensie miał rację.

- Chyba bredzisz... Ktoś cię poturbował, a ty uważasz, że miał rację?

- Jestem psychoterapeutą. - Zacząłem mu tłumaczyć. - Staram się pomagać ludziom. Pomagając im, często powoduję, że się zmieniają. Im jest z tym lepiej. Ich najbliższym nie zawsze. Dawne układy znikają. Stare ustalenia przestają istnieć. Poprzednie hierarchie wartości idą w zapomnienie. Taka zmiana nie wszystkim może się podobać...

- Nie do końca rozumiem.

- Czego nie rozumiesz? - spytałem zdziwiony. - Przecież to proste. Wyobraź sobie, że masz żonę, którą namiętnie zdradzasz. Ona o tym wie, ale sama czuje się temu winna. Wmówiłeś jej, że jest gruba, że zaczyna przypominać sobą symbol opon Michelin, że biust ma obwisły, skórę na brzuchu pomarszczoną, na pośladkach rozstępy, uda pozbawione jędrności, że nic jej w życiu nie wychodzi, że nie ma przyjaciół, że zginęłaby marnie bez ciebie, że żyje i oddycha tylko dzięki tobie. Z dnia na dzień twoja żona czuje się z tym coraz gorzej. Wtedy jakaś koleżanka podpowiada jej, że istnieją na świecie psychoterapeuci. Długo z sobą walczy. W końcu decyduje się ze mną spotkać. Dowiadujesz się o tym. Początkowo nawet cię to cieszy. Masz dosyć nieporządku w domu, braku obiadów, pomiętych koszul, w kółko pochlipującej po kątach żony... Na bardzo krótko w psychoterapeucie widzisz sprzymierzeńca.



Biegają tygodnie, mijają miesiące, twoja żona systematycznie spotyka się ze mną, a ty z przerażeniem stwierdzasz, że ona zaczyna się zmieniać, ale nie takiej zmiany się spodziewałeś. Inaczej to sobie wyobrażałeś. Twoja żona chodzi do fitness klubu, modnie się ubiera, wychodzi z domu, spotyka się z innymi ludźmi. Nadal nie masz służącej w domu, a zamiast niej na twoich oczach z domowego kocmołucha odradza się wolna, niezależna, mająca ciebie i twoje kochanki w dupie kobieta. Z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc coraz bardziej nienawidzisz tego psychoterapeuty, aż pewnego dnia masz ochotę go zabić.

\*\*\*

Od tego sztywnego gościa w nakrochmalonym białym kitlu i śnieżnobiałych, na kant wyprasowanych spodniach nie dowiedziałem się za dużo. Powiedział, że stan jest ciężki, ale stabilny. Krótko mówiąc, spławił mnie umiejętnością, zasłaniając się tajemnicą lekarską i etyką zawodową. Kazał zadzwonić jutro, pięć minut wcześniej twierdząc, że nie udziela się informacji przez telefon. Mówił wolno i dobitnie, dokładnie artykułował każde słowo, jakby uważał, że ma przed sobą ograniczonego intelektualnie idiotę. Tak bardzo był zajęty obserwowaniem swoich butów, że nie zaszczycił mnie choćby jednym spojrzeniem. „Zakompleksiony facet” – pomyślałem mimo woli. „Pedantyzmem i arogancją próbuje się odgrodzić od innych ludzi. Za sztywnym uniformem i idealną bielą spodni ukrywa własną bezsilność. Przydałaby mu się psychoterapia...” Zadzwoniłem do Gośki. Tym razem nie

udawała, że mnie nie zna. Czas zabiłnia wszelkie rany. Pomyślałem, że spróbuję ją napuścić na tego doktora. Siostra to przecież rodzina. Może ona dowie się czegoś więcej.

- Nie wiesz, co słyhać u Karoliny? - spytałem idiotycznie, próbując jakoś zacząć tę rozmowę.

- Nie wiem. Ostatnio nie ma czasu na pogawędki. W specyficzny sposób zwiedza Toskanię. Ma jakąś fuchę. Robi akwarelki do przewodnika po Toskanii. On ma być ponoć czymś wyjątkowym.

- Coś mi nawet o tym pisała... - wtrąciłem.

- Robią to razem z Enrikiem. Znasz Enrica? Możesz go znać, przecież bywaliście wcześniej razem z Karoliną w Toskanii. Jego dziewczyną jest Francesca. Znasz ją przecież. To ta przyjaciółka Karoliny ze studiów. Na pewną ją pamiętasz. Mówiłeś kiedyś, że Karo ma popierdolonych przyjaciół i wymieniając rodzaje popierdolenia, powiedziałeś, że Francesca to taka napalona erotomanka - mówiła, jak najęta, Gośka. Nie miałem szansy jej przerwać. - Pamiętasz ją na pewno... Ma długie, ciemne, kręcone włosy kończące się w połowie pleców, drapieźnie pomalowane duże usta, stanowczo za ciemny makijaż oczu, wydatny biust, wąską talię, jej spódnice ledwie przykrywają majtki, a nogi ma tak długie, że wydają się nigdy nie kończyć... Musisz ją pamiętać. Faceci nie zapominają takich lasek...

- Francescę miałem okazję poznać - próbowałem jej przerwać. - Enrico musiał się pojawić w jej życiu odrobinę później...

- Tego to nie jestem pewna - odparła i zamilkła na chwilę.

Trudno było jej przyznać, że jednak czegoś nie wie. – Może i pojawił się w jej życiu odrobinę później, ale za to musiał się wedrzeć do niego przebojem. Z tego, co wiem, to są zaręczeni. Ponoć jak wydadzą ten przewodnik, to będzie ich stać na ślub, dom z winnicą i gajem oliwnym, a może nawet na jakiegoś małego Enrica albo małą Francescę. Jak myślisz? To chyba ściema. Czy autorzy przewodników mogą zarabiać aż taką kasę? To musi być ściema. – Nie dopuszczała mnie do głosu. Stawiała pytanie, na które i tak nie chciała usłyszeć odpowiedzi. – W księgarniach półki aż się uginają pod ciężarem nieczytanych przez nikogo przewodników, zachęcających do zwiedzania różnych miejsc na całym świecie. W każdej większej księgarni można znaleźć przynajmniej kilka informatorów turystycznych o Toskanii. Co w tej materii można jeszcze odkrywczego wymyślić? Przewodniki nęcą zdjęciami, przyciągają toskańską kuchnią i zabytkami. Nic już nowego nie można znaleźć we Florencji czy w Sienie. Wszyscy piszą to samo, ubierając tylko w inne słowa. To musi być ściema – powtórzyła kolejny raz. Nie dawało jej to spokoju. – Karo ponoć ma też dobrze zarobić... Powiedziała mi, że nareszcie będzie ją stać na poświęcenie się tylko prawdziwej sztuce. Jakieś bzdury... Tej prawdziwej sztuki i tak nikt nie rozumie. Wiesz, po co jest prawdziwa sztuka? – Pozornie zmieniła temat. Już otwierałem usta, żeby odpowiedzieć, kiedy ona znowu wróciła do monologu. – Prawdziwa sztuka jest dla potomności. Tak przynajmniej twierdzi Karo. Prawdziwy artysta wyprzedza swoje czasy i dlatego mogą go zrozumieć tylko następne pokolenia. Krótko

mówiąc, w tej dziedzinie sztuki musisz zdechnąć, żeby cię ktoś docenił...

- Kim jest z zawodu Enrico? Pisarzem? - próbowałem jej przerwać.

- Nie wiesz? Ty naprawdę nic nie wiesz o Enricu? - spytała zdziwiona.

- Mówiłem ci już, że go nie znam - burknąłem rozdrażniony. Gośka w wersji rozgadanej beztroskiej nastolatki doprowadzała mnie do szaleństwa.

- To superfacet. Aż go żal, że trafił na taką Francescę. Kiedyś był gliną. Później w coś go wrobiono i nim zdołał się wybielić, to zbrzydły mu układy panujące w policji. Zaczął pisać w kronice policyjnej jakiegoś brukowca, później przerzucono go do działu afer towarzyskich. Nie bawiło go to. Postanowił podróżować i pisać listy z podróży. Pojawiały się systematycznie w paru znanych magazynach. Zaczął prowadzić cykliczną audycję radiową poświęconą etruskim i rzymskim zabytkom. Można go słuchać bez końca...

- Znasz włoski?

- Skądże. Po co mi włoski? - zdziwiła się. - To bez znaczenia, co on mówi. Ma niesamowity głos. Taki ciepły, głęboki, aksamitny. Można się zakochać w samym głosie. Zapomniałam ci powiedzieć, że on jeszcze śpiewa. Wygrał jakiś konkurs w ubiegłym roku, nagrał parę płyt. Grał kiedyś ponoć w jakimś teatrze, ale to było krótko... Mówię ci, wszechstronnie utalentowany facet, i do tego jak wygląda...

- Mówiłaś, że... - po raz kolejny próbowałem jej przerwać. Jakoś zupełnie nie interesowało mnie, jak wygląda

Enrico.

- Po prostu boski - mówiła Gośka jak w transie. - Każda kobieta marzy o takim facecie. Ci ludzie z południa Europy mają taki szczególny typ urody... Pan Bóg dzieli niesprawiedliwie. Czarne oczy, śniada cera, ciemne włosy... Już od samego patrzenia na nich można dostać zawrotu głowy... Wyobraź sobie ciemny dwudniowy zarost kładący się cieniem na twarzy, światła świec odbijające się w czarnych oczach, żel położony na kruczoczarnych włosach... Do tego jasna koszula niedbale rozpięta pod szyją, podwinięte rękawy odsłaniające mocno opalone przedramiona... I ten temperament... Romantyczni, szaleni, nieprzewidywalni, gorący jak włoskie słońce.

- Głośni, kapryśni, hałaśliwi... - przerwałem jej, być może odrobinę zbyt gwałtownie.

- Coś ty taki nerwowy? Czyżbyś był o niego zazdrosny? Nie ma o kogo. On poza Francescą świata nie widzi, a Karo z zasady nie łączy pracy z życiem osobistym. Twierdzi, że to toksyczne, niszczy związek i sztukę...

- Kiedy ostatni raz rozmawiałaś z Karoliną?

- Bo ja wiem... - Zastanowiła się przez chwilę. - W sobotę w ubiegłym tygodniu. Przed paroma dniami zadzwoniłam na komórkę Karo, ale odebrała Francesca. Powiedziała, że Karo właśnie maluje, że jeden pędzel ma w ręku, a drugi trzyma w ustach, że jest w transie tworzenia i nie pozwala sobie przeszkadzać. Sam wiesz, jaka jest Karo. Malowanie potrafi pochłonąć ją bez reszty...

Wiedziałem. Znałem to dobrze. Dziesiątki razy widziałem

Karolinę przy pracy. Jej świat kurczył się wtedy do rozpiętego na krosnach płótna, farb, pędzli i jej wyobraźni.

- Nie należy jej wtedy przeszkadzać, bo przeszkadza się jej duszy - dokończyła z lekką ironią Gośka. - Artystka... Przecież ty to znasz. Byłeś ponad rok z tą artystką.

- Wszystko było u niej dobrze?

- A dlaczego miałoby być inaczej? - spytała zaskoczona.

- Nie wiem. Tak tylko pytam.

- Karo jak Karo, postrzelona jak zawsze. Ja już do niej przywykłam. Sam rozumiesz. W końcu znam ją od momentu, kiedy się urodziła. Trudno mi jest być jej starszą siostrą. W mniejszym lub większym stopniu popierniczona była zawsze... Myśli inaczej, czuje inaczej. W każdym razie jeżeli chodzi o sztukę. Kiedy miała cztery lata, wygrała konkurs rysunkowy. Narysowała małą żabę i olbrzymiego bociana o niespotykane długich nogach. Bocian był przedstawiony jakby z perspektywy tej małej, rozplaszczonej żaby... Już wtedy widziała inaczej niż wszyscy. Parę miesięcy później namalowała żyrafę, której nogi sięgały do nieba, tułów był na wysokości chmur, a głowa dotykała słońca. Otoczona słonecznymi promieniami wyglądała, jakby płonęła. Była bardzo zdziwiona, gdy się dowiedziała, że Salvador Dali już dużo przed nią malował płonące żyrafy. Teraz też przysłała mi netem zdjęcie swojego nowego obrazu... Jakiś obłęd... Wszystko w czerni. Poczułam się strasznie przygnębiona. Ogarnęło mnie przerażenie. Czułam serce w gardle. Nogi się pode mną ugięły. Włosy miałam mokre od potu. Nie mogłam się uspokoić. Spodziewałam się pięknego widoczku

z Toskanii... A tu moja siostrzyczka przesłała mi lęk, przerażenie, grozę, beznadziejność i rozpacz. Spowodowała, że chciało mi się wyć z rozpacz i szlochać...

- Oni przygotowują z Markiem nową wystawę... To takie inne spojrzenie na sztukę.

- Wiem, ale ten czarny obraz podziałał na mnie fatalnie... Nikt nie przyjdzie oglądać obrazów przedstawiających takie emocje. Ja w każdym razie nie przyjdę... - Nagle zamilkła. Milczenie przedłużało się nienaturalnie. Pomyślałem, że się rozłączyła. - Myślę, że u niej wszystko jest dobrze. - Usłyszałem po chwili. - W każdym razie nic się nie zmieniło... Karo jest popierdolona jak zawsze. Zmieniają się tylko rodzaje popierdolenia.

- Muszę ci coś powiedzieć - przerwałem jej.

- Niech zgadnę, postanowiliście znowu być razem... To super.

- To nie to. Karolina leży w szpitalu wojewódzkim na oddziale intensywnej terapii medycznej. Wygląda na to, że zamierzała popełnić samobójstwo, albo ktoś chciał, żeby to tak wyglądało. Niczego nie mogę się dowiedzieć, bo nie jestem rodziną. Wiem tylko, że jej stan jest ciężki, ale stabilny. Tobie powiedzą na pewno znacznie więcej.

\*\*\*

- Nie prowadź swojego prywatnego śledztwa. Przeszkadzasz nam - mówił Krzysiek wypranym z wszelkich emocji głosem. Wyglądał na zmęczonego. - Ostatnio mam coraz więcej dziwaczkich spraw... Ta też nie należy do banalnych. Ludzie

są coraz bardziej popierniczeni. Sodoma i Gomora... Tylko Bóg jest wyrozumialszy niż kiedyś. Pewnie się już zmęczył...

- Próba samobójstwa czy próba morderstwa? - spytałem, i tak nie licząc na to, że odpowie.

- Chyba jednak próba samobójstwa - odpowiedział. - Chociaż to wszystko jest jakieś idiotyczne. Pani Bielawska przyjechała do hotelu dwa dni przed tamtym zdarzeniem. Towarzyszył jej jakiś młody mężczyzna. Nikt nie potrafi go nawet opisać. Wyglądał nijako, nie rzucał się w oczy, jego twarz nie przykuła niczyjej uwagi, nikt nie słyszał jego głosu, poruszał się jak wszyscy. Niczym się nie wyróżniał. Ubrany przeciętnie. Nikt nawet nie pamięta, co miał na sobie. Widziało go wiele osób, a portret pamięciowy jest niemożliwy do wykonania. Facet był tak przeciętny, że rozmywał się w tle. Gość-duch, niby był, a jakby go nie było. Nawet co do wzrostu nie wszyscy są zgodni... Nikt też nie potrafi określić, czy był gruby czy szczupły. Jakiś obłąd. Nasz grafik zabierał się parę razy do zrobienia portretu pamięciowego. Dupa. Po prostu nie do zrobienia. Jakby facet w każdym momencie wyglądał inaczej. Jakaś bzdura. Pewnie zależało mu na tym, żeby nikt go nie zapamiętał. Zameldowała się tylko ona. W tym hotelu wymagany jest meldunek tylko osoby rezerwującej pokój. Idiotyczne... Bo niby dlaczego? Właściciel hotelu twierdzi, że w związku z ustawą o ochronie prywatności. No i w tym wypadku zadziałało to świetnie. Prywatność została uchroniona... Razem schodzili na śniadania, razem jedli kolacje. On parę razy opuszczał hotel. Ona spędzała czas na tarasie zajmowanego apartamentu. Ponoć czytała. Obsługa



twierdzi, że była chłodna i małowówna. Faceta ostatni raz widziano tamtego dnia rano. Wyszedł z hotelu z walizką w ręku około ósmej. Oddał swój klucz od pokoju. Odjechał taksówką. Taksówkarza, który go wioził na lotnisko, udało się namierzyć. Pasażer z nim nie rozmawiał. Podał mu kartkę z adresem lotniska. Taksówkarz twierdził, że nieznajomy całą drogę milczał. Miał w ręku gazetę, ale jej nie czytał. Zapłacił. Wsiadł. Wtopił się w tłum ludzi spieszących się na odprawę. Sprawdziliśmy loty. O tej porze odlatywał samolot do Rzymu. Przyniosłem ci listę pasażerów. Być może skojarzy ci się którekolwiek z nazwisk. Listę widzieli już pani Małgorzata Bielawska i pan Marek Skalski. Nie zauważyli nic szczególnego. W każdym razie żadnego nazwiska, które wydałoby im się znajome. Samolot wystartował około dziewiątej trzydzieści. W czasie lotu nie zaszło nic szczególnego. Próbowaliśmy się skontaktować z panią Francescą Roni. Niestety, jest nieuchwytna. Pan Enrico Rossi też nie odpowiada na telefony. Skontaktowaliśmy się z miejscową policją. Spróbują się czegoś dowiedzieć. Nie powinno to być trudne. Pani Bielawska mieszka w małej osadzie. Fiano liczy nie więcej niż trzy tysiące mieszkańców. Obcy są tam jak na widelcu. A ona przecież jest tam obca. Artyści zwykle przykuwają uwagę. Zwłaszcza we Włoszech. Zobaczymy, co uda się ustalić miejscowej policji. To chyba nie było usiłowanie morderstwa. W każdym razie coraz mniej na to wskazuje. Chyba jednak próba samobójcza. Ludzie robią takie rzeczy. Czasami nikomu nie udaje się dociec dlaczego. Jeżeli miało to być samobójstwo, to ona musiała być bardzo

zdesperowana. Podcięła sobie żyły. To takie nieestetyczne i brutalne. Nie zrobiła tego w wannie. Nie wykrwawiła się do wody, nie zasnęła. Stała i czekała, aż upadnie. Idiotyczne... Nie wiem, czy rozumiesz: to jest niejako wbrew naturze, jakieś takie sztuczne, wydumane, teatralne... Jej stan jest już stabilny. Nic nie zagraża jej życiu. W każdym razie nie w tej chwili, nie w szpitalu. Odbyła się już konsultacja psychologiczna. Był u niej psychiatra...

- I co?

- Jakieś idiotyzmy... Mówię ci o tym wszystkim, bo ona prosiła o rozmowę z tobą. Powiedziała, że tylko ty potrafisz jej pomóc, choć Bóg jeden wie, co to dla niej oznacza. Ordynator mówił, że współpracowałeś kiedyś z ich oddziałem. Swoją drogą, aż dziwne, jaki ty masz szeroki wachlarz zawodowej działalności... - W jego głosie wyczułem ironię.

„Rzeczywiście” - pomyślałem. „Policyjny negocjator, psychoterapeuta, psycholog na oddziale...” Dla nowobogackich prowadzę zajęcia z asertywności, sztuki negocjacji, stosunków międzyludzkich. Co tydzień mam audycję w radiu. Czego człowiek nie robi, żeby nie powiększyć grona bezrobotnych psychologów. A właściwie, czego się nie robi dla pieniędzy.

- Pójdiesz do niej? - wyrwał mnie z zamyślenia głos Krzyśka.

- Pójdę. Oczywiście, że pójdę. Nie mógłbym zachować się inaczej.

- Tak też pomyślałem.

\*\*\*

Nie pojechałem od razu do szpitala. Chciałem się przygotować do spotkania z Karoliną. Takie spotkania po latach bywają trudne. Co prawda, od naszego rozstania minął dopiero rok, ale to chyba tylko pogarszało sytuację. Nieoczekiwanie odżyło we mnie wiele wspomnień. Od Krzysztofa dostałem wynik konsultacji psychiatrycznej. Próbowałem przeczytać go bez emocji. Wyobraziłem sobie, że to nie dotyczy Karoliny, ale zupełnie nieznaney mi osoby. Pacjentka X ma dwadzieścia pięć lat. Trafiła do szpitala po próbie samobójczej. Miałem się zapoznać z wynikiem badania psychiatrycznego. „Pacjentka w prawidłowym kontakcie wzrokowym i słownym. Orientacja allopsychiczna niezaburzona. Pacjentka prawidłowo zorientowana co do miejsca, czasu, przestrzeni i okoliczności. Orientacja autopsychiczna niezaburzona. Kobieta jest pewna swojego imienia i nazwiska, potrafi jednoznacznie określić swój wiek, zna datę urodzenia, imiona rodziców, potrafi podać miejsca ostatniego zamieszkania. Autoanamneza w zakresie przeszłości jest pełna i logiczna. Pacjentka swobodnie i rzeczowo opowiada o dzieciństwie, o okresie szkolnym, studiach i ostatniej pracy. Autoanamneza w zakresie ostatnich dwóch tygodni trudna do przeprowadzenia. Pacjentka wspomina pojedyncze wydarzenia, którym nie można przypisać określonego czasu ani miejsca. Sama ustosunkowuje się krytycznie do swoich wypowiedzi. Często mówi o lukach w pamięci. Zastania się zmęczeniem, przepracowaniem, zaburzeniami wynikającymi z niewyspania. Momentami obserwuje się cechy depersonalizacji dotyczące ostatnich dwóch tygodni. Pacjentka odczuwa coś w rodzaju rozdziału od

siebie samej. Mówi o sobie i o swoich przeżyciach w sposób sugerujący, że przytrafiły się one komuś zupełnie innemu. Towarzyszy temu poczucie nierealności przypominające sen lub teatralną mistyfikację. Depersonalizacji towarzyszy przerażenie i bliżej nieokreślony lęk, który momentami przeradza się w obezwładniający i paraliżujący strach. Pacjentka wyraźnie boi się swoich wspomnień. Jest lękliwa w kontakcie. W trakcie badania siedzi ze spuszczoną głową, oparta plecami o ścianę. Sporadycznie podnosi wzrok na badającego, momentami zasłania twarz rękami. Na pytania odpowiada niespiesznie, krótko, często monosylabami. Sprawia wrażenie, jakby ważyła każde wypowiedane słowo. U badanej obserwuje się lekko depresyjny nastrój. Mimika jest prawidłowa. Napęd psychoruchowy wydaje się lekko zaburzony. Zauważa się zaburzenia postrzegania. Pacjentka momentami traci kontakt z rzeczywistością. Wydaje się żyć w swoim własnym świecie. Zapytana o halucynacje gwałtownie zaprzecza. Widoczne są subtelne zaburzenia toku i treści myślenia. Obserwuje się rozkojarzenie i niespójność myślenia. Pacjentka w sposób wiarygodny dystansuje się od myśli samobójczych. Nie pamięta faktu, że chciała popełnić samobójstwo. Nie przypomina sobie również tego, że mieszkała w tym czasie w hotelu". Karolina i samobójstwo to tak jak ja i balet. Nie cierpię pantomimy i baletu, obcisłych strojów wyraźnie podkreślających każdy fragment męskiego ciała, opinających się na umięśnionych torsach i na męskich genitaliach. Ja i balet pasujemy do siebie jak pięść do nosa. A może jeszcze inaczej - Karolina i próba samobójcza pasują

do siebie tak jak ja i tenor śpiewający *O sole mio* na wodach Canale Grande w Wenecji. Rzecz niewiarygodna, niemożliwa, zakłamana od podstaw, fałszywa w założeniu, tak niespójna i nielogiczna, że wymagająca jakiegoś innego wyjaśnienia. Ciekawy jestem, w jakim stopniu to badanie odpowiada rzeczywistości. Na ile przebiegało po myśli badającego. Na ile badający ulegał iluzji stwarzanej przez pacjentkę. W badaniu psychiatrycznym zawsze zostaje dużo miejsca dla artefaktów, przemilczeń, rzeczy wyolbrzymionych i spraw niedopowiedzianych. Kiedyś na studiach, w ramach ćwiczeń, próbowaliśmy fałszować nieprawdą obraz badania psychiatrycznego. Uwielbiałem te ćwiczenia. Potrafiłem wtedy zagrać wszystkim i wszystko, zmieniać się jak kameleon. „Życie to teatr, a ludzie to aktorzy” – powtarzał często jeden z naszych wykładowców. „Czasami trudno wśród tych odgrywanych ról, sprytnie realizowanych scenariuszy odnaleźć choć źdźbło prawy. Prawda miewa pierwsze, drugie, trzecie i czwarte dno. Nigdy nie wiesz, czy to, co widzisz, jest już prawdą”. „Częściową niepamięcią wsteczną objęte są przynajmniej dwa tygodnie poprzedzające próbę samobójczą” – wróciłem do przerwane go czytania. Badający lekarz postawił rozpoznanie psychozy, nie potrafiąc się ustosunkować do tego, czy jest ona reaktywna jako odpowiedź na stresującą sytuację lub traumatyzujące wydarzenia, czy egzogenna, wywołana przez czynniki zewnętrzne. W badaniach krwi nie stwierdzono alkoholu, narkotyków, leków psychogennych, substancji i pierwiastków toksycznych. W sumie w badaniach laboratoryjnych nie znaleziono żadnej patologii. W rezonansie

magnetycznym czaszki nie stwierdzono guza mózgu. W badaniu fal mózgu nie znaleziono żadnych zmian ogniskowych. Ja postawiłbym na psychozę reaktywną. „Coś musiało się wydarzyć w Toskanii” – pomyślałem. „Czyżby ten facet, z którym spotkałem się przed paroma dniami w moim gabinecie, pomimo całej towarzyszącej rozmowie maskarady mówił prawdę?” Chciałem przeczytać jeszcze ten e-mail z San Gimignano. Ciekawe, czy Karolina pamięta, że go do mnie wysłała. Otrzymałem go przed około dwoma tygodniami. Później nie nadeszły już żadne e-maile.

*Pojechałam do Certaldo. Prawdę mówiąc, zrobiłam to tylko po to, żeby spojrzeć z innej strony na to cholerne San Gimignano. Nic, koszmar. Miasto na wzgórzu uwieńczone kwadratowymi wieżami. Choćbym nie wiem co chciała stworzyć, to na papierze powstaje pieprzony widoczek, podobny do tysiąca pocztówkowych widoków tego miasta, które można kupić za pięćdziesiąt centów w każdym sklepie z pamiątkami w całej Toskanii. Pierniczona sielanka – zielone wzgórze poprzecinane rzędami strzelających w górę cyprysów, pnące się w górę winnice, gdzieś zgaszona zieleń sadów oliwnych, a nad tym mury otaczające to średniowieczne miasto. Nic, po prostu katastrofa. Banał! Pieprzona komercja! Upadek wszelkiej sztuki! Kicz – jak jelenie u wodopaju! Po prostu koszmar! Zniszczyłam mnóstwo papieru. Bolą mnie plecy spalone słońcem. Skóra mi schodzi z nosa. Zmarnowałam cały dzień. Czekałam na inne światło, ale przy każdym wychodził mi taki sam banalny widoczek z uroczej Toskanii. Olśniło mnie dopiero*

*o zachodzie słońca. Raptem inaczej rozłożyły się cienie. Mury nabrały życia. Wieże stały się tajemnicze. Powiało przeszłością. Na moich oczach rozgrywało się świetlne widowisko, w którym zaczęły dominować niesamowite emocje. Cała burza emocji na tle pomarańczowych promieni zachodzącego słońca, pomiędzy które wdzierały się powoli złowieszcze cienie. Czerń i pomarańcz, momentami czern i czerwień. Jak krew i śmierć. Jakby nagle całe morze krwi spadło kaskadą na to miasto. Wszystko trwało zaledwie kilkanaście minut. Nad miastem zapadła ciemność, a wraz z nią wypaliły się emocje. Można by powiedzieć, że było to cudowne, mocne, niepowtarzalne zakończenie dnia, gdyby nie to, że po chwili śmignęły po murach światła reflektorów i wróciła współczesność. Namalowałam. Kończyłam już po ciemku. Może stąd w moim obrazie jest jeszcze więcej cieni, czerni, tajemniczości. Ta akwarela jest cudowna... Groźna, posępna, okrutna, tak jak okrutne bywały średniowieczne miasta. Wyobraź sobie, że w San Gimignano jest Muzeum Kary Śmierci i Muzeum Tortur. Za jedyne dziesięć euro można zwiedzić oba. Każda rzecz ma swoją cenę. Pomyśl, tylko dziesięć euro, za które można się nasycić ludzkim okrucieństwem, sadyzmem, zbrodnią, bezwzględnością i prymitywną głupotą. Ludzie stoją w długich kolejkach, czekając na wejście do środka. Świat jest zakłamany, ludzkość bieży ku samozagładzie. Pozornie łagodni, mili, kulturalni, czuli, uprzejmi, czekają godzinami, stojąc w upale sięgającym czterdziestu stopni, żeby choć otrzeć się o okrucieństwo, zwyrodnienie i zbrodnię.*

Do e-maila dołączone było zdjęcie akwarelki. Wtedy pomyślałem, że ciekawe.

\*\*\*

Wściekły warkot telefonu wyciągnął mnie spod prysznic. Mokra ścieżka na podłodze znaczyła moją drogę do aparatu. Odebrałem, bo podświadomie liczyłem, że to Karolina.

- Słucham - rzuciłem do słuchawki.

- Muszę z tobą pogadać. - Usłyszałem głos Krzysztofa.

- Później - warknąłem rozczarowany. - Teraz stoję w przeciagu, ociekając wodą. Dzwoniąc, wyciągnęłaś mnie spod prysznic.

- Przyjedź do komendy na Jaśminową! - Zabrzmiało to jak rozkaz. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, on już się rozłączył.

Pojechałem. Dawno tam nie byłem. Kiedyś bywałem często. Nawet przez moment wydawało mi się, że zagoszczę tam na dłużej, że ta praca w policji mi się spodoba. Z trudem zaparkowałem przed komendą. Rozejrzałem się dookoła. „Minęły trzy lata, a tutaj nic się nie zmieniło” - pomyślałem. „Widocznie są miejsca, które się nie zmieniają”. Srogie, posępne, szare gmaszysko z rzędem gęsto stojących pod nim radiowozów i portiernią zbudowaną z kuloodpornego metalu i szyby pancerniej.

- Pan w jakiej sprawie? - warknęła siedząca na portierni funkcjonariuszka. Wydobywający się z głośnika głos zabrzmiał piskliwie i sprzągnął się z jakimś przerażającym dźwiękiem towarzyszącym pracy mikrofonu. Ten koszmarny dwudźwięk odbił się od szczelnie zamkniętych drzwi i pustych ścian



korytarza. Wydawało mi się, że wprawił w drżenie stojące tuż przy portierni pojedyncze metalowe krzesło.

- Jestem umówiony. - Pochyliłem się do sterczącego ze ściany mikrofonu. Mój głos w tych warunkach miał siłę gromu. Pani sierżant podskoczyła jak oparzona.

- Proszę nie mówić tak głośno! - warknęła. - Nie jestem głucha!

- Jestem umówiony - powtórzyłem znacznie ciszej.

- Z kim?

- Z podkomisarzem Burzyńskim.

- W jakiej sprawie? - padło kolejne pytanie.

- Nie wiem, w jakiej sprawie - odpowiedziałem opryskliwie. Coraz bardziej denerwowała mnie ta sytuacja. Przesłuchania rozpoczynają się już od portierni. - Nie mam pojęcia w jakiej sprawie - powtórzyłem. - Zapewne zaraz się dowiem. Pan komisarz do mnie zadzwonił. Chce się ze mną spotkać.

- Pana godność?

- Wojciech Krzewiński.

- Proszę chwilę poczekać! - Wskazała mi palcem to obskurne, stojące samotnie metalowe krzesło. - Proszę usiąść! - powiedziała z naciskiem, jakby to, że stoję, mogło jej jakoś zagrażać. Kolejny raz pomyślałem, że wszystko wokół pędzi i się zmienia, tylko tutaj jakby nic nie drgnęło, jakby czas stanął w miejscu. Dziewczyna nie spuszczała ze mnie wzroku. Obserwowała mnie uważnie. Podniosła się z krzesła zaniepokojona, kiedy zobaczyła, że sięgam do kieszeni kurtki. Opadła z powrotem na krzesło, gdy ujrzała w moim ręku

komórkę. „Ma zaburzenia lękowe” – pomyślałem. „Nie powinna pracować w policji. Ta praca ją kiedyś zabije”.

- Czekam na ciebie jeszcze pięć minut – powiedziałem cicho do Krzysztofa. – Rusz tyłek po mnie, bo ta lalunia na portierni mnie nie pamięta! Jak tak dalej pójdzie, to mnie zastrzelą z powodu włożenia ręki do kieszeni.

Wypowiadane przeze mnie słowa zlały się z przeraźliwie zniekształconym przez głośnik głosem funkcjonariuszki.

- Nie potrafi pan czytać?! Siedzi pan pod tabliczką z zakazem używania telefonów komórkowych. Proszę w tej chwili wyłączyć telefon!

\*\*\*

- I jak? Wróciły wspomnienia? Poczujesz się jak w domu?

Krzysiek usiadł w fotelu, posadził mnie na krześle dla petenta i przyglądał mi się rozbawiony.

- Wspomnienia? Wspomnienia też powróciły, ale przede wszystkim utwierdziłem się w przekonaniu, że moja decyzja podjęta przed laty była słuszna. To nie dla mnie. Nieważne... Chciałeś porozmawiać.

- Muszę ci zadać pewne pytanie... - Zawiesił na chwilę głos, jakby się zastanawiał, jak owo pytanie sformułować.

- Nie, nie usiłowałem zabić Karoliny Bielawskiej - próbowałem ułatwić mu zadanie.

- To już wiem – powiedział spokojnie. - Sprawdziliśmy wszystko. Mówiłeś prawdę.

Powiedział, że mnie sprawdzał. Nie wiem dlaczego, ale poczułem się nagle zniesmaczony.

- Rozumiem - powiedziałem, nie rozumiejąc. W końcu to jego praca, próbowałem go w myślach usprawiedliwić. To nie kumpel, tylko glina.

- Powiedz mi, jak bardzo ta sprawa jest dla ciebie sprawą osobistą? - spytał.

Wbił we mnie wzrok. Wydawało mi się, że chce mnie tym wzrokiem przeszyć na wylot.

- Nie wiem - odpowiedziałem szczerze.

- Jak to: nie wiesz? - spytał zdziwiony. - Nie możesz tego nie wiedzieć.

- Sam się nad tym zastanawiałem.

- I do jakich doszedłeś wniosków?

Zmuszał mnie do nazwania tego, czego nie potrafiłem nazwać. Chciał, bym ujął w słowa coś, czego nie potrafiłem sprecyzować nawet w myślach.

- Nie wiem. Przed rokiem mieszkaliśmy razem. Karolina była mi bliska...

- A teraz? - przerwał mi.

Tym krótkim pytaniem zmusił mnie do weryfikacji tego, co czuję. A ja sam nie miałem pojęcia, jak nazwać moje emocje. Jeszcze przed paroma dniami wydawało mi się, że problem już dawno przestał istnieć, uczucia ostygły, żal minął, została przyjazna poprawność. Oddaliło się wszystko i wyblakło. Prawie zapomniałem. Miniony rok pękał w szwach od wydarzeń, które miały zastąpić pustkę, zająć myśli, szczerze wypełnić dni. Wieczorami padałem ze zmęczenia, spałem jak kamień do rana. Udało mi się wypełnić moje życie nową treścią. Nie śpię już z telefonem przy łóżku w nadziei, że

Karolina zadzwoni. Nie sprawdzam ciągle poczty, licząc na to, że napisze. Robiłem wszystko, żeby zapomnieć. Sądziłem, że udało mi się zmienić relacje pomiędzy nami z nieszczęśliwej miłości na spokojną i rozważną przyjaźń. Byłem tego pewny aż do wizyty tamtego faceta w moim gabinecie. Wypowiedział imię Karoliny, a mnie nagle coś ścisnęło za gardło. Szlag trafił całą wydumaną poprawność. Kiepski za mnie psycholog. Sam sobie nie potrafię pomóc.

- Zadałem ci pytanie - przebił się przez moje myśli głos Krzyśka. - Czekam na odpowiedź. Ta odpowiedź jest z pewnych względów bardzo ważna.

- A o co właściwie pytałeś? - grałem na zwłokę.

- O twój stosunek emocjonalny do Karoliny Bielawskiej.

- Nie wiem - odpowiedziałem szczerze.

- Nie wiesz?

- Wydaje mi się, że to jest przyjaźń.

- No to trzymajmy się tej wersji... - Wyglądało na to, że odetchnął z ulgą. - Inaczej to musiałbym cię już na tym etapie odsunąć od sprawy. Muszę ci dać coś do przeczytania. Nasi technicy zajęli się laptopem pani Bielawskiej. Na pierwszy rzut oka nie było tam nic ciekawego. Dużo zdjęć z Toskanii uporządkowanych w tematyczne foldery. Wiele zdjęć szkiców i akwarelek. Jakieś umowy dotyczące organizowanej wystawy obrazów, która ma się odbyć wczesną jesienią we Florencji. Mało istotna korespondencja. Jeden z chłopaków pobawił się odrobinę w odzyskiwanie usuniętych danych i tutaj niespodziewanie pojawiły się zupełnie nowe, nieznanne aspekty... Z komputera usunięto dwa foldery. Zostały usunięte

rano, w dzień próby samobójczej. Pierwszy z nich to folder ze szkicami. Drugi to dziennik prowadzony przez panią Bielawską przez ostatnie dwa tygodnie. Trudno nam się do tego ustosunkować. Liczymy na ciebie. Myślę, że to może wiele wyjaśnić. Cały czas zastanawiam się nad tym, czy Karolina rzeczywiście jest chora, czy też komuś zależało na tym, żeby popełniła samobójstwo. Oba foldery przesłaliśmy też do biegłego psychiatry. Co dwie głowy, to nie jedna... - mówił jak najęty, nie dopuszczał mnie do głosu. - Musisz to przeczytać, zanim do niej pojedziesz.

\*\*\*

## Dziennik Karoliny

### *Piątek*

*Enrico zaprosił mnie na kolację. Przez moment poczułam się niezręcznie. Francesca była w Rzymie. Miała tam jakieś bardzo ważne spotkania dotyczące trendów w tegorocznej modzie. Wydzwaniwała do mnie cały dzień. Myślę, że nie tylko do mnie, myślę, że przede wszystkim do Enrica. Wściekała się przez telefon. Narzekała na upał, hałas, korki, na wiecznie spieszących się mieszkańców Rzymu i wyjące bez przerwy sygnały pędzących karetek. Złorzeczyła na obsługę w hotelu i zepsutą klimatyzację, na brud w metrze i psie gówna na ulicach, na setki bezdomnych kotów. Przeszkadzało jej wszystko. Ona nie cierpi dużych miast. Czuje się w nich nieszczęśliwa i zagubiona. Uważa, że nawet kolory są tam inne - niewyraźne, rozmazane, jakby zamglone. Francesca jest typowym dzieckiem prowincji. Kocha ciszę, spokój,*

powoli, leniwie biegnący czas... Dzisiaj w Rzymie czuła się wyjątkowo fatalnie. Myślałam, że Enrico do niej pojedzie. W końcu jest piątek, zaczyna się weekend, a Francesca musi tam zostać jeszcze do niedzieli. Nie pojechał. Zaprosił mnie na kolację. Byliśmy już wiele razy razem na kolacji, z Francescą i sami, często padnięci po przepracowanym dniu kończyliśmy dzień wspólnym posiłkiem. Jedliśmy najczęściej zupy. Uwielbiam toskańskie zupy. Znam już chyba wszystkie możliwe odmiany zupy cebulowej i fasolowej, pomidorowej z chlebem, zupy ze szpinaku i ricotty, zupy z sałaty... Niedrogo, pożywnie, na swój sposób wykwintnie. Wypiliśmy już razem całe morze chianti. Bywało, że żegnaliśmy się, słaniając się na nogach z nadmiaru alkoholu i ze zmęczenia. Dzisiaj pracowaliśmy osobno. On miał coś tam posprawdzać we Florencji. Ja miałam malować winnicę niedaleko Podere Mezzastrada. Nie wiem, co on załatwił i czy załatwił cokolwiek, ale u mnie skończyło się na malowaniu rozpadającej się bramy, za którą rozciąga się aleja, gęsto obsadzona drzewami. Konary drzew splatają się z sobą, tworząc zielony tunel nad ostro pnącą się ku górze kamienistą drogą pełną wybojów. Ta aleja wygląda niesamowicie, jakby drzewa miały ramiona, którymi próbują się przyciągnąć i objąć. Zielony tunel wydał mi się rzeczą nadprzyrodzoną. Pracowałam cały dzień. Wyszło mi. Jestem zadowolona. Ni to drzewa, ni to ludzie, i ta pnąca się ku górze, nie wiadomo dokąd i po co, przez nikogo już zapewne od dawna nieuczęszczana droga. Trochę jak alegoria ludzkiego życia. Enrico zadzwonił po południu i zaprosił mnie

na tę kolację. Zgodziłam się z ciekawości. Powiedział, że zabierze mnie w niesamowite miejsce. Zawiózł mnie do Castello di Santa Maria Novella. Zdziwił mnie. Widzę to zamczysko ze swoich okien. Może kiedyś je nawet namaluję. Musi niesamowicie wyglądać, kiedy zza jego murów wschodzi słońce. Szkoda tylko, że słońce wschodzi tak wcześnie. Nie lubię wstawać skoro świt. Nie należę do skowronków. Wstanie z łóżka przed ósmą uważam za ogromne poświęcenie. Siedzieliśmy, jedliśmy, piliśmy, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, a on mi się coraz natarczywiej przyglądał. Jego wzrok ślizgał się po mojej twarzy, omiatał ramiona, zatrzymywał się odrobinę dłużej na dekolcie mojej sukienki, zsuwał się w dół, wędrował po moich udach, ześlizgiwał się po nogach do bosych stóp wsuniętych w rzemyki sandałów. Początkowo krępowało mnie to. Uciekałam wzrokiem. Próbowałam przerywać ciszę rozmową. Wydawało mi się, że nie usiedzę na miejscu. Enrico nie przestawał mi się przyglądać. Robił to coraz natarczywiej, coraz bezczelniej. Z czasem serce zaczęło mi bić szybciej, wino coraz bardziej szumiało w głowie, z minuty na minutę było mi coraz bardziej gorąco. W pewnej chwili ten wędrujący po moim ciele wzrok przestał mi przeszkadzać. Zsunęłam sandał ze stopy. Dotknęłam bosą stopą jego nogi. Przesunęłam nią w górę po jego spodniach. Nie odrywał ode mnie wzroku. Przygryzł lekko wargi. Przymrużył oczy. Piękny jest ten Enrico. Nigdy wcześniej tego nie widziałam. Ma kruczoczarne kręcone włosy, ciemnoorzechowe oczy, smagłą cerę, ciemny zarost. Mocne ręce i mocne ramiona... Światło

świec odbijało się w jego oczach. Ciepłe ogniki igrały jak szalone. Po jego twarzy błąkał się cień uśmiechu. Ubrał się też na ten wieczór odświętnie. Inaczej niż zwykle. T-shirt zastąpiła błękitna koszula, zamiast noszonych zawsze dżinsów pojawiły się jasne spodnie. Nie mogłam od niego oderwać wzroku. „Mocne jest to chianti” – pomyślałam. „Jest jak Toskania – szumi w głowie, przyspiesza tętno, zniewala i rzuca na kolana. Wino z tej ziemi, jak ta ziemia, zwodnicze jak łąny słoneczników, jak wzgórze falującej lawendy, jak strzelające ku słońcu cyprysy, jak pokrzywione drzewa oliwne, jak kamieniste drogi, porozrzucane po wzgórzach domy, górujące nad wszystkim zamki. Szalone wino, jak szalona jest cała Toskania”. Nie mogłam oderwać wzroku od Enrica. Podniosłam do ust kieliszek. Czerwona ciecz zachybotwała. Omiotła ścianki naczynia. Wydawała się lepka. Łyk wina, jeszcze jeden i jeszcze jeden. Zrobiło się jeszcze cieplej. Jeszcze bardziej gorąco. Serce zabiło jeszcze szybciej. Uniósł do ust moją rękę. Poczułam na wewnętrznej stronie dłoni jego ciepły oddech. Musnął ustami czubki moich palców. Przesunęłam palcem po jego wargach. Były gorące i wilgotne. Poczułam jego język na opuszkach moich palców. Spodobała mi się ta pieśczość. Cofnęłam rękę. Zanurzyłam palec w winie. Dotknęłam jego ust. Dreszcz przebiegł mi przez ciało. Co ja wyczyniam, do cholery?! To jest przecież facet Franceski. Ale jej tutaj nie ma, przemknęło mi przez myśl, nigdy się przecież o niczym nie dowie. Ta chwila należy tylko do Enrica i do mnie. Tu nie chodzi o uczucia. Tu chodzi o pożądanie. Czysta, niezaburzona emocjami zmysłowość.



*Chwile rozkoszy bez konsekwencji. Pragnę go z minuty na minutę coraz bardziej. Co ja wyczyniam? Przeklęte chianti. Dziwny wieczór. Nie chciałam się już kontrolować. Moja stopa nie przestawała wędrować po jego nodze. Przesuwała się tam i z powrotem, w górę i w dół. Na chwilę ujął ją w dłoń. Zatrzymał. Położył na stole klucz. Nie poczułam się urażona. Nie udawałam oburzonej. Nie grałam niedostępnej. Ucieszyłam się. Czyżby czytał w moich myślach? Wyzwolony, jak i ja jestem wyzwolona. Pracujemy razem, a zupełnie się nie znamy. Na co dzień wydawał mi się gburowaty, małomówny, skoncentrowany na pracy, zakochany po uszy w seksownej Francesce, podporządkowany jej w każdym geście i w każdym słowie. W poprzecieranych dzinsach i T-shircie wyglądał inaczej niż dzisiaj. Pozory mylą. A może i ja w pracy z tym pędzlem w ręku i w wiecznie brudnych od farb ubraniach wyglądam nieatrakcyjnie? Może on też na co dzień widzi nie mnie, tylko moje sztalugi. Spojrzał na mnie, później na klucz. Jeszcze jeden łyk chianti i jeszcze jeden... To ja pierwsza wstałam od stołu. Świat zawirował dookoła. Serce zabiło mi jeszcze szybciej. Ruszyłam ku wyjściu z sali. Już w windzie zaczęliśmy się kochać. Na moment splotły się nasze dłonie, po czym zaczęły wędrować po naszych ciałach, coraz odważniej, coraz bardziej bezwstydnie, coraz drapieźniej.*

*- Czy kochałaś się już kiedyś w zamku? - Usłyszałam cichy szept tuż przy moim uchu. Nie, nie kochałam się nigdy w średniowiecznym zamku, nie kochałam w zatrzymanej pomiędzy piętrami windzie, nie kochałam na tarasie... Nie*

*kochałam się bez miłości. To wszystko było po raz pierwszy.*

*\*\*\**

## *Sobota*

*Enrico przyjechał do mnie niezapowiedziany późnym popołudniem. Pojechaliśmy na kawę do Florencji. Zaprosił mnie do małej kawiarenki przy Via dei Neri. Znali go tam wszyscy. Przywitali nas jak dobrych znajomych, nie jak kawiarnianych gości.*

*- Enrico, kim jest twoja towarzyszka? - spytał stojący za barem mężczyzna. Już wcześniej przyglądał mi się uważnie. W jego spojrzeniu była nieukrywana ciekawość. Nie wiem dlaczego, ale poczułam, że się czerwienię. Idiotyczne.*

*- Artystką - odpowiedział Enrico z ociąganiem.*

*- Artystką? Co ty nie powiesz... To w naszej ojczyźnie takie popularne. We Włoszech co dziesiąty facet czuje się artystą i co ósma kobieta...*

*- Ona nie jest Włoszką - przerwał mu Enrico. - Jest niesamowita w tym, co robi. Potrzebuje natchnienia, specjalnej okazji, tej niepowtarzalnej chwili, odpowiedniej muzyki i odpowiedniego światła. Jej sztuka potrzebuje specjalnego odbiorcy, specjalnej oprawy. Nie każdy ją zrozumie. Nie każdy doceni. Nie jest dla każdego. Jest finezyjna, niepowtarzalna, nie do podrobienia. To, co robi, jest wyrafinowane i wyjątkowe. Zapiera dech w piersiach, budzi dreszcze emocji, pobudza wszystkie zmysły, nie pozwala zmrużyć oka, powoduje, że niecierpliwie czekasz na kolejne dzieło, wierząc, że powstanie...*

*„O czym on mówi, do cholery?” – pomyślałam przerażona. „O seksie czy o malarstwie? O szalonej nocy czy o akwareli przedstawiającej zachód słońca nad San Gimignano?” Jak na złość, rozmowy ucichły. W kawiarence zapanowała cisza. Zaintrygował wszystkich. Wiele par oczu zwróciło się w moją stronę. Enrico przyglądał mi się spod przymrużonych powiek coraz nachalniej, coraz bardziej bezczelnie, z ledwie zauważalnym uśmiechem błąkającym się po twarzy.*

*- Zakochałeś się? – padło pytanie od stolika pod ścianą.*

*- Nie mówię o miłości. Ja mówię o sztuce. Karolina jest malarką.*

*To było dziwne popołudnie. Dziwne przez swą zwyczajność. Czyżbym uważała, że po tej nocy wszystko musi być erotyczne, podniecające, nadzwyczajne? Że liczy się tylko czas, kiedy serce uderza jak oszalone, mięśnie drżą ze zmęczenia, ciało przebiegają kolejne fale rozkoszy, kiedy jego szepty zlewają się w jedność z moimi, kiedy nasze usta odkrywają najsekretniejsze zakamarki naszych ciał, a ręce są źródłem nieopisanej rozkoszy? Kiedy jego usta gaszą moje krzyki? Tymczasem nic z erotyzmu, nic z seksu, tylko takie zwyczajne popołudnie. Amelia uczyła mnie malować obrazki na powierzchni caffè latte. Po chwili spod mojej ręki zaczęły wychodzić pękate serca, kwitnące kwiaty, drzewka oliwne, stojące w erekcji penisy, cysate kobiety i wszystko inne, co tylko klienci życzyli sobie zobaczyć na powierzchni swojej kawy. Klient płaci, klient ma. Obok mnie stała puszka z napisem: „wolne datki na chianti dla wszystkich”. Co chwilę z brzękiem wpadały do puszki kolejne monety. W końcu to*

*przecież kawiarnia w samym sercu Toskanii. Liczy się dobra kawa, dobre ciasto i dobre wino. Na tę krótką chwilę poza tym nie liczy się nic. Dekorowałam kawy, słuchając muzyki ze starych winylowych płyt, jadłam panna cottę. Słuchałam, jak Enrico rozmawia z tym stojącym przy barze Filippem na nic nieznaczące i obce dla mnie tematy i czułam się na swój sposób szczęśliwa. Enrico zachowywał się powściągliwie. Trzymał dystans. Parę razy rzucił w moją stronę obojętne, pozbawione wszelkich emocji spojrzenie. W pewnym momencie pomyślałam, że niepotrzebnie się męczę, przecież ja na niego i tak dzisiaj nie czekałam. Faceci to idioci. Wydaje im się, że wiedzą wszystko o kobietach. Spędziliśmy z sobą noc i to wszystko. Są ludzie, którzy piją z sobą kawę, są ludzie, którzy z sobą pracują, i są ludzie, którzy uprawiają z sobą seks, choć nic to dla nich nie znaczy. Czyżby on myślał inaczej? Wyszliśmy stamtąd o zmroku.*

*- Rozmawiałeś dzisiaj z Francescą?*

*- Rozmawiałem - odpowiedział rozdrażniony. Chyba nie chciał o tym mówić. - Była wściekła, że nie odebrałem jej telefonu w nocy, bo właśnie miała ochotę na seks przez telefon. Narzekała na duchotę w hotelu i słoną wodę mineralną w hotelowej lodówce. Nie podobają jej się trendy w jesiennej modzie. Nie widzi miejsca dla koloru pomarańczowego w tworzonej przez siebie kolekcji. Połączenie pomarańczu z różnymi odcieniami brązu uważa za staroświeckie, zgrane i beznadziejne. Połączyłaby go z zimnym cytrynowym, ale nikt jej pomysłu na tych jej warsztatach nie rozumie. Nie spotkała starych znajomych.*

*Na nowych nie ma ochoty. Wszyscy są żałosnymi dupkami, którzy powtarzają pomysły za zdziwaczalymi, starymi, zgrzybiałymi projektantami mody. Twierdzi, że moda włoska jest bez klasy, że się szmaci i starzeje... Jakiś Cygan obmacał ją w metrze... Na chwilę ją to podnieciło. Ponoć prawie doprowadziło do orgazmu. - Zamilkł. - Masz ochotę tego gówna słuchać dalej? - spytał po chwili niespodziewanie.*

*- Nie. Już to słyszałam. Dzwoniła do mnie rano.*

*- Słyszałaś wszystko, włącznie z tą gadką o onanizowaniu się?*

*- Włącznie. Ma jakieś twoje wywody nagrane na komórkę. Skorzystała ze starych nagrań. Mówiła, że było doskonale.*

*- Opowiedziała ci ze szczegółami to obmacywanie w metrze? - dopytywał z niedowierzaniem.*

*- Tak.*

*- Żałosne... Chcesz potańczyć? - zmienił nagle temat.*

*- Potańczyć? - W pierwszej chwili nie zrozumiałam.*

*- Dziś jest sobota. Nie masz ochoty potańczyć? - spytał zdziwiony. - Przecież wiem, że lubisz tańczyć. Widziałem.*

*Jak to: widział? Przecież ja tańczę tylko u siebie w domu. Nie mam z kim tutaj chodzić potańczyć.*

*Znał klub w okolicy. Wstąpiliśmy na chwilę. On zatrzymał się przy barze. Ja poszłam tańczyć. Pił drinka, śledził mnie wzrokiem. Obserwował, kiedy wtopiłam się w tłum na parkiecie, kiedy zaczęłam tańczyć. Nie odrywał ode mnie wzroku. To jego spojrzenie z minuty na minutę podniecało mnie coraz bardziej. Było wspomnieniem nocy, czułych*

szeptów, głośnych krzyków, bezwstydných pocałunków, wyuzdanych pieszczot, rozkoszy. Czarna sukienka wyróżniała mnie z tłumu. Była zbyt obcisła i odważnie za krótka. Przyciągała oczy nie tylko Enrica. Ścigało mnie wzrokiem wielu facetów. Włożyłam tę sukienkę tylko dla niego. Zwykle się tak nie ubieram. To nie mój styl. Tylko narzucona na ramiona chusta była w moim stylu. Delikatna jak mgiełka, ozdobiona moimi ulubionymi różnobarwnymi motylami, próbującymi się oderwać od trzymającej je pajęczyny cienkich nitek, starającymi się odfrunąć w kierunku słońca, nieba, nieograniczonej przestrzeni, wolności. Nie tak dawno zrobiłam dziesiątki takich chust. Sprzedawały się jak świeże bułeczki. Pozwoliły mi przetrwać pierwszy okres mojego pobytu w Toskanii. Zostawiłam sobie tylko tę jedną. Wydawała mi się najpiękniejsza. Motyle na niej były karminowoczerwone. Pasowały do karminowych szpilek i mocnego makijażu. Były przewrotne i grzeczne w tej całej niegrzecznej całości. Chustka zaczęła mi krępować ruchy. Przewiązałam się nią w pasie. Opięła się na biodrach, pokreśliła talię. Zrzuciłam buty ze stóp. Przeszkadzały w tańcu. Tańczący wokół mnie się rozstąpili. Zaczęłam tańczyć otoczona kołem dopingujących mnie ludzi. Tańczyłam jak szalona. A on stał, pił kolejnego drinka i nie odrywał ode mnie wzroku. Tańczę dla siebie czy dla niego? On ma na co dzień seksowną kobietę, kopniętą erotomanekę onanizującą się przy jego głosie, dającą się obmacywać w metrze... Ja na co dzień spędzam czas przy sztalugach, sama z sobą i ze swoją sztuką. Nasze światy bardzo się różnią, nie leżą nawet

*obok siebie. W żadnym punkcie nie stykają się z sobą. Łączy nas tylko praca nad przewodnikiem.*

*Ściany pomieszczenia wirowały coraz szybciej i szybciej. Krew płynęła w naczyniach w rytm muzyki. Zauważyłam go dopiero, kiedy stanął tuż obok.*

*- Zatańczysz ze mną?*

*Lubię tańczyć. On też lubi. I nasze ciała bardzo się lubią. Tak jak w nocy, tak i w tańcu nasze ciała stanowiły jedność. Czułam jego oddech, napięte mięśnie, ślizgające się po moim ciele dłonie. Moje nogi były przy jego nogach, moja głowa przy jego ramieniu, moje włosy muskały jego twarz, moje ciało próbowało z jego ciałem stworzyć jedność... Szkoda, że nie można się kochać na parkiecie. Ciekawe, czy w regulaminie tego klubu zaznaczono, że nie można uprawiać seksu na podłodze w trakcie sobotniej potańcówki.*

\*\*\*

*Niedziela rano*

*Obudziłam się, a on siedział w fotelu pod oknem. W pierwszej chwili pomyślałam, że to pograniczne jawy i snu, że to sen, śniony jeszcze przed chwilą, miesza się z rzeczywistością. Pamiętałam, że wychodził, a właściwie że zbierał się do wyjścia, kiedy cudownie zmęczona zapadłam w sen. Mówił coś o Francesce, że ma zadzwonić. Było mi wszystko jedno. Marzyłam wtedy tylko o śnie. Czułam jeszcze jego bliskość. Mięśnie drżały mi ze zmęczenia. Dziwne ciepło rozchodziło się po całym ciele. Skórę miałam wilgotną od potu, nawet włosy wydawały się mokre. Pościel miała jego zapach. Na stole, podłodze i parapecie dogorywały ogarki świec. W powietrzu unosiła się wyraźna woń stearyny. Że też świece pachną jak seks. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. Czułam się cudownie zmęczona. Pochylił się jeszcze nade mną, narzucił na mnie pled.*

*- Przykryj się, bo nigdy stąd nie wyjdę.*

*I pomyśleć, że nie ma w tym żadnych uczuć, tylko czyste pożądanie. Jeszcze wczoraj nie podejrzewałam siebie o to. Nikt nie zna samego siebie, co dopiero mówić o innych ludziach. Zawsze wydawało mi się, że jeżeli chodzi o seks, to jestem odrobinę staroświecka, konserwatywna, skażona drobnomieszczańską mentalnością. Jak to się można pomylić, zaskoczyć samego siebie. Postać w fotelu pod oknem drgnęła. Za jej plecami budził się nowy dzień. Przez uchylone okno słysząc było pierwszy świergot ptaków. Brzask na zewnątrz*



rozbudzał ciemność. Na tle powoli rozjaśniającego się nieba zarysował się kształt rosnącego za oknem cyprysa. W pokoju panowała jeszcze ciemność. W tej ciemności był on i ja, i nasze rozszalałe od dwóch dni zmysły.

- Mówił ci już ktoś kiedyś, że niesamowicie wyglądasz, kiedy śpisz? Uśmiechasz się przez sen. Świetne zjawisko. Nie zamknęłaś za mną drzwi... - dorzucił niespodziewanie.

- Przypuszczałam, że wrócisz - skłamałam.

- A co by było, gdyby przyszedł ktoś inny?

- Żartujesz? W tym domu mieszkam tylko ja i signora Mornetti. Ja nie grzeszę bogactwem, a signora Mornetti ma syna policjanta. Tu nigdy nikt obcy się nie kręci.

Wtedy pomyślałam, że przecież on też jest obcy. Nic o nim nie wiem. Poznałam go przed paroma miesiącami, tworzymy razem przewodnik, ale najczęściej pracujemy osobno. Jest facetem Franceski, ale jej też prawie nie znam. Przyjechała na naszą uczelnię w ramach Erasmusa. Przez krótki czas przed paru laty byliśmy w jednej grupie studenckiej. Stroniła od nas. Izolowała się. Początkowo próbowaliśmy zabierać ją wszędzie z sobą, aż w końcu zrozumieliśmy, że ona nie potrzebuje do szczęścia naszego towarzystwa, że tak naprawdę do niczego nie jesteśmy jej potrzebni. Ona mierzyła znacznie wyżej. Miała zupełnie inne aspiracje i inne marzenia. Postawiła sobie cel i dzień po dniu, a właściwie zajęcia po zajęciach, wykład po wykładzie, konsultacja po konsultacji dążyła do realizacji tego celu. Założyła się z Robertem, że poderwie profesora Warę. Profesor był dziekanem na naszym wydziale, prowadził

zajęcia z malarstwa. Nikt nic nie miał do Wary. Był w porządku. Nikogo nie niszczył i nikogo nie wyróżniał. Był wymagający, ale w granicach rozsądku. Nie narzucał nikomu swojego zdania. Pozwalał na spontaniczność. Można go było przekonać do różnych koncepcji. Nie zabijał w nas inności. Pamiętam, jak kiedyś na arkuszu papieru namalowałam punkt. Czarną małą plamkę na olbrzymiej białej powierzchni. Stanął wtedy za moimi plecami, przyglądał się długo i w końcu powiedział, że na swój sposób jest to genialne. Ten punkt to kropka. A kropka kończy zdanie. Coś zamyka. Praca miała być alegorią śmierci i przemijania. Dokładnie to miałam na myśli, ale zdziwiło mnie, że on odczuwa to tak samo. Kropka i nic. Kropka i koniec. Skończyło się coś raz na zawsze. Nie ma znaczenia, co było wcześniej. Nie będzie już niczego później. Powiedział wtedy, że nie sztuką jest malować bajeczne pejzaże, że sztuką jest w swej twórczości coś ukryć - myśl, uczucie, przekleństwo, przestanie... Lubiałam profesora Warę. Właściwie lubili go wszyscy. Nie mam pojęcia, dlaczego obiektem zakładu był Wara. Od początku było to dla mnie niejasne i nielogiczne. Zresztą jak cały ten durnowaty zakład. Zrobiła to dla zabawy, zaszalała z nim dwa miesiące, wyjechała, zostawiła go, a on stracił wszystko. Najpierw rektor za romans ze studentką zawiesił go w pracy dydaktycznej na uczelni. Później rzuciła go żona. Usłyszawszy o jego romansie z Francescą, wystawiła mu walizki za drzwi. Nagle przez długonogą i ciemnowłosą Włoszkę został bez żony, bez dziecka, bez pracy, bez perspektyw i bez domu. Francesca miała siłę huraganu w niszczeniu wszystkich

*i wszystkiego. Rozsiewała wokół siebie zło, zostawiała po sobie popiół, pożogę i zgliszcza. Pamiętam, jak odetchnęliśmy z ulgą, kiedy wyjechała. Spotkałam ją przypadkowo parę lat później. Wpadłyśmy na siebie na ulicy. Ona była służbowo w Wenecji w związku z jakimś pokazem mody, ja byłam z Wojtkiem. Pogadałyśmy przy kawie. Raz zjadłyśmy razem kolację. To nasze spotkanie nie było właściwie niczym szczególnym, nie miało żadnego znaczenia. Zadzwoiłam do niej, kiedy przyjechałam na plener do Toskanii. To ona namówiła mnie, żebym została na dłużej. Prawie jej nie znam. Nie znam ani Franceski, ani Enrica.*

*- Młoda kobieta, wcześniej pobudzająca swym tańcem wyobraźnię wielu facetów, i otwarte drzwi... - dotarł do mnie jak z zaświatów głos Enrica.*

*- Przesadzasz...*

*- Nie doceniasz ludzkich namiętności...*

*- Przecież byłam tam z tobą. Przyszliśmy razem i razem wyszliśmy.*

*- Myślisz, że to ma znaczenie? To nic nie znaczy. Nas przecież też tak naprawdę niewiele łączy. To tylko nasze ciała bardzo się lubią...*

*Przesiadł się na brzeg łóżka. Siadając, niechcący odsunął brzeg pledu. Niby przypadkiem przesunął ręką po moim odsłoniętym udzie. Potem już z rozmysłem przejechał ręką po owalu mojego biodra. Jego ręka powędrowała po moim brzuchu w kierunku odsłoniętych piersi. Niby przypadkiem napotkała na swej drodze napęczniałe pożądaniami brodawki. Zatrzymał dłoń właśnie na nich. Dreszcz przebiegł mi po*

*ciele. Poczułam, jak go pragnę. Szlag by trafił tego Włocha! Uzależniłam się od niego i od seksu. Wystarczyły dwa dni, żeby zaczął mną rządzić orgazm. Próbowałam się jeszcze bronić. Prawdę mówiąc, przed samą sobą, przed narastającym pożądaniem, przed bezwstydnym pragnieniem rozkoszy.*

*- Kiedy przyjeżdża Francesca? - próbowałam sama siebie sprowadzić na ziemię.*

*- Już przyjechała...*

*- Przyjechała? Wróciła szybciej? To co ty tutaj robisz?*

*- Kończę to, co zacząłem z Francescą...*

*Kochaliśmy się w łóżku, na podłodze, pod prysznicem, na stole w kuchni. Nie przypuszczałam, że moje mieszkanie stwarza tyle wcześniej nieodkrytych możliwości.*

*\*\*\**

*Niedzielne popołudnie*

*Dziwne, ale z przyjemnością poszłam na tę kolację. W pierwszej chwili sama się siebie przeraziłam. Nie potrafiłam wskrzesić w sobie poczucia winy. Czułam raczej niezdrowe podniecenie towarzyszące zwycięstwu. Jeszcze czułam Enrica w sobie. Moje uda dziwiły się, że są razem. Sukienkę naciągnęłam na gołe ciało. Chciałam, żeby było widać piersi nabrzmiałe rozkoszą. Na wargach czułam jeszcze gorące pocałunki. Kształt ust podkreśliłam karminową pomadką. Wilgoć przenikała moją bieliznę i pomimo kąpieli towarzyszył mi wszechobecny zapach jego ciała, mieszający się z drażniącą wonią moich perfum. Byłam*

podniecona i cudownie zmęczona. Każdy fragment mojej skóry pamiętał jeszcze jego pocałunki, każdy mięsień czuł dreszcze rozkoszy. Wydawało mi się, że nawet jego spojrzenie wywołuje u mnie falę gorąca. Niekończący się orgazm, przeszywający moje ciało na wskroś. Musiało być w moim wyglądzie coś wyjątkowego, bo przykuwałam męskie oczy. Gorąca, wyzwolona, szczęśliwa, spełniona, bezwstydna... Włożyłam czerwoną sukienkę. Ta sukienka pochodzi z wiosennej kolekcji Franceski. Podarowała mi ją kiedyś, myśląc zapewne, że jej nigdy nie włożę. Sukienka jest odważna, prowokująca, drażniąca, bezwstydna. Jest zaprzeczeniem tego, co zwykle noszę. Wydawało mi się, że idealnie pasuje na ten wieczór. Odstłania ramiona, długim rozcięciem wchodzi pomiędzy piersi, podkreśla talię, lekko opina biodra, tańczy rozkloszowanym dołem przy każdym ruchu, kończy się ponad kolanami, a przy każdym kroku przez odważne rozcięcie migają gołe uda. Nigdy nawet nie przypuszczałam, że kiedykolwiek się tak ubiorę. Tymczasem poczułam się w tym stroju cudownie. Wyzwolona, ponętna, piękna... Kolor karminowy i brąz opalonego wiosennym słońcem ciała. W sumie kiczowate połączenie kolorów, które nagle wydało mi się czymś niepowtarzalnym i wyjątkowym. Całości dopełniały sandały na niebotycznie wysokim obcasie, który sprawiał, że moje nogi wydawały się nie kończyć. Od pani Mornetti dostałam czarne dodatki. Czerń i karmin pasują do siebie wyjątkowo.

- Idziesz komuś dokopać? - spytała mnie, ponoć zupełnie przypadkiem otworzywszy drzwi od swojego mieszkania,

*kiedy ja próbowałam odnaleźć w czeluściach torebki swoje klucze. – Wyglądasz porażająco. Każdy facet na ciebie poleci. Każda kobieta będzie chciała cię zabić. Młodość. Burza niepowtarzalnych emocji!*

*Ujrzałam Francescę i Enrica w rogu sali. Nachyleni ku sobie, zajęci byli rozmową. Pierwsza zobaczyła mnie Francesca. Pomachała mi ręką. Powiedziała coś do niego. Uniósł na mnie wzrok i już później nie potrafił tego wzroku ode mnie oderwać. Piliśmy chianti, rozmawialiśmy o Rzymie, o trendach w modzie, o artystach chałturzących na ulicach Wiecznego Miasta, o bezdomnych kotach bląkających się setkami wokół piramidy Cestiusza, o hotelu z szarą, zimną pościelą, zatłoczonych ulicach, brudnym metrze, podłej jakości jedzeniu, o wszędobylskich turystach i o wielu innych przywarach tamtego miasta. W sumie cały nasz wspólny wieczór kręcił się jak zawsze wokół Franceski, a mówiąc dokładniej, Franceski i jej pobytu w Rzymie. Sama Francesca ubrana była w kremową jedwabną sukienkę, która swą udawaną grzecznością nijak nie pasowała do jej natury. Wyglądała, jakby jeden z aniołów przypadkiem zagościł na ziemi i sam jeszcze nie wiedział, czy powinien się tutaj zatrzymać na dłużej. Makijaż miała taki jak zwykle – mocny i wyzywający. W sumie ta niespójna całość aż krzyczała fałszem. Każdym gestem prowokowała i drażniła. Jak zawsze musiała grać pierwsze skrzypce, skupiać na sobie uwagę innych, być w centrum zainteresowania. Śmiała się idiotycznie, mówiła głośno. Swym zachowaniem gwałciła innych, by spojrzeli w jej stronę. Dzisiaj mnie to nawet nie*

denerwowało. Było mi wszystko jedno. Piłam wino, bawiłam się spojrzeniami Enrica, przypadkowymi spotkaniami naszych stóp pod stołem, błyskiem w jego oczach, kiedy patrzył w moją stronę, delikatnym, błękającym się po jego twarzy uśmiechem. Był rozmarzony, rozleniwiony, nieobecny. Francesca mówiła, mówiła i mówiła, a ja z minuty na minutę czułam się coraz bardziej znużona.

- Ja lubię Rzym - przerwałam jej, kiedy poczułam, jak położona wcześniej na moim kolanie dłoń Enrica zaczęła wędrować w górę wzdłuż mojego uda. Niebezpieczny dreszcz przebiegł mi po ciele.

- Nie można lubić Rzymu - przerwała mi gwałtownie Francesca. Wydęła usta w grymasie dezaprobaty. - To jakieś farmazony. Rzadko tam bywasz - mówiła z lekceważeniem. - Jesteś tam tylko chwilę... Jesteś tam turystką. Turysty wszędzie czują się dobrze.

- Lubię, kiedy zatyka mi dech w piersiach z wrażenia... - Sama już nie wiem, o czym mówiłam. O Rzymie czy o ręce Enrica, która coraz wyżej i wyżej wędrowała po mojej nodze, która osiągnęła brzeg mojej bielizny? O fali gorąca przechodzącej przez moje ciało?

- Dech w piersiach? W Rzymie dużo częściej zatyka dech w piersiach smog niż podziw. Brudne, zapylone miasto, żyjące tylko religią i przeszłością... Żadnych perspektyw, żadnych pomysłów na przyszłość... Jak smog zniszczy Forum Romanum, to już nikt tam nie przyjedzie...

Nie chciało mi się z nią dyskutować. Nie miałam już ochoty jej słuchać. Nagle miałam powyżej dziurek w nosie jej

wrażen z Rzymu. Odwróciłam głowę w bok i zobaczyłam wlepione we mnie oczy mężczyzny siedzącego przy stoliku obok. Nasz wzrok spotkał się na chwilę. Nieznajomy uniósł kieliszek do góry, kiwnął głową w moją stronę, przyłożył lampkę do brzegu ust. Poczułam się nieswojo. Jego wzrok wędrował po brzegach mojej sukienki, po obnażonych ramionach, po nie do końca ukrytych za skąpą tkaniną piersiach, po czym ześlizgnął się na nogi. Myślę, że siedząc w odchylonym do tyłu fotelu, widział też pieszczącą moje nogi rękę Enrica. Jak na złość jakiś gitarzysta zaczął stroić instrument, a po chwili ciepły głos wokalisty wzbił się ponad szum rozmów, przebił przez szarość wypełniającego pomieszczenie papierosowego dymu. Ciepły głos sławił moc miłości, która oplata jak pajęczyna i łączy na wieki. Nijak to się miało do moich osobistych doświadczeń i do szaleństwa ostatniego weekendu. Widocznie ta prawdziwa miłość nie wszystkim jest pisana. Niektórym pisana jest tylko zmysłowość, pożądanie i seks. No i dobrze, przynajmniej coś jest dla mnie. Na parkiecie zaroilo się od ludzi. Wiele par chciało się poprzytulać w rytm piosenki o nigdy niekończącej się miłości. Szlag by to trafił! Francesca uniosła się do tańca, a ręka Enrica błyskawicznie zniknęła z mojego uda. Wstając posłusznie za Francescą, nawet nie omiótł mnie wzrokiem. Głupi palant! Bezwolny idiota! Zastrany pantoflarz! Właśnie postanowiłam wrócić do domu, kiedy jak spod ziemi wyrósł przy mnie tamten siedzący wcześniej samotnie facet.

- Zatańczysz?

Wstałam odruchowo. Dałam się porwać do tańca i nagle



poczułam się zupełnie inaczej niż z Enrikiem. Facet tańczył bardzo dobrze, ale trzymał dystans. Jego ręce leżały tam, gdzie powinny. Głowę trzymał lekko odgiętą do tyłu, jego nogi nie splatały się z moimi, jego biodra nie przylegały do moich. Takt, szacunek, elegancja... Przez ten dystans poczułam się kimś wyjątkowym. Dziwni są ci faceci. Niepojęta jest dla mnie ta męska natura. Tańczyliśmy i tańczyliśmy bez końca. Tym tańcem wzbudziliśmy niepokój. Kątem oka widziałam przyglądającą się nam Francescę. Czułam na sobie ścigające mnie spojrzenia Enrica. Oni już dawno przestali tańczyć. Od dłuższej chwili siedzieli przy stoliku, nie odrywając od nas wzroku. Cudownie tańczył ten Antonio. Czułam się, jakbyśmy płynęli ponad parkietem. Wszystko przestało się liczyć, oddaliło się i odpłynęło. Poczułam się nagle taka lekka, wolna i bezpieczna.

- Uważaj na Enrica! - usłyszałam nagle szept nieznajomego. - On nie zasługuje nawet na twoje spojrzenie. To niewiele warta gnida.

\*\*\*

*Niedziela, parę godzin później*

Dziwny wieczór. Lepiej się nad nim nie zastanawiać. Niewiele z niego rozumiem. Antonio odprowadził mnie do stolika, na chwilę przytrzymał jeszcze moją rękę.

- Dziękuję. Cudownie tańczysz.

Odwrócił się i odszedł, zapłacił przy barze, z ujmującym uśmiechem przeciskał się pomiędzy tańczącymi parami w kierunku wyjścia. Machnął jeszcze ręką na pożegnanie

*jakiejś parze siedzącej przy drzwiach pod ścianą i zniknął. Ja też chciałam już tylko iść do domu. Denerwował mnie błędzący po moim ciele, pełen bezwstydnego pożądania wzrok Enrica. Nic chyba bardziej nie podnieca mężczyzny niż widok jego kochanki tańczącej w objęciach innego faceta. Dotknięcie jego ręki na moim kolanie poczułam jak oparzenie. Odsunęłam się gwałtownie od stolika. „Co się stało, do cholery?” – pomyślałam. „To przecież był tylko taniec, parę utworów zatańczonych z nieznanym, a we mnie zmieniło się wszystko”. Jak za pstryknięciem palcami oddaliły się wspomnienia dwóch poprzednich dni. Ja, nie ja, taka sama, a już zupełnie inna, odmieniona, odczarowana, a może zaczarowana na nowo, ale zupełnie inaczej. Wybudzona z jakiegoś snu, a może zasypiająca właśnie z nowymi marzeniami sennymi pod powiekami.*

*- Coś nie tak? - Głos Enrica dotarł do mnie jak z zaświatów. - Zachowujesz się jakoś inaczej...*

*- Nie. Wszystko w porządku - skłamałam. - Mam za sobą intensywny weekend. Poczułam się zmęczona. Pójdę już do domu. „Marzę o kąpieli - pomyślałam - o kubku ciepłego mleka, samotności, przytulności pościeli, miękkości mojego łóżka, cicho włączonej muzyce...” Chciałam już tylko wstać i się z nimi pożegnać. Raptem oboje zaczęli mnie drażnić.*

*- Jak ci się spodobał Antonio Sergrano? - zatrzymała mnie pytaniem Francesca.*

*- Tańczy wspaniale... - odpowiedziałam z wahaniem. „Tańczy wspaniale - pomyślałam - i jest zupełnie inny. Taki człowiek jakby z jakiejś innej bajki”.*

- Nie pytam o taniec. - Spojrzała na mnie z niesmakiem. -  
Taniec widziałam... Tańczy dobrze, ale bez emocji. Dla mnie  
za zimno. Wieje chłodem. W jego tańcu nie było ognia.

- A o co w takim razie pytasz?

- O Antonia...

- Facet jak facet. Nie znam go. Wymieniliśmy z sobą  
zaledwie jedno zdanie.

- Czasami nie trzeba więcej... Czasami nawet milczenie  
wystarczy, żeby poczuć to coś. Tańczyliście, jakbyście się znali  
od zawsze. Wasze ciała rozumiały się doskonale - powiedziała  
z przekąsem. - Facet jest wielką tajemnicą. Prowadzi się jak  
ksiądz. Nie utrzymuje z nikim bliższych kontaktów. Jest  
poprawny wobec wszystkich, ale nie ma bliskich znajomych.  
Wygląda, jakby od wszystkich stronił, jakby nikogo nie  
potrzebował do szczęścia. Nie prowadzi się z nikim. Nie  
bywa w knajpach. Nie widuje się go w niedzielę w kościele.  
Jak na Włocha to oba te fakty są co najmniej dziwne. W tej  
knajpie widzę go po raz pierwszy, a my tu przecież  
z Enrikiem dość często bywamy. Facet wydaje się  
nieдоступny. Mieszka tu już od paru lat i nadal nikt z nas  
prawie nic o nim nie wie. To pobudza wyobraźnię, podnieca...  
To powoduje, że do atrakcyjnej powierzchowności całą resztę  
dopowiadają zmysły...

Pomyślałam sobie, że Francescę wszystko podnieca,  
poczynając od głosu Enrica. Antonio jest zupełnie inny niż  
Enrico. Nie potrafię tego sprecyzować, nie próbuję nawet  
nazwać.

Francesca i Enrico opowiedzieli mi trochę o Antoniu.

Przed laty przyjechał tu na wakacje. Spędzał je w towarzystwie jasnowłosej piękności. Spodobało im się. Chcieli tu zostać. Zapragnęli kupić dom w okolicy. Obejrzeliby chyba wszystkie domy, które były na sprzedaż w promieniu około trzydziestu kilometrów od Fiano. Wyjechali, a po paru miesiącach wrócił sam Antonio. Pozornie taki sam, ale zupełnie już inny. Stronił od towarzystwa. Omijał tawerny i restauracje. Kupił dom na lawendowym wzgórzu, otoczony gajem oliwnym, przylegający do winnicy. Ponoć do jego posiadłości należy właśnie ta brama, którą malowałam w piątek. To do jego domu prowadzi też aleja, w której drzewa tworzą tunel, podając sobie ramiona. Nikt o nim nic nie wie. Z nikim nie utrzymuje bliższego kontaktu. Dla miejscowych jest wielką tajemnicą. Każdy opowiada co innego, konfabulacja goni konfabulację. Wyobraźnia ludzka nie ma granic. Zawiść nie zostawiła na nim suchej nitki. Ludzi pokroju Franceski doprowadza do szaleństwa. Musi mieć dom jeszcze gdzie indziej, bo wyjeżdża z Fiano dość często. Zainwestował w dużą winnicę. Wino z tej winnicy od paru lat cieszy się rosnącą popularnością. Wiele sklepów w okolicy je sprzedaje. Na etykiecie są dwa drzewa oliwne ze splecionymi konarami. Rzadko kupuję wino. Nie widziałam takiej etykiety, a może widziałam, tylko nie pamiętam. Francesca mówiła, że Antonio jest właścicielem paru sklepów w Certaldo i w San Gimignano. W jego sklepach poza winem sprzedawane jest limoncello. Nie cierpię likieru cytrynowego, ale ten jest ponoć wyjątkowy, stworzony według jakiejś starej receptury... Pomyślałam, że muszę się skusić. Pojadę do San Gimignano

*i kupię sobie ten likier Antonia. Może nie każde limoncello ma tę nutę potwornej goryczy? A może ta gorzka nuta nie będzie mi tym razem przeszkadzała?*

*- Ta niedostępność Sergrana mnie intryguje. Już jego wygląd może spowodować orgazm. Antonio sprawia wrażenie zimnego faceta. To mnie rozgrzewa i podnieca - mówiła rozmarzonym głosem Francesca. - To jak wyzwanie... Ciekawe, czy zdołałabym go rozgrzać. Położyłabym się przy nim naga i zmusiła go, żeby mnie przeleciał... To mogłoby być cudowne. A swoją drogą, jak bawiliście się z Enrikiem pod moją nieobecność? - Spojrzała w moją stronę rozbawionym wzrokiem. - Enrico twierdzi, że rewelacyjnie... Ponoć jesteś bardzo gorąca.*

*„Szlag by trafił tego Enrica!” - pomyślałam z wściekłością. Głupi palant!*

*\*\*\**

*Poniedziałek*

*Kiepsko spałam tej nocy. Seks z Enrikiem przeplatał mi się w snach z tańcem z Antoniem, ciemne oczy Enrica zmieniały się w błękit nieba oczu Antonia, we śnie kochałam się z Enrikiem na oczach Franceski, a ona oceniała moje pieszczoty w skali od jeden do dziesięciu i punktowała jakość orgazmów. Jakiś koszmar! Że też sny mogą być takie popierniczone! Obudziłam się zrana z potem na długo przed świtem. Byłam wściekła na Enrica, na Francescę a przede wszystkim na samą siebie. Na komórcie miałam parę nieprzeczytanych SMS-ów. Wszystkie od Enrica. „Nic nie*

mówiłem Francesce. Ona się domyśliła”. Wysłał tego SMS-a zaraz po tym, jak się z nimi pożegnałam. „Nie zasnę bez Ciebie. Uzależniasz szybciej od prochów. Brakuje mi Twojego dotyku, ciepła Twojego ciała, Twojego zapachu... Pozwól mi przyjechać do siebie, bo zwariuję do rana” – wysłany o trzeciej nad ranem. „Gdzie dzisiaj będziesz pracować? Może spotkamy się po pracy? Marzy mi się wieczór z Tobą” – wysłany o trzeciej trzydzieści. „Nie muszę się z Tobą kochać. Wystarczy mi Twoja obecność. Nie wyobrażam sobie dnia bez Ciebie”. Ta wiadomość nadeszła o czwartej dziesiąt. Biedny Enrico. Miał kiepską noc. Może Francesca nie wpuściła go do swojej sypialni? Może była nieprzystępna? Może nie chciała się kochać? Może kochała się inaczej, niż marzył? Te SMS-y nie wzbudziły we mnie żadnych emocji, żadnych uczuć, żadnego pożądania. Nic. Aż dziwne, że taka pustka zastąpiła czułe szepty, pełne rozkoszy jęki i niekończące się orgazmy. „W tym tygodniu chcę malować. Mam mnóstwo pracy. Rysunki do przewodnika, obrazy na wystawę, trochę chałtury, żeby zarobić kasę na życie. W piątek przywiozę do biura kolejne prace. Będę u Alberta około czternastej. Do zobaczenia w piątek w redakcji. Miłego tygodnia. Buziaki. Karo”. Przeczytałam SMS-a i stwierdziłam, że „miłego tygodnia” spokojnie mogę wykreślić. Zupełnie jest mi obojętne, jaki on będzie miał tydzień. I jeszcze jedno, nie ma już Karo, jest Karolina. Przeczytałam wiadomość jeszcze raz. Jakie „buziaki”, do jasnej cholery? Ciepłe słowo „buziaki” zastąpiło zimne „pozdrawiam”. Wysłałam wiadomość i wyłączyłam komórkę. Ten dzień miał należeć tylko do mnie.

Pojechałam jeszcze raz popatrzeć na tamtą bramę, tamto wejście na posesję, tamtą aleję... Przyjechałam tuż po brzasku. Promienie budzącego się słońca przedzierały się nieśmiało przez gęstwinę splecionych gałęzi, tworząc na wyboistej drodze mozaikę światła i cieni. Powiał lekki wiatr i ta mozaika zaczęła żyć, poruszać się, drżeć. Szkoda, że tej gry światła i cienia nie da się namalować, że nie da się przenieść na papier ulotności takiej chwili. Sztuka jest niedoskonała, złorzeczyłam w myślach, albo ja po prostu nie potrafię malować. Otworzyłam szkicownik. Zaczęłam rysować. Brama, aleja utworzona z dwóch rzędów drzew, tworzących zielony tunel nad wyboistą drogą. Koniec tunelu wygląda jak okrągła, rozświetlona słońcem dziura ku nieskończoności. Nagle pomyślałam, że namaluję to zupełnie inaczej. Ten podjazd nie jest groźny, ale tajemniczy. Nie powinien budzić strachu, a nadzieję. Tamten wylot z tunelu wydaje się ciepły... Może to wrota do lepszego świata? Może to aleja prowadząca do nieba? Niebo, Bóg i bardzo katolicka część Włoch. Niepowtarzalny pomysł na widoczek z Toskanii. Koncepcja gonila koncepcję, szkicownik wypełniał się rysunkami. Rondem słomkowego kapelusza próbowałam ochronić twarz przed promieniami coraz bardziej natarczywego słońca, chustę narzuciłam na ramiona. Siedziałam na skarpie oddzielonej drogą od bramy posesji. „Dziwnie” - pomyślałam w pewnej chwili. „Tą drogą nie przejeżdżają żadne samochody”. Kiedy byłam tutaj po raz pierwszy, ruch na drodze utrudniał rysowanie. Dzisiaj było tu nienaturalnie spokojnie. To droga do Certaldo. Nikt nie jedzie

*dzisiaj w tamtą stronę? Nikt nie wraca z Certaldo do Fiano? Nie ma wszędobylskich turystów, nie ma miejscowych spieszących do pracy, nie ma ludzi jadących na targ? „Dziwne – pomyślałam kolejny już raz – dziwnie nienaturalne”. No i dobrze, uspokoiłam sama siebie, nikt i nic mi nie przeszkadza. Po godzinie zdziwienie zastąpił niepokój. To w końcu coś niecodziennego. Nie znam innej drogi wiodącej z Fiano do Certaldo ani z Certaldo do Fiano. Aż po horyzont nie było widać żadnego poruszającego się samochodu. Jeden jedyny pojazd stał jakieś sto metrów ode mnie, nie poruszając się od około trzech godzin. Pamiętam, jak podjechał. Zatrzymał się. Nikt z niego nie wysiadł. Nikt do niego nie wsiadł. Ktoś z niewiadomego powodu przesiedział w tym upale w środku rozgrzanego słońcem samochodu parę godzin. Nagle zapął do rysowania mi minął. Co rusz mój wzrok odrywał się od alei i wędrował w kierunku tamtego samochodu. Z minuty na minutę narastał we mnie bezimienny niepokój, który zaczął się przeradzać w coraz silniejszy lęk. Głupia wyobraźnia, próbowałam się uspokoić, że też ja mam taką wybujałą wyobraźnię. Lęk nasilał się coraz bardziej. Raptem ogarnął mnie przerażający strach. Wrzuciłam szkicownik do plecaka. Ruszyłam na rowerze w kierunku Fiano. Obejrzałam się i zobaczyłam, że tamten samochód ruszył wolno za mną. Przyspieszyłam i on przyspieszył. Zatrzymałam się. On również się zatrzymał. Ruszyłam i on ruszył znowu za mną. Przestałam się już oglądać. Pędziłam przed siebie jak szalona. Wydawało mi się, że serce wyskoczy mi z piersi. Zatrzymałam się przy stacji*



benzynowej na obrzeżach Fiano. Pot ściekał mi z mokrych włosów. Gardło miałam suche. Wydawało mi się, że nie jestem w stanie wydobyć z siebie żadnego głosu.

- Jakiego paliwa pani sobie życzy? - spytał mnie jakiś idiota w roboczych spodniach z napisem „Agip”.

- Coli - zdołałam z trudem wyskrzypieć. Język mi skołowaciał z pragnienia.

Samochód minął mnie powoli, majestatycznie. Skręcił na wysokości stacji benzynowej w lewo. „Sprytnie” - pomyślałam. „Przez przyciemnione szyby nie uda się nikogo zobaczyć”.

\*\*\*

*Poniedziałek po południu*

Rzuciłam się na łóżko tylko po to, żeby uciszyć galopujące myśli. Zawsze, kiedy leżę, to się uspokajam. Może do mojego mózgu dopływa wtedy więcej krwi, a wraz z nią więcej tlenu? Wtedy moje obciążone nadmierną pracą komórki mózgowe przestają się dusić, myśli zaczynają płynąć wolniej, spokojniej i sensowniej. „Bzdura - pomyślałam - to tylko wyobraźnia płata mi figle”. Kierowca tamtego samochodu musiał mieć ze mnie ubaw - pędząca na rowerze na oślep wariatka. Mięśnie drżały mi ze zmęczenia, chyba bardziej niż po nocy spędzonej z Enrikiem. Pośladki bolały mnie od twardego siodelka. Twarz piekła od nadmiaru słońca, a spalone słonecznymi promieniami ramiona zapowiadały bezsenną noc. Dobrze, że przynajmniej zrobiłam parę ciekawych szkiców. Coś da się z nich wybrać. Będą punktem wyjścia do

stworzenia akwarelki. Będzie wyjątkowa, może nawet bardzo wyjątkowa. Zatytułuję ją Toskańskie wrota do nieba. Szukamy od dawna tytułu dla tego naszego przewodnika. Może właśnie Toskańskie wrota do nieba? Bomba. Już miałam komórkę w dłoni, żeby napisać do Enrica, kiedy raptem przypomniał mi się miniony weekend. To stara prawda, że nie należy łączyć pracy z seksem, zajęć zawodowych z miłosnymi uniesieniami. To strasznie komplikuje życie. Pomyślałam, że powiem mu w piątek. W końcu i tak w piątek spotkamy się w redakcji. Właśnie usiadłam przy sztalugach, kiedy zapukała pani Mornetti.

- Jesteś - stwierdziła odkrywczo. - To wspaniale - dodała pośpiesznie. - Dzisiaj rano był tu Enrico. Wyglądał jak nieszczęście. Nie cierpię, jak całą noc skrzypi twoje łóżko i jak jęczysz w łazience, nie sprawia mi przyjemności słuchanie okrzyków rozkoszy, kiedy kochacie się na tarasie, tym bardziej że na ten taras wychodzą okna z mojej sypialni, ale to jest lepsze od widoku zalanego w trupa faceta o siódmej rano, który do tego zwałił się jak długi na podłogę w moim przedpokoju. Koszmar.

- Nie mam z tym nic wspólnego...

- Naprawdę? - spytała ironicznie.

- Nie było mnie o siódmej rano w domu - powiedziałam na swoje usprawiedliwienie.

- To akurat wiem. Zanim Enrico runął w moim przedpokoju, tak że aż kamienna posadzka zajęczała, to wcześniej przez ponad kwadrans bezskutecznie dobijał się do twoich drzwi. Wzięłam potem klucze od twojego mieszkania

*i sprawdziłam. Faktycznie, nie było cię w domu. Kochasz się jeszcze z kimś innym? – spytała nieoczekiwanie. – Nigdy nie wstawiałaś tak wcześnie. – Patrzyła na mnie uważnie. Świdrowała mnie wzrokiem. Z tej niezdrowej ciekawości na jej twarzy pojawiły się wypieki. Z rumieńcem na policzkach wyglądała młodziej. „Ona nie może być jeszcze taka stara” – pomyślałam. Jeszcze wczoraj wydawało mi się, że urodziła się w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, a teraz nagle byłam pewna, że jest o wiele młodsza. Ubiór i sposób bycia powodują, że na co dzień wydaje się znacznie starsza.*

*– Nie. Nie kocham się z nikim innym – powiedziałam. – W tej chwili nie kocham się z nikim. Nie kocham się już nawet z Enrikiem.*

*– Co ty powiesz... – Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Loczek na czubku jej głowy podskoczył jak sprężynka. – Za moich czasów...*

*– Różnica pokoleń – przerwałam jej. – U nas idzie to szybko. Jedna iskra, pożar, a potem już nic. Nie ma już nawet śladu po ogniu. Po prostu nic. Szybko wszystko wybucha i szybko się wypala, a życie biegnie dalej.*

*– Co ty powiesz... – Patrzyła na mnie zaskoczona. – A ja jeszcze przed tygodniem miałam o tobie zupełnie inne zdanie. Jak to można się łatwo pomylić. Pozory mylą. Masz temperament. Mnie też go kiedyś nie brakowało, ale to były zupełnie inne czasy. Za moich czasów musiały wystarczyć potajemne uściski i przeciągłe spojrzenia w oczy. Chociaż raz w toalecie... Opowiem ci kiedy indziej – dokończyła, widząc moje zniecierpliwienie.*

- *To dobrze, bo muszę jeszcze dzisiaj trochę popracować.*
- *Malujesz?*
- *No właśnie.*
- *Mogę zobaczyć?*
- *Mam tylko szkice.*
- *To też ciekawe.*

*Spojrzała na rysunki i dziwny grymas przebiegł po jej twarzy. Wyglądała na przestraszoną.*

*- To wjazd na posesję Antonia Sergrana - szepnęła z przerażeniem. - Byłaś tam dzisiaj?*

*- Byłam tam w ubiegły piątek i pojechałam tam dzisiaj zaraz po wschodzie słońca... Fascynujące miejsce, po prostu wyjątkowe...*

*- Cały dzień spędziłaś koło tej bramy? - spytała z lękiem.*

*- Tak - potwierdziłam, niczego jeszcze nie przeczuwając.*

*- Dzisiaj rano było tam cudowne światło...*

*- To straszne - szepnęła przerażona.*

*- Co jest w tym strasznego?*

*- Enrico chciał ci powiedzieć, że słyszał w radiu, że nad ranem zamknięto drogę pomiędzy Fiano i Certaldo. Jakaś cysterna przewróciła się na którymś z zakrętów. Cysterna przewoziła toksyczny związek chemiczny. Środek wyciekł. Skaził okolicę. Jego opary unosiły się w powietrzu w promieniu dziesięciu kilometrów od miejsca wypadku. Stężenie oparów wzrastało wraz z temperaturą otoczenia. Koło południa było bardzo wysokie. Wielokrotnie przekraczało dopuszczalne normy stężenia w powietrzu jakichś trzech substancji. Mówili w telewizji o jakimś związku*

siarki, który łączy się z zawartymi w powietrzu kroplami wody, dając kwas siarkowy, i jeszcze o dwóch różnych zupełnie mi nieznanymi substancjach. Enrico powtarzał w kółko, że ty tam na pewno pojechałaś. Chciał cię ostrzec, ale nie mógł się do ciebie dodzwonić. Ponoć miałaś wyłączoną komórkę. Prosił mnie, żebym koniecznie zadzwoniła do syna pracującego w policji. Mówił, że jemu nikt nie uwierzy. Był totalnie pijany, czyli dla glin zupełnie niewiarygodny. Nie zrobiłam tego - mówiła zmartwiona. - Wydawało mi się, że on jest za bardzo pijany, żeby wiedział, co mówi... Włączyłam radio. Słyszałam komunikaty o wypadku. Widziałam w telewizji przewróconą cysternę. Nie zrobiłam nic, żeby cię ostrzec. Myślałam, że pojechałaś do Florencji. A ty naprawdę szkicowałaś wjazd na posesję Sergrana...

Ona mówiła, a mnie zaczęło się robić słabo. Nogi miałam jak z waty. Zaczęło działać prawo sugestii. Nagle poczułam się chora.

- W radiu trąbią bez przerwy, że te substancje mogą działać z opóźnieniem i że wszystkie osoby, które przebywały w niewielkiej odległości od miejsca wypadku, mają się zgłosić jak najszybciej do szpitala...

No i się zgłosiłam. Kiedy dotarłam do szpitala, pisało mi w uszach, miałam mroczki przed oczami i torsje. „Prawo sugestii” - pomyślałam. To prawo sugestii wymyśliłam kiedyś sama. Potrafiłam zachorować na żądanie, kiedy tylko było mi to potrzebne. Dzisiaj zupełnie tego nie potrzebowałam, ale chyba zbyt wnikliwie słuchałam pani Mornetti. Dzień skończył się nudnościami, wymiotami, bólem głowy, bólem

*wszystkich mięśni i parogodzinnym pobytem na izbie przyjęć szpitala. Ciekawe, jak się czuje osoba z tamtego samochodu.*

*\*\*\**

*Wtorek*

*Obudził mnie telefon. Jego uporczywy dźwięk z trudem przebijał się przez mój ból głowy. Miałam wrażenie, że wiertło dentystyczne wwierca mi się w głąb czaszki. Przez chwilę wydawało mi się, że przewierciło ją na wylot, bo ból zlokalizował się w obu skroniach. Lekarz mówił, że głowa może mnie boleć jeszcze przez parę dni, że mam dużo pić i się nie przemęczać. Podniesienie telefonu wydawało mi się niewyobrażalnym wysiłkiem. „Oleję to – pomyślałam – w końcu nie wolno mi się męczyć”. Telefon zamilkł tylko po to, żeby odezwać się po chwili jeszcze bardziej przeciągłym jazgotem. Przykryłam głowę poduszką. Naciągnęłam na siebie pled. Próbowałam nie słyszeć. Nie wiem, na jak długo udało mi się zasnąć. Obudziło mnie coś o wiele głośniejszego niż dźwięk telefonu. Tym razem ktoś łomotał do drzwi.*

*- Nie ma mnie w domu! - wrzasnęłam w kierunku drzwi. Dźwięk własnego głosu spowodował nową detonację w mojej głowie. Tym razem ból przeszywał mi czoło i kończył się na potylicy. Co za gówno przewoziła ta cholerna cysterna?*

*- Karo, otwórz! - Usłyszałam Francescę. Jej głos wydawał się mieć dzisiaj moc gromu. Prąd przebiegł po zwojach istoty szarej mojego mózgu i kopnął mnie tym razem w lewe oko.*

*„Mam ją gdzieś” - pomyślałam. „Dzisiaj jej nie zniosę. Jej wejście do mojego mieszkania będzie zamachem na moje*

życie”.

- Nie doczołgam się do drzwi! - krzyknęłam stłumionym głosem. - Nie wolno mi wstawać z łóżka.

Kołatanie w drzwi ucichło. Odetchnęłam z ulgą. Na chwilę zelżał ból głowy. Już wydawało mi się, że zasypiam, gdy usłyszałam zgrzytnięcie klucza w zamku. Nienaoliwione drzwi skrzypnęły przeraźliwie i do pokoju wtargnęła Francesca w towarzystwie pani Mornetti.

- Jak ona koszmarnie wygląda! - krzyknęła na mój widok Francesca. - Myślałam, że w radiu przesadzają. Dziennikarze lubią sensację. Enrico też zawsze goni od sensacji do sensacji. Twierdzi, że monotonii ludzie mają pod dostatkiem we własnym życiu. W radiu chcą słyszeć coś innego, coś, co ich poruszy, co choć na chwilę pozwoli żyć problemami i emocjami innych. Nic bardziej nie uspokaja jak świadomość, że inni mają gorzej.

- Tak to już jest. - Usłyszałam głos pani Mornetti. - Ludzie karmią się nieszczęściami innych. To ich podnieca.

- Słyszałam, że zatrucia tym gazem mogą być śmiertelne - wtrąciła Francesca. - Ponoć bez względu na stężenie działa porażająco na setki komórek mózgowych. U niektórych osób może umrzeć i pół mózgu.

Pomyślałam, że trudno nie kochać Franceski. Jest taka współczująca i wyrozumiała. Potrafi tak wspaniale pocieszać.

- Wszystko zależy od wcześniejszego potencjału - przerwała Francesce signora Mornetti. - Karolina nie jest głupia. Jej coś tam zostanie...

Rozmawiały, jakby mnie tam w ogóle nie było.

*Obgadywały mnie, stojąc metr od mojego łóżka. Pomyślałam, że to chyba im coś się stało w głowę. Może obłok tej toksycznej substancji dotarł aż do Fiano?*

*- Zresztą mózg... Po co artyście mózg? - Usłyszałam głos pani Mornetti. - Artyście wystarczy talent. To tylko zwykli ludzie muszą mieć mózg. Artystom myślenie jest niepotrzebne. Albo emocje, albo myślenie. Burza uczuć kontra rozsądek. Poza tym zostanie jej jeszcze ciało. Ciało nie uległo uszkodzeniu. Może trochę. - Spojrzała na mnie uważniej. - Ma czerwoną twarz i ramiona.*

*- Ten rumień wygląda niegroźnie, trochę jak oparzenie słoneczne. Zapewne zniknie - filozofowała Francesca. - Ale ta opuchlizna w okolicy ust i oczu? Ma usta jak po wstrzyknięciu kwasu hialuronowego. Po prostu koszmar - pastwiła się nade mną. - A te wory pod oczami? Jakby przybyło jej trzydzieści lat, a może jeszcze więcej.*

*Gdzieś pomiędzy synapsami mózgu zaczęła mi się błąkać myśl, że nie cierpię pięknej Franceski.*

*- Rumień na twarzy od biedy można przypudrować. Duże usta podobają się mężczyznom. Kobiety z dużymi ustami są bardziej podniecające - dobiegł do mnie jak z zaświatów głos pani Mornetti. - Wygląda na to, że reszta ciała nie jest uszkodzona. Zawsze mogło być gorzej.*

*Mówiły coś jeszcze, ale ich głosy oddalały się ode mnie, cichły i obojętniały. Wszystko mi zobojętniało. Sen brał górę nad rzeczywistością. Bardziej poczułam, niż zobaczyłam, że ktoś usiadł przy mnie na łóżku. Francesca w roli anioła stróża czuwającego nad chorym? Totalna bzdura. Może jest jej to*



*potrzebne do poprawy samooceny? Zawsze w końcu odrobina altruizmu w życiorysie może się przydać. Nawet w takim życiorysie, jaki ma Francesca.*

*\*\*\**

## *Środa*

*Obudziły mnie promienie słońca wdzierające się do pokoju przez niczym nieprzystłonięte okna. Rozbudzone ciepłem muchy brzęczały uporczywie, a duchota w sypialni świadczyła o tym, że wskazówki zegara zbliżają się zapewne do dwunastej. Okna z sypialni wychodzą na południowy zachód, powodując, że po południu trudno wytrzymać w tym pokoju. Nawet teraz, w maju, jest tu wieczorami gorąco i duszno, pomimo że temperatury na zewnątrz rzadko przekraczają dwadzieścia stopni. Głowa przestała mnie boleć. Świat nie wirował już przed oczami. Żołądek przestał się wywracać do góry dnem. Miska stojąca przy łóżku była pusta. Nawet przestałam słyszeć w uszach szum wodospadu Niagara. Wyglądało na to, że wszystko wróciło do szeroko pojętej normy. Próbowałam nie zastanawiać się nad drobiazgami. Usiłowałam sobie coś niecoś przypomnieć. Nie mogłam spać. Śniły mi się koszmary. W snach Enrico mieszał mi się z Antoniem. Wstałam skoro świt i pojechałam na rowerze polną drogą do tamtej bramy prowadzącej na posesję Sergrana. Jadąc drożyną, nieświadomie ominęłam blokadę na drodze. Malowało mi się świetnie, szkic gonił szkic, promienie słoneczne drżały rozproszone przez liście drzew budujących tamtą aleję. Nagle wpadłam na pomysł, że*

światło na końcu tego utworzonego z drzew tunelu wygląda jak wejście do nieba. Toskańskie wrota do nieba, pomyślałam, a może jeszcze dobitniej: Toskańskie wrota do rajów. W końcu nie każde niebo musi być rajem. No, przynajmniej ja tak uważam, chociaż zapewne inaczej głosi religia. W pewnym momencie mój mózg zarejestrował mimo woli, że na sąsiednim wzgórzu zatrzymał się jakiś samochód. Raz po raz patrzyłam w jego stronę. Jego obecność na tamtym wzgórzu wydawała się czymś nielogicznym. Z minuty na minutę ten stojący w pełnym słońcu samochód niepokoił mnie coraz bardziej... Jego obecność mnie rozpraszała. Nie pozwalała mi malować. Niepokój przerodził się w lęk. Uciekłam stamtąd w popłochu. Zachowałam się jak idiotka. Zatrzymałam się oparami jakiejś substancji chemicznej, która wylała się z przewróconej cysterny. Byłam parę godzin w szpitalu. Wczoraj były u mnie Francesca i signora Mornetti. Zachowywały się jak kopnięte albo mi te chemikalia plątały jeszcze zmysły. Wydaje mi się, że na koniec mówiły coś o Antoniu. Ta wiadomość nie dotarła do mojej świadomości. Trafiła na fazę zasypiania. Wydawała się ni to jawą, ni snem. Jak to one mówiły? Powiedziały, że Antonio ponoć nie żyje... Nie żyje?! Zerwałam się na równe nogi. Jak to: nie żyje?! Zapukałam do signory Mornetti. Drzwi otworzyły się natychmiast. Chwilami mam wrażenie, że ona cały czas wisi z okiem przy judaszu albo stoi ze szklanką przyłożoną do ściany, nasłuchując wszystkich, nawet najcichszych dźwięków dochodzących z mojego mieszkania.

- O, żyjesz! - ucieszyła się. - Wyglądasz dużo lepiej. Nie

*jesteś już taka czerwona. Nawet opuchlizna ci zesła... - Przyglądała mi się uważnie. Jej wzrok ślizgał się po mojej twarzy. - Wyglądasz zupełnie normalnie. Trochę szkoda - powiedziała rozczarowana. - Pytałam wczoraj syna, jak faceci odbierają kobiety z dużymi ustami. Powiedział, że kobiety z dużymi, jędrnymi ustami są równie ponętne jak te z jędrnymi pośladkami, a połączenie dużych, wyrazistych warg z okrągłymi, twardymi pośladkami jest czymś doskonałym. Pomyślałam sobie, że będziesz miała jeszcze większe wzięcie. No trudno, nie można mieć wszystkiego. Zjesz coś?*

*- Czy ktoś umarł?*

*- Dlaczego pytasz?*

*- Słyszałam dzwony - skłamałam.*

*- Dzwonów nie słyszałam - stwierdziła sceptycznie signora Mornetti - ale podobno nie żyje Sergrano. Mówili o tym wczoraj wieczorem w radiu. Musiał pewnie wyjść na spacer. On ponoć często spacerował z psem. Chmura tych oparów dopadła go na wzgórzu, na lewo od jego domu. Dopadła, gdzie dopadła, ale do tego wzgórza doszedł. To wzgórze nosi nazwę Lawendowe Uroczysko. Nazwa trochę nietrafiona, choćby dlatego, że od ponad dziesięciu lat nie rośnie tam lawenda, a lasu w tym miejscu chyba nigdy nie było. Pal licho, nieważne. A więc znaleziono jego ciało na Lawendowym Uroczysku - wróciła do tematu. - Piękne miejsce na umieranie. Nie mógł chyba narzekać. Nie każdy ma takie szczęście...*

*- Nie każdy - powtórzyłam za nią bezmyślnie. - Zatrul się*

*oparami tego świństwa?*

*- Ponoć... - odpowiedziała dwuznacznie signora Mornetti.*

*- Pani w to nie wierzy?*

*- Dlaczego pytasz? - prychnęła. - Wierzę. Tak stwierdziła policja. Mój syn jest policjantem. Z policją nie należy dyskutować. Oni wiedzą wszystko najlepiej i zawsze mają rację.*

*- Co do tego, że zawsze mają rację, to nie ma wątpliwości. Z nimi jest tak jak z szefem. Szef i policjant zawsze mają rację. Powiedziała pani, że Sergrano nie żyje. Żartowała pani?*

*- Na temat śmierci nigdy nie żartuję - zaprzeczyła tak gwałtownie, że papiloty na jej głowie podskoczyły radośnie. - Ten temat całe życie traktuję bardzo poważnie. To znaczy z należyтым szacunkiem. Tak mnie wychowano w moim rodzinnym domu.*

*- Powiedziała pani, że zginął ponoć od tych oparów. Ma pani jakieś wątpliwości?*

*- Ty byłaś dużo bliżej i żyjesz... - powiedziała niepewnie. - Porzygałaś trochę, pobolała cię głowa, pospałaś trochę dłużej, nie mogłaś utrzymać pionu. Byłaś czerwona i spuchnięta... W sumie nic wielkiego. Zachowywałaś się tak, jakbyś się naćpała. Dzisiaj nie ma już po tym wszystkim nawet śladu. Przeszło ci, a on nie żyje. Był jeszcze taki młody. Zawsze wyglądał zdrowo. To wydaje mi się jakieś nielogiczne.*

*- Może rolę odegrał jakiś niekorzystny wiatr? Otwarta przestrzeń? Upał? - próbowałam rozwiąć pytaniami własne wątpliwości.*

- Może - burknęła na odczepnego.

- A jednak nie jest pani do tego przekonana. Ma pani wątpliwości.

- Nie mam wątpliwości - warknęła nieprzyjaźnie. - Nie mam prawa do wątpliwości... Policja stwierdziła zgon z powodu zatrucia oparami tamtych chemikaliów.

- A pani myśli inaczej?

- Myślę, jak myślę. To moja prywatna sprawa. Chcesz coś zjeść? - zmieniła temat. Nagle tym pytaniem zakończyła naszą rozmowę na temat śmierci Sergrana. - Wczoraj wieczorem zajrzałam do twojej lodówki. Nic tam nie masz. Wychudniesz, zbiedniejesz, stracisz talent i nawet cię już nikt nie przeleci. Faceci nie lubią nadmiernie chudych. Źle się leży na kościach, źle się kości przytula. Kobieta musi mieć kształty... Przynajmniej w piersiach i biodrach musi być przyjemnie krągła... Chociaż jeszcze zapomniałam o udach - dodała pospiesznie. - Faceci lubią, kiedy są mile owalne.

Nie chciałam nic jeść. Nie chciałam się niczego napić. Pojechałam do najbliższego sklepu kupić lokalną gazetę. Brukowce kochają śmierć, romanse, rozwody, stypy, pogrzeby, urodziny, afery towarzyskie i aktualności z giełdy. Na ludzkich emocjach najprościej jest zrobić kasę, a już najlepiej zbija się ją na ludzkim nieszczęściu. Już na pierwszej stronie zobaczyłam duże zdjęcie Antonia z dopiskiem: „Ceny wina rosną błyskawicznie, a za butelkę sławnego limoncello trzeba zapłacić w Certaldo sto euro... Nie będzie już wina Sergrana z nowych zbiorów. Antonio Sergrano nie żyje...”. Na zamieszczonym poniżej zdjęciu

zobaczyłam miejsce zgonu - Lawendowe Uroczysko - i raptem poczułam serce w gardle. Kurwa! W poniedziałek byłam sto metrów od tego miejsca, rysowałam wjazd na posesję Antonia. Nikt nie wychodził przez tamtą bramę. Pomiedzy piątą rano a czternastą nie wychodził przez tę bramę żaden człowiek. Przez te dziewięć godzin nie kręcił się tam nikt, nie tylko przy bramie, ale w całej okolicy, dobrze widocznej z miejsca, w którym siedziałam. Na pewno nie spacerował tam Antonio. Nie widziałam żadnego psa. Jediną rzeczą, która przykuła moją uwagę, był stojący na Lawendowym Uroczysku samochód. Musiałam dziwnie wyglądać, łapiąc nerwowo powietrze i próbując siłą woli zwolnić szybkość pracy mojego serca. Sprzedawca raz po raz rzucał w moją stronę coraz uważniejsze spojrzenia.

- Coś nie tak? Słabo ci, mała? Może chcesz szklanke wody? - Jego głos jakimś cudem przebił się przez szum w moich uszach.

- Nie, dziękuję - skłamałam. Z trudem udało mi się zapanować nad drżeniem głosu.

Wyszedł z za lady. Postawił przed mną szklanke wody. Woda musiała pochodzić z lodówki, bo ścianki szklanki natychmiast pokryły się rosą. Wypiłam ją duszkiem. Pomogło. Serce na chwile zwolniło, a świat przed oczami przestał wirować. Pomyślałam, że zrobiło mi się słabo przez to zatrucie. Bo przecież nie przez śmierć Sergrana...

- Aż tak cię przeraziła śmierć Sergrana? - zapytał młody mężczyzna sprzedający w kiosku.

- Śmierć Sergrana? Nie, skądże - skłamałam

pospiesznie. W myślach szukałam jakiegoś wykrętu. – Zastanawiam się tylko, co stało się z psem Sergrana? – powiedziałam bez sensu.

– Z jakim psem? – spytał z zainteresowaniem.

– Słyszałam, że ponoć zginął w trakcie spaceru z psem...

– Nie wiem, nie napisano o tym w tej gazecie ani w żadnej, którą zdążyłam przeczytać.

– Ludzie tak mówią...

– Ludzie mówią różne rzeczy. Taka już jest ludzka natura. Ostatnimi czasy dużo się u nas mówiło o Sergranie. O psie nic nie wiem. Nawet nie wiedziałem, że miał psa. Nie znałem bliżej faceta. Parę razy kupował u mnie gazety... Czy ten pies jest dla ciebie taki ważny? – spytał zdziwiony.

– Lubię zwierzęta...

– Ja też, nawet bardziej od ludzi, nie są zakłamane.

Spojrzałam na niego, a on w jednej chwili zamilkł.

– Nie tylko miejscowe gazety rozwodzą się na temat Sergrana – odezwał się po chwili. – Tu masz gazetę z San Gimignano. Poświęcono mu mnóstwo miejsca na tytułowej stronie. Sergrano miał tam parę sklepów.

– Powiedziałaś, że ostatnio dużo się mówiło o Sergranie.

– Nawet bardzo. Mnie nie zaskoczyła jego śmierć. Myślę, że to musiało się tak skończyć. Ta śmierć jest konsekwencją wielu wcześniejszych wydarzeń... Należy do pewnego ciągu. Jest końcem długiej historii, której nikt na razie nie rozumie.

Gazeta z San Gimignano niewiele się różniła od poprzedniej. Wielka płachta podłego gatunku papieru, brudząca palce czarnym tuszem, z podłej jakości nieostrymi

zdjęciami, nazwana przez przypadek gazetą. Na pierwszej stronie rzucał się w oczy olbrzymi tytuł: „Ciąg dalszy klątwy wiszącej nad rodziną Sergrano. Antonio Sergrano nie żyje”.

- Usiądź przy stoliku! Podam kawę. Mam jeszcze wiele innych newsów w tej sprawie.

Brukowiec gonił brukowiec. Kawa nie chłodziła emocji. Serce biło jak oszalałe. Policzki paliły mnie z niezdrowej ciekawości. Tytuły się przekrzykiwały. Niewiadoma gonila niewiadomą, tajemnica pędziła za tajemnicą, skandal za skandalem, śmierć za śmiercią. Każdy artykuł dorzucał coś nowego. „Kurde, ja to mam pecha w życiu” – pomyślałam. „Że też musiałam spotkać na swojej drodze Antonia Sergrana”. Sensacja gonila sensację. Sergrano przyjechał przed laty do Fiano w towarzystwie swojej dopiero co poślubionej żony. Alessandra Sergrano należała do kobiet, które swą urodą przykuwają wzrok wielu ludzi. Miała długie, jasne, sięgające do pośladków włosy, lazurowe jak włoskie niebo oczy, ciepły sposób bycia, wyważony styl ubierania się. Piękna, układna, ciepła, wzbudzała powszechną sympatię. Alessandra i Antonio obejrzeli razem mnóstwo domów i posiadłości w okolicach Fiano. Szukali czegoś na stałe. Wybrali dla siebie ten dom położony na wzgórzu, do którego prowadziła cienista aleja. Obok wzgórza, na którym stał, było jeszcze wiele innych wzgórz, wśród nich również to z Lawendowym Uroczyskiem. Alessandra Sergrano zginęła w wypadku samochodowym. Zasnęła w niewyjaśnionych okolicznościach, prowadząc samochód z szybkością ponad stu czterdziestu kilometrów na godzinę na trasie szybkiego ruchu łączącej



Sienę z Florencją. Sprawa wydawała się dość dziwna, bo ofiara na trzy minuty przed wypadkiem rozmawiała przez telefon z mężem, do wypadku doszło w godzinach przedpołudniowych, a warunki meteorologiczne były doskonałe. We krwi denatki nie stwierdzono alkoholu, leków ani narkotyków. Nie stwierdzono niczego, co mogłoby spowodować nagłe zaśnięcie. We wraku samochodu nie znaleziono żadnych usterek, które sugerowałyby przyczynę techniczną tego wypadku. Naoczny świadek zeznał, że samochód z dużą szybkością uderzył w barierkę oddzielającą dwa pasy drogi, wpadł w poślizg, przeokoziłkował i dachował w rowie około stu metrów dalej. Świadek, który jechał sąsiednim pasem, miał wrażenie, że siedząca za kierownicą kobieta nie reagowała na wydarzenia, siedziała bez ruchu. Twierdził, że po jej twarzy nie przebiegł żaden grymas strachu, że się lekko uśmiechała. Stąd powstało przypuszczenie, że do wypadku doszło w wyniku zaśnięcia. Antonio Sergrano pomimo śmierci żony nie zmienił wcześniejszych planów. Po paru miesiącach wrócił w okolice Fiano i kupił wybraną przez nich posiadłość z dużą winnicą i gajem oliwnym. Zajął się produkcją wina i limoncello. Pomimo że w okolicy jest dużo winnic, produkowane przez niego chianti stawało się z roku na rok coraz bardziej poszukiwane. Z roku na rok rosły też ceny trunku pochodzącego z winnic Sergrana. Antonio dokupił kolejne winnice. Zatrudnił kolejnych ludzi. Produkcja rosła, sprzedaż się zwiększała. W ubiegłym roku sprzedawano ponad pięćdziesiąt tysięcy butelek chianti z winnic Antonia. W ciągu

paru lat Sergrano wielokrotnie zwiększył swoją fortunę. Przed dwoma laty przyjechała do niego w odwiedziny siostra. Właśnie skończyła studia w Stanach. Chciała zostać w Toskanii na dłużej. Zginęła dwa tygodnie później, spadając z konia w trakcie pokazów skoków we Florencji. Nie byłoby w tym może nic zastanawiającego, gdyby nie to, że poniósł ją koń, który nigdy nie ponosił. Później zmarł brat Sergrana. Ponoć od paru lat nie utrzymywał kontaktu z rodziną, nie był nawet na pogrzebie siostry. Mieszkał w Paryżu. Któregoś dnia, zupełnie niespodziewanie postanowił przyjechać do brata. Zginął w drodze z lotniska do domu Sergrana, uderzając w stado saren przebiegających przez drogę. Klątwa ścigała nie tylko członków rodziny Antonia. Sam Sergrano ledwie uszedł z życiem z pożaru swej posiadłości latem ubiegłego roku. Przyczyny pożaru nie udało się ustalić. Ogień pojawił się w środku nocy, drzwi od domu się zablokowały, Antonio uratował się, skacząc z tarasu. Blokadę drzwi wyjaśniono błędem systemu ochrony budynku, który zamiast włączyć zainstalowane we wszystkich pomieszczeniach czujniki dymu, zablokował drzwi wyjściowe i wszystkie rolety antywłamaniowe. Ponoć ogień rozprzestrzenił się od kominka, chociaż sam Antonio twierdził, że latem w kominku nigdy nie rozpala. Ponieważ drzwi były zablokowane i nie stwierdzono żadnych cech włamania, to przyjęto ostatecznie wersję, że od instalacji elektrycznej zapaliło się zgromadzone w kominku drzewo, ogień objął też stojące w niedalekiej odległości od kominka regały z książkami i zaczął się roznosić w błyskawicznym

*tempie po całym domu. Wytłumaczenie wydawało się bardzo naciągane, ale niespodziewanie sam Antonio zaczął nalegać na zakończenie śledztwa. Twierdził, że to dochodzenie nikomu nie jest potrzebne. Ludzie mieszkający w okolicy coraz częściej opowiadali o klątwie wiszącej nad rodem Sergrano. Od Antonia zaczęto stronić, ale jego wino kupowano jeszcze chętniej. W ubiegłym roku sprzedał najwięcej chianti w całej Toskanii. Przed paroma miesiącami zaginął Marco Rossoni, restaurator z Rzymu i dobry znajomy Sergrana jeszcze ze szkolnych lat. Widywano ich razem. Rossoni często odwiedzał Fiano. Przyjeżdżał ponoć w interesach. W listopadzie ubiegłego roku wyszedł na spacer z posiadłości Antonia i już nie wrócił. Przepadł jak kamień w wodę. Jego zwłoki znaleziono wczesną wiosną podczas czyszczenia przydrożnych rowów... Ponoć był to nieszczęśliwy wypadek, ponoć przechodząc przez kładkę, potknął się, a wpadając do rowu, uderzył głową o kamień... Makabra, że też musiałam poznać tego Antonia, do tego na dzień przed jego śmiercią. Kurde, ja to mam zezowate szczęście.*

*\*\*\**

*Środa po południu*

*Widziałam tamten samochód. Wyszłam z kiosku i on przejechał tuż obok mnie. W pierwszej chwili wydawało mi się, że stał przy krawężniku i ruszył w momencie, kiedy znalazłam się na chodniku. Jechał powoli, jakby komuś zależało na tym, żebym zwróciła na niego uwagę. Przez*

boczną szybę nie można było zobaczyć twarzy kierowcy. Może i lepiej, że nie było jej widać. Na szybie naklejona była jakaś kartka. Czarne litery odcinały się wyraźnie od białego tła. Nie starałam się tego przeczytać. Co mnie może interesować jakiś głupi napis naklejony na boczną szybę jakiegoś samochodu. „Pierniczę to wszystko” – pomyślałam. „Żadnych gówien, żadnego mieszania się w nie swoje sprawy! Nic mnie to nie obchodzi. Ja nie jestem stąd. Nie obchodzą mnie miejscowe układy”. Klątwa? Oni tu wszyscy są chyba zdrowo popierniczeni. Samochód sunął powoli, majestatycznie skręcił w drugą przecznicę po lewej stronie. Odwróciłam się i wpadłam na Francescę. Że też bywają takie pechowe przypadki! Tym razem to nie była ta grzeczna wersja Franceski. Skąpe szorty nie przykrywały do końca pośladków. Wysokie szpilki wydłużały i tak już niewyobrażalnie długie nogi, a bluzka z cienkiej przezroczystej tkaniny uwidaczniała sterczące zalotnie brodawki jej piersi. Sprawiała wrażenie, jakby przed chwilą przestała się z kimś kochać, a nabrzmiące piersi nie zdążyły jeszcze ochłonąć. Czyżby Enrico dzisiaj nie pracował? Całość uzupełniał czarny kapelusz, zawieszony za dekolt bluzki czarne okulary i mała czarna torebka, którą trzymała w ręku. Wszystko było w tonacji kości słoniowej i czerni. Wyglądała zarówno elegancko, jak i wyzywająco, czyli zgodnie z założeniami lansowanej przez nią mody. Według Franceski moda ma być wyzywająca, ma być elementem gry wstępnej kończącej się wcześniej czy później okrzykami rozkoszy w łóżku. Według niej całe życie kręci się wokół zmysłowości,

pożądania i seksu. Każdy element ubioru ma podkreślać zmysłowość, być dobrze dobranym szczegółem idealnie pasującym do całości. Makijaż i fryzura muszą dokładnie pasować do sukienki, butów, lakieru na paznokciach oraz szczegółowo przemyślanych dodatków. Tak wymodelowana postać potrafi, według Franceski, całą sobą wykrzyzczyć swoje potrzeby, chęci, marzenia, oczekiwania i erotyczne fantazje. Teraz też jej ciemne włosy wkomponowały się w ten wizerunek i w naturalny sposób tworzyły z resztą idealnie zharmonizowaną, ponętą, pobudzającą wyobraźnię całość. Całą sobą krzyczała, że właśnie się kochała i chce się jeszcze kochać. Ciekawe, czy ten strój należał do jej najnowszej kolekcji, czy takie ciuchy będą nosiły dziewczyny latem i jesienią tego roku.

- Spadłaś mi z nieba! - zaczęła bez żadnego wstępu. - Musisz mi pomóc! - Zabrzmiało to jak rozkaz. - Jutro mija ostatni dzień przesyłania zdjęć z propozycjami do tegorocznej kolekcji. Najpóźniej jutro rano muszę wysłać swoje projekty do katalogu „Moda”. Muszę zdążyć. W innym wypadku w tym roku światem rządzić będzie stary brąz zmieszany ze wściekłym kolorem pomarańczy, nudne sukienki i pozbawione wdzięku szerokie spodnie, bluzki ze zgrzebnego płótna i nudne sweterki. Będziemy nosić odzież, która nie pobudza wyobraźni i nie podnieca, która jest jak jesień, niby jeszcze piękna, ale już zapowiadająca nadchodzące bezpłodne, zimne miesiące.

- No to działaj! - palnęłam bez zastanowienia, zaskoczona jej nagłą wylewnością. - Ja śmigam do domu. Też

*muszę trochę popracować...*

*- Pomyśl, żądze zmaleją, spadnie liczba spłodzonych latem dzieci, pogłębi się niż demograficzny - paplała bez sensu. - Nie będzie miał kto płacić w przyszłości na twoją emeryturę, a wszystko tylko przez to, że nie chce ci się poświęcić dzisiejszego popołudnia dla ratowania ludzkości.*

*- O czym ty pierniczysz? - Nic nie mogłam zrozumieć z tych jej wywodów.*

*- Rozchorowała mi się modelka. Mówiąc szczerze, to już od paru dni jest chora... Liczyłam na to, że poczuje się lepiej, że jeszcze zdążymy. Przyszła nawet dzisiaj na zdjęcia... Nie nadaje się. Wygląda koszmarnie. Pomyślałam sobie, że ty możesz ją zastąpić - dokończyła nieoczekiwanie.*

*Wpadłam w bezdech - ja i prezentowanie mody to jak połączenie impresjonizmu z kubizmem. Nijak do siebie nie pasujemy.*

*- Nie nadaję się na modelkę. To zupełnie nie dla mnie...*

*- Nadajesz się. Nawet bardzo - próbowała mnie przekonać. - Dziwię się, że wcześniej na to nie wpadłam. Za długo się znamy. To stępia zmysły. Ty się ostatnio zmieniłaś. Stałaś się bardzo zmysłowa. Jesteś zupełnie inna niż na studiach. Niesamowita zmiana...*

*- Sesje zdjęciowe to nie moje klimaty - przerwałam jej. Przestraszyłam się sama własnych myśli. To, co mówiła Francesca, zaczęło mnie coraz bardziej intrygować.*

*- E tam, nie wiesz, co mówisz. Pomyśl, ty w moich ciuchach i rozkochany w tobie facet. To będzie rewelacja. Czysty erotyzm. Raj dla wszystkich zmysłów. Zrobimy sesję*

w studio u Paola... Odpowiednie tło, trochę romantycznej muzyki i wy dwoje. Będzie bomba! Wcześniej wpadniemy do Anett. Nowa fryzura, dobry makijaż... Moje ciuchy będą się na tobie cudownie prezentować.

Że też ja się na to zgodziłam. Niech to szlag trafi! Popołudnie spędzone z Enrikiem i znowu wróciły zapomniane żądze.

Nigdy by mi wcześniej nawet przez myśl nie przeszło, że się na to zgodzę. Ja jako modelka w sesji zdjęciowej kolekcji mody Franceski, do tego z Enrikiem w roli rozkochanego we mnie faceta to coś, co jeszcze przed tygodniem nie mieściłoby mi się w głowie. Weszliśmy do pracowni. Enrico stał odwrócony tyłem do drzwi, zajęty rozmową z Paolem. Ubrany był w powycierane džinsy podtrzymywane przez szerokie szelki i w biały podkoszulek kontrastujący z ciałem opalonym wiosennym słońcem. Usłyszał nasze kroki. Odwrócił się gwałtownie. Po jego twarzy przemknęło coś na kształt zdziwienia. Nasze spojrzenia na chwilę się spotkały. Na moment zrobiło mi się gorąco. Ciemne, odrobinę zbyt długie, kręcone, mokre od żelu włosy, czarne oczy, których moje oczy nie potrafiły zapomnieć, ciemny zarost, który tak lubię. Przemknęło mi przez myśl, że moje ciało nadal lubi jego ciało, że nie udało się jeszcze mojemu ciału jego ciała zapomnieć. Sesja zdjęciowa trwała parę godzin. Było wiele sukienek, spodni, bluzek... Nie pamiętam poszczególnych kreacji. Nie miały dla mnie znaczenia. Zlały się w jeden przyjemny dotyk miękkich tkanin, które w różny sposób opinały moje ciało. Moje zmysły skoncentrowały się na Enricu. Mój cały świat

skurczył się tylko do niego. Zapamiętałam błyszczące oczy Enrica, dotyk jego rąk na moich pośladkach, opiętych przez jakieś zbyt obcisłe spodnie, jego dłonie unoszące moje włosy, ciepło jego oddechu na karku, jego usta na moich ustach... I pamiętam dźwięk migawki aparatu. Raz głośniejszy, raz cichszy, raz z bliska, raz z daleka. Pamiętam jeszcze moją dłoń w jego dłoni, moją głowę na jego ramieniu, jego usta przy moim uchu, ciepły oddech połączony z szeptem. „Uzależniłem się od ciebie. Uzależniłem się od twojego ciała”.

- Oni wyglądają jak kochankowie. - Usłyszałam szept Paola. „Jak kochankowie” - pomyślałam.

- Mówiłam ci, że to jest niepowtarzalna kolekcja i że to będzie niestandardowa jej prezentacja. W tym roku będzie się nosić odzież Franceski Roni - tryumfowała Francesca.

\*\*\*

Czwartek

Zbudził mnie chłód wdzierający się przez otwarte okno. Zawsze dziwiło mnie, że majowe poranki w Toskanii bywają tak chłodne. Firankę unosił podmuch chłodnego powietrza z zewnątrz. Nie pamiętałam, żebym zostawiła otwarte okno. Prawdę mówiąc, to niewiele pamiętałam. Byliśmy we czwórkę na kolacji - Francesca, Enrico, Paolo i ja. Oglądaliśmy zdjęcia, piliśmy wino. Szalone były te fotografie. Przesiąknięte erotyzmem. Czy to na pewno są moje zdjęcia? Ja, nie ja, jakaś zupełnie inna dziewczyna, ktoś, kogo jeszcze przed tygodniem nie znałam, ktoś, kogo poznałam dopiero w trakcie ostatniego weekendu. Wyzwolona, odważna,



*kusząca, momentami wyzywająca... Oszołomiona, zdziwiona, oczarowana, odkrywająca świat zmysłów... Zaskakująco piękna... Porządnie szumiało mi w głowie, kiedy Enrico odprowadzał mnie do domu. Mocne jest to chianti. Szalona jest ta ich Toskania. W uszach słyszałam jeszcze głos piosenkarza z tamtej tawerny. Serce biło mi w rytm ostatniej piosenki. Sandały trzymałam w ręku, bo zaczęły mi przeszkadzać w trakcie tańca. Przetańczyliśmy parę godzin. Nogi odmawiały mi już posłuszeństwa. Zastanawiałam się, czy zdołam wejść na pierwsze piętro do mojego mieszkania. Chłopak o ciepłej barwie głosu śpiewał piosenki o miłości. Śpiewał o miłości silniejszej niż śmierć... Nie słyszałam chyba nigdy żadnej włoskiej piosenki, która nie byłaby o miłości.*

*- Czy u was wszystkie piosenki są o miłości? - spytałam.*

*- Wszystkie. Przynajmniej te, które znam. Zostaję... - powiedział Enrico. To głośno powiedziane „zostaję” było chyba nie do mnie, a bardziej do szpary w drzwiach mieszkania pani Mornetti. - Zostaję... - powtórzył, kiedy znaleźliśmy się w środku mojego mieszkania. Tym razem to było wyraźnie do mnie.*

*- A Francesca? - próbowałam uciszyć swoje sumienie, rozproszyc wątpliwości. Choć przez moment być wobec Franceski lojalna.*

*- Co Francesca? - spytał zdziwiony.*

*- Co powie na to Francesca?*

*- Nic. Przecież jej to nie przeszkadza...*

*- Mówisz, że nic? - próbowałam się upewnić.*

*- Nic, możesz być pewna - próbował rozwiązać moje*

wątpliwości. - Francesca wsiadła z Paolem do taksówki. Pojechali do niego. Już przy kolacji iskrzyło między nimi. Jakby mogli, zaczęliby się kochać już po zjedzeniu przystawki. Oni lubią się od dawna. Artyści. Świat pełen jest różnych artystów. Ona projektuje modę, on robi artystyczne zdjęcia. Przed rokiem w San Gimignano była wystawa jego fotografii... Wystawa miała tytuł Czysty erotyzm... Francesca pozowała do jego zdjęć. Była jego żoną. Podczas przygotowywania zdjęć do wystawy poznali się jeszcze bliżej. Francesca mówi, że w ich znajomości nie ma żadnych emocji. Jest tylko czysty erotyzm i seks - mówił obojętnym głosem, jakby jego to w ogóle nie dotyczyło, jakby opowiadał o kimś zupełnie obcym.

- A więc mówisz, że jej nie przeszkadza, że zostaniesz u mnie na noc?

- Nie przeszkadza.

To niby nic nieznaczące „nie przeszkadza” wystarczyło mi, żeby tę noc dopisać do listy nocy spędzonych w ramionach Enrica.

\*\*\*

Sobota po południu

Nie wiem, co napisać. Dzieje się coś, czego nie rozumiem. Dzieje się mnóstwo rzeczy, których nie potrafię sobie wytłumaczyć. Dziwią, zaskakują, coraz bardziej niepokoją, momentami przerażają, powodują, że nie potrafię przestać o nich myśleć, że prześladują mnie w dzień i straszą w nocy. Wyszłam na idiotkę. To ponoć był syrop malinowy, którym

raczyliśmy się z Enrikiem w łazience. Nie pamiętam. Wypiłam wtedy stanowczo za dużo alkoholu, żeby to pamiętać. Pustą butelkę zobaczyłam dopiero później. Stała na stole w kuchni. Obok niej stały ubrudzone sokiem szklanki. Zbudził mnie chłód wdzierający się do sypialni przez otwarte okno. Wstałam po cichu, nie chciałam obudzić Enrica. Weszłam do łazienki i zamarłam w bezruchu. Wszędzie była krew. Była na podłodze, w kabynie prysznicowej, ściekała strużkami po kremowych kaflach. Była na ręcznikach rzuconych na podłogę. Zdziwiła mnie. Zaskoczyła. Była czymś irracjonalnym i niezrozumiałym, jak teatralna dekoracja do przedstawienia, które się jeszcze nie odbyło. Jak preludium czegoś, co nastąpi. Nie krzyknęłam, bo z przerażenia głos zamarł mi w gardle. Stałam jak sparaliżowana, nie mogąc oderwać wzroku od strużek spływających po tafli lustra. Nie pamiętałam, żebym otwierała tamto okno. Czy otwarte na oścież okno miało coś wspólnego z tą rzezią w łazience? To nie była krew, tylko sok malinowy, który ponoć przyniosła nam wieczorem pani Mornetti. Mówiła, że zrobiła go sama zgodnie z jakąś rodzinną recepturą, ponoć przekazywaną z pokolenia na pokolenie od ponad trzystu lat. Nawet nie pamiętałam, że go piliśmy. Chyba za mocno szumiało mi w głowie wypite przy kolacji chianti. Od tego wszystko się zaczęło. Najpierw ta łazienka, a później było już tylko coraz gorzej. W piątek po południu mieliśmy spotkanie w wydawnictwie. Enrico przywiózł zebrane materiały. Długo i burzliwie dyskutowali o nich z Albertem. Ponoć nie wszystko się nadawało. Enrico za bardzo wchodził w prywatność ludzi.

*Dyskusja przerodziła się w awanturę. Kłócili się zażarcie. Atmosfera w okamgnieniu stała się nie do zniesienia. Enrico nie chciał ustąpić. Alberto był coraz bardziej wściekły. Nie przebierali w słowach. Nie ukrywali emocji.*

*- To moje wydawnictwo - syczał Alberto. - Ja decyduję! Nie mam ochoty, żebyś zrujnował ten interes. To jest genialny pomysł. Niekończące się źródło dochodów... Aktualizacje. Nowe wydania... Coraz większy i większy nakład. Tłumaczenia... Wielotysięczne nakłady w wielu językach... - Nakręcał się z minuty na minutę coraz bardziej.*

*- Przesadzasz... - Głos Enrica zabrzmiał sceptycznie.*

*- Zasady są jasne i proste. Znasz je od początku. Nawet idiota jest w stanie je zrozumieć. Nie pozwolę, żebyś jakimś wyjątkiem zniszczył mój interes.*

*- Czepiasz się - warknął Enrico. - Ja dużo ryzykuję, zbierając te informacje. O wiele więcej od ciebie... Korzystam z moich dawnych kontaktów. Każdego dnia powiększa się rzesza moich wrogów...*

*- Każdy ma wrogów... Miałeś ich od zawsze, a właściwie to od czasu, kiedy pracowałeś w policji. Nikt nie przepada za glinami, a szczególnie tymi z obyczajówki.*

*- Do starych wrogów przywykłem. Nowi mnożą mi się każdego dnia.*

*- Za nowych wrogów solidnie ci płacę. Rekompensuję ci wszystko. Masz nawet premię za tak zwane straty moralne.*

*- Ten facet jest inny. On chce, żebym ujawnił prawdę.*

*- Bzdura! - Alberto uderzył dłonią w leżący przed nim papier. - On nie wie, co mówi, i ty musisz mu to uświadomić!*

*Nie wij się jak piskorz, tylko działaj! Nie bądź miękką butą! Piszesz, że właściciel jednego z najbardziej znanych w Europie bajkowych ogrodów był przed zaledwie kilku laty pedofilem. Odsiedział wyrok i po odsiadce wpadł na pomysł wybudowania ogrodu bajek dla dzieci. Z roku na rok rośnie popularność tego obiektu. Ogród odwiedzają coraz liczniej rodziny z małymi dziećmi. Jeżdżą tam wycieczki szkolne. Odbywają się tygodniowe turnusy dla matek z dziećmi. Facet zaczynał od paru nędznych domków na kilkunastu arach. Sukcesywnie skupuje ziemię od okolicznych chłopów. Jego ogród rozrósł się do kilkudziesięciu hektarów. Każdego roku buduje nowe obiekty. W ubiegłym roku miał około stu tysięcy zwiedzających. Interes kwitnie. Ogród się rozwija. Ma łeb do interesów. Wszystko się super kręci, a ty mówisz, że on chce, żebyś napisał w przewodniku, w rozdziale poświęconym ciekawostkom z regionu, że był pedofilem? Pieprzysz jakieś bzdury! Gadasz głupoty! Dałeś mu się omamić. Co się dzieje z twoimi jajami?*

*- Ponoć to psychoterapeuta w więzieniu podpowiedział mi taki sposób resocjalizacji. On traktuje to jako pokutę za dawne grzechy - powiedział spokojnie Enrico.*

*- Pokutę za grzechy? Szkoda, że moje grzechy są za małe i nie zasługują na taką pokutę. Ta pokuta wspaniale przekłada mu się na niebywałą kasę.*

*- On traktuje tę kasę jako efekt uboczny swoich działań.*

*- I ty w to wierzysz?*

*- Wybudował przedszkole, wspiera hospicjum dla dzieci, pomaga rodzinom dzieci cierpiących na raka... - Spokojny*

*głos Enrica doprowadzał i tak już wzburzonego Alberta do coraz większej frustracji... Alberto wstał gwałtownie i zaczął szybkim krokiem przemierzać odległość dzielącą drzwi od biurka. Miotał się w tej małej przestrzeni tam i z powrotem.*

*- Ten psychoterapeuta musiał być kopnięty - powiedział nieoczekiwanie. - To tak, jakby erotomana wpuścić do burdelu i kazać mu patrzeć, jak inni się kochają na jego oczach. Ten terapeuta to musiał być jakiś niezły oszołom. Po prostu skończony idiota. Świat pełen jest nieobliczalnych psychopatów...*

*- Nie wiem, nie znam się na psychoterapii - powiedział beznamiętnie Enrico. W obliczu furii Alberta jego spokojny głos był czymś nienaturalnym.*

*- Nie musisz się znać na psychoterapii. Do niczego ci to nie jest potrzebne. Wystarczy, że się odrobinę zastanowisz... Tu wystarczy mieć trochę oleju w głowie - mówił coraz głośniejszemu Alberto. - Nie udawaj, że tego nie rozumiesz.*

*- Nie rozumiem.*

*- Czego nie rozumiesz? - Alberto był coraz bardziej zdenerwowany. - Czego ty tu, do jasnej cholery, nie rozumiesz?! To jest jasne jak słońce. Taka wiadomość w przewodniku zniszczy tego faceta, nawet jeżeli przeszedł skuteczną resocjalizację. Liczba zwiedzających spadnie do zera. Żaden rozsądny rodzic nie puści tam swoich dzieci. Czy ty byś pozwolił, żeby twoje dzieci tam pojechały?*

*- Nie muszę się nad tym zastanawiać. Nie mam dzieci - burknął po nosie Enrico.*

*- Ten Bajkowy Ogród padnie... Facet zbankrutuje.*

- On uważa inaczej.
- Gównu tam uważa - warknął Alberto.
- Bo ja wiem... Ja myślę podobnie jak on - powiedział spokojnie Enrico. - Myślę, że zainteresowanie obiektem wzrośnie. Ludzka natura jest bardzo pokrętna. Zło przyciąga, podnieca, fascynuje... Pozwala ujrzeć siebie w lepszym świetle. Jest jak magnes. Zło ma cudowną moc przyciągania, o wiele większą niż dobro. Mogę się z tobą założyć, że liczba odwiedzających Bajkowy Ogród turystów wzrośnie.
- Facetowi noga się powinie i nas zniszczy...
- On uważa, że mu się to opłaci.
- W jakiś sposób może mu się to opłacić?
- Ta wiadomość zwiększy zainteresowanie Bajkowym Ogrodem.
- Brednie.
- Ciekawość to największa siła napędowa ludzkości.
- Nie rozumiem - rzucił zdezorientowany Alberto.
- Czego nie rozumiesz? Czy widziałeś w życiu wielu pedofilów?
- Chyba żadnego. Zresztą nie wiem.
- No właśnie, nie wiesz. A pewnie spotkałeś ich paru. A on ma odwagę się ujawnić. Jest pod tym względem wyjątkowy...
- Czy tobie, Enrico, coś się stało w głowę? Czyją ty trzymasz stronę? - Alberto nakręcał się z minuty na minutę coraz bardziej. Nagle z tak błahego powodu puściły mu nerwy. Podniesiony głos momentami przechodził w krzyk. - Kopniętego pedofila czy mojej firmy? Wobec kogo powinieneś

*być lojalny? Wobec obcego faceta czy wobec mnie? Wyrzucmy go z przewodnika! Nie musi być w przewodniku informacji o tym cholernym Bajkowym Ogrodzie. Nie chce z nami współpracować, to nie. Za rok, dwa przemyśli to. Jeszcze on będzie nas prosił.*

*Mój włoski okazał się za słaby, żebym mogła zrozumieć niuanse tej kłótni, żebym pojęła, co się kryje za dziesiątkami wykrzykiwanych słów, które w miarę jak wymiana zdań stawiała się coraz bardziej zażarta, coraz bardziej nabierały melodyki toskańskiego dialektu.*

*Przestałam ich słuchać. Mnie to nie dotyczyło. Coraz mniej z tego wszystkiego rozumiałam. Zajęłam się obserwowaniem psa biegającego po ogrodzie należącym do domu, który przylegał do budynku wydawnictwa.*

*- A ty, Karo, masz nowe rysunki? - wyrwał mnie z zamyślenia głos Alberta.*

*- Przygotowałam parę. Byłam w San Gimignano, zrobiłam parę szkiców we Florencji, namalowałam parę pejzaży...*

*- Słyszałem, że malowałaś bramę wjazdową do posiadłości Antonia Sergrana w dzień, kiedy zginął.*

*- Tak się jakoś pechowo złożyło - wycodziłam powoli. Nie wiem dlaczego, ale serce zaczęło mi szybciej bić. Coś nagle zaczęło mnie dusić w gardle. Wydawało mi się, że w pomieszczeniu raptem zabrakło powietrza. Czy ja się już nigdy nie uwolnię od rozmów o Sergranie? - Bywają takie fatalne zbiegi okoliczność - dokończyłam ciszej.*

*- Oczywiście, że bywają... - powiedział pogodnie Alberto.*



- Życie jest pełne zaskakujących zbiegów okoliczności, a już szczególnie jeżeli chodzi o Sergrana.

Rozpoczął od oglądania akwarelki, którą namalowałam na podstawie szkiców stworzonych tamtego dnia. Patrzył na nią długo. Przyglądał się jej bardzo uważnie. Drewniane półotwarte wrota, długa aleja utworzona przez dwa rzędy gęsto posadzonych drzew, których gałęzie spletały się jak ramiona, prześcigając się w drodze ku słońcu, nierówna, biegnąca ku górze kamienista droga i niespodziewanie, gdzieś tam, na końcu tego ciemnego, ponurego tunelu, widoczna jasna plama błękitu i słońca, jakby ta aleja prowadziła prosto do nieba.

- Toskańska droga do nieba - przeczytał tytuł na odwrocie. - Niesamowity zbieg okoliczności, że namalowałaś to właśnie tamtego dnia. Takie dziwne, niepowtarzalne zrządzenie losu. Nie wszystko da się objąć rozumem, dlatego my, Włosi, należymy do ludzi wierzących. Niezbadane są wyroki Boże. A ty, Karo, jesteś wierząca?

Nie odpowiedziałam od razu. Zaskoczyło mnie to jego pytanie. Nagle ktoś obcy zmuszał mnie do szybkiej weryfikacji czegoś, czego sama nie potrafię nazwać ani zrozumieć.

- Polacy są wierzący - odpowiedział za mnie pospiesznie Enrico. - Przecież wiesz, że Karolina jest Polką...

- Znałaś Antonia Sergrana? - Alberto podniósł wzrok, spojrzał na mnie uważniej.

Przez moment wydawało mi się, że ten wzrok przeszywa mnie na wylot. Zimne, wyplowiałe oczy przesuwwały się po

mojej twarzy. Zrobiło mi się gorąco.

- Pytałem, czy znałaś Antonia Sergrana? - powtórzył chłodno.

- Nie wiem, czy można tak powiedzieć... - Głos zadrżał mi ze zdenerwowania.

- Nie rozumiem. - Alberto nie spuszczał ze mnie oczu. Wlepił wzrok w moje usta i czekał. - Nie wiesz, czy go znałaś? - spytał z niedowierzaniem. - Coś kręcisz.

- Nasza znajomość ograniczyła się do tańca - zaczęłam się tłumaczyć. - Spędziliśmy godzinę na parkiecie. Odprowadził mnie później do stolika. Nie znałam go. Wiem tylko, jak tańczył.

„Nieprawda” - pomyślałam. „Wiem jeszcze wiele innych rzeczy. Wiem, że był o głowę ode mnie wyższy, że pachniał cedrem i miętą, że miał silne ręce i silne ramiona, ciepły głos, że tańcząc z nim, poczułam się jak ktoś wyjątkowy...”

- Ponoć dobrze tańczył. - Głos Alberta przebił się przez tamto wspomnienie. - Tak przynajmniej słyszałem. Ludzie często rozmawiają z sobą w tańcu...

- Milczeliśmy - odpowiedziałam pośpiesznie, żeby uprzedzić następne pytanie.

- Milczeliście? Dlaczego? - spytał lodowatym tonem. - To takie nienaturalne. To był ponoć bardzo elokwentny facet.

- Nie wiem. Nie rozmawialiśmy. Chyba oboje chcieliśmy tylko tańczyć. Są takie chwile, kiedy zupełnie nie chce się rozmawiać.

To mnie nie chciało się wtedy rozmawiać. Pamiętam doskonale. Czułam jeszcze dotyk dłoni Enrica na moim udzie,

*dreszcz rozkoszy, kiedy jego ręka muskała moją skórę. Mięśnie drżały mi ze zmęczenia po nocnych szaleństwach. Wzrok Enrica raz po raz ścigał mnie w tańcu. Francesca rzucała w naszą stronę badawcze spojrzenia. A ja w objęciach Sergrana poczułam się jak ktoś wyjątkowy.*

*- Szkoda, to był ponoć ciekawy facet - powiedział Alberto, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. - Szkoda, że tak szybko odszedł. On nie tylko tańczył dobrze... W piwnicy mam jego wino. Najbardziej tokański z tokańskich smaków, a podobno nie pochodził z Toskanii...*

*Nareszcie oderwał wzrok od mojej twarzy. Spojrzał na leżącą na stole akwarelkę.*

*- Akwarela jest rewelacyjna. Nareszcie wiem, za co ci płacę. Doskonała. Może trafi na okładkę. Tytuł też jest ciekawy. Toskańskie wrota do nieba. Można go będzie wykorzystać.*

*Odetchnęłam z ulgą. Skończyło się przesłuchanie. Temat mojej znajomości z Sergranem wydawał się zakończony. Alberto oglądał szkice i akwarelki.*

*- Ciemność zapadająca nad San Gimignano. Świetne. Oddaje urok i grozę tego miasta...*

*Wziął pierwszy szkic z Florencji i raptem goszczący wcześniej na jego twarzy uśmiech ustąpił miejsca zdziwieniu.*

*- Odważne - powiedział po chwili. - Nie wiem tylko, czy nie za bardzo.*

*„O czym on mówi, do diabła?” Zrobiłam parę szkiców z Florencji. Na jednym z nich jest Ponte Vecchio - najstarszy most we Florencji. Ma w sobie coś niezwykłego, jakiś*

*niepowtarzalny urok. Trzy przęsła, każde o rozpiętości około trzydziestu metrów, oparte są na masywnych filarach, z których dwa znajdują się w nurcie rzeki. Nad dwiema skrajnymi arkadami mostu wzniesiono niewielkie budynki, które z daleka wyglądają jak pudełka zapalek doklejone do konstrukcji mostu. Nigdy wcześniej nie widziałam mostu, do którego doklejone byłyby krzyczące kolorami domki. Ma to w sobie coś niepowtarzalnego.*

*- Musisz to zmienić. - Głos Alberta zabrzmiał szorstko. - Szkic dobry, ale ci wisielcy... Skąd przyszedł ci do głowy taki pomysł?*

*- Wisielcy? - powtórzyłam za nim bezwiednie. - Jacy wisielcy? Pan chyba żartuje!*

*Na położonym na stole rysunku pomiędzy filarami mostu, na środkowym przęśle kolebały się na wietrze trzy trupy powieszonych mężczyzn. To nie był koniec. Każdy szkic zrobiony we Florencji przynosił nowe sensacje. W ogrodach Boboli obok kolorowych dziecięcych piłek turlały się w dół po ścieżkach poobcinane głowy. Centralną postacią fontanny na Piazza della Signoria nie był Neptun, a płonąca jak pochodnia kobieta. Spuszczona ręka Dawida Michała Anioła trzymała ociekający krwią ludzki skalp.*

*- Ja tego nie narysowałam...*

*- Nie ćpaj, jak malujesz! - warknął Alberto. - Musisz to wszystko poprawić! Twoje prywatne sprawy mnie nie interesują, ale one nie mogą rzutować na twoją pracę.*

*\*\*\**

Poniedziałek

Obejrzałam te szkice parę razy. Kreska wygląda jak moja, ale ja tego przecież nie narysowałam. No, w każdym razie tego faktu nie pamiętam. Nawet nie wiem, kiedy mogłabym to zrobić. Ostatni raz siedziałam nad tymi szkicami z Florencji przed tygodniem. Później już do nich nawet nie wracałam. Wczoraj im się nie przyglądałam. Wrzuciłam je do teczki ze wszystkimi innymi szkicami i akwarelami. Może faktycznie piję za dużo chianti? Za mało sypiam? A może mam zbyt bujną wyobraźnię – widzę rzeczy, których nie ma, słyszę słowa, których nikt nie mówił, robię rzeczy, których nie pamiętam? Poszłam wczoraj jeszcze raz do tamtego kiosku. Chciałam kupić te wszystkie gazety z artykułami o Sergranie. Ten temat nie przestawał mnie prześladować. Tamtego sprzedawcy nie było. Zastępująca go dziewczyna poinformowała mnie sucho, że niesprzedane gazety podlegają zwrotowi. Nie miała już żadnych gazet sprzed pięciu dni, żadnych dzienników, w których byłoby cokolwiek o Sergranie. Szkoda. Przeczytałam tamte artykuły zbyt pobieżnie. Nie miałam pojęcia, że ten temat stanie się dla mnie taki ważny. Im częściej ktoś pytał o Sergrana, tym więcej chciałam sama o nim wiedzieć. Wyszłam z kiosku i jak przed paroma dniami minął mnie tamten samochód. Tym razem byłam pewna, że stał przy krawężniku i ruszył w momencie, kiedy ja zamknęłam za sobą drzwi kiosku i postawiłam nogę na chodniku. Jechał bardzo powoli. Szybciej od niego poruszali się przechodnie na chodniku. Tym razem postanowiłam zobaczyć, kto siedzi za kierownicą.

Zatrzymałam się i wbiłam wzrok w przednią szybę. Z daleka wydawało mi się, że siedząca za kierownicą postać ma niewyobrażalnie dużą głowę. Kiedy samochód się zbliżył, zobaczyłam, że ten ktoś ma nałożoną na twarz maskę. Maską przedstawiała twarz postaci z obrazu Krzyk Edvarda Muncha. Ta maska nie zdziwiła mnie ani nie zaskoczyła, tak jakby pasowała do całości, jakby wydawała się czymś oczekiwanym i logicznym. Samochód minął mnie powoli. Zdążyłam przeczytać napis na kartce naklejonej na bocznej szybie samochodu: „Uważaj na Enrica! Wyjedź z Toskanii!”. Co to jest? To jakieś bzdury. Wtedy przypomniały mi się słowa, które powiedział do mnie Sergrano. On też powiedział: „Uważaj na Enrica!”. Wróciłam do domu. W lokalnej telewizji wspomniano, że dzisiaj było pogrzeb Sergrana. Pokazano kondukt żałobny złożony z paruset osób. Chyba połowa mieszkańców Fiano wyległa na ulice, żeby go pożegnać. „Dziwne” – pomyślałam. „Byłam dzisiaj we Fiano, ruch na ulicy był taki jak zawsze. Nie widziałam konduktu. Wydawało mi się nawet, że Fiano było bardziej sensne niż zwykle”. W poprzek lustro w mojej łazience biegł napis: „Uważaj na siebie! Wyjedź z Toskanii!”. Te krwistoczerwone litery przypominały swą barwą pomadkę, którą dostałam od Franceski w trakcie tworzenia zdjęć do magazynu „Moda”. Lekko pochylone w lewo litery przypominały moje pismo. Idiocieję? Głupie zmysły bawią się ze mną. Szaleństwo. Dopisałam jeszcze raz dziesięć centymetrów poniżej te same słowa: „Uważaj na siebie! Wyjedź z Toskanii!”. Napis był identyczny. Litera w literę, odstęp w odstęp, takie samo

nachylenie. Koniec z chianti i późnymi kolacjami! Żadnych klubów, gdzie ktoś pali marihuanę.

Zapukałam do drzwi pani Mornetti. Otworzyła mi w szlafroku, a jej głowę zdobiła aureola z dziesiątków papilotów. Na twarzy miała maseczkę z ogórków. Wyglądała na zakłopotaną.

- Przepraszam - bąknęłam.

- Nic nie szkodzi. - Potrząsnęła papilotami. - Wieczorem idę na przyjęcie - wyjaśniła.

- Czy była pani może dzisiaj na pogrzebie Sergrana?

- Wybierałam się, ale pogrzeb został odwołany.

- Odwołany? - spytałam. Wydawało mi się, że musiałam się przestyszeć.

- Odwołano go w ostatniej chwili.

- Odwołano pogrzeb? - Nie mogłam uwierzyć.

- Tak. Ktoś miał jakieś wątpliwości.

- Wątpliwości?

- Tak, poszło ponoć o jakąś kompletną bzdurę. Moja przyjaciółka twierdzi, że ponoć było coś nie tak w uzębieniu martwego Sergrana. Czy ty to rozumiesz? Świat staje na głowie. Ktoś ma o jeden ząb za dużo albo o jedno wypełnienie więcej w którymś z zębów przedtrzonowych i raptem rozpoczyna się śledztwo. Świat jest pokopany. Mogą ci odmówić pochówku z powodu braku skrupulatności w zapiskach twojego dentysty.

Co za bzdury! To jakiś obłąd! Po co ktoś miałby porównywać jego zęby, skoro wszyscy go od razu poznali?

- To pewnie poszło o coś zupełnie innego...

*- Być może o coś innego - przerwała mi niecierpliwie. - Ja słyszałam tylko o tych zębach. Oficjalnie nikt nic nie mówił. Zresztą co to za różnica, czy poszło o zęby, czy o coś innego. Najważniejsze, że pogrzeb się nie odbył. Czy masz jeszcze jakieś pytania? Stoję w przeciagu. Nie chciałabym się przeziębic.*

*\*\*\**

*Wtorek*

*Obudziłam się z krzykiem. Złana potem usiadłam na łóżku. Śniły mi się koszmary. Kondukt żałobny w maskach z twarzą postaci z Krzyku schodzący aleją w kierunku bramy oddzielającej posesję Sergrana od drogi. Kondukt kroczył powoli, w milczeniu, tylko te maski były bezgłośnym krzykiem przerażenia. Stałam tuż przy tej bramie. Nieznana siła trzymała mnie w tym miejscu. Nie byłam w stanie oderwać nóg od ziemi. Żałobny pochód się zbliżał. Postacie otwierające orszak stawały się coraz wyraźniejsze. Twarze na maskach coraz bardziej powyginane. Kroczyło w moim kierunku narastające przerażenie, niesione na dziesiątkach pozastłanionych twarzy. Narastał we mnie niepokój, który powoli przerodził się w porażający i obezwładniający mnie strach. Stałam jak sparaliżowana, a milczący pochód był coraz bliżej i bliżej. Zobaczyłam trumnę niesioną na ramionach. Była duża, masywna, dębowa. Tłum wciągnął mnie w siebie, wchłonął. Dałam się porwać tej masie. Nagle ktoś się potknął, ktoś inny nie utrzymał równowagi i trumna runęła na ziemię. Wieko odskoczyło do góry. Na murawę*



runęły dziesiątki poobcinanych głów, takich samych jak te na moich rysunkach z ogrodów Boboli. Głowy zaczęły się toczyć po nierównym bruku. Podskakiwały jak piłki na wystających kamieniach. Jedna z nich zatrzymała się na mojej nodze. To nie była głowa Sergrana, tylko Enrica. Zaczęłam krzyczeć, przerażona. Zbudził mnie właśnie ten mój krzyk. Nie mogłam się uspokoić. Przed oczami miałam turlające się głowy. Widziałam, jak podskakiwały na nierównym bruku, jak rozpierzchły się w różne strony. W uszach słyszałam huk rozpadającej się na kawałki trumny. Z przerażenia zaczęło mi brakować powietrza. Próbowałam się uspokoić. Moja ciotka zawsze twierdziła, że na złe sny najbardziej pomaga ciepłe mleko. Ruszyłam do kuchni. Zapaliłam światło tylko po to, żeby przestraszyć się jeszcze bardziej. Na ścianie naprzeciw kuchennego stołu zobaczyłam tamtą postać. Bezosobową i przerażającą. Ni to kobietę, ni mężczyznę, ni to dziecko, ni embrion. Postać z obrazu Muncha. Olbrzymia głowa wydawała się za duża w stosunku do szczupłej sylwetki i zbyt ciężka dla podtrzymujących ją rąk. Na twarzy widać było tylko otwarte w krzyku usta, zapadnięte trupie oczy i nozdrza. „Szlag by to trafił” - pomyślałam. „Zaczynam wariować”. Kiedyś na studiach namalowałam taką postać. To był głupi żart, bo tamta postać była hybrydą człowieka z obrazu Muncha i profesora Zawady. Z jej ust wychodziła typowa dla komiksów chmurka z napisem: „Że też Pan Bóg obdarza talentem tylko idiotów”, czyli ulubionym tekstem profesora od ceramiki. Czyżbym to ja namalowała tę postać w jakimś przedsennym amoku? Była bardzo podobna do tej

*namalowanej przed laty. „Pewnie ja” - pomyślałam, patrząc na swoje umazane farbą ręce. Poszłam spać z tak brudnymi rękami? Może. Pamiętam, że byłam za bardzo zmęczona, żeby wziąć prysznic. Coś niewytłumaczalnego dzieje się z moją głową. Zadzwoiłam do Enrica. Nie odebrał. Nic dziwnego, wskazówki zegara pokazywały drugą w nocy. Zapewne zasnął u boku Franceski. Głowa Enrica oparta o moje stopy nie dawała mi spokoju. W senniku przeczytałam, że głowa bez tułowia przynosi szczęście i zapewnia dobrobyt, ale już uszkodzona, okaleczona, odrąbana zapowiada wielkie nieszczęście. Jak wielkie nieszczęście musi przepowiadać olbrzymia liczba obciętych głów? Senniki potrafią w sposób doskonały żonglować ludzkim uczuciami. Ciekawe, kto obciął te głowy? Jeżeli ja, to znaczy, że w krótkim czasie fortuna się do mnie uśmiechnie. „Boże, ale makabra” - pomyślałam. Siadłam przy sztalugach i zaczęłam malować ten mój sen. Niekończący się pochód ludzi z twarzami ukrytymi za ścianą masek, który schodził powoli z moich „wrót do nieba” i wylewał się przez otwartą bramę. Na pierwszym planie pojawiła się drewniana trumna rozbita na kawałki i skaczące po bruku ni to głowy, ni to piłki. Przepiękny toskański obrazek. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Co ja wyprawiam, do jasnej cholery?!*

\*\*\*

*Wtorek po południu*

*Cały dzień próbowałam malować. Pojechałam przed południem do Certaldo Alto z postanowieniem, że muszę*

namalować coś ciepłego. W końcu życie w Toskanii przypomina sielankę, jest niczym niezmqcone, beztroskie, pogodne i spokojne. Przynajmniej tak myśli większość tych, którzy wybierają się tu na wakacje. Postanowiłam namalować Via Boccaccio widzianą z murów zamku. Piękny widok. Tak niedzisiejszy i nierealny, że aż wydaje się teatralny i sztuczny. Tak jakby czas nabrał innego wymiaru i nagle w tym miejscu się zatrzymał, jakby to miejsce jakimś cudem wyjęte było z pędzącej codzienności. Ciche, spokojne, zadumane. Chyba nic się tutaj nie zmieniło od czasów Boccaccia. Miasteczko sprawiało wrażenie zatopionego w półśnie. Wszystko toczyło się statecznie i powoli, jakby rozleniwione wiosennym słońcem i lekkimi powiewami wiatru. Jakiś kudłaty pies rozłożył się w poprzek drogi i drzemał. Jakaś para zatrzymała się przy studni. Starsza kobieta siedziała na bujanym fotelu przed wejściem do swojego domu. Młody mężczyzna czytał gazetę, siedząc na schodach prowadzących do zamku. Czas przestał się spieszyć. Nawet we mnie wszystko zwolniło. Serce też zaczęło bić spokojniej, rozważniej i wolniej. Stałam się częścią tego leniwego, wiosennego przedpołudnia. Rozstawiłam sztalugi. Zaczęłam malować. Via Boccaccio biegnie w dół, ograniczona z obu stron zbudowanymi z czerwonej cegły, pamiętającymi jeszcze średniowieczne domami. Domy mają małe okna, ciężkie drewniane okiennice i potężne bramy. Gdzieś z okien zwisają pelargonie, zza załomów murów wychylają się oleandry. Nielogiczne połączenie średniowiecznej surowości ze współczesnym uwielbieniem do ozdobnych roślin. Na początku drogi, tuż

przy zamku, po jej lewej stronie, nad okrągłymi łukami drzwi i okien wznosi się szeroki taras zdobny w wylewające się z donic karminowe pelargonie. Nieco dalej, po prawej stronie, stoi studnia z czerwonej cegły, z dachem krytym dachówką, tonąca w gąszczu wiszących pelargonii intensywnie cyklamenowego koloru. Tuż obok studni ktoś ustawił w pękatej drewnianej donicy okazały oleander. Zza studni wyłania się figowiec, a tuż obok niego wyrasta drzewko oliwne. Gdzieś w oddali, na końcu drogi, rozpościera się widok na zielone tokańskie pagórki znaczone jasnozielonymi plamami winnic, srebrzystozielonymi gajami oliwnymi, zagonami czerwonych maków i rzędami wysmukłych cyprysów. Wszystko łagodne, lekko zamglone, jak coś nierealnego, jak marzenie, jak sen. Toskania. Bóg musiał pochodzić z Toskanii. Bo skąd mógłby pochodzić? Jakiś facet zaczął mi się przyglądać. Siedział na murku zaledwie parę metrów ode mnie i nie spuszczał ze mnie wzroku. Poczułam się nieswojo. Obciągnęłam podkoszulek, bo przez to, że odstaniał pępek, wydał mi się nagle za krótki. Próbowałam się skupić na malowaniu. Nie szło mi. Nawet chroniący mnie przed słońcem kapelusz zaczął mi przeszkadzać. Zsunęłam go z głowy. Próbowałam uporządkować ręką włosy. Facet nie przestawał się gapić. „Nudzi się” – pomyślałam. „Może na kogoś czeka”. Usiłowałam go ignorować, skoncentrować się na kartce papieru, pędzlu, desce do mieszania farb... Nie szło mi. Najgorsze były kolory. Błękit nieba, ceglasta czerwień ścian domów, wściekły karmin pelargonii, obok intensywnie

różowej barwy kwitnących oleandrów, zieleni okiennic i białych okrągłych kloszy latarni. Wszystko przejawione, jak zdjęcie przerobione w Photoshopie. Jeszcze na domiar złego na lazurze nieba pojawiły się prawie idealnie okrągłe białe obłoki. Kicz! Po prostu kicz! Jak jelenie u wodopoju... Jak malowidła domorosłych wiejskich artystów. Jak można coś takiego malować? Jak można coś takiego kupić? Ludzkie gusta są niepojęte. Sprzedałam tę akwarelkę temu nieznanemu facetowi. Zapłacił za nią trzysta euro. Trzysta euro za kompletny kicz?! No, może nie kompletny, mój podpis nie był kiczem.

\*\*\*

Środa rano

Coś dziwnego dzieje się ze mną, a właściwie z moją głową. Jestem pewna, że namalowałam w Certaldo tylko tą drogą Via Boccaccio. Akwarelkę sprzedałam nieznanemu i ze zdziwieniem stwierdziłam, że wskazówki zegara na wieży Palazzo Pretorio pokazują ósmą wieczorem. O ósmej byłam umówiona z Francescą i Enrikiem. Mieliśmy pójść razem na kolację. Nie miałam ochoty na to spotkanie. On będzie ścigał mnie wzrokiem. Ona będzie opowiadała, z kim i kiedy się ostatnio kochała. Koszmar. Lepiej będzie, jak oni pójdą sobie sami na tę kolację, ja muszę odpocząć. Marzył mi się prysznic, miękkość mojego łóżka, przytulność pościeli, cisza i spokój. Wysłałam do Franceski SMS-a: „Nie przyjdę. Idźcie na kolację we dwoje. Właśnie skończyłam malować. Głowa mnie rozboleła od tych kolorów. W kółko czerwień,

zieleń i błękit. A może łeb mnie napieprza z jakiegoś innego powodu? Wszystko jedno. Nie przyjdę". Zrozumieli, a może i oni chcieli być tym razem tylko we dwoje. Rano obudził mnie telefon Alberta.

- Mówiłem, żebyś nie ćpała! - zaczął bez żadnego wstępu. - Tylko mi nie mów, że artyści czasami muszą. Brednie! Przesada! Nonsens! Ten szkic z Certaldo godzi w ludzkie uczucia. My, Włosi, jesteśmy bardzo religijni. U nas nie żartuje się ze świętych...

Wydawało mi się, że on wbił się tym swoim telefonem w jakiś sen i sen miesza się z rzeczywistością.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- O szkicu z Certaldo - warknął.

- Nie robiłam szkiców, tylko namalowałam akwarelę. W sumie straciłam cały dzień. Akwarelka nie nadawała się do niczego. Była tak słodka, że aż mdła. Wydawała mi się tak przestudzona, jak ślubne torty z różowym kremem. Sprzedałam ją jakiemuś facetowi. Napalił się na nią. Bardzo nalegał. Do przewodnika się nie nadawała. Podpisałam ją. To było idiotyczne, zupełnie nieprofesjonalne. Głowa mi się chyba przegrzała. Przestałam myśleć. Nie powinno się malować kiczu, a już na pewno nie powinno się go podpisywać...

Skończyłam, a z drugiej strony panowała zupełna cisza. Pomyślałam, że się rozłączył. Nie miałam pojęcia dlaczego. Już miałam odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszałam jak przełyka ślinę. Dziwne, że można przełykać ślinę aż tak głośno.

- Nie pamiętasz, że wysłałaś mi w nocy e-mail z tym

szkicem? – spytał chłodno.

– Nie robiłam wczoraj żadnych szkiców. Niczego w nocy nie wysyłałam. – Poczulałam się kolejny raz zaatakowana. Odruchowo zaczęłam się bronić. – Poszłam wczoraj wcześniej spać. Byłam na pełnym słońcu parę godzin. Łeb mi rozsadzało...

– Nic nie pamiętasz? – przerwał mi niecierpliwie.

– Pamiętam. – Głos mi zaczął drżeć ze zdenerwowania. Cóż za upierdliwy facet z tego Alberta! – Cały dzień malowałam Via Boccaccio. Wyszedł kicz... – Kolejny raz próbowałam mu to wytłumaczyć.

– Przyjedź jutro do redakcji! Musimy poważnie porozmawiać. Mam wrażenie, że ty się nie nadajesz do tej pracy...

Rozłączył się, a ja zostałam ze słuchawką przy uchu, zupełnie nie rozumiejąc, co się stało. Raptem wydało mi się, że ta powykrzywiana strachem twarz zdobiąca pół ściany w mojej kuchni wgapia się we mnie swoimi zapadniętymi, trupimi oczami. Nagle pomyślałam, że ja przecież nie pamiętam, że ją namalowałam. Włączyłam komputer. Wczoraj tuż przed północą wysłałam dwa e-maile. Jeden do Enrica i jeden do Alberta. Kliknęłam na załącznik i nagle zrobiło mi się gorąco, serce poczułam w gardle, zaczęło mi brakować powietrza. Szum w uszach zagłuszał nawet myśli. W załączniku był szkic. Przesłałam im obu szkic, którego nie narysowałam. Szkic pochodził co prawda z Certaldo, ale z miejsca, w którym nie byłam. Kiedyś tylko ktoś opowiadał mi o tym miejscu. To było już jakiś czas temu. Nawet nie

wiem, kto mi to opowiedział. Może Enrico? Może Francesca? Może pani Mornetti? A może ktoś zupełnie inny? Nie pamiętam. Myślę, że to musiało być na początku mojego pobytu w Toskanii. Wtedy chciałam wiedzieć wszystko. Chłonełam z zapartym tchem każdą opowieść. Zachłystywałam się atmosferą Toskanii. Rozkochiwałam się w toskańskiej kuchni i tokańskich trunkach. Wtedy właśnie ktoś mi opowiedział, że w Certaldo jest średniowieczny kościół pod wezwaniem dwóch świętych - Jakuba i Filipa. W tym kościele pochowano dwoje ludzi - mężczyznę i kobietę. Mężczyzna to Giovanni Boccaccio, twórca Dekameronu, chyba najgenialniejszy autor nowel wszech czasów. Pamiętam, jak w trakcie studiów zrobiliśmy sobie kiedyś wieczór z Boccacciem. Myślałam, że będzie nudno, a tymczasem powiało erotyzmem, seksem, grzechem. Genialne... I pomyśleć, że on żył w czternastym wieku. To niesamowite, że erotyzm i grzech istniały zawsze. Kobieta to Giulia Della Rena da Certaldo, błogosławiona Kościoła katolickiego, która w wieku trzydziestu lat zamieszkała w pustelni, w której kazała się zamurować. Pustelnia znajdowała się przy kościele Augustynów. W celi były tylko dwa niewielkie okna. Pierwsze z nich wychodziło na kościół, drugie na zewnątrz. Tym drugim oknem dostarczano jej pożywienie. Przez osiemnaście lat nie opuściła celi. Zmarła w wieku czterdziestu ośmiu lat. W momencie jej śmierci ponoć same rozdzwoniły się dzwony i dzwoniły nieustająco przez pół godziny. Kiedy wyburzono mur, znaleziono ją klęczącą z bukietem żywych kwiatów. Słuchałam wtedy tej



historii z zapartym tchem, tak jak wielu toskańskich opowieści. Ja w tym kościele nawet nie byłam. Tak mnie zmęczył ten dzień, że nawet przez myśl mi nie przeszło, że miałabym tam wstąpić. Pamiętam tylko, że ktoś opowiadał o tym, że w kościele, niedaleko od wejścia, jest grób po prawej stronie. W szklanej trumnie na gołych kamieniach leży szkielet ubrany w zakonny habit. W dłoniach trzyma ususzone kwiaty. Ja tam nie byłam! Jestem tego pewna. Kiedy przyjechałam do Certaldo, była dziewiąta rano. Kiedy skończyłam malować, dochodziła ósma wieczorem. Prosto stamtąd przeszłam Via Boccaccio na stację kolejki szynowej i zjechałam nią na dół, do miasta. Pamiętam, że przechodziłam obok domu Boccaccia. Niedaleko od tego domu stoi właśnie ten kościół. Nie wchodziłam do środka. Byłam zmęczona. Bolała mnie głowa. Było późno i zapewne kościół był już dawno zamknięty. Na szkicu szkielet błogosławionej leżał na płycie nagrobnej Boccaccia znajdującej się w posadzce nawy głównej. Nawrócony grzesznik obok błogosławionej. Na szkicu wyglądało to tak, jakby tych dwoje trzymało się za ręce. Co w tym zdrożnego? Alberto przesadza. „Swoją drogą ciekawy szkic” – pomyślałam. „Szkoda tylko, że nie pamiętam, żeby wyszedł spod mojej ręki”.

\*\*\*

Środa wieczorem

To nie był mój dobry dzień. Przed południem przypaliłam mleko. Miałam je tylko podgrzać. Zupełnie o nim

zapomniałam. Wykipiało na płytę kuchenki, przykleiło się do dna garnka, wypełniło całe mieszkanie szarym dymem. Dym wypełzał poza moje mieszkanie i przypadkiem trafił do mieszkania pani Mornetti. Przybiegła do mnie przerażona. Myślała, że coś się pali. Chciała wezwać straż pożarną. Stała jak wryta, kiedy ujrzała to przerażające dzieło na ścianie. Ze zdziwieniem zauważyłam, że postaci przybił nóż wbity w serce i lejąca się strugami krew z przeciętej zapewne aorty, bo inaczej ilości tej krwi nie potrafię sobie wytłumaczyć. Nóż był prawdziwy, kuchenny, wbity po rękojeść w tynk w tym miejscu, gdzie u namalowanej postaci powinno być serce. Pani Mornetti wpadła w bezdech, który już po chwili przeszedł w koszmarny, przerażający wrzask. Szkoda, że nie był to niemy krzyk, jak na obrazie Muncha. Wydobywała z siebie tak wysokie tony, że czułam wibrację powietrza. Otworzyłam szeroko usta, żeby dźwięki nie uszkodziły mi błony bębenkowej. Spojrzała na mnie i jej wrzask się nasilił. Pomyślałam, że z otwartymi bezgłośnie ustami przypominam jej postać namalowaną na ścianie. Zamknęłam usta, ale rozhisteryzowana kobieta krzyczała dalej. Postraszyła mnie eksmisją. Zażądała pomalowania ściany i usunięcia z niej noża. Dała mi na to czas do jutra. Szkoda, bo ta postać na ścianie zaczynała mnie coraz bardziej intrygować. Zaczęłam ją nawet lubić. Ten nóż wbity w serce był czymś genialnym. Nigdy nie podejrzewałam siebie o taką turpistyczną twórczość. Chciałam pojechać po farbę. Jakiś idiota napisał mi sprayem na masce samochodu: „Wyjedź i nie wracaj”. Pomyślałam, że coś nie lubią mnie w tej

Toskanii. Zmywanie farby z samochodu zabrało dwie godziny mojego życia. Całe popołudnie próbowałam zamalować postać na ścianie. Wcześniej siłowałam się z wyjęciem noża z tynku. Wieczorem spotkałam się z Francescą. To straszne, że ten koszmarny dzień musiał pomieścić jeszcze i to spotkanie. Zagroziła mi, że jak nie przyjdę, to ona przyjedzie do mnie. Nie chciałam żadnych odwiedzin. W każdym razie nie dzisiaj. Spotkałyśmy się w kawiarni. Francesca była piękna jak zawsze i absorbująca, jak bywa często.

- Chciałam ci pokazać twoje zdjęcia. - Rzuciła na blat stołu magazyn „Moda”. Zadrżały filiżanki. Kawa chlusnęła na obrus. Pojedyncze brązowe krople upstrzyły moją sukienkę. Udała, że tego nie widzi. - Chcę, żebyś je zobaczyła, zanim zobaczą je inni. Mówiłam, że będzie rewelacyjnie. Tylko popatrz! To egzemplarz sygnałny. Za trzy dni będzie już dostępny we wszystkich kioskach - paplała podekscytowana z niezdrowym rumieńcem na twarzy. - Rewelacja! Po prostu bomba! Moje ciuchy, wy dwoje i talent fotograficzny Paola - nakręcała się coraz bardziej. - Początkowo miałam wątpliwości. Nie byłam pewna, czy dasz radę. Enrico to co innego, on potrafi być namiętny. Marzyły mi się głębokie spojrzenia w oczy, czułe objęcia, muśnięcia warg, nieśmiałe pocałunki. Mielście być romantyczni, zmysłowi, subtelnie seksowni... Przeszliście moje najśmielsze oczekiwania! Rozkręciliście się na dobre - mówiła coraz głośniej. Usta jej się nie zamykały. Uderzała ręką w okładkę. Gestykulowała. Miałam wrażenie, że wszyscy ludzie w kawiarni zaczęli się nam przyglądać. - Paolo jest świetnym fotografem. Zrobił

*dziesiątki zdjęć. Wybraliśmy z tego kilkanaście niepowtarzalnych ujęć. Jedno zdjęcie pojawi się za dwa tygodnie na okładce „Playboya”. Rewelacja! Napięte nabrzmiałym penisem spodnie, stojące w gotowości do pieszczot sutki, maślane oczy i gęsia skórka... Bomba!*

*- O czym ty właściwie mówisz? - próbowałam jej przerwać. Czułam się za bardzo zmęczona, żeby jej słuchać. Mięśnie mi drżały po zdrapywaniu sprayu z karoserii samochodu, dźwiganiu wiadra z farbą, wyrywaniu noża z tynku i trzykrotnym malowaniu ściany. Nie stać mnie było już dzisiaj na entuzjazm.*

*- O waszych zdjęciach... - Spojrzała na mnie zdziwiona. - Mówię, że są niesamowite - dodała. - Dzięki nim moja kolekcja będzie się kojarzyć z latem, z erotyzmem, z pożądaniem, z seksem... Każda dziewczyna zapraśnie mieć takie ciuchy... Każda będzie chciała być tobą.*

*Otworzyłam magazyn „Moda” i nagle kęs przetykanego ciastka stanął mi w gardle. Nad ogromnym zdjęciem przytulającego mnie Enrica widniał tytuł kolekcji - Przeleć mnie.*

*\*\*\**

*Czwartek rano*

*Zbudziły mnie strugi deszczu uderzające o parapet i charakterystyczny dźwięk wody spadającej z rynny prosto do metalowej misy zbierającej deszczówkę dla pani Mornetti. Rynna jest stara i dziurawa, pasuje do tego starego domu. Kończy się ponad półtora metra nad ziemią, co powoduje, że*

dźwięk spadającej do metalowego naczynia wody przypomina huk wodospadu. Ta kobieta jest beznadziejna. Po co jej tyle deszczówki? Za oknami było szaro i ponuro. Że też bywają takie dni w Toskanii. Musiał wiać porywisty wiatr, bo co chwilę strumienie deszczu uderzały w szyby okien. Próbowałam zasnąć. Głowę przykryłam poduszką. Naciągnęłam na siebie kołdrę. Usiłowałam się skoncentrować na liczeniu baranów. Z liczenia nic nie wyszło. Próbowałam wiele razy. Za każdym razem dochodziłam do pięćdziesięciu, a później moje myśli mimo woli zaczynały się skupiać na dźwiękach dochodzących do moich uszu. Dźwięk wody spadającej z rynny do misy dominował nad wszystkim. Pomyślałam, że muszę się poddać. Nie da się przy tym zasnąć. Ruszyłam do kuchni, żeby zaparzyć kawę. Krzyk przerażenia zamarł mi na ustach. Na zamalowywanej przeze mnie wczoraj ścianie, dokładnie w tym samym miejscu gdzie poprzednio, stała ta sama postać podtrzymująca rękami głowę, z twarzą zastygłą w niemym krzyku rozpacz i przerażenia. Była dokładnie taka sama – miała otwarte w krzyku usta, przerażone oczy, olbrzymie nozdrza. Nie miała wbitego w serce noża. Zamiast niego w jej ciele tkwiły dziesiątki żyłek. Żyłki? Nawet zapomniałam, że coś takiego istnieje na świecie. Po co komu w dzisiejszych czasach żyłki? Nawet nie wiem, gdzie można je kupić. „To jakiś obłąd” – pomyślałam. „Jakieś szaleństwo”. Kiedy kładłam się spać, tej postaci jeszcze nie było na ścianie. Spojrzałam na swoje ręce. Nosiły ślady po białej farbie, którą wczoraj malowałam ścianę. Szlag by to trafił! Coś się dzieje z moją

głową. Robię rzeczy niezależnie od mojej woli, rzeczy, których później nie pamiętam. Zastanawiałam się, gdzie ja mogłam kupić te cholerne żyletki. Na myśl przychodził mi tylko tamten sklepik z gazetami. Pojechałam tam koło południa.

- Świetnie, że jesteś - ucieszył się na mój widok sprzedawca. - Mam coś dla ciebie.

- Nowości w sprawie Sergrana?

- W tej sprawie długo nie będzie nowości. Tam coś śmierdzi. Wygląda to na jakąś grubszą sprawę. Mam kumpla w policji. Tak jak jest zwykle rozmowny, tak w tej sprawie nabrał wody w usta. Próbowałem go naciskać. Tak zupełnie z bezinteresownej ludzkiej ciekawości... Spławił mnie. Powiedział, że nie ma ochoty powiększyć grona bezrobotnych.

- Wybierałeś się na pogrzeb?

- Wybierałem się. W sumie to był sympatyczny facet. Mógł się wydawać trochę dziwny. Za bardzo się izolował, trzymał za duży dystans, nikomu nie dał się do siebie zbliżyć. Większość boi się takich ludzi. Tak już jesteśmy skonstruowani. Boimy się tego, czego nie rozumiemy. On mi nie przeszkadzał. W stosunku do mnie był zawsze w porządku.

- Ponoć pracowało u niego sporo ludzi.

- Sporo. Zatrudniał ludzi w winnicach i przy produkcji wina, w swoich sklepach, w restauracjach i trattoriach. Podobno płacił nieźle, ale trzymał pracowników na dystans. Księgowość prowadził sam. Nie zatrudniał też nikogo

w swoim domu. Dbął skrzętnie o swoją prywatność.

- Ponoć miał duży dom...

- Olbrzymi.

- I nikt mu nie sprzątał? Dziwne. Byłeś tam kiedyś?

- U niego nie, ale znam ten dom. Nim go kupił Sergrano, mieszkała tam spora rodzina, której często podrzucałem prasę.

- Jaki jest ten dom? - spytałam.

- Coś ten Sergrano nie daje ci spokoju... - Popatrzył na mnie rozbawiony. - Facet nie żyje. Dla ciebie sprawa zamknięta. Nie da się go złowić, usidlić ani poderwać... Może i lepiej. Mogłaby być z tego tylko bieda.

Puściłam jego uwagę mimo uszu. Nie chciałam się kłócić. Przyszłam się czegoś dowiedzieć.

- Byłam przy bramie prowadzącej do jego posesji. Widziałam biegnącą ku górze aleję. Ten zielony tunel kończył się plamą nieba i słońca. Zrobiłam nawet taką akwarelę. Zatytułowałam ją Toskańska droga do nieba... Wyobrażam sobie, że gdzieś za tym zielonym tunelem musi być jego dom.

- Źle sobie wyobrażasz - roześmiał się. - Za tunelem, po obu stronach szutrowej drogi jak okiem sięgnąć rozciągają się winnice, które od zawsze należały do posiadłości. Droga kończy się stromym podjazdem obsadzonym szpalerem wysokich cyprysów. Na szczycie pagórka stoi dom. Odkąd sięgam pamięcią, część tego domu była już ruiną. Nie słyszałem, żeby go odremontował. Kiedy tu zamieszkał, wielu bezrobotnych z Fiano liczyło na pracę przy remoncie. Myślę, że wykorzystywał tylko piwnice znajdujące się pod tą

zrujnowaną częścią. Zachowana część i tak jest bardzo duża. Dużo za duża dla jednego samotnego człowieka. Cały czas się zastanawiam, czy Antonio Sergrano był rzeczywiście Włochem. My, Włosi, nie lubimy samotności. Ona jest nam obca, nie leży w naszej naturze.

- Zawsze bywają wyjątki...

- Wiem, ale to było takie nienaturalne. Po śmierci swojej żony nie założył nowej rodziny. Nie bywał nigdzie i nie przyjmował nikogo u siebie. Najbliżsi mu umierali. Nie szukał kontaktu z ludźmi. Było w nim coś dziwnego.

- Coś za dużo myślisz jak na sprzedawcę gazet.

- Te gazety to tylko chwilowa fucha - powiedział pogodnie. - Kończę socjologię we Florencji. Nie stać mnie na to, żebym tylko studiował. Bez pracy bym się nie utrzymał. Ten kiosk to znakomite miejsce do obserwacji ludzi. Świetne uzupełnienie teorii zdobywanej na uczelni. Na przykład ty...

- Ja? - spytałam zdziwiona. „Co on może o mnie wiedzieć?” - pomyślałam. Widzi mnie po raz drugi w życiu.

- Tak, ty. Mieszkasz tu od kilkunastu miesięcy - mówił spokojnie z uśmiechem na twarzy. - Przyjechałaś sama. Pewnie wybrałaś Fiano, bo mieszka tu Francesca. Liczyłaś zapewne na jej pomoc. Myślę, że przyjeżdżając tu, uciekałaś przed kimś albo przed czymś. Może przed samą sobą. Przyjechałaś z postanowieniem, że radykalnie zmienisz swoje życie. Uczyłaś się pilnie Toskanii, chłonełaś jej atmosferę. Pragnęłaś wypełnić czymś nowym miejsce wszystkiego, co chciałaś jak najszybciej wyprzeć z pamięci, o czym chciałaś jak najprędzej zapomnieć. Myślę, że uciekałaś przed miłością,



która cię przerosła. Nie dałaś rady i postanowiłaś stronić od większych emocji, unikać wszystkiego, co mogłoby cię znowu zranić. Początki były trudne. Prawdziwa artystka nagle zepchnięta do roli ulicznej malarki. Nic z wielkiej sztuki. Śliczne akwarelki, jako suweniry z wakacji, udane portrety jako źródło kasy na obiad, rysunki kolorową kredą na ulicach Florencji, żeby zdobyć kasę na czynsz za mieszkanie wynajmowane od signory Mornetti. Niektórzy zarabiają w ten sposób przez całe życie, ale u ciebie wcześniej wystawa gonila wystawę, wernisaż poganiał wernisaż. Znalazłem w Internecie mnóstwo informacji o tobie. Nie było to trudne. Wystarczyło wpisać w Google: Karolina Bielawska. Krytycy postrzegają cię jako młodą malarkę z niebywałym potencjałem jeszcze nie do końca odkrytych możliwości. Tworzyłaś wcześniej coś zupełnie innego. W twoim malarstwie najważniejsze były nie realia, a emocje, nie kształty, a barwy... Udało mi się znaleźć w Internecie zdjęcia twoich obrazów. Rewelacja. Znalazłem zapowiedź nowej wystawy, która odbędzie się jesienią we Florencji. Emocje zaklęte w kolory. Autorzy prac to ty i jakiś Skalski. Będzie można zobaczyć twoje najnowsze obrazy, te, które powstały w Toskanii... Intrygowałaś mnie od samego początku, od swojego przyjazdu do Fiano. Ty nie pasujesz do tej dziury, tak jak nie pasował do niej Antonio Sergrano. Wy jesteście trochę jak przybysze z innej bajki...

- Przerażasz mnie... - próbowałam mu przerwać. Już od dłuższej chwili czułam się nieswojo. Mówił o mnie rzeczy, do których sama nie chciałam się przed sobą przyznać,

*a poznałam go zaledwie przed paroma dniami.*

*- Ja cię przerażam? Chyba żartujesz? - roześmiał się. - Jestem tylko ciekawski, jak wszyscy mieszkańcy takiej dziury. Nie znasz małych miejscowości. Tu ludzie żyją nie swoim życiem, a życiem innych. Ale pytałaś o ten pogrzeb, co to się nie odbył. Co chciałabyś wiedzieć? - Nagle zmienił temat. Zdziwił mnie, zaniepokoił, zaintrygował.*

*- Ponoć przyszło wielu ludzi - zaczęłam niepewnie.*

*- Każda śmierć to sensacja dla mieszkańców takiej dziury jak Fiano, a co dopiero śmierć kogoś takiego jak Antonio Sergrano.*

*- Ja nie lubię pogrzebów...*

*- Nie jesteś Włoszką. - Zabrzmiało to trochę jak wyrzut. - My, Włosi, jesteśmy z innej gliny. Potrzebujemy do życia emocji. One są dla nas równie ważne jak powietrze. My żyjemy dzięki emocjom. Pogrzeb to okazja do całej gamy emocji...*

*- Do smutku - weszłam mu w słowo.*

*- To ty tak uważasz... Dla wielu ludzi to znacznie większa liczba bardzo różnych emocji. Na przykład dla mnie...*

*- Do ceremonii ponoć nie doszło - próbowałam wrócić do przerwane go tematu.*

*- Ano nie doszło, chociaż przyszło na nią wielu ludzi.*

*- Wiesz, co się stało?*

*- Może i się domyślam, ale ta wiedza nie jest ci do niczego potrzebna. Jak długo milczy policja, tak długo ta wiedza może być niebezpieczna... - Zamilkł nagle, spłoszony wejściem do kiosku kolejnego klienta.*

- No to ja już lecę.

- Poczekaj, przecież ja mam dla ciebie te żyletki. Zamówiłaś je wczoraj e-mailem. Nie tak łatwo było je dla ciebie zdobyć. Musiałem obdzwonić parę hurtowni. Nikt ich dzisiaj już nie używa. Po co ci właściwie są potrzebne te żyletki?

- Mam pewien pomysł na taki odrobinę nietypowy obraz.

- Tak też myślałem...

Serce podeszło mi do gardła. Ja wysłałam do niego wczoraj e-mail? Ja zamówiłam u niego żyletki? Świat po prostu idiocieję, albo mnie coś się stało w głowę.

Byłam już w drzwiach, kiedy usłyszałam za swoimi plecami:

- Uważaj na Enrica...

Odwróciłam się zaskoczona. Nie patrzył już w moją stronę, zajęty rozmową z kolejnym klientem.

\*\*\*

Czwartek, około południa

Wyszłam z kiosku i zajrzałam do koperty, którą podał mi Marco. Żyletki! Parę paczuszek żyletek i jakaś kartka. „Pożądanie hamuje działanie rozumu, a seks powoduje, że zanika czujność naszych zmysłów. Patrzymy i nie widzimy rzeczywistości, tylko świat iluzji stworzony wyłącznie dla nas. Uważaj na Enrica. To szuja”. „Uważaj na Enrica” było podkreślone, jakby te wcześniejsze przemyślenia nie były tak ważne, jak to ostrzeżenie. „Pożądanie hamuje działanie rozumu, a seks powoduje, że zanika czujność naszych

zmysłów. Patrzymy i nie widzimy rzeczywistości, tylko świat iluzji stworzony wyłącznie dla nas". Swoją drogą, czyżby w tej dziurze powszechnie było wiadomo, kto z kim, jak i kiedy sypia? Czyżby mury miały oczy i uszy? Przypomniałam sobie panią Mornetti i jej wiecznie uchylone drzwi, jej uwagi o moich jękach i skrzypiącym łóżku. Może ona też kupuje gazety w tym kiosku? Ciekawe, jak to wygląda, kiedy ktoś tu kupuje prezerwatywy. Czy wiedzą o tym wszyscy, włącznie z proboszczem? To ostrzeżenie, „Uważaj na Enrica”, wróciło do mnie jak bumerang. Parę dni temu dokładnie tak samo powiedział Sergrano. Że też bywają takie mroźące krew w żyłach zbiegi okoliczności. Zamyśliłam się i o mało nie wpadłam pod nadjeżdżający samochód. Pisk opon przywołał mnie do rzeczywistości. Drzwi samochodu się otworzyły i wyskoczył z nich mocno zdenerwowany facet.

- Życie ci niemiłe? - wrzasnął. - Leziesz noga za nogą! Nie mam ochoty rozjechać jakiejś idiotki ruszającej się na pasach jak mucha w smole. Świat jest pełen idiotek i idiotów, którzy stawiają sobie za cel usrać komuś życie...

Tak jak wysiadł, tak i wsiadł z impetem, trzasnął drzwiczkami, postukał jeszcze palcem po czole, ominął mnie szerokim łukiem i odjechał. Środkowy palec mojej prawej ręki odruchowo uniósł się do góry. Znerwicowany dupek! Zakompleksiony idiota! Sfrustrowany nieudacznik! Odwróciłam się i zobaczyłam znowu tamten prześladowający mnie od kilku dni samochód. Zbliżał się szybko, a ja z przerażenia nie mogłam oderwać butów od rozgrzanego słońcem asfaltu. Stałam na środku przejścia dla pieszych.

Coraz wyraźniej widziałam białą maskę na twarzy. Biała plama stawała się coraz większa i większa. Można było już rozróżnić szczegóły – otwarte w krzyku usta, nozdrza, trupie, zapadnięte oczy z dziurami w miejscu źrenic. Za tymi dziurami ukryte były czyjeś oczy. Pomyślałam, że zginę rozjechana na pasach przez jakiegoś palanta z maską na twarzy i że nawet nie zobaczę przed śmiercią twarzy swojego zabójcy. Nagle samochód zwolnił. Minął mnie szerokim łukiem. Tym razem mogłam dokładnie przeczytać napis na kartce naklejonej na boczną szybę. „Wyjedź stąd, dopóki jeszcze nie jest za późno”. Przyszło mi na myśl, że ja muszę komuś tutaj przeszkadzać. Nie mam tylko pojęcia w czym. „Patrzymy i nie widzimy rzeczywistości, tylko świat iluzji stworzony wyłącznie dla nas” – przemknęło mi przez myśl. „Coś w tym jest” – pomyślałam. „Od paru dni mam wrażenie, że wokół mnie toczy się jakaś inscenizacja, której sensu nie potrafię zrozumieć. Stoję na scenie, wokół mnie rozgrywa się akcja, aktorzy odgrywają swoje role zgodnie z jakimś nieznanym mi scenariuszem. Próbuję się włączyć do tej akcji. Zrozumieć coś, czego pewnie nie da się zrozumieć”. W domu jeszcze raz przyjrzałam się żyletkom. Były inne od tych wbitych w ścianę. Tamte trzymające się ostrzami tynku były znacznie większe. Złapałam się na tym, że przyglądam się postaci na ścianie, zastanawiając się, gdzie można jeszcze dodać parę tych mniejszych żyletek. „Uważaj na Enrica” – chodziło mi cały czas po głowie. Pomyślałam, że nie widziałam Enrica już od paru dni. Ostatni raz byliśmy razem w piątek u Alberta w redakcji. Po spotkaniu odwiózł mnie do

*domu do Fiano, a sam planował jeszcze podjechać do tego pedofila od Bajkowego Ogrodu. Szybko wywiało go z mojego życia. Chyba jeszcze szybciej niż przywiało.*

*\*\*\**

*Czwartek po południu*

*Alberto mnie zwolnił. Rozwiązał ze mną umowę w trybie natychmiastowym. Zarzucił mi działanie na niekorzyść firmy. Nie miałam szansy się bronić, bo przedstawione zarzuty były urojone, a z urojeniami trudno jest walczyć. Spodziewałam się, że zastanę w biurze Enrica. Wczoraj wieczorem próbowałam do niego zadzwonić. Abonent był chwilowo niedostępny. Wysłałam mu SMS-a z informacją o spotkaniu. Nie odpowiedział. Nie dostał SMS-a, nie mógł, a może nie chciał przyjechać. Wszystko jedno. Może i lepiej... Alberto posadził mnie w fotelu, a sam przemierzał swój gabinet tam i z powrotem. Trwało to w nieskończoność. Dość miałam tych jego kroków dudniących po kamiennej posadzce. W jednej chwili opuściły mnie wszelkie emocje. Będę malować kiczowate obrazy, jak ten przedstawiający Via Boccaccio w Certaldo. Z głodu nie umrę. W końcu nie muszę przejść do historii sztuki jako wybitna malarka. Mogę przejść jako „kiczonistka”. Zaczęłam się przyglądać tokańskiej wiosnie za oknem. Biuro wydawnictwa jest na przedmieściach Florencji, na parterze pałacyku z dużym ogrodem. Ten pałacyk to dom Alberta. Przez olbrzymie okno widać było gąszcz kwitnących oleandrów pławiących się w promieniach wiosennego słońca, a za ogrodzeniem biegającego psa sąsiadów.*

- Muszę cię zwolnić. - Alberto stanął tuż obok mnie. Skupił wzrok na mojej twarzy.

- Rozumiem - powiedziałam spokojnie. - Rozumiem, że moje prace nie są zgodne z pana koncepcją.

Postawił krzesło naprzeciw mnie. Usiadł.

- W tym rzecz, że nie rozumiesz...

- Powiedział pan przez telefon, że mój ostatni szkic godzi w uczucia Włochów. Nie jestem kretynką, żebym nie potrafiła tego zrozumieć.

- W porządku, jesteś w stanie to zrozumieć - cedził powoli każde słowo - ale czy jesteś w stanie to zaakceptować?

- Nie muszę. Nie będę się nawet nad tym zastanawiać. Pan tu rządzi. Zresztą z tego, co wiem, to jednoosobowo. Wyrok zapadł. Jestem zwolniona. Wszystko jasne. Nie musimy się dłużej męczyć tą niezręczną dla nas obojga rozmową.

- Chcę ci coś jeszcze powiedzieć, ale zupełnie prywatnie. Twoje prace są bardzo dobre, jednak nie nadają się do tego przewodnika. Nie są zgodne z koncepcją. Koncepcja jest prosta. Pokazujemy urokliwe zakątki Toskanii, te znane i te mniej znane, tworzymy oryginalne ilustracje, dodajemy ciekawe, wcześniej przez nikogo niepodawane informacje. Ma to być coś nowego, ale nie szokującego. Coś, co bez problemu przełkną sponsorzy, coś, co się zmieści w drobnomieszczańskim poczuciu przyzwoitości. Rozumiesz? To czysta komercja. Nie ma to nic wspólnego ani z wielką sztuką, ani z wielką literaturą. Czysta komercja - powtórzył. -

*To ma się przełożyć na zysk, na ściśle określone pieniądze...*

*- Rozumiem - przerwałam mu. - Nie jestem idiotką. Znam znaczenie słowa „komercja”.*

*- A mnie się wydaje, że nadal nie rozumiesz. Bóg obdarzył cię talentem. Pan Bóg daje talent, a skąpi czegoś innego. U ciebie był wyjątkowo szczodry. Jesteś artystką z wszystkimi zaletami i przywarami przynależnymi do tego zawodu, a jednocześnie jesteś sobą. Jesteś szalona. To szaleństwo nie przynależy do zawodu, tylko do ciebie. Jest twoje własne, niepowtarzalne, jedyne. Jesteś nieprzewidywalna, spontaniczna, zaskakująca... Praca z tobą nie jest łatwa. To wyjątkowe wyzwanie. Życie z tobą dla wielu byłoby niemożliwe. Gdyby z tych twoich szalonych rysunków, szkiców i akwarelek stworzyć wystawę, to przyszłyby ją oglądać tłumy. To byłaby bulwersująca sensacja. Ludzie lubią być szokowani. Te poobcinane głowy turlające się po ścieżkach w ogrodach Boboli, wisielcy na Ponte Vecchio, przerażający żałobny kondukt w maskach, grzeszny Boccaccio obściskujący się po śmierci ze szkieletem błogosławionej Julii, te inspirowane Krzykiem Muncha dzieła na ścianie przyciągałyby ludzi jak magnes. Gdyby do tego dodać całą ciebie, to wystawa byłaby hitem przez parę sezonów. Pomyśl - ty o wyglądzie niewinnego anioła, który przez przypadek zstąpił na ziemię, i przygodny seks, erotyczne zdjęcia, pornograficzne fotografie... Twoje wizje, iluzje i wyobrażenia mieszające się z sobą. Coś tak niespójnego, że aż dech zapiera w piersi. Tak szalonego, że podnieca. Do tego jakiś tytuł. Bulwersujący, wyzywający,*



uderzający w drobnomieszczaństwo i pruderię. Na przykład: Bzykałam się z Włochem...

*Wyszłam stamtąd zbulwersowana. Trzasnęłam drzwiami tak mocno, że posypał się tynk znad zabytkowych drzwi w tym jego pieprzonym zabytkowym pałacu. Kopnięci są ci Włosi. A swoją drogą, to się wcale nie zdziwię, jak ktoś kiedyś zgładzi tego Alberta.*

\*\*\*

*Czwartek wieczorem*

*Długo nie mogłam się uspokoić. Coś nie tak jest u mnie z hamowaniem emocji. Najchętniej wróciłabym tam jeszcze raz i jeszcze raz trzasnęła drzwiami. Powinnam go była uderzyć w twarz. Zaskoczył mnie. Nie wykazałam się refleksem. Gdzieś tam w środku mnie siedzi nadal taka miękka buła. Kto ma miękkie serce, powinien mieć twardą dupę. Wychodzi na to, że ja i to, i to mam miękkie. Skapcaniały idiota! Podstarzały lowelas! Nawet widoki za szybą samochodu nie działały uspakajająco. Pierniczone pagórki, sielankowe widoczki, rzędy cyprysów i gaje oliwne. Rzygam już tymi widokami. „Co się ze mną dzieje?” – pomyślałam po chwili. „Przecież ja kocham Toskanię”. Dojeżdżałam do Fiano, kiedy rozdzwonił się mój telefon. Francesca. Jeszcze tylko Franceski mi dzisiaj brakowało.*

*- Czego? - warknęłam do telefonu. - Mam dosyć własnych problemów. Wisi mi, że zdjęcia trącą pornografią. Mam gdzieś twoje pomysły. Nie mam ochoty z nikim rozmawiać. Straciłam właśnie pracę. Próbował mnie*

obmacywać podstarzały Włoch w nadziei, że walcząc o posadę, zacznę się z nim kochać. Jeszcze teraz czuję jego łapy na moim udzie. Kopnięty erotoman! Starzejący się idiota! Mam gdzieś jego i ten jego przewodnik! – Z minuty na minutę nakręcałam się coraz bardziej. Musiałam to wszystko z siebie wyrzucić. – Nigdy więcej nie będę twoją fotomodelką. Nie mam ochoty na spotkanie. Nie chcę poznać żadnych twoich bliższych i dalszych znajomych, żadnych starych przyjaciół. Szybka jesteś w przekazywaniu informacji. Cały świat już chyba wie o zdjęciach do twojej letniej kolekcji. Czyżbyś zaocznie studiowała marketing? Mam gdzieś te zdjęcia. Nie mam ochoty słuchać o twoich emocjach. Nie interesują mnie twoje orgazmy ani to, ile razy szczytowałaś w nocy. W tej chwili muszę się zająć moimi własnymi sprawami. Muszę zdążyć kupić farbę i jeszcze dzisiaj pomalować ścianę w kuchni. Pierniczę cię, Toskanie i całe Włochy.

Skończyłam, a z drugiej strony panowała cisza. Poczułam się zaskoczona. Ta cisza nie pasowała do Franceski.

– To może podjadę z tobą po tę farbę. Wiadra są ciężkie. – Usłyszałam w słuchawce spokojny głos Enrica. – Potrafię też malować ściany. Nie tak dawno malowałam swoje mieszkanie.

Mam masło, nie wolę, albo on jest szatanem. Myślę, że jeżeli szatan istnieje, to musi być przystojny. Może podobny do Enrica? Może ma, jak on, czarne włosy, ciemne oczy, śniadą cerę, ciemny zarost, ciepły głos...? Mój rozum poszedł spać, a moim ciałem zaczęły znowu rządzić żądze. Nigdy nawet nie podejrzewałam, że malowanie ścian może być tak

*przesiąknięte erotyzmem, i to od pierwszego ruchu pędzlem.*

*\*\*\**

*Piątek rano*

*Zwariowałam i nie mam o tym komu powiedzieć. Boję się sama siebie. Ja i potworne szkice, koszmarne sny, twarze malowane na ścianie, noże wbite po rękojeść w tynk, makabryczne żyletki jako element tworzonego dzieła. Nie wiem już zupełnie, co jest fałszem, a co prawdą. Mieszają mi się różne światy, różne rzeczywistości. Nie mam pojęcia, co jest realnością, co mistyfikacją przygotowaną dla mnie, a co grą mojej chorej wyobraźni. Dzieje się mnóstwo rzeczy, których nie potrafię pojąć. Wiele, których zrozumieć nawet się nie staram. Jak to napisał ten Marco z kiosku? „Pożądanie hamuje działanie rozumu, a seks powoduje, że zanika czujność naszych zmysłów. Patrzymy i nie widzimy rzeczywistości, tylko świat iluzji stworzony wyłącznie dla nas...” Coś w tym jest. Właściwie wszystko zaczęło się od dnia, w którym poszłam z Enrikiem na kolację. Później z dnia na dzień było już tylko coraz to gorzej. Wcześniej wszystko było normalnie. Postanowiłam się dzisiaj zmierzyć z twardą rzeczywistością. „Koniec bzdur” - pomyślałam. „Muszę zacząć stąpać mocno po ziemi. Nie mam już stałej pracy. Muszę wrócić do chałturzenia na ulicach. Jeszcze chwila, a nie będzie mnie stać na mieszkanie wynajmowane u pani Mornetti. Koszmar”. Widmo utraty tego kąta powoduje, że nagle lubię nawet tę wścibską kobietę, a jej wieczne podsłuchiwanie i podglądanie jestem w stanie uznać za*

*niegroźne dziwactwo. Moje auto jest jeszcze niespłacone. Kupiłam używany samochód, ale i tak jego cena przekraczała moje możliwości. Raty mnie teraz zabiją. Mam zobowiązania w związku z organizowaną wystawą - zarezerwowane pomieszczenia, zamówione oświetlenie, nagranych ludzi do pomocy. Mam zamówione tło muzyczne do wystawy, catering na wernisaż, druk zaproszeń i plakatów. Muszę kupić nowe sztalugi, płótna, pędzle, farby. Koszmar. Mam pustą lodówkę, w której przepastnym wnętrzu stoi na środkowej półce samotny słoik z pesto obok równie samotnej, do połowy opróżnionej butelki Prosecco. Postanowiłam zagrać w toto-lotka. Tak na wszelki wypadek, żeby nie mieć sobie nic do zarzucenia. W każdym razie nie mieć sobie do zarzucenia żadnej straconej okazji pozyskania środków niezbędnych do życia.*

*- Proszę dwa kupony lotka. Niech będzie chybił trafił.*

*- Aż tak źle? - Marco spojrzał na mnie uważnie.*

*- Nie. Wszystko dobrze - skłamałam gładko.*

*- U mnie w toto-lotka grają tylko sfrustrowani bezrobotni, pozbawieni perspektyw starszaki i nastolatki, którym brakuje kasy na narkotyki i fajki... Narkotyki? - spytał obojętnym tonem.*

*- Bzdura.*

*- Hazard?*

*- Nie.*

*- Jakies długie honorowe? - Nie przestawał się dopytywać.*

*- Powiększyłam wczoraj grono bezrobotnych... - przerwałam mu. Nie chciałam, żeby się dłużej męczył.*

- Nie malujesz już dla Alberta? - Uniósł brwi ze zdziwienia. - Niemożliwe! Gdzie on znajdzie kogoś, kto mu zrobi lepsze ilustracje...?

- Razem nam jakoś nie po drodze - stwierdziłam. - Różnica temperamentów. Różnice obyczajowe. To palant - dorzuciłam mimo woli, widząc, że Marco coraz intensywniej mi się przygląda. Powinnam była powiedzieć, że to kawał chuja, ale to jakoś nie mogło mi przejść przez gardło. Alberto położył mi dłoń na kolanie, kiedy próbował mi sugerować przeprowadzenie zmian w rysunkach. W pierwszej chwili pomyślałam, że to przypadek. Poruszyłam nogą, ale on nie cofnął ręki. Opowiadał mi o drobnomieszczańskich gustach czytelników, jednocześnie próbując dłońią piąć się coraz wyżej po moim udzie. Idiota! Kopnięty erotoman! Próbował mnie przytrzymać, kiedy chciałam wstać. Odepchnęłam go z impetem. „Pierdol się” - krzyknęłam, trzaskając drzwiami. Zbiegając po schodach, czułam łzy pod powiekami. „To ze złości” - pomyślałam. „Przecież niemożliwe, że ja się zrobiłam taką miękką idiotką”.

- Spotkało cię coś złego? - Musiałam chyba milczeć odrobinę za długo, bo Marco przyglądał mi się coraz intensywniej.

- Nie, ale niewiele brakowało. W pewnym sensie to teraz jest już sprawa honoru - powiedziałam. Pomyślałam, że i tak nie zrozumie. Zrozumiał.

- Skoro sprawa honoru, to już nie ma o czym rozmawiać. W razie czego zawsze możesz na mnie liczyć - powiedział poważnie. - A więc powiększyłaś grono bezrobotnych

*mieszkańców Fiano. Jak długo nie masz nowej pracy, tak długo masz u mnie za darmo kawę, darmowy dostęp do prasy i Internetu.*

*Wypiłam kawę, poprzeglądałam prasę i doszłam do wniosku, że to nic strasznego zostać bez stałej pracy. Są też plusy takiej sytuacji - czas dla siebie i poczucie niczym nieskrępowanej wolności. Miałam kiedyś kumpla poetę. Dobierał słowa do myśli, pisał wiersze, których prawie nikt nie czytał i których nikt nie chciał publikować. Czuł się szczęśliwy, mając rower, jedno spodnie, parę koszul i kapelusz. Wymyślał wiersze, jeżdżąc na rowerze. Mówił, że praca niewoli i ogranicza duszę, nadaje wszystkiemu jednolitą sztywną formę i wciska w ramy, w które sztuki wcisnąć się nie da. Naraz zrozumiałam, że miał rację. Co prawda w jego przypadku z czasem zaczęło się to przekładać na depresję mocno zakrapianą alkoholem, która przeplatała się z okresami manii, kiedy tworzył niewiarygodnie dużo, ale to przecież w końcu pojedynczy przypadek, który nie stanowi żadnej reguły.*

*\*\*\**

*Piątek po południu*

*Widziałam go. To jakiś obłąd. Zmysły płatają mi figle. Zwodzą mnie i oszukują. Prawda miesza się z iluzją, iluzja z prawdą. Ktoś kiedyś powiedział, że od nas zależy, co przyjmujemy w życiu za iluzję, a co za prawdę. Wiem, że to niemożliwe, a jednak. Jechałam z Pitigliano i wtedy zobaczyłam stojący na poboczu drogi tamten samochód. Coś*

*kazało mi się zatrzymać. To coś nie było rozumem... A teraz wszystko we mnie krzyczy, jak krzyczą ściany w moim mieszkaniu, na których namalowałam w nocy dziesiątki przerażonych i zrozpaczonych twarzy. Boję się wszystkich i wszystkiego, a przede wszystkim samej siebie. Jak to było z tą mistyką kolorów? Biały to zły kolor, podobnie jak czarny. Czerń i biel to dwa beznadziejne kolory.*

\*\*\*

Przeczytałem ten dziennik Karoliny i w okamgnieniu szlag trafił cały dystans i cały profesjonalizm. Jeszcze przed paroma godzinami zastanawiałem się, co czuję do Karoliny. Teraz wiedziałem to już na pewno. To nie jest przyjaźń. Skończyłem czytać i byłem pewny, że nie pojedę dzisiaj do niej do szpitala. Na pewno nie mogę się dzisiaj z nią spotkać. Pomyślałem, że najpierw muszę ochłonać, zdystansować się od własnej zazdrości, a potem jeszcze raz przeczytać bez emocji ten dziennik. Emocje zaburzają myślenie, zniekształcają rzeczywistość, uniemożliwiają obiektywną ocenę, dekoncentrują, powodują, że popełnia się błędy. Kurde, nigdy nie przypuszczałem, że ja mogę być taki zazdrosny. Zupełnie nie znam samego siebie. Poszedłem pobiegać. Przebiegłem kilkanaście kilometrów. Zziajałem się jak pies. Koszulkę mogłem wykręcać. Pot kapał mi z włosów, strużkami płynął po twarzy. Padnięty przybiegłem do domu. Stałem pod prysznicem, spuszczając sobie na głowę hektolitry chłodnej wody. Nic nie pomogło. Nadal byłem zazdrosny. Miałem ochotę zgładzić tamtego gnoja. Targały mną emocje, o które

sam siebie nigdy bym nie podejrzewał. Pomyślałem, że zadzwonię do Krzysztofa, odwołam wszystko. Rozłączyłem się w ostatniej chwili. Kurde, jak nie ja, to kto jej pomoże? „Nie należy leczyć bliskich, a tym bardziej podejmować się ich psychoterapii” – dyskutowałem sam z sobą. Usiadłem w fotelu. Otworzyłem komputer. Na chwilę przymknąłem oczy i zacząłem sobie wyobrażać, że to wszystko nie dotyczy Karoliny, tylko jakiejś zupełnie innej młodej kobiety. To nie Karolina, a pacjentka X. Pacjentka X ma dwadzieścia pięć lat. Ukończyła Wydział Malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych. Od roku mieszka w Toskanii. W ostatnim czasie zaczęło się z nią dziać coś dziwnego. Nagle i zupełnie nieoczekiwanie pojawiły się objawy zaburzeń psychicznych. Objawy te nasilały się każdego dnia. Wystąpiły halucynacje, omamy wzrokowe, natręctwa... W pewnym momencie kobieta zaczęła żyć w dwóch niezależnych światach, nie zauważywszy tego zupełnie. Te dwa światy zaczęły się wzajemnie przenikać, tak że cienka granica pomiędzy światem realnym a urojonym przestała istnieć. Niespójność tych dwóch światów spowodowała u pacjentki X lęk, przeradzający się z dnia na dzień w coraz bardziej obezwładniający strach... „To wszystko dotyczy nieznaney mi pacjentki X” – powtarzałem sobie w myślach. „To nie ma nic wspólnego z Karoliną”. Uniosłem się ponad własną zazdrość i przeczytałem ten dziennik jeszcze raz. Próbowałem nadać imię temu, co przeczytałem. Przełożyć emocje i przeżycia na sztywny język określeń medycznych, symptomów i rozpoznań. Z objawów wytwórczych mamy urojenia, niezwykle myśli, podejrzliwość,



halucynacje słuchowe i wzrokowe, być może smakowe i dotykowe. Jest też na pewno fałszywa interpretacja rzeczywistości. Nie zauważyłem żadnych objawów ubytkowych: zmniejszenia motywacji do działania, spadku energii życiowej, zubożenia emocjonalnego. Tego, że przestała mnie kochać, pod ten objaw podciągnąć się nie da, a szkoda, bo być może byłoby mi z tym odrobinę lepiej. Nie zauważyłem cech depresji. Nie ma cech deficytu poznawczego. Formalne zaburzenia myślenia? Dezorganizacja zachowania? „To wcale nie musi być schizofrenia” – pomyślałem, choć takie rozpoznanie wyraźnie sugerował badający Karolinę psychiatra. Pacjentka X... Mnóstwo objawów i żadnego konkretnego rozpoznania. Schizofrenia? Psychoza? Leki odurzające? Narkotyki? Guz mózgu? Domyśliłem się, co zawiera drugi folder. Byłem tego pewny. To były tamte jej szalone rysunki, akwarele i szkice. Jeden rysunek przedstawiał kondukt pogrzebowy złożony z setek postaci kryjących swoje oblicza za białymi maskami, z których każda przedstawiała zniekształconą i powyginaną w krzyku rozpacz i przerażenia twarz. Kondukt schodził w dół cieniastą aleją w kierunku drewnianej, na pół otwartej bramy. Spod lekko uchylonego wieka niesionej na barkach trumny wysypywały się poobcinane głowy. Jedne z nich były jeszcze w locie, inne turlały się po wyboistej drodze, podskakując na wystających kamieniach jak dziecięce piłki, jeszcze inne leżały w przydrożnym rowie. Czarno-biały kondukt żałobny odcinał się wyraźnie od namalowanego pastelowymi kolorami błękitnego włoskiego nieba, od zieleni pobliskich pagórków,

gdzie obok srebrzystozielonego gaju oliwnego rozciągała się jasnozielona winnica. Czerń i biel kontrastowały z polną drogą, wzdłuż której strzelały w górę wysmukłe cyprysy. Na innym rysunku pomiędzy filarami Ponte Vecchio na środkowym przęśle kolebały się na wietrze trzy męskie trupy. Obok nich tętniło życie. Przez Ponte Vecchio przelewał się barwny tłum turystów. Nikomu z przechodzących mostem ludzi nie przeszkadzał widok powieszonych, jakby ten obraz należał do codzienności, nie był niczym przerażającym ani zaskakującym. To nie był koniec. Każdy za szkiców zrobionych we Florencji przynosił nowe sensacje. W ogrodach Boboli obok kolorowych dziecięcych piłek turlały się w dół po ścieżkach poobcinane głowy. Centralną postacią fontanny na Piazza della Signoria nie był Neptun, ale płonąca jak pochodnia kobieta. Dziesiątki turystów fotografowały się na tle tej żywej pochodni. Spuszczona ręka *Dawida* Michała Anioła trzymała ociekający krwią ludzki skalp. Makabra. Był jeszcze szkic przedstawiający Boccaccia z błogosławioną, akwarelka z wieżami w San Gimignano, na których w promieniach zachodzącego słońca można było zobaczyć trupy powieszzone na długich płachtach płótna w kolorze szafranu. Był most Diabła z Borgo a Mozzano z huśtającym się na wietrze ciałem jakiejś martwej dziewczyny. Koszmar... Nagle zobaczyłem dziesiątki złych emocji, które Karolina zakłęła w kreski, kontury i kształty. Gwałt, ból, rozpacz, strach, przerażenie... Nic z ciepła i piękna Toskanii. Nic z wrażliwej i ciepłej Karoliny.

\*\*\*

Nie cierpię szpitali. Zimne ściany, bezosobowe pomieszczenia, chłodni ludzie, cierpienie, ból, rozpacz, śmierć. Na ścianach powieszono krzyże, jak nieme zapewnienie, że te choroby też mają jakiś tajemny, głęboko ukryty sens. Moja wiara jest chyba za mała, bo nie potrafię sobie wytłumaczyć za jej pomocą ogromu ludzkiego cierpienia. Karolina siedziała na łóżku ze wzrokiem wbitym w niebo i zieleń za oknem. Siedziała oparta plecami o ścianę. Nie drgnęła nawet, kiedy usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi. Nie odwróciła głowy. Obojętnością próbowała się oddzielić od intruza, który wtargnął do pokoju, żeby zaburzyć jej spokój. Serce zabiło mi szybciej. Że też nie można zapanować nad własnym sercem... Głupi narząd, który nie chce się podporządkować sile i rozsądkowi. Coś ścisnęło mnie za gardło. Odchrząknąłem odruchowo. Nie drgnęła. Ta zieleń i błękit za oknem były ciekawsze od wszystkiego, co tu i teraz. Karolina wyglądała jak dawniej. Jakby nic się nie zmieniło. Włosy opadały jej na opalone ramiona. Pasemka przy twarzy wydawały się rozjaśnione wiosennym słońcem. Szeroki dekolt podkoszulka odsłonił wizerunek moich dwóch ulubionych jaskółek. Profil twarzy wydawał mi się łagodny jak zawsze.

- Cześć! - powiedziałem cicho. Wybrałem specjalnie to powitanie, na tyle krótkie, że nie było słyhać drżenia mojego głosu. Takie krótkie „cześć” nie powinno ujawnić żadnych emocji.

Słyszając mój głos, odwróciła się gwałtownie. Po jej twarzy przebiegło coś na kształt uśmiechu.

- Przyszedeś... - powiedziała ciepło.

- Jak widzisz.

- Coś długo się zastanawiałeś... - dodała z wyrzutem. - Już myślałam, że nie przyjdiesz.

- Nie zastanawiałem się. Byłem zajęty - skłamałem, dziwiąc się, że tak gładko przeszło mi przez gardło to kłamstwo.

- Pomyślałam sobie, że się na mnie gniewasz, że jesteś na mnie zły.

- Dlaczego miałbym się gniewać?

- Potrzebowałeś mnie wtedy, a ja odeszłam.

- Bywa.

- Zawiodłam cię.

- Może trochę.

- Bałam się wtedy z tobą zostać.

- Wiem. Miałaś mnie dosyć. Byłem dla ciebie nie do wytrzymania. Sam z sobą też ledwie wytrzymywałem. W sumie nie mogłem się dziwić. Też bym siebie samego zostawił.

- A teraz?

- Co: teraz? - Nie zrozumiałem.

- A teraz coś się w twoim życiu zmieniło?

- Oczywiście. Moi klienci mają się dobrze, a ja jakoś wytrzymuję sam z sobą.

Odwróciła się w moją stronę. Wyciągnęła przed siebie rękę, jakby chciała mi pokazać zabandażowane nadgarstki. Zauważyłem je od razu. Rzuciły mi się w oczy, jak tylko wszedłem. Trudno było ich nie zauważyć. Zwoje bandaża zaczynały się na wysokości nadgarstków i pięły ku górze

prawie do połowy przedramion.

- Moje ręce wyglądają podobnie, jak kiedyś wyglądała twoja ręka - zauważyła.

- Może i podobnie, ale nie tak samo - powiedziałem z ociąganiem.

Zamilkła i wbiła wzrok w te bandaże. Nie widziałem jej przez rok. No, może nie całkiem, kiedyś przesłała Internetem jakieś zdjęcia. Ona ze sztalugami rozstawionymi wśród przeciskającego się obok niej tłumu, malująca portret siedzącej w odległości metra od niej dziewczyny. To musiało być we Florencji, bo wydawało mi się, że poznaję ten zaułek. Kiedy byliśmy razem we Florencji, siedział tam jakiś mężczyzna i malował farbami na szkłe Ponte Vecchio. Na drugim zdjęciu Karolina klęczała na ulicy, malując jakiś tokański pejzaż kolorowymi kredami na bruku przed wejściem do katedry Santa Maria del Fiore. Obok niej leżał kapelusz na datki. W nim parę nędznych monet. Namalowany kredą pejzaż trącił kiczem. Był jak obrazy sprzedawane na jarmarkach malowane przez domorosłych artystów. Zieleń winnic była tak intensywnie zielona jak młoda trawa na wiosnę, błękit nieba był zbyt błękitny, czerwień maków krwista, zieleń gajów oliwnych srebrzysta, a strzelające w górę cyprysy rosnące wzdłuż polnej drogi wydawały się sięgać nieba. Na innej fotografii Karolina malowała na chodniku przed jakimś nieznanym mi kościołem dwie wyciągnięte do siebie dłonie stykające się wskazującymi palcami, jak na fresku Michała Anioła. Byliśmy kiedyś razem w Rzymie. Zwiedzaliśmy wtedy Kaplicę Sykstyńską w Bazylice

Świętego Piotra w Watykanie. Podziwialiśmy *Stworzenie Adama*. Raptem te wyciągnięte do siebie dłonie zdjęte ze ścian kaplicy i rzucone na bruk pomiędzy dziesiątki deptających je stóp straciły swoje symboliczne znaczenie. Ideał sięgnął bruku, i to za sprawą Karoliny. Na kolejnym zdjęciu szkicowała karykaturę jakiegoś obleśnie grubego faceta siedzącego naprzeciw niej przy stole w jakiejś restauracji. Na białym obrusie obok filiżanki z kawą leżały zwinięte banknoty. Czego się nie robi dla pieniędzy! Szmal podnieca i zniewala. Pamiętam, te fotografie mnie rozdrażniły. Czuję, że coś ściska mnie za gardło. Szlag by to trafił! Nigdy jej nie zrozumieję. Nikt normalny nie jest w stanie zrozumieć artystów. Oni są ulepiani z innej gliny. Chałtura czy sprzedawanie samej siebie? Twórczość czy żebranina? Malarstwo czy swoista prostytutka? Życiowa konieczność czy nowy artystyczny image? Kiedyś Karolina rozwodziła się nad tym, że dla artysty najważniejsza jest wolność. Tłumaczyła mi, że artystę bardziej charakteryzuje styl życia niż talent. Czy zarabianie na ulicy należało do tego stylu życia? A może właśnie świadczyło o wolności?

- Powiedziałaś, że twoja ręka wyglądała tylko podobnie do moich? - Jej głos dotarł do mnie jak z zaświatów, z trudem przedarł się przez tamto wspomnienie.

- Podobnie, ale nie tak samo. Ja zrobiłem sobie sznyty żyletką na przedramieniu, żeby sprawdzić, co czuje zdesperowana pacjentka. Chciałem ją zrozumieć, żeby móc jej pomóc. Przez moment wydawało mi się, że przez tę próbę stanę się dla niej i dla siebie odrobinę bardziej wiarygodny.

Myślałem głupio, chciałem dobrze, wyszło idiotycznie... Ty nożem do rozcinania kopert podciąłaś sobie żyły. Nie wiem dlaczego. Dobrze, że nie przecięłaś ścięgien. Myślę, że chciałaś się zabić... Ty zrobiłaś to przeciwko sobie, ja dla kogoś. Jak widzisz, podobnie, ale zupełnie nie tak samo.

Spojrzałem jeszcze na te jej ręce i raptem poczułem serce w gardle. Na lewym przedramieniu, tuż nad zwojem bandaża widniał tatuaż dwóch serc przebitych strzałą.

\*\*\*

Widziałem światło palące się w oknach pracowni. Jasna smuga padała na chodnik. Pokonałem trzy stopnie dzielące go od drzwi wejściowych do domu. Przycisnąłem dzwonek i przytrzymałem długo. Szalony warkot dotarł do mnie na ulicę. Odczekałem i przycisnąłem dzwonek jeszcze raz. Przeciągły dźwięk ponownie rozdarł ciszę. Krótka przerwa i znowu nacisnąłem przycisk dzwonka. Dwa długie sygnały i jeden krótki. Tak jak zawsze, kiedy on tworzył, a ja właśnie chciałem z nim pogadać. Raptem z trzaskiem otworzyło się okno w pracowni.

- Nie ma mnie w domu! - Usłyszałem podniesiony głos Marka. - Czy tego nie widać? Aż tak trudno to zrozumieć?!

Po chwili okno zamknęło się z trzaskiem. Tynk posypał się na płyty chodnika. Znam go jednak dobrze. Po minucie przez domofon rozległo się warknięcie:

- Czego?
- Muszę z tobą pogadać.
- Nie dzisiaj! - Warknięcie przeszło w jęk. - Dzisiaj

maluję... Znajdź sobie inną porę.

Usłyszałem dźwięk odkładanej słuchawki domofonu. Oczekałem minutę. Dałem mu czas. Miał chwilę, żeby ochłonać, przemyśleć i zmienić zdanie. Zna mnie dobrze. Wie, że nie ustąpię. Przystąpiłem parę razy z nogi na nogę, po czym znów nacisnąłem przycisk dzwonka. Tym razem usłyszałem tupot jego stóp zbiegających po drewnianych schodach. Pomyślałem, że przytył ostatnio, bo jego kroki brzmiały jak stukot kopyt tabunu koni. Po chwili drzwi otworzyły się szeroko.

- Nie dzisiaj! - przywitał mnie wrogo. - Dzisiaj naprawdę nie mogę. Maluję akt kobiecy. Akty to zawsze sprawa delikatna. Przestraszyłeś mi modelkę. Dziewczyna prawie zawału dostała. Myślała, że to moja żona niespodziewanie wróciła z delegacji. Anna nie przepada za modelkami. Szczególnie kiedy są młode.

- Akt kobiecy? - powtórzyłem za nim bezwiednie. Fakt, że Marek maluje akt, nie przebił się tak od razu do mojej świadomości. Karolina chałturząca na ulicach, on malujący akty. Pomyślałem, że sztuka schodzi na psy. - Mówisz, że malujesz akt? Czy dobrze cię zrozumiałem?

- Co w tym dziwnego? Trzeba tworzyć coś dla potomnych i coś dla chleba. Prawdziwa sztuka dla koneserów, chałtura dla plebsu. Z czegoś trzeba żyć... Z prawdziwej sztuki się nie da. Nie zarobię nawet na farby, a gdzie cała reszta? Nie czuję się dobrze, będąc na utrzymaniu żony. Akty sprzedają się dobrze - tłumaczył się. - Akt w sypialni pobudza wyobraźnię...

- Chciałeś powiedzieć, że podnieca... - wszedłem mu



w słowo.

- Chciałem powiedzieć to, co powiedziałem. Akt młodej ulicznicy z twarzą anioła i ciałem pokrytym tatuażami może poprawić wiele małżeńskich relacji. Jej ręka ułożona na piersi może się przyczynić do wzrostu populacji tych, którzy będą pracować na nasze emerytury.

- Co ty powiesz...? Co za zadziwiające podejście do tematu. Można powiedzieć, że to zupełnie nowe spojrzenie na sztukę. Takie zupełnie inne, bardzo użytkowe.

Myślałem, że zaczniesz się bronić, a on nagle spojrzał na mnie jakby przytomniej.

- Co się tak dobijasz? Stało się coś? Coś u ciebie jest nie tak? Potrzebujesz pomocy? - rzucał pytanie za pytaniem, nie czekał na odpowiedź, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że to moje dobijanie się późnym wieczorem nie jest dla mnie typowe.

- Aktów w sypialni nie potrzebuję - palnąłem bez zastanowienia.

- Jeszcze trochę, a będziesz potrzebował. Jak wszyscy... - Dał się na krótko zbić z tropu. - Nie o to pytam... Nie zadzwoniłeś, tylko przyszedłeś. To zdarza ci się wyjątkowo rzadko. Czy coś się stało? - dopytywał się natarczywie.

- Chciałem pogadać.

- Pogadać? Tak po prostu pogadać? - Nie mógł zrozumieć.

- Chcesz tylko pogadać i zamiast zadzwonić, przyszedłeś?

- Tak jakoś było mi po drodze - minąłem się z prawdą.

- O czym chcesz pogadać? - Zaintrygowałem go. Spojrzał na mnie uważnie. Zatrzymał wzrok na mojej twarzy.

- Nie o czym, a o kim...

Wbił we mnie wzrok, czekał, a ja milczałem. Jakoś przeszła mi ochota na tę rozmowę, bo właściwie o czym miałem z nim rozmawiać? To przecież jest żałosne, że psychoterapeuta próbuje się wygadać przed byłym pacjentem. Nieważne, że relacje się zmieniły i były pacjent już od paru lat jest przyjacielem. Przeszło mi przez myśl, że sam dla siebie staję się mało wiarygodny. Zawodowy koniec, po prostu katastrofa.

- O kim chcesz porozmawiać? - spytał po chwili. - O Karolinie?

- Tak, o Karo. Wracam właśnie od niej ze szpitala.

- Tak późno? - zapytał zdziwiony.

- Tak jakoś wyszło. Pojechałem późnym popołudniem, zasiedzialem się u niej trochę... - Trudno było mi się przyznać, że po wyjściu ze szpitala schodziłem pół miasta, próbując wyciszyć emocje, uporządkować myśli i chociaż przez chwilę nie być zazdrosny.

- Wejź! - powiedział niespodziewanie. - Spławię dziewczynę. Pogadamy.

\*\*\*

- Nie pomożesz jej?

Siedział na podłodze metr ode mnie z butelką wina w ręce i próbował zrozumieć, co do niego mówię. Jakoś nie mogło mu się to pomieścić w głowie. Nie pasowało do jego poczucia przyzwoitości.

- Nie pomogę - powiedziałem zdecydowanie, jakbym

próbował tą stanowczością przekonać samego siebie.

- Dlaczego? - Parzył na mnie zdziwiony. - Pomagasz wielu obcym ludziom, a nie pomożesz Karolinie?

- Nie pomogę - powtórzyłem kolejny raz.

- Dlaczego? Dlatego, że cię zostawiła, czy dlatego, że kochała się z innym, a tobie teraz zazdrość dupę ściska?

- Nie dlatego.

- Czyżby? - Patrzył na mnie z powątpiewaniem. - Mówisz, że zazdrość nie ma znaczenia?

- Nie ma - skłamałem. - W każdym razie nie jest czynnikiem decydującym - złagodziłem kłamstwo.

- Pieprzysz jakieś bzdury...

Miał rację. Pieprzyłem bzdury. Wściekły byłem na siebie, że nie potrafię unieść się ponad to przyziemne uczucie. Światem rządzą jednak penis i emocje. Zazdrość to paskudna choroba. Ściska gardło, dusi w piersiach, sprawia, że ręce same zaciskają się odruchowo w pięści. Powoduje, że nie czułbym się winny, zabijając tamtego gnoja.

- Nie chcesz pomóc Karolinie? To takie nienaturalne. Niepasujące do ciebie. Ty próbujesz pomóc każdemu...

- Nie potrafię jej pomóc - przerwałem mu.

- Nie potrafisz? - zdziwił się. - Jak to nie potrafisz? - Poczuł się mną rozczarowany.

- Zwyczajnie. Nic dodać, nic ująć. Nie potrafię. W tym, co mówię, nie ma żadnego podtekstu, żadnej gry słów. Po prostu nie potrafię. Nie mam dystansu do sprawy. Nie jestem obiektywny - cedziłem powoli każde słowo. Chciałem, żeby mnie zrozumiał. - Mogę wiele rzeczy przegapić, wiele

opacznie zrozumieć. Nie leczy się znajomych, a już na pewno nie prowadzi się ich psychoterapii.

- Znajomych? - Uczepił się tego jednego słowa, jakby nie usłyszał nic innego z tego, co powiedziałem. Wiedziałem, że to zrobi. Sam czułem, że zabrzmiało nieszczerze i paskudnie. - Karolina jest dla ciebie tylko znajomą? A ja sądziłem, że jest obiektem twoich westchnień, szczytem twoich marzeń, spełnieniem twojego życia - nakręcał się coraz bardziej. - Jak to pozory mogą mylić...

- Nie leczy się przyjaciół... - próbowałem się poprawić.

- Mnie teraz też byś już nie leczył? Pozwoliłbyś mi popełnić samobójstwo? - dopytywał się natarczywie. - Zyskując przyjaciela, straciłem psychoterapeutę? Gdybym miał teraz myśli samobójcze, to wysłałbyś mnie do kogoś innego?

- Pewnie nie, ale powinienem. Tak byłoby lepiej. Tak byłoby logicznie. Takie są zasady.

- Pierdolę takie zasady... Mam gdzieś taką przyjaźń.

Już nawet nie patrzył w moją stronę. Wypił parę łyków. Odstawił butelkę z hukiem na podłogę. Wlepił wzrok w jakiś bohomas stojący na sztalugach. Wstał i zaczął z zapalem coś w nim poprawiać. Raptem przestałem się dla niego liczyć. Osądził mnie. Gęstość mojego ciała stała się porównywalna z gęstością wypełniającego jego pracownię powietrza. Poczujęm się paskudnie.

- Nie potrafię jej pomóc...

- Pieprzysz, bo jest ci tak wygodnie. Nie poznaję cię. Mam wrażenie, że znałem wcześniej zupełnie innego faceta. Aż tak

się boisz swoich emocji, że pozwolisz ją zamknąć w psychiatryku?

- Ona nie chce ze mną rozmawiać - zacząłem tłumaczyć. - Nie chce rozmawiać z nikim. Boi się. Jest przerażona. Działo się z nią coś dziwnego, czego nie rozumie. Wydarzyło się mnóstwo rzeczy, które wymknęły jej się spod kontroli. Musiała się tego przestraszyć. Każdy by się przestraszył. Zapewne nawet nie potrafi tego ubrać w słowa. Bardziej to czuje, niż wie... Boi się być sama. Więc chce być ze mną. Nie wiem, czy potrafię... Ona chce, żebym z nią pojechał do Toskanii. Twierdzi, że musi tam pojechać, bo tylko tam ma szansę wszystko zrozumieć...

Marek usiadł na podłodze, oparł się plecami o ścianę. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Słuchał.

- Napij się! - Wyciągnął w moją stronę butelkę.

- Nie chcę. Przyjechałem do ciebie samochodem.

- Napij się! - powtórzył głośniej. - To chianti.

- Czy to coś zmienia?

- Wiele. Przysłała mi je kiedyś Karolina. To wino z okolic Fiano.

Wziąłem od niego butelkę. Spojrzałem na etykietkę. Dwa drzewka oliwne o powyginanych pniach, splecione gałęziami jak początek jakiegoś tunelu wiodącego do nieba. Coś ukłuło mnie w środku. Już gdzieś widziałem podobne drzewa i podobny tunel. Etykietka głosiła, że wino wyprodukowano w winnicy Sergrana. Serce zabiło mi szybciej. Czyżby Sergrano istniał naprawdę? Czyżby nie należał do jej wyobraźni? Nie był częścią jej szaleństwa? Łyk wina, potem

drugi i trzeci. Mocne jest to chianti. Świat zawirował. Przyjemne ciepło zaczęło mnie obezwładniać. „Muszę być zmęczony” – pomyślałem. „Ja się tak szybko nie upijam”.

Na tym jednym chianti się nie skończyło. Piliśmy do rana. Rozmawialiśmy o sztuce, zmieniających się muzach, natchnieniach, wzlotach i upadkach, euforii i depresji. A na koniec o rodzinach. Pokonał mnie moją własną bronią. Kiedyś był uważnym pacjentem. Pamiętam, jak walczyliśmy z jego depresją. Niemoc powaliła go wtedy na łopatki. Każde zadanie go przerastało. Uporczywe impulsy biegały w kółko po synapsach. Natrętne myśli go nie opuszczały. Cierpiał na bezsenność. Wieczorem zasypiał na chwilę, budził się po dwóch godzinach i już później nie mógł zasnąć do rana. W nocy wszystko wyglądało jeszcze paskudniej, jeszcze straszniej, jeszcze bardziej beznadziejnie. Miał ciągle poczucie winy. Nic go nie cieszyło. Przyszłość go przerażała. Potrafił całe dni spędzać, leżąc w łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit. Nie jadł, bo nie miał apetytu. Wychudł i zmałał. Wycofał się ze wszystkiego. Bojąc się, że nie podała, przestał nawet malować, nie chodził na wystawy, nie sprzedawał swoich dzieł, nie spotykał się ze znajomymi, nie grał w tenisa, nie jeździł konno. Jakby zamarł w oczekiwaniu na przyjście czegoś jeszcze gorszego. To było jedno z pierwszych naszych terapeutycznych spotkań. Nie znałem go jeszcze. Próbowałem go poznać. Posadziłem go w fotelu naprzeciw siebie. Widziałem, jak ucieka wzrokiem, jak próbuje się schować pod przybraną maską obojętności. Poprosiłem, żeby stworzył listę negatywnych myśli o samym sobie. Podałem mu kartkę

papieru, długopis i przyglądałem się, jak bez większego zastanowienia pisze na kartce papieru bolesne stwierdzenie za stwierdzeniem.

- Cały świat sprzysiął się przeciwko mnie.
- Muszę walczyć z całym światem.
- Jestem do niczego.
- Nic nie potrafię.
- Nikt mnie nie rozumie.
- Nie akceptuję sam siebie.
- Zawiodłem wszystkich.
- Nie jestem nic wart.
- Jestem przegrany.
- Jestem słaby.
- Nie mam nadziei.
- Nienawidzę samego siebie.
- Moje życie nie ma sensu.
- Na nic nie mam siły.
- Na nic nie mam ochoty.
- Nic się nie opłaca.
- Nic mnie nie cieszy.
- Niczego, co rozpocznę, nie jestem w stanie skończyć.
- Wszystko robię źle.
- Nikt nie może mi pomóc.
- Nie jestem w stanie wziąć życia w swoje ręce.
- Jestem beznadziejny.
- Nie mam marzeń.
- Nie potrafię dążyć do celu.
- Jestem niereformowalny.

- Jestem wiecznie zmęczony.
- Jestem ciągle niezadowolony.
- Nie jestem w stanie uporządkować swojego życia.
- Coś jest we mnie złego.
- Nikt mnie nie kocha.
- Nikt mnie nie lubi.
- Nikt mnie nie akceptuje.
- Pracuję za wolno.
- Egzystuję bez celu.
- Jestem leniwy.
- Jestem nieudacznikiem.
- Jestem obojętny.
- Nikogo nie kocham.
- Nic mnie nie interesuje.
- Coś we mnie jest nie tak.
- Jestem kulą u nogi dla najbliższych.
- Nie potrafię się na niczym skoncentrować.
- Wszystko wokół mnie to gehenna.
- Nie mam siły nic zmienić.
- Wystarczy! - przerwałem mu.
- Już wystarczy? - Spojrzał na mnie zdziwiony. - Mogę pisać dalej. Z tym jednym nie mam kłopotów. Bez problemów mogę napisać dużo więcej.
- Gorszy dzień? - zapytałem przyjaźnie.
- Nie mam gorszych dni. W każdym razie, nie miewam ich już ostatnio. Wszystkie są równie beznadziejne. Od paru miesięcy nic się nie zmienia. Konstans. Osiągnąłem dno i już niżej nie mogę się osunąć. Rośnie tylko ciśnienie wody nade



mną. Czasami mam wrażenie, że ono mnie coraz bardziej dociska i przygniata.

- Proszę napisać w drugiej kolumnie coś pozytywnego.

- Pozytywnego? - spytał zdziwiony, jakby w swym życiu nie widział pozytywnych rzeczy.

- Coś dobrego - próbowałem go ukierunkować.

- Nie jestem debilem. Wiem, jakie znaczenie ma słowo „pozytywny” - warknął.

Przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu. Bezwiednie malował na kartce esy-floresy. Wtem wśród płątaniny krzywych pojawiło się zdanie.

„Przyjdzie dzień, że zdobędę się na odwagę i skończę z sobą”.

- Tego już pan próbował. Nie pomogło.

- Nie udało się, ale przeświadczenie, że kiedyś może się udać, bardzo mi pomogło - stwierdził spokojnie.

- Mam dla pana inne zadanie. Porozmawiajmy o rodzinnych.

Spojrzał na mnie jak na szaleńca.

- O czym? O rodzinnych? - próbował się upewnić.

- Małe rzeczy bywają bardzo absorbujące.

- Myśli pan, że bardziej od myśli samobójczych?

- Z pewnością.

- Mam się skupić na rodzinnych? - Nie mógł zrozumieć. - To jakieś bzdury! Nie mam czym zapłacić czynszu za pracownię. Żona nie może już ze mną wytrzymać. Samochód mi się sypie. Zwrócono mi mnóstwo niesprzedanych obrazów, a ja mam podziwiać rodzinny? - Z minuty na minutę nakręcał

się coraz bardziej, mówił coraz głośniej. – Nie mam żadnych wizji artystycznych. Męczy mnie nawet myślenie o trzymaniu pędzla. Nie mam na nic ochoty. Napęd życiowy spadł mi do zera. Mam obsesyjne myśli samobójcze. Jestem wściekły na siebie, że nie potrafię się nawet zabić. Jestem tak miękki i rozlazły, że nawet nie potrafię popełnić samobójstwa. Czuję się jak zero i jestem zerem, i to zero ma się skoncentrować na rodzinach? Nie potrafię zarabiać. Schowałem się za sztukę przed normalnym życiem. Znajomi mnie denerwują. Przyjaciele się odsunęli. Żona mnie niedługo rzuci z powodu pijaństwa, a pan każe mi się skupić na rodzinach? Pieprzy pan jakieś bzdury! – Podniesiony głos przeszedł w krzyk. Fakt, że ma się skoncentrować na rodzinach, spotęgował jego frustrację. – W dupie mam te rodziny, pana i całą tę pana popieprzoną terapię...

On się wściekł, a mnie ulżyło. „Nie jest z nim tak źle” – pomyślałem. „Nie jest jeszcze przypadkiem straconym. Nie będzie terapeutyczną porażką”. Udało mi się przebić głupią rodziną przez mur poprawnej obojętności. Rodzinki wzbudziły emocje, których nie było w nim już od wielu miesięcy. Wywołały cały ciąg niekontrolowanych wypowiedzi i nieprzewidywalnych reakcji. Obojętność prysnęła jak bańka mydlana. Był tak zdenerwowany, że ręce mu się trzęsły. Pomyślałem, że coś w nim drgnęło. Wszystko jest lepsze od tępej i milczącej obojętności. Nawet niechęć do rodziny.

– W dupie mam te rodziny! – powtórzył jeszcze raz.

– Mnie chodzi tylko o jedną rodzinę. Całą resztę może pan mieć w dupie – powiedziałem spokojnie. Mój spokój wobec

jego frustracji musiał go jeszcze mocniej poirytować.

- Mam się skoncentrować na jednej pieprzonej rodzinie?  
- warknął.

- Tak byłoby najlepiej...

- Może na życiu intymnym tej rodziny...

- Może.

- Pan jest kopnięty! - Wpadł w bezdech. - Ktoś powinien bronić klientów przed popierdolonymi psychoterapeutami. Pan sam potrzebuje terapii.

- Nie ja jeden. Nie ma ludzi do końca normalnych. Każdy jest mniej lub bardziej popierniczony. Przez to popierniczenie przynajmniej nie jest nudno. Wróćmy do naszej rodziny. Niech pan sobie pomyśli, ile niepowtarzalnych doznań może nam dostarczyć taka jedna rodzinka.

- Nie cierpię rodzynek. Są mdłe i wchodzą między zęby.

- To zależy. Ta pochodzi z Kalifornii. Jest duża i słodka.

- Nie lubię żadnych rodzynek - warknął w moją stronę.

- Nie lubi ich pan jeść. A dotykać? Ta jest wyjątkowo duża i nie za bardzo przesuszona. Można ją pougniatać w palcach, turlać po dłoni. Można ją powąchać, można przeżuć i wypluć. Można ją usłyszeć...

- Usłyszeć rodzynekę? - Patrzył na mnie z niedowierzaniem, jakby miał przed sobą idiotę. Raptem role się odwróciły. On czuł się zdrowszy ode mnie. Pomyśleć, że nastąpiła taka odmiana, i to za sprawą jednej jedynej rodziny.

- Wystarczy przyłożyć ją do ucha i odrobinę pougniatać...

- mówiłem spokojnie. - Chrzęści dość specyficznie.

- Pan chyba żartuje! Kpi pan ze mnie! Mnie świat wali się

na głowę, a pan każe mi się skupić na rodzinie. Czy wszyscy psychoterapeuci są tacy stuknięci? Mówiłem lekarzom na oddziale, że ja nie chcę żadnej psychoterapii, że nie wierzę w te bzdury. Jakby pan żył w innym świecie. W świecie, gdzie najważniejsza jest rodzynka - próbował jeszcze ze mną walczyć, ale jego myśli krążyły już wokół rodzyńki. - Pierniczona rodzyńka. Nawet nie da jej się namalować. Taki nędzny wysuszony owoc, pozbawiony już dawno życia. Nawet nie ma siły naśladować kulki winogrona... - Zamilkł na chwilę, ale jego myśli były już tylko przy tej rodzinie. - Można ją namoczyć w wodzie - powiedział po chwili. - Wtedy stanie się duża i okrągła. Można ją wrzucić do alkoholu. Zabarwi wódkę na kolor słomkowy. Można ją obtoczyć w mące, wtedy nie opadnie na dno, kiedy włoży się ją do ciasta...

Zadzwoił do mnie dzień później.

- Dziękuję - burknął niepewnie. - Zrozumiałem. Ta głupia rodzyńka uwolniła mnie na chwilę od całego otaczającego mnie koszmaru. Wyrwała ze szponów obłądu.

Kiedy wiele miesięcy później skończyliśmy terapię, dostałem od niego obraz przedstawiający jedną jedyną, samotną rodzyńkę, wysuszoną i pomarszczoną, leżącą na kartce papieru szczelnie wypełnionej rzędami liter. Wokół rodzyńki papier był biały, litery rozmyte, nieczytelne, pozbawione agresywnej wyrazistości. Zamiast krzykliwego chaosu przypadkowo połączonych wyrazów i dziesiątek bezsensownych znaków interpunkcyjnych, wśród których dominowały wykrzykniki i znaki zapytania, wokół wysuszonego winogrona panowała cisza i spokój. Obraz

powiesiłem na ścianie przeciwległej do mojego biurka. Czasami i we mnie zaczyna panować chaos. Patrzę sobie wtedy na tę rodzinę i to pomaga.

Dzisiaj też pomogło. W głowie już mi mocno szumiało chianti, kiedy niespodziewanie usłyszałem:

- Nie wygłupiaj się! I tak przecież pomożesz Karolinie. Nie koncentruj się na pieprzonej dumie! Nie skupiaj się na zazdrości! Nie czuj się urażony i porzucony! Nie rób z siebie obrzyganej i porzuconej sieroty! Zresetuj te durne uczucia. Pomyśl na chwilę tylko o rodzinie!

\*\*\*

W momencie, kiedy podjąłem decyzję, wszystko inne przestało się liczyć. Skoncentrowałem się na tej pieprzonej rodzinie i raptem wszystko wydało mi się o wiele prostsze. W końcu nie chodzi o urażone uczucia i o zazdrość, a o stare prawdy, że przyjaciół nie zostawia się w biedzie, a stara miłość nigdy nie rdzewieje.

Najpierw musiałem stoczyć całą batalię z Krzysztofem. Zasłaniał się policyjnymi procedurami, dziesiątkami własnych wątpliwości i moim brakiem doświadczenia w tego typu działaniach. Uważał cały ten wyjazd do Toskanii za idiotyczny pomysł, a moje zaangażowanie za brak profesjonalizmu.

- Chcesz pojechać z Karoliną Bielawską do Toskanii? - chciał się upewnić, czy dobrze mnie zrozumiał. - Chcesz skonfrontować się na miejscu z problemem? Będiesz tam sam. Ryzykowne. Niestandardowe. Wbrew wszelkim istniejącym zasadom. Czy prowadziłeś już taką terapię?

- Nie - odpowiedziałem szczerze, choć wiedziałem, że ta odpowiedź może mnie pogрузić. - Nigdy - dodałem.

- Można by przypuszczać, że decydujesz się na tak ryzykowny krok z zupełnie osobistych pobudek - zarzucił mi. - Mówiłem ci już, że w naszej pracy to jest niedopuszczalne. Powoduje dekoncentrację. Może być przyczyną błędów. Mylnej interpretacji... To się nie mieści w procedurach. Osobisty stosunek do sprawy wyklucza z udziału w niej... Takie są reguły. A reguły są po to, żeby ich przestrzegać.

- To mnie wyklucz! - palnąłem bez zastanowienia. - Zrób

to! Podejmij taką decyzję! Miej odwagę to zrobić! Ja się nie podporządkuję procedurom. Nie w tej sprawie. Możesz mnie odsunąć od sprawy albo to zaakceptować. Ja już nie pracuję w policji. Chwalę to sobie. Te reguły mnie już dawno nie obowiązują. Przestałem pracować w policji przed trzema laty - mówiłem rozdrażniony. Nakręcałem się z minuty na minutę coraz bardziej. Tamte wspomnienia nadal budziły we mnie dużo emocji. Nadal bardzo bolały. - Wtedy zgubiły nas procedury. Nie udawaj, że nie pamiętasz. Zgodnie z procedurą, w przypadku nieletniego musiałeś zawiadomić o próbie samobójstwa jego rodziców. Chłopak był już gotowy zejść z tego dachu, ale zobaczył na dole swojego ojca stojącego tuż obok ciebie. Skoczył z trzynastego piętra. Zabił się, a właściwie to zabiła go procedura. W toku śledztwa okazało się, że ojciec był sadystą, że katował go każdego dnia, że chłopak nie mógł tego znieść i właśnie dlatego chciał popełnić samobójstwo. Zabiła go procedura i służbowy stosunek do sprawy. Zabiła go głupota. Nie mów mi o sztywnych przepisach! Można było poczekać, aż chłopak zejdzie z tego dachu, porozmawiać z nim i dopiero potem zawiadomić jego rodziców. Byłoby to jedno niewielkie odstępstwo od zasad, które uratowałyby ludzkie życie. W dupie mam procedury, które mówią inaczej. Każdy przypadek jest inny. Każda sytuacja wymaga odrębnej analizy. Powierzchowne traktowanie problemu może zabić - mówiłem coraz gwałtowniej. Nie potrafiłem i nie chciałem pohamować emocji. Musiałem wreszcie kiedyś to z siebie wyrzucić. - Nie mów mi, że przepisy zostały ustalone na podstawie

przemyśleń, wniosków z tysięcy wydarzeń, że zostały sprawdzone w tysiącach prób, że są logiczne i uzasadnione. W sztywnych przepisach muszą istnieć adekwatne do sytuacji wyjątki. Wtedy tego zabrakło. Nie byłem i już nigdy nie będę w stanie pracować jako negocjator w policji. Ciebie to niczego nie nauczyło? – zapytałem zaczepnie. – Niczego nie zmieniło w twoim sposobie rozumowania? Czy tylko z racji zawodu nie masz prawa przyznać się do błędu?

Pozwolił mi jechać, ale i tak go do końca nie przekonałem.

– Jak Bielawskiej coś się stanie, to stracę pracę – rzucił na odchodne. – Ja nic innego nie potrafię. Nie jestem tobą. Przyjdzie mi sprzątać ulice.

Jeszcze większą wojnę musiałem stoczyć z ordynatorem psychiatrii, który sądził, że Karolina powinna zostać na oddziale i spędzić tam jakiś czas, poddana obserwacji.

– Pani Bielawska jest prawdopodobnie chora. Tak przynajmniej myślę. – Doktor Kowalski mówił spokojnie. Argumentował rzeczowo. Zależało mu na tym, żebym go zrozumiał, żebym zaakceptował jego zdanie. Znamy się dobrze. Już wiele razy mieliśmy wspólnych pacjentów. Przeżyliśmy wiele wspólnych sukcesów i parę wspólnych porażek. Nauczyliśmy się z sobą rozmawiać, akceptować odmiennosc poglądów i zupełnie inne spojrzenie na terapię. Nauczyliśmy się nawzajem rozumieć. – Próba samobójcza nie była wynikiem depresji. Tego jestem pewien – mówił powoli Kowalski. Dokładnie dobierał słowa. Próbował je jak najlepiej dopasować do swoich myśli. – Nic na to nie wskazuje. Pacjentka nie ma żadnych objawów depresji. Lekko



depresyjny nastrój będzie miał każdy, kto nagle znajdzie się w szpitalu, do tego po próbie samobójczej. Jeżeli chęć unicestwienia siebie nie była wynikiem depresji, to musiała wynikać z czegoś innego. Myślę, że może być skutkiem jakiegoś zupełnie innego zaburzenia psychicznego, którego u pacjentki nie potrafimy jeszcze rozpoznać. Tak w każdym razie wygląda to w tej chwili. Nie potrafię znaleźć innego wytłumaczenia. Młoda, atrakcyjna, odnosząca sukcesy dziewczyna podcina sobie żyły w próbie samobójczej. To coś dziwnego, niespójnego, nielogicznego. To oznacza, że nic jeszcze nie wiemy. Niby dlaczego miałyby chcieć popełnić samobójstwo? Nie ma powodu. Nie widzę przyczyny. Podświadomie czuję, że to jednak jest jakieś zaburzenie psychiczne, chociaż nie potrafię postawić diagnozy. Wiele rzeczy nie trzyma się kupy. Wiele objawów do siebie nie pasuje. Sam nie wiem, co o tym myśleć. Może przyczyną jest psychoza... Może ma początki schizofrenii, a symptomatyka jest jeszcze bardzo nietypowa... Nie wiem. Obraz nie jest do końca klarowny, brakuje wielu objawów, inne są mniej lub bardziej nietypowe. Tak naprawdę w badaniu psychiatrycznym nie ma nic. Nie wiem, czy mnie rozumiesz. - Spojrzał na mnie uważniej. - W badaniu nie ma nic, poza kryjącym się za każdą wypowiedzią lękiem i okresowo obezwładniającym ją strachem. Ona się boi całą sobą. Mam wrażenie, że konfabuluje i wymyśla, co momentami może stwarzać pozory psychozy. Mój młodszy kolega, który przeprowadzał pierwsze badanie, dał się zwieść pozorom. Myślę, że go nabrała. Świadomie lub nieświadomie odegrała przed nim rolę, która

była dla niej wygodna. Ukryła się za objawami chorobowymi. Rozmawiałem z nią wczoraj. Sądzę, że jej jest wygodniej uciec w świat objawów psychiatrycznych niż skonfrontować się z czymś, co działo się z nią naprawdę przez te ostatnie dwa tygodnie. Może robi to podświadomie. To wszystko jest bardzo skomplikowane. Budzi niepokój. - Myślał na głos. Dzielił się za mną swoimi przemyśleniami. - Opieramy się na jej dzienniku, choć nikt z nas nie wie, czy on jest prawdziwy. W chwili obecnej odpowiada na pytania logicznie. Jest zorientowana we wszystkim. Nie ma halucynacji. Nie ma omamów. Nie ma depersonalizacji. Nie ma niczego oprócz zaburzeń pamięci dotyczących ostatnich dwóch tygodni. Tylko czy ona faktycznie ma te zaburzenia pamięci? A może udaje? Nie wiem. To może być zdroworozsądkowa kalkulacja, że w to, co przeżyła w ciągu ostatnich dwóch tygodni, trudno będzie innym uwierzyć. - Zamilkł na chwilę. Zamyślił się. - Jest wiele znaków zapytania. Trzeba ją poobserwować, zanim ktoś zdecyduje się wypisać ją do domu. Ona może nas wszystkich jeszcze zaskoczyć. To, że nie chce nic mówić, niczego nie zmienia. To, że zaprzecza wszystkiemu, też nie uspokaja. Naprawdę wierzysz, Wojtek, że ten wyjazd do Toskanii może coś zmienić? Że konfrontacja z miejscem pomoże? Że spotkanie z tamtymi ludźmi pozwoli jej uwolnić się od strachu? Przecież może być zupełnie inaczej. Odwrotnie. Obawiam się, że postanowiliście wyruszyć razem do piekła, z którego ona przed zaledwie paroma dniami chciała uciec.

- Nie wiem, czy ona jest chora - powiedziałem to, co

dręczyło mnie od spotkania z Karoliną. Ubrałem w słowa męczące mnie wątpliwości i narastający niepokój. – Wątpię, czy to jest choroba – powiedziałem dobitniej. – Rozmawiałem z nią. Byłem w szpitalu – dodałem. – Dobrze ją znam. Można nawet powiedzieć, że bardzo dobrze. Nie zauważyłem żadnych cech psychozy. Karolina jest taka, jaka była zawsze. Przynajmniej w stosunku do mnie. Jedna rzecz, która rzuca się w oczy, to ten nieopuszczający jej lęk. Ona się czegoś panicznie boi. Chce pojechać ze mną do Toskanii, żeby się przekonać, czy to, co ją przeraża, jest prawdą, czy tylko wytworem jej wybujałej wyobraźni. Obawiam się, że w Toskanii wydarzyło się coś strasznego. Coś, co ją przeraża, coś, co nie pozwala o sobie zapomnieć, co wraca we wspomnieniach w kółko i bez końca. To wszystko to chyba mechanizmy obronne, które uruchomiły się samoistnie, próbując ratować ją przed szaleństwem.

\*\*\*

Tuż przed wyjazdem zadzwoniłem jeszcze do Krzysztofa.

– Wiesz coś o Enricu Rossim albo o Francesce Roni?

– Nic szczególnego. – Zawahał się. – W każdym razie nic, co miałoby związek z tą sprawą.

– A tak w ogóle?

– A tak w ogóle to zaskakująca historia – ożywił się nieoczekiwanie. – Nawet Hollywood by się jej nie powstydziło. Pani Francesca Roni bawi w Neapolu na jakichś targach mody. Ponoć jej kolekcja trafiła w gusta znawców mody z całego świata. Lato dopiero za miesiąc, ale już teraz wiadomo, że

w tym roku latem i jesienią będzie się chodziło w ciuchach zaprojektowanych przez Francescę Roni. Ponoć pokaz mody goni pokaz mody. Na każdy przybywa coraz więcej obserwatorów. Na wybiegu modelki i modele w zaprojektowanej przez nią odzieży. Jej projekty zakupiło już wielu. Niespodziewanie zupełnie nieznana projektantka pnie się w zawrotnym tempie po szczeblach zawodowej kariery. W ciągu niespełna dwóch tygodni stała się najpopularniejszą projektantką odzieży w Europie. Podobno wypromował ją jakiś magazyn mody. Pojawiły się w nim doskonałe zdjęcia. Tytuł był prowokujący. Modele wyjątkowi. Do tego ciuchy pasujące do narzuconej przez tytuł konwencji, i tak szczytem marzeń stała się odzież Franceski Roni.

- Ciekawe.

- Też tak myślę. Ludzie potrafią robić karierę. Niesamowita historia. Błyskotliwa kariera w przeciągu kilkunastu dni. Nieznana młoda projektantka zmienia się w ciągu niespełna dwóch tygodni w królową europejskiej mody. Kariera jak z kiczowatego filmu. Ludzie mają szczęście. Jeszcze trochę, a uwierzę w bajkę o Kopciuszk...

- Ciekawe.

- Coś ty nagle taki sceptyczny? Widziałem nawet parę ciuchów z tej jej kolekcji.

- I co?

- Nic. Nie znam się na modzie - powiedział chłodno. - W każdym razie te ciuchy nie są dla mojej żony.

- Chodzi o cenę?

- Nie, o cenie nawet nie myślałem. Te ciuchy są zbyt

odważne, za bardzo wyzywające. Sama zmysłowość. Sam seks. Gorąco się robi od samego patrzenia. Ci Włosi to jednak zupełnie inny naród. Ogień i seks. Zmysłowość i emocje.

- Mówiłeś, że pani Roni bawi w Neapolu. Czy wiesz, kiedy wraca do Fiano?

- Nieszybko. Ponoć z Neapolu leci do Paryża. Później do Aten. Przy takim sukcesie nie ma czasu na siedzenie w domu. Trzeba iść za ciosem. Nie można przegapić takiej okazji. Drugi raz może się już nie zdarzyć.

- A Enrico Rossi?

- Co Enrico Rossi? - spytał zaskoczony.

- Czy dowiedziałaś się czegoś o Enricu Rossim?

- Niczego. Zupełnie niczego. Zniknął, przepadł jak kamień w wodę. Jego sąsiadka twierdzi, że często wyjeżdża w związku z pracą nad jakimś przewodnikiem. Bywa, że nie ma go w domu przez parę tygodni. Jego nieobecność nikogo nie dziwi. Ponoć ma bogate życie zawodowe i jeszcze bogatsze prywatne. Sąsiadka widziała go ostatni raz mniej więcej przed tygodniem.

\*\*\*

Wyruszyliśmy późnym wieczorem. Chciałem jechać nocą. Skorzystać z pustych autostrad, uniknąć upału, nerwowych kierowców, korków przed bramkami na włoskiej autostradzie, blokujących pasy ciężarówek. Planowałem dojechać na miejsce około południa. Wynająłem dom w odległości ośmiu kilometrów od Volterry. Dom położony jest na wzgórzu, daleko od normalnej szosy. Prowadzi do niego wyboista, kręta, pełna

ostrzych podjazdów i stromych zjazdów, wąska, szutrowa droga. Z tarasu domu rozciąga się widok na dziesiątki pagórków położonych poniżej, poprzecinanych polnymi drogami, srebrzących się zielenią gajów oliwnych i przyciągających oczy czerwienią kwitnących właśnie maków. Gdzieś tam szpalery cyprysów podkreślają linię dróg prowadzących do stojących na wzgórzach pojedynczych domów. Jak okiem sięgnąć wszystko jest zielone - łąny falujących jasnozielonych zbóż, pojedyncze ciemnozielone łąny niewielkich piniowych lasów, pnące się po stokach jasnozielone winnice i srebrzystozielone gaje oliwne. Nigdy nie byłem w tej części Toskanii. Widziałem ten dom tylko w folderze w biurze podróży. Wybrałem go dla tych otwartych przestrzeni i zapierających dech w piersi widoków. Nie znam okolic Volterra. Nigdy tamtędy nawet nie przejeżdżałem. Z tego, co wiem, nie była tam również nigdy Karolina. Pomyślałem, że w tym miejscu powinno być łatwiej uporządkować stare problemy i wszystko zacząć powoli od nowa. Nie będzie skojarzeń ani wspomnień. Otoczenie wpływa na ludzi. Może siedząc na kamiennej ławce, mając przed oczami magiczny krajobraz Toskanii, łatwiej będzie rozmawiać? Zależało mi na odludziu. Chciałem, żebyśmy spędzili parę pierwszych dni z dala od wścibskich oczu, ostrych języków, przypadkowo spotkanych znajomych. W odpowiedniej odległości od Fiano, żeby uniknąć nagłych i niespodziewanych spotkań. Taka Toskania bez konfrontacji i bez wspomnień. Preludium do tego, co musi potem nastąpić. Parę dni skradzionych tylko dla nas. Żadnego sentymentalizmu i żadnych żalonych

wspomnień. Profesjonalizm i dystans. Klientka i psychoterapeuta, który zdecydował się jej pomóc. Czysto zawodowy układ, bez żadnych osobistych pólceń i bez niedomówień, bez płonnych nadziei i bez sentymentalnych wspomnień. Wydawało mi się, że to da się zrobić. Na początek musiałem tylko sam w to uwierzyć.

Dzień wcześniej byłem u niej w szpitalu. Chciałem jej powiedzieć, że podjąłem decyzję i pojedę z nią do Toskanii. Zastałem ją stojącą przy uchylonym oknie i bębniącą bezmyślnie palcami o drewniany parapet.

- Co robisz?

Nawet nie drgnęła. Nie odwróciła się w moją stronę. Nadal wystukiwała palcami jakiś rytm po dębowych deskach parapetu. Odwrócona do mnie plecami, próbowała mnie ignorować. Jakby fakt, że się kogoś nie widzi, sprawiał, że go nie ma.

- Idiotycznie tracę wiosnę - odpowiedziała po chwili. - Chcę wrócić do Toskanii. Toskania jest piękna wiosną. Zawsze jest piękna, ale wiosną najpiękniejsza. Tutaj brakuje mi wszystkiego - próbowała mi tłumaczyć. - Wolnych przestrzeni, zieleni, błękitu i powietrza. Tak niepowtarzalnie cudowna pora roku przechodzi mi koło nosa... A wszystko tylko dlatego, że jakiś lekarz uważa, że ja mam nadal myśli samobójcze, że mogę znowu próbować się zabić.

- A masz myśli samobójcze? - Chciałem, żeby to zabrzmiało obojętnie.

- Nie mam - odpowiedziała bez chwili wahania. - Nie mam i nigdy nie miałam.

- Co ty powiesz...? Te podcięte żyły to miała być pieśń pochwalna na cześć łąk umajonych, śpiewu ptactwa i wiosny?  
- powiedziałem ironicznie. - Taki oryginalny dar dla matki natury? Taka cześć oddana wiośnie?

- Czemu tak głupio pieprzysz?! - Odwróciła się gwałtownie w moją stronę. Wbiła wzrok w moją twarz. Przymrużyła oczy. - Jakim prawem mnie atakujesz? Chcesz być taki jak oni? Zależy ci na tym, żeby być jak wszyscy. Zmieniłeś się. - Zabrzmiało to jak zarzut. - Jeszcze przed rokiem chciałeś być wyjątkowy.

- Wtedy ci się ta moja wyjątkowość wyjątkowo nie podobała - palnąłem bez zastanowienia. Zreflektowałem się, kiedy wypowiedziałem ostatecznie słowo. Skoncentrowana na własnych myślach nie zareagowała. „No i dobrze” - pomyślałem. Bezsensowne rozrywanie szat. Było, przeszło, minęło i nigdy nie wróci.

- Jakim prawem mnie osądzasz? - powiedziała zaczepnie.  
- Dlaczego próbujesz mnie potępiać? Ty nic nie rozumiesz.

- Nie oceniam i nie potępiam - przerwałem jej. - Nie mam do tego prawa. Nie rozumiem, bo milczysz. To twój świadomy wybór. Jak długo milczysz, nie mam szansy cię zrozumieć.

- Atakujesz mnie? - Nakręcała się coraz bardziej. Mówiła coraz głośniej. Z niewidomej dla mnie przyczyny chciała sprowokować awanturę.

- Ktoś ci nadepnął na odcisk? - spytałem spokojnie. - Szukasz chłopca do bicia? Zachowujesz się idiotycznie.

- Była tutaj dzisiaj jakaś kopnięta pani psycholog. Mówiła mi, że muszę przejść terapię behawioralną. Że po tej próbie



samobójczej muszę przejść terapię, która zmieni moje zachowanie, mój sposób myślenia. Powiedziałam jej, że nie mam ochoty się zmieniać. Ja lubię siebie i zupełnie mnie nie interesuje, czy inni to akceptują. Była oburzona. Twierdziła, że nie wiem, co mówię. Puszyła się jak paw, nadymała jak żaba, wymądrzała. Traktowała mnie jak półgłówka. Była wścibska i natrętna...

- To dobrze, że lubisz siebie... - zdołałem jej przerwać.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście. W końcu to jest najważniejsze. Niektórzy ludzie dochodzą do tego po wielu miesiącach psychoterapii. Samoakceptacja to już więcej niż połowa zwycięstwa.

Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. To ona pierwsza w popłochu uciekła wzrokiem, jakby nagle się przestraszyła, że wzrok może ją zdradzić, jakby przypuszczała, że z czeluści źrenic można wyczytać ukryte gdzieś w głębi mózgu tajemnice. W szpitalnej koszuli kończącej się tuż ponad kolanami wyglądała bezradnie. Dwie jaskółki na lewym ramieniu, dwa serce przebite strzałą i raptem dziwnie ciepło zrobiło mi się gdzieś w środku, w jakieś pół drogi pomiędzy gardłem a żołądkiem.

- A ty? - spytała.

- Co ja? - Nie zrozumiałem pytania. Zamyśliłem się. Wypadałem z rozmowy. Rozkojarzyłem się. Zapomniałem. Dupa ze mnie, a nie psychoterapeuta.

- A ty lubisz siebie?

- Akceptuję - powiedziałem chłodno.

- To nie to samo. Te dwa słowa mają zupełnie inną barwę, zupełnie inną temperaturę. Pierwsze z nich jest gorące, drugie zimne. Jak czerwień i błękit.

- Lubię oba kolory - próbowałem oddalić temat rozmowy ode mnie. Przesunąć go w jej stronę. - Nie o mnie mieliśmy mówić. Wolałbym rozmawiać o tobie - dodałem.

- Chcesz być jak tamta kobieta? Wścibski i natrętny? - spytała zaczepnie. Magia poprzedniej chwili prysła jak bańka mydlana. Wróciliśmy do twardej konfrontacji.

- Nie chcę - powiedziałem chłodno.

Odwróciła się do mnie plecami. Znowu zaczęła się gapić w to okno. Jakby raptem ten świat na zewnątrz stał się o wiele ważniejszy od tej naszej rozmowy.

- W tym pomieszczeniu jest duszno i gorąco. Nie można szerzej otworzyć okna, bo na zewnątrz z muru sterczą kraty - odezwała się po chwili. - Ponoć tak jest bezpieczniej. Nie rozumiem, co mają te kraty do poczucia bezpieczeństwa? Że niby co? Że niby nie skoczę? A jaki sens miałby skok z pierwszego piętra? Skacząc z pierwszego piętra, raczej trudno byłoby się zabić. Ludzie to idioci. Potrafią tylko ranić innych. Chłoszczą słowami jak batem.

Jej palce poczęły znowu wędrować po drewnianym parapecie. Wystukiwać nieznanym mi rytmem. Dwa stuknięcia, przerwa, dwa stuknięcia, przerwa.

- Tu ponoć ludzie mają zdrowieć - powiedziała po chwili. - Mają odnaleźć w tych murach spokój. Nabrać chęci do życia. Niemożliwe. Ja się tutaj duszę! Za oknem widać parę okaleczonych drzew, nieprzystrzyżony trawnik, dwie

połamane ławki i parę obłazących z farby koszy na śmieci. Jakiś koszmar. Cały ten obskurny świat otoczony jest paskudnym, wysokim murem. Czuję się tutaj jak w więzieniu... To miejsce jest chore. Jak w tym miejscu można wyzdrowieć?

- Mówiłaś, że chcesz wrócić do Toskanii - wszedłem jej w słowo.

- Powiedziałeś wczoraj, że to jest niemożliwe - powiedziała chłodno. - Zrozumiałam.

- Mówiłaś, że mnie potrzebujesz.

- Powiedziałeś, że nie prowadzi się terapii znajomych.

- Potrzebujesz mnie jako psychoterapeuty?

Zawahała się. Nie odpowiedziała od razu. Stała przy oknie, a jej palce wędrowały tam i z powrotem po drewnianym parapecie.

- Jako psychoterapeuty - odpowiedziała po chwili. - Oczywiście, że jako psychoterapeuty - powtórzyła pewnie. - Nie znam nikogo, kto byłby w tym fachu lepszy od ciebie.

\*\*\*

W przeddzień wyjazdu odebrałem z policyjnego depozytu rzeczy Karoliny. Wśród kilku sukienek, dżinsów, bluzek, fantazyjnego wdzianka, kurtki, paru kosmetyków, jakiejś książki o smakach Toskanii, sandałów, biżuterii z fantazyjnie powyginanego drutu, słownika polsko-włoskiego, perfum o znajomym mi zapachu był laptop, z którego usunięto w dzień próby samobójczej tamte dwa foldery. Włożyłem rzeczy Karoliny do walizki. Laptopa postawiłam na stole. Od pierwszej chwili drażnił mnie i kusił. Tamte usunięte pliki

otrzymałem od Krzysztofa na pendrivie. Nauczyłem się ich prawie na pamięć. Potrafiłem odtworzyć w myślach każde zdanie z dziennika Karoliny, zamknąć oczy i zobaczyć każdy z tamtych szkiców, rysunków i akwarelek. To były tylko dwa foldery, które zyskały szczególne zainteresowanie policji przez fakt, że ktoś je usunął. Laptop zawierał jeszcze wiele innych plików, których nie usunięto, a które mogły się okazać równie ciekawe. Miałem jeszcze wiele niezakończonych spraw, wiele terminów, które musiałem przesunąć, wiele terapii, które musiałem odwołać, wielu pacjentów, którym musiałem pomóc znaleźć alternatywne leczenie. W moim fachu nie da się tak po prostu wyjechać. Nie da się zamknąć za sobą drzwi, zostawić wszystkich i wszystkiego. Dzwoniłem, rozmawiałem, przesuwalem i ustalałem, wciąż mając przed oczyma ten komputer Karoliny. Walczyłem z sobą, powtarzając sobie w kółko, że to przecież są jej rzeczy osobiste. Około północy nie miałem już skrępowań. W końcu z policyjnego depozytu dostałem też dwie pary majtek i biustonosz. Nie wiem, czy laptop jest bardziej osobisty od bielizny. To była długa noc. Przejrzałem setki fotografii. Nauczyłem się prawie na pamięć tej jej Toskanii. Karolina zrobiła mnóstwo ciekawych zdjęć. Dwa foldery szczególnie zwróciły moją uwagę. Pierwszy z nich miał tytuł *Dla Wojtka*. Zawierał wiele zdjęć, z których żadnego nigdy wcześniej nie widziałem. Być może nie zasłużyłem na nie? Może nie byłem wart tego, żeby je zobaczyć? W drugim folderze były zdjęcia jej obrazów, rysunków, akwareli i szkiców. Brama do posiadłości Sergrana była zupełnie inna. Drewniane półotwarte wrota, długa aleja gęsto obsadzona

dwoma rzędami drzew, których gałęzie splatały się z sobą jak ramiona, prześcigając się w drodze ku słońcu, nierówna szutrowa droga, pnąca się ostro ku górze i gdzieś tam, na końcu tego ciemnozielonego, mrocznego tunelu widoczna jasna plama błękitu i słońca, jakby ta aleja prowadziła prosto do nieba. *Toskańska droga do nieba*, jakże odmienna od tamtej ze szkicu z usuniętego folderu. Szkic przedstawiał kondukt żałobny złożony z setek postaci, kryjących twarze za białymi maskami. Każda maska miała trupie oczy, nozdrza, otwarte w krzyku usta. Kondukt schodził cienistą aleją w kierunku drewnianej, na pół otwartej bramy. Z niesionej na barkach trumny z lekko uchylnym wiekiem wysypywały się poobcinane głowy. Jedne były jeszcze w locie, inne turlały się po wyboistej drodze, podskakując na wystających kamieniach, jeszcze inne zatrzymały się w przydrożnym rowie. Czarno-biały kondukt żałobny odcinał się wyraźnie od namalowanego pastelowymi kolorami błękitnego nieba, od zieleni pobliskich pagórków, gdzie obok srebrzystozielonego gaju oliwnego rozciągała się jasnozielona winnica. Ta sama droga, ta sama brama, dwa zupełnie inne szkice. Jeżeli pierwszy przedstawiał *Toskańską drogę do nieba*, to drugi był bez wątpienia *Toskańską drogą do piekieł*. Na innym rysunku florencki Ponte Vecchio przystrojony w girlandy kwiatów, które zwisając ze środkowego przęsła, sięgały aż do wody. Ciepłe barwy kwiatów odcinały się wyraźnie od wody rzeki Arno mieniącej się srebrem w promieniach zachodzącego słońca. Zupełnie inaczej wyglądał ten most na szkicu, który pochodził z usuniętego folderu. Na tamtym pomiędzy filarami Ponte

Vecchio, na środkowym prześle, huśtały się na wietrze trzy męskie trupy. Barwny tłum turystów przelewał się przez Ponte Vecchio. Nikomu nie przeszkadzał widok powieszonych, jakby należał on do codzienności, nie był niczym przerażającym, niczym dziwnym, niczym zaskakującym. Znalazłem też akwarelę przedstawiającą aleję prowadzącą od fontanny Neptuna w kierunku rzeźby przedstawiającej postać Petrarcki we florenckich ogrodach Boboli. Pamiętam to miejsce. Szedłem tamtędy kiedyś razem z Karoliną. Aleja pnie się ostro ku górze. Na akwareli cała ścieżka usłana była kolorowymi balonami. Balony były ognistoczerwone, wściekle pomarańczowe, złocistożółte, błękitne i jasnozielone. Tworzyły kolorową rzekę spływającą z góry, podskakującą na kamieniach, rozpryskującą się na zielone, równo przystrzyżone trawniki. Wśród tych balonów biegła radośnie mała dziewczynka. Nijak to się miało do akwareli z usuniętego folderu. Tam w Ogrodach Boboli obok kolorowych dziecięcych piłek turlały się po ścieżkach poobcinane głowy. Był też szkic fontanny z Piazza della Signoria we Florencji. Nie było w nim nic szczególnego. Oddawał wiernie postać Neptuna. Nad całością naszkicowaną ołówkiem unosiło się błękitne niebo usiane pojedynczymi białymi obłokami. Widziałem podobny rysunek wśród tych usuniętych z komputera. Na tamtym centralną postacią fontanny na Piazza della Signoria nie był Neptun, a płonąca jak pochodnia kobieta. Dziesiątki turystów fotografowały się na tle płonącej niewiasty. Była też akwarelka przedstawiająca wieże w San Gimignano. Z wież spuszczały się ku ziemi kończące się około metra nad

brukiem, szerokie, jaskrawożółte płachty zabarwionego szafranem płótna. Wstęgi płócien powiewały na wietrze. Czerwień dachów i złoto szafranowego płótna tworzyły wraz z wiosenną zielenią pobliskich pagórków sielski widok, który jednoznacznie kojarzy się z Toskanią. Tamta usunięta akwarelka z wieżami San Gimignano przedstawiała oświetlone ostatnimi promieniami zachodzącego słońca trupy powieszono na szafranowej barwy długich płachtach płótna... „Dziwne - pomyślałem. - Dziwne, jak to wszystko. Za mało wiem. Za mało rozumiem. A właściwie to nic nie wiem i nic nie rozumiem. Dwie jaźnie i jeden człowiek, czy dwóch różnych ludzi? Choroba czy mistyfikacja?”

\*\*\*

Słyszałem, że się poruszyła. Coś drgnęło na tylnym siedzeniu. Jeszcze przed chwilą spała zwinięta w kłębek, z głową ułożoną na mojej kurtce. Że też nie zabrałem żadnej poduszki. Byłoby jej wygodniej. Siedzenie skrzypnęło za moimi plecami. W lusterku mignęła mi jej twarz.

- Nie śpisz? - spytałem.
- Obudziłam się przed chwilą.
- Przeszkadza ci radio? Mogę wyłączyć.
- Nie. Wszystko w porządku. Tak po prostu się obudziłam.
- Kiedy czegoś słucham, to wiem, że nie zasnę...
- Nie musisz słuchać muzyki. Możemy rozmawiać.

Pomyślałem, że trudno będzie tak po prostu rozmawiać. Odkąd odebrałem ją ze szpitala, wymieniliśmy z sobą zaledwie parę zdań. Była to dość specyficzna konwersacja. Ja

stawiałem pytania, otrzymując w zamian monosylabową odpowiedź.

- Siądziesz z przodu?
- Nie.
- Wolisz z tyłu?
- Tak.
- Boisz się, jak prowadzę?
- Nie.
- Chcesz pić?
- Nie.
- Prześpisz się?
- Tak.

Nie ma to jak sztuka zadawania pytań zamkniętych i sztuka odpowiadania na nie. Można byłoby powiedzieć, że cały dialog opierał się z jej strony na wypowiedaniu z różną częstotliwością i w różnych interwałach dwóch monosylabowych wyrazów - wyrazu „tak” i wyrazu „nie”. Nie chciała ze mną rozmawiać, a i ja nie miałem na to specjalnej ochoty. Jakbyśmy nagle przez te wszystkie niedopowiedzenia, tajemnice i przekłamania już nie potrafili z sobą rozmawiać. Aż mi ciarki przebiegły po plecach, kiedy pomyślałem, że teraz też będziemy tak konwersować. Tym razem było inaczej. Karolina zaczęła mi opowiadać o planowanej na jesień wystawie we Florencji, o pomysłe przypisania poszczególnym kolorom całej gamy uczuć i emocji. Opowiadała o tworzonych obrazach, o współpracy z Markiem. Kiedy mówiła o sztuce, dystans mijał, atmosfera robiła się ciepła, terażniejszość nie miała znaczenia, przeszłości nie było, a przyszłość związana



była tylko ze sztuką, i to tą pisaną przez duże S. Raptem pomyślałem sobie, że w tym wszystkim jest gdzieś jeszcze tamta dawna Karolina.

- Jakie wybrałaś sobie kolory? - spytałem. - Marek męczył mnie fioletem.

- Sam wybrał sobie fiolet. Uparł się przy nim, a później narzekał, że to taki pedalski kolor...

- A ty?

- Co ja? - spytała zaskoczona. - Ja też uważam, że ten kolor jest pedalski.

- Nie o to pytałem - roześmiałem się.

- A o co? - zdziwiła się.

- Chciałem wiedzieć, jakie wybrałaś sobie kolory.

- Na razie czerń, biel i błękit.

- Zimniejszych kolorów już nie było?

- Kolory jak kolory - mruknęła pod nosem.

- Specyficzne. Zimny, zimniejszy i najzimniejszy. Za chwilę pomyślę, że masz depresję.

- Czy ty zawsze patrzysz na świat przez pryzmat swojego zawodu? - spytała z przekąsem.

- Zawsze.

- Chyba żartujesz? - Wpadła w bezdech.

- Żartuję - skłamałem.

Zapanowało milczenie. Milczenie około trzeciej nad ranem jest czymś nie do wytrzymania. Miałem do wyboru włączyć radio, opuścić boczną szybę samochodu, wypić kolejnego red bulla, zatrzymać się albo sprowokować dyskusję. Na zewnątrz padał deszcz. Temperatura

w Dolomitach spadła do czterech stopni. W radiu mówiono tylko po niemiecku. Mój żołądek jakoś z trudem akceptował red bulla. Zdecydowałem się na sprowokowanie dyskusji.

- Chyba najdziwniejszy będzie obraz symbolizujący biel. Co wystawisz? Białe płótno rozpięte na ramie? - spytałem ironicznie.

- Biel to faktycznie wyzwanie. - Udawała, że nie słyszała ironii w moim głosie. - Pamiętasz, poznaliśmy się przy *Żarze sierpnia*.

- Pamiętam. Dlaczego miałbym zapomnieć? Sierpień to była cała gama gorących kolorów, głównie odcieni złota i czerwieni. To był bardzo gorący obraz...

- Sądzisz, że przy bieli między nami nigdy by nie zaiskrzyło? - spytała prowokująco.

- Trudno, żeby przy lodowatej bieli coś zaiskrzyło - powiedziałem sceptycznie. - Ja trzymam dystans do bieli.

- Więc nic by między nami nie było? - powtórzyła pytanie.

- Pewnie nie - odpowiedziałem szczerze. - Gdybyś tak tam stała w śnieżnobiałej sukience i prezentowała płótno z aniołem o białych skrzydłach trzymającym w dłoniach białe lilie, to nic by nie było mnie w stanie zatrzymać przy tym obrazie. Nie cierpię fałszu... Mam dystans do bieli.

- Dystans do bieli? - spytała z niedowierzaniem. - To takie niespotykane i dziwne.

- Co w tym niespotykanego? Sądzę, że podobnie myśli wielu. To kolor dla hipokrytów.

- Dla kogo? - nie dosłyszała.

- Dla obłudników fałszujących rzeczywistość.

- Nie rozumiem.

- Nie rozumiesz? A mnie wydaje się to takie proste. Na przykład sukienka panny młodej. Zwykle suknia panny młodej jest biała. Kolor biały ma w tym przypadku symbolizować niewinność i czystość. Dla mnie jest symbolem fałszu i zakłamania. Nie cierpię fałszu. Panna młoda, idąc do ołtarza, musi udawać dziewicę, chociaż mieszkała z panem młodym już od roku. Hipokryzja! Wiedzą o tym wszyscy - ksiądz, rodzice młodych, świadkowie, rodzina, przyjaciele... - Napędzałem się coraz bardziej. Zniknęła ogarniająca mnie jeszcze przed paroma minutami senność. - W białym kolorze podaje się zazwyczaj dzieci do chrztu. W białych sukienkach idą dziewczynki do pierwszej komunii. Koloratka księży również jest biała i symbolizuje zmartwychwstanie. Postacie świętych przedstawiane są często w białych szatach. Są zakony, w których bracia noszą białe habity. Aureole nad głowami świętych też są białe - mówiłem coraz szybciej i szybciej. Coś bardzo podpadła mi ta biel. - Skrzydła aniołów są białe... Wszystko, co idealne i niedostępne, jest białe. Nie wierzę w rzeczy idealne. Idealnych rzeczy nie ma. Pod bielą można ukryć brud i zepsucie. Biel odstrasza, dystansuje. Nie wiem, czy chciałbym przytulić pannę młodą w bieli... Białe pomieszczenia są nieprzytulne. Otwarte białe przestrzenie powodują nerwice i depresje. Nadmiar białego koloru w ubiorze i otoczeniu wyraża potrzebę ucieczki przed światem zewnętrznym i przed samym sobą. Biały ubiór i brudna dusza. Biel ukryje każde ohydztwo...

- Ja pomyślałam o tym całkiem inaczej... - przerwała mi.

- Biel to pustka, to nic - dorzuciłem.

- Ja myślę zupełnie inaczej - powtórzyła. - Jak dojedziemy, to pokażę ci ten obraz. W komputerze mam jego zdjęcie.

- Powiedziałaś, że myślisz inaczej... A jak?

- Biel jest wyjątkowa. Zawiera w sobie wszystkie kolory. Białe światło po przejściu przez szklany pryzmat rozszczepia się w tęczę. Nagle z jednego białego koloru powstaje siedem innych. Te inne kolory to czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski, granatowy i fioletowy. Pomyśl sobie, jaki potencjał emocji niosą w sobie te ukryte w bieli inne kolory.

- To czysta fizyka - powiedziałem sceptycznie. - Jeżeli fala przechodzi przez granicę dzielącą dwa ośrodki, to dochodzi do zjawiska załamania fali. Jeżeli w jednym z ośrodków prędkość rozchodzenia się fali zależy od częstotliwości, to fale o różnej częstotliwości załamują się pod różnymi kątami. W efekcie droga, po której porusza się fala, zależy od jej częstotliwości, czyli zachodzi zjawisko rozszczepienia.

- Żartujesz... - Wpadła w bezdech. - Pamiętasz takie bzdury.

- Nie wszystkie. Tę jakimś cudem pamiętam.

- Nie dasz się przekonać do bieli?

- Nie dam. Biel chce być sztywna i doskonała. Nie przyciąga promieni świetlnych, a je odbija. Podobnie działa i na mnie.

Widziałem ten obraz, kiedy przeglądałem zawartość jej komputera. Białe światło pada nie na pryzmat, lecz na kulę ziemską, z której wystrzelują wszystkie kolory ziemi. Nawet ciekawy. Zaintrygował mnie. Ale tego, że widziałem już

ten obraz, nie mogłem w żadnym wypadku powiedzieć Karolinie.

\*\*\*

Na stole, jakby nigdy nic, czekało na mnie śniadanie. Zapach świeżo zaparzonej kawy rozchodził się po stylowej toskańskiej kuchni. Kafłowy piec z błękitnym wzorem stanowił obudowę dla płyty indukcyjnej, stary kredens krył w sobie nowoczesne garnki, ciężkie patelnie i błyszczące nowością sztucce, a obok niego wisiały ciężkie drewniane półki pełne biało-niebieskich talerzy, talerzyków i kubków. Na przeciwległej ścianie nowoczesną lodówkę chowała w swym wnętrzu stara szafka. Pośrodku dużego pomieszczenia królował ciężki dębowy stół z sześcioma ciężkimi dębowymi krzesłami. Całości dopełniał kamienny kominek z ułożoną tuż obok niego na podłodze stertą porąbanego drewna. Ceglana podłoga i kamienne schody prowadziły z jadalni prosto na olbrzymi kamienny taras. Na drewnianym blacie stołu, tuż obok glinianego wazonu pełnego świeżo zebranych polnych kwiatów, stały dwa talerze, sztucce i dwa kubki z parującą, aromatyczną kawą. Przez otwarte drzwi wdzierał się do kuchni świergot ptaków. Gdzieś w dole, pomiędzy pagórkami drzemała jeszcze poranna mgła. Powodowała, że pagórki i stojące na nich pojedyncze domy wydawały się tajemnicze, niedopowiedziane, nierealne. Ni to rzeczywistość, ni to sen. Ni przeszłość, ni teraźniejszość. Taki dziwny świat, jakby jakąś tajemną siłą zawieszony w innej czasoprzestrzeni. Pewnie w innych okolicznościach potrafiłbym się tym zachwycić. Dzisiaj nie

mogłem. Taras domu był już w pełnym słońcu. Na rozgrzanej kamiennej posadzce, pomiędzy wielkimi donicami z kwitnącymi właśnie oleandrami, wylegiwał się rudy kocur. „Sielanka - pomyślałem - pieprzona sielanka, a ja przed godziną mogłem zginąć”. Karolina siedziała naprzeciw. Była ubrana w pozornie grzeczną bluzkę, co to swą koronkową strukturą więcej pokazuje, niż chce ukryć, i w krótkie spodnie, których nogawki kończyły się na linii łączącej pośladki z udami. „Coś Karolina ubiera się inaczej niż wcześniej” - pomyślałem. Może i pasowałyby do tej sielanki, gdyby nie fakt, że przed chwilą chciała mnie zabić. Świat jest popierdolony, a ludzkie działania zupełnie nieprzewidywalne. Tymczasem stwierdziłem, że czynność smarowania bułki masłem jest wybitnie uspokajająca. Muszę zacząć ją polecać w mojej pracy jako jedną z form relaksacji. Skupiłem wszystkie swoje myśli na tej chrupiącej bułce. Nóż wędrował po niej tam i z powrotem. Cienka warstwa masła stawała się bardziej cienka. Ręce przestały mi drżeć. We mnie też wszystko zaczęło się uspokajać. Serce zwolniło, oddech stał się płytszy, myśli płynęły leniwiej, emocje się wyciszyły. Muszę to zapamiętać. Tak niewiele potrzeba, by się odprężyć. Wystarczy bułka, masło i nóż.

- Dlaczego nie jesz? - wyrwał mnie z zamyślenia głos Karoliny.

Nic nie odpowiedziałem. Rozkoszowałem się zapachem kawy, który zawsze mnie uspokaja, konfiturami malinowymi, których smak uwielbiam, świeżym pieczywem, które właśnie przywiozłem z piekarni, i miejscowym masłem. Od czasu do

czasu czułem przesuwający się po mojej twarzy wzrok Karoliny. Od czasu do czasu i ja na nią spoglądałem. Ta dziewczyna o wyglądzie Karoliny nie ma wiele wspólnego z dawną Karoliną. Może i ma taki sam kolor włosów i tak samo intensywnie niebieskie oczy, ale na tym kończą się podobieństwa. To jest już zupełnie kto inny. Ktoś obcy. Nawet te dwie jaskółki szybujące na jej lewym ramieniu nie budziły już we mnie żadnych emocji. Ta siedząca naprzeciw mnie dziewczyna z zupełnie dla mnie niezrozumiałego powodu chciała mnie zabić. Skończyłem jeść, wyciągnąłem przed siebie nogi, spróbowałem ułożyć się wygodniej na krześle. Wbiłem wzrok w pejzaż Toskanii za oknem. Cicho, spokojnie, długo i daleko... Tak chyba smakuje wolność. Cudowny świat, gdzie można uspokoić nawet najbardziej niespokojne myśli, nadać im kierunek, spróbować je uporządkować. Moje były trudne do uspokojenia i chyba niemożliwe do uporządkowania. W mojej głowie panował zupełny chaos. I choć myśli zwolniły bieg, to nie mogłem ich poukładać.

Karolina już dawno wstała od stołu. Stała w otwartych drzwiach prowadzących na taras. Oparta o framugę drzwi przysłoniła mi sobą pół widoku za oknem. Jeszcze wczoraj by mi to nie przeszkadzało. Dzisiaj raptem zaczęło denerwować i przeszkadzać.

- Chciałaś mnie zabić czy tylko przestraszyć? - spytałem spokojnie. Wśród brzęczenia obudzonych ciepłem owadów i świergotu ptaków mój głos zabrzmiał dziwnie głośno.

Odwróciła się gwałtownie w moją stronę. Wyglądała na zaskoczoną. Cofnęła się, jakby moje słowa ją uderzyły.

Przylgnęła plecami do futryny. Uniosła ręce do twarzy, jakby chciała się nimi zasłonić.

- O czym ty mówisz? - szepnęła przerażona. - Dziwnie żartujesz...

- Wiesz dobrze, że to nie jest żart - powiedziałem spokojnie.

- O czym mówisz? - Wbiła we mnie wzrok, jakby uważała, że odczyta odpowiedź z ruchu ust.

- O pewnej niespodziance, którą przygotowałam dla mnie, a może dla nas...

- Nic nie rozumiem - powiedziała szeptem. - Jaka niespodzianka...? Poza nazbieraniem kwiatów do wazonu nic nie zrobiłam.

- Ładny bukiet, ale ja nie mówię o tych kwiatach...

- A o czym mówisz? - Głos jej drżał, usta się trzęsły. Wyglądała, jakby miała się rozplakać.

- Chciałaś mnie zabić czy tylko przestraszyć? - spytałem jeszcze raz. Mój głos był wyprany z wszelkich emocji. Obojętny, zimny i suchy. Efekt smarowania bułki masłem utrzymywał się nadal. Przez przypadek odkryłem cudowną metodę. Nie wiem, czy nie lepszą niż koncentrowanie się na walorach pojedynczej rodzynki.

- O czym ty mówisz? Ja chciałam cię zabić? - Dobrze odgrywała rolę zaskoczonej. Gdybym nie był pewny tego, co powiedziałem, to może byłbym w stanie jej uwierzyć. Zaskoczenie wyglądało realnie. Przemyślałem to jednak w każdym szczególe. Sprawdziłem dokładnie. Powiedziałem, bo byłem pewny.



- O czym ty mówisz, do cholery? - powiedziała głośniej. - O jakiej niespodziance?

- Niespodzianka jest dziwnie nie w twoim stylu. Mało wyrafinowana, niesubtelna, toporna, pozbawiona wdzięku, czysto mechaniczna, samochodowa. Człowiek uczy się przez całe życie i umiera wcale nie mądrzejszy. Nie jestem dobrym psychologiem. Nigdy bym cię o coś takiego nie podejrzewał.

- Nie rozumiem - powiedziała. Nie uciekała w bok wzrokiem. Nie spuściła głowy. Kłamała bez zajknięcia, patrząc mi prosto w oczy.

- To był czysty przypadek. Chyba Opatrzność czuwa nade mną. Schyliłem się, bo upadły mi kluczyki. Zobaczyłem wilgotną plamę pod samochodem - mówiłem spokojnie. Nie patrzyła już na mnie. Przysiadła na podłodze po ścianą. Głowę oparła na podciągniętych pod brodę kolanach. - Zaintrygowała mnie ta plama, zaskoczyła, więc podniosłem maskę samochodu i zobaczyłem, że brak jest płynu hamulcowego w zbiorniku, a właściwie to zobaczyłem ten śrubokręt wbity w zbiornik - mówiłem dalej do jej ukrytej twarzy i spuszczonej głowy. - Gdybym odpalił samochód i ruszył serpentyną w dół, to nie siedziałbym teraz w tym pokoju. Nie miałbym żadnych szans. Spadek jest duży, droga kręta i wyboista, nie ma żadnych zabezpieczeń, żadnych kamiennych murków, żadnych barierek. Nie ma nic, co mogłoby stanowić oparcie dla zsuwającego się w dół pojazdu. Do niedawna chodzili tą drogą tylko pasterze, teraz przejeżdża nią raz dziennie listonosz. Gdybym ruszył w dół, wypadłbym z tej drogi już na pierwszym zakręcie, stoczyłbym się po kamiennym zboczu, samochód

zaczęłyby koziółkować, może stanęłyby w płomieniach. Nie da się tędy zjechać bez hamulców. Zginąłbym w koziółkującym samochodzie, mając przed oczami piękny krajobraz Toskanii. – Nie poruszyła się, nie drgnęła. Wydawało mi się tylko, że szybciej oddychała. – Nie mam ochoty umierać – mówiłem spokojnie. Nadal działała moc masła rozsmarowywanego na chrupiącej bułce. – Nie mam ochoty umierać – powtórzyłem – ani dla ciebie, ani z tobą, ani przez ciebie. Mam parę pomysłów, które chcę jeszcze zrealizować, parę celów, które chcę osiągnąć, parę marzeń, które nie stały się jeszcze nawet celami... Nie dam ci tego spieprzyć!

– O czym ty mówisz? – powtórzyła kolejny już raz. – Ja nic z tego nie rozumiem.

– O przebitym śrubokrętem zbiorniku z płynem hamulcowym. Płyn wyciekł. Wsiąknął w ziemię... Płyn hamulcowy jest niebieski. Niebieskie przebarwienie zostawiło ślad na paru kamieniach. Była wilgotna plama i było parę niebieskich kamieni... Nie mogłem jeszcze zrozumieć, ale wiedziałem, gdzie szukać.

– Nie wiem, co masz na myśli... – Usłyszałem jej cichy głos.

– Nie kłam! Nie cierpię kłamstwa – przerwałem jej gwałtownie. – Brzydzę się kłamstwem. To jedyna rzecz, której nie jestem w stanie u nikogo tolerować. Najgorsza prawda jest lepsza od najbardziej wyszukanego kłamstwa. Co chciałaś zrobić? Chciałaś mnie zabić? Dlaczego? Przecież to nie ma żadnego sensu, żadnej logiki. Chyba że zamierzałaś mnie tylko przestraszyć, nie zdawałaś sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Wtedy wszystko wygląda inaczej. Nadal nielogicznie, ale inaczej...

- To nie ja... Ja nie mam z tym nic wspólnego - broniła się nieudolnie.

- Bzdura! To musiałaś być ty, nie ma żadnej innej możliwości. Wiem, że to ty, tylko nie wiem dlaczego... To mogło zrobić tylko któreś z nas. Ja tego nie zrobiłem.

- Ja...

- Zanim dokończysz, to posłuchaj! - przerwałem jej. Nie miałem ochoty słuchać następnego kłamstwa. Kłamstwa poniżają obie strony, kłamcę i okłamywanego. - Nie ma żadnej innej możliwości. Nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Nie powiedziałem nikomu. Nawet policja uważa, że jesteśmy we Florencji. Wczoraj specjalnie pojechałem do Florencji, żeby stamtąd z telefonu w barze zadzwonić do Burzyńskiego. Dom zarezerwowałem na inne nazwisko. Jechałem nocą, żeby mieć pewność, że nikt za nami nie jedzie. Po zjeździe z autostrady zrobiłem dodatkowo wiele kilometrów po bezdrożach, zanim dotarłem na miejsce. Nikt za nami nie jechał. Do dzisiaj nie wiesz dokładnie, gdzie jesteśmy. Nie powiedziałem ci, bo nie wiedziałem, czy mogę ci zaufać. Nie mogłaś nikogo zawiadomić, bo tutaj nie ma telefonu, nie ma Internetu, nie ma zasięgu żadnej sieci. Właściciel tego domu mieszka w Stanach. Klucz przyszedł pocztą i czekał na nas w skrzynce na listy. Dom jest ogrodzony i strzeżony. Nie zrobił tego nikt z zewnątrz. To mogłaś być tylko ty. Zastanawiam się tylko dlaczego...

Zamilkłem. Karolina siedziała bez ruchu z głową opartą na

kolanach. Milczenie się przedłużało. Przyglądałem się kotu wylegającemu się na rozgrzanych kamieniach tarasu. „Będę musiał zabrać go z sobą” – pomyślałem. „Trudno będzie mi go tutaj zostawić”. Przybłąkał się do nas pierwszego dnia. Karolina zaczęła go karmić i tak już został. Poczul się tutaj jak wśród bliskich... „Jakie to wszystko jest beznadziejne” – dodałem w myślach. „Nie cierpię przegrywać, a tę terapię muszę zaliczyć do totalnych porażek. Nic, po prostu nic. Beton”. Nie byłem w stanie przebić się przez jej milczenie. Jak długo rozmawialiśmy o sztuce, o podróżach, wernisażach, ilustracjach do książek i wystawach, wszystko toczyło się normalnie. Kiedy zaczynaliśmy rozmawiać o Toskanii, pojawiał się niepokój, który w trakcie rozmowy przeradzał się w lęk, a czasami w paniczny strach. Karolina w okamgnieniu odgradzała się ode mnie grubym murem milczenia. Nagle zamykała się w sobie, uciekała w popłochu, ukrywała się przede mną za bólem głowy, za zmęczeniem. Karolina nie ma schizofrenii. Nie ma żadnej psychozy. Nie ma omamów, halucynacji, urojeń... Nie ma niczego, co przemawiałoby za psychozą. Jest tylko obezwładniający ją lęk i porażający strach. Kiedy rozmawiamy o Toskanii, to nie ma żadnych innych emocji, tylko ten lęk i strach. Wydaje mi się, że ona cierpi na zespół stresu pourazowego. Jestem tego nawet pewny. Że też nie wpadłam na to od razu, jeszcze w Polsce. Zapomniałem, że depersonalizacja, derealizacja, uczucie oszołomienia, odrętwienia, zaburzenia pamięci, chęć izolacji, dziwne zachowania, myśli i próby samobójcze mogą być reakcją na ostry stres. To prawda, że osobisty stosunek do

sprawy blokuje ostrość myślenia. Łatwiej było mi na początku przyjąć, że dziennik Karoliny to zbiór urojeń, omamów i halucynacji. Szczególnie w części dotyczącej Enrica. Teraz myślę już zupełnie inaczej. Wiem, że w Toskanii musiało się wydarzyć coś strasznego. Coś, co nie pozwala o sobie zapomnieć, co pchnęło ją do samobójstwa, co straszy ją po nocach. Coś, o czym nie ma odwagi z nikim rozmawiać. Jakieś wspomnienie prześladowuje ją, wraca w kółko i bez końca. To wspomnienie prześladowuje ją w dzień, przychodzi w postaci koszmarnych snów nocą. Słyszałem już wiele razy, jak krzyczy, jak płacze przez sen. Dwa dni temu przyszła w nocy do mojego pokoju. Usiadła w fotelu. Poprosiła, żebym z nią porozmawiał, żebym nie dał jej zasnąć. Powiedziała, że boi się spać, że ten koszmar wraca do niej każdej nocy, wiele razy w ciągu każdego dnia. Chciała przyjechać ze mną do Toskanii. Chciała, żebym pomógł jej zmierzyć się z przeszłością. Nie wiem, co zrobiłem, albo czego nie zrobiłem, że raptem przestała mi ufać. Przed paroma dniami zaproponowałem, żebyśmy pojechali do Fiano. Wpadła w panikę. Zaczęła się przed tym bronić. Każdego dnia znajdowała dziesiątki nowych powodów, które uniemożliwiały nam opuszczenie domu na wzgórzu.

- Ja nie chciałam nic złego zrobić... - wyrwał mnie z zamyślenia głos Karoliny.

Musiało już dochodzić południe, bo świergot ptaków ucichł, nasiliło się brzęczenie owadów, a do kuchni przez otwarte drzwi na taras wdzierał się zapach rozgrzanych słońcem cyprysów. Kocur leniwie podszedł do miski. Pochłeptał wodę. Przeniósł się w cień pod oleander i znowu zasnął.

Szkoda, że nie można być takim kotem. Przynajmniej nie musiałbym o niczym decydować. Lubię dźwięki, zapachy i kolory Toskanii. No i kicha, trzeba będzie stąd wyjechać.

- O osiemnastej przyjedzie facet naprawić samochód - powiedziałem spokojnie. - A potem wracamy do Polski! Bardzo chciałem, ale nie jestem w stanie ci pomóc...

\*\*\*

Nie zobaczyłem jej, tylko ją usłyszałem. Pakowałem swoje rzeczy. Usłyszałem zbliżające się kroki dudniące po kamiennej posadzce korytarza. Kroki były pospieszne i niespodziewanie ucichły. Karolina musiała stanąć w drzwiach prowadzących do mojego pokoju.

- Facet naprawił samochód i oddał mi kluczyki. - Usłyszałem tuż za moimi plecami. Odwróciłem się gwałtownie. Karolina stała na wyciągnięcie ręki ode mnie. Machała trzymanymi w rękę kluczykami. Miała na sobie szafirową sukienkę. Szafirowa tkanina była na tyle przewiewna, że widziałem wyraźnie zarys smukłych ud, aż po koronkowe majtki, które też prześwitywały przez cienką tkaninę. Sukienka była lekko rozkloszowana na biodrach, opinała talię, śmiałym dekoltem odsłaniała odważnie piersi. „Pewnie jedna z kiecek z kolekcji Franceski” - pomyślałem. Odważne pomysły ma ta Francesca. W torbie odebranej z policyjnego depozytu było parę podobnych kreacji. Nie przyglądałem im się wtedy dokładniej. Ta szafirowa sukienka była wyjątkowa. Nie mogłem od niej oderwać wzroku. Dwie rzeczy pobudzały moją wyobraźnię - cienka szafirowa tkanina, z której była

uszyta, i ponętne kształty Karoliny. Karolina przestąpiła z nogi na nogę i wtedy zawirował rozkloszowany dół, jeszcze bardziej rozchylił się dekolt. „Odważna jest ta sukienka” – pomyślałem. „Może nawet odrobina za odważna”. Odbiór stroju zależy od okoliczności. Może w innych okolicznościach ta sukienka wydawałaby mi się wymarzona. Teraz tak nie było, bo teraz między nami wiało lodowatym chłodem. Zauważyłem, że Karolina płakała. Łzy nie zdążyły wyschnąć na jej twarzy, a oczy wydawały się jeszcze wilgotne. Serce zabiło mi mocniej. „Głupie serce – pomyślałem – zapomniało, że ja już nie kocham Karoliny. Trudno kochać kogoś, kto chciał mnie zabić”.

- Zapłaciłam mu – uprzedziła moje pytanie. - Ja zepsułam, to i ja ponoszę koszty. - Głos jej zadrżał. Zrobiła jeszcze jeden krok w moją stronę. Cofnąłem się odruchowo. Szafirowa barwa zawirowała mi przed oczami. Ładna jest ta jej sukienka. Trudno patrzeć na nią obojętnie.

- Postąpiłam jak idiotka, ale nie chciałam cię zabić. - Głos Karoliny przebił się przez ten szafir i sprowadził mnie z powrotem na ziemię. - Zabrakło mi po prostu wyobraźni. Wczoraj w kółko mówiłeś, że czas już pojechać do Fiano. Mówiłeś, że nie możemy ciągle dreptać w miejscu, że ja na nic nie pozwalam, że nie rozmawiam z tobą, że ty nie możesz prowadzić żadnej terapii. Powiedziałeś mi, że czekają na ciebie inni pacjenci, którzy dadzą sobie pomoc. Atakowałeś mnie, chcąc mnie zapewne w ten sposób zmusić do współpracy. Czułam się fatalnie. Powiedziałeś, że ty marnujesz tutaj czas ze mną, a w Polsce powiesiła ci się pacjentka, że

czujesz się winny. Ja też poczułam się winna. W końcu zabrałam cię innym pacjentom. Po raz pierwszy dotarło do mnie, że ja jestem twoją pacjentką...

Pamiętam. Stała naprzeciw mnie, odrzuciła do tyłu włosy ruchem, który bardzo lubię, przechyliła lekko głowę, wbiła we mnie wzrok i próbowała mnie zrozumieć. W głowie nie mogło jej się pomieścić, że jest moją pacjentką.

- No, nie do końca jesteś pacjentką - tłumaczyłem. - Nie praktykuję jako lekarz. Jesteś klientką. Ja wykonuję dla ciebie pewną usługę. Ta usługa to psychoterapia. To ty tu rządysz. W tym przypadku różnica pomiędzy słowem „pacjent” i „klient” polega na tym, że klient sam określa swoje oczekiwania. Klient może wybierać, w jakim zakresie mam mu pomóc. Tylko on wie, co chce uzyskać, co chce kupić. Jak na razie wydaje mi się, że ty nie chcesz kupić niczego, chociaż widzisz wiele rzeczy, które by ci się przydały.

- Chyba żartujesz! - Wydęła usta z oburzenia. - Jestem dla ciebie klientką?

- Klientką - odpowiedziałem spokojnie. - Nie ma w tym określeniu nic złego. Ono próbuje dookreślić relacje między nami...

Obróciła się na pięcie i odeszła. Po chwili usłyszałem głośne trzaśnięcie drzwi do jej sypialni. To było wczoraj. Dzisiaj stała przed mną zupełnie inna Karolina.

- Powiedziałeś, że dzisiaj na pewno pojedziemy do Fiano - przebił się do mojej świadomości jej głos. Ulotniło się gdzieś tamto wspomnienie. - Przestraszyłam się. Nie czułam się na siłach. Nie chciałam. Ty mówiłeś, że mam sobie wyobrazić to,



co mnie przeraża, że normalnie to zadanie wykonuje się razem z psychoterapeutą, ale skoro nie chcę z tobą o tym rozmawiać, muszę to zrobić sama. Tłumaczyłeś mi, że mam się z tym skonfrontować. Mówiłeś, że mam w myślach nazwać swój lęk. Spróbować go dokładnie określić. Nadać mu imię. Stworzyć listę rzeczy, które mnie przerażają, i z nich wybrać to, co przeraża mnie najbardziej. Później miałam to coś wyobrazić sobie bez końca, żeby mój mózg się z tym skonfrontował. Twierdziłeś, że to potrwa długo, ale mój mózg się do tego przyzwyczai, z czasem przestanie reagować. Jak ty to nazwałeś?

- Habitacją - powiedziałem odruchowo.

- Mówiłeś, że polega to na stopniowym zanikaniu reakcji na powtarzający się bodziec, jeżeli nie niesie on żadnych istotnych zmian. Towarzyszyłeś mi. Siedziałeś w fotelu i udawałeś, że drzemiesz. Próbowałam wykonać zadanie najlepiej jak potrafiłam. Nazwałam swój lęk. Wybrałam najgorszy z możliwych scenariuszy i próbowałam powtarzać go w myślach. Wybrałam coś, co wydarzyło się naprawdę, co prześladowało mnie w dzień i nachodzi w nocy. Serce waliło mi jak młot, czułam na twarzy zimny pot, trzęsły mi się ręce, a ty drzemałeś. Przeżywałam to w myślach kolejny raz i jeszcze jeden, i jeden. Za każdym razem, zamiast lepiej, było mi z tym gorzej. Poszedłeś popływać, a ja zostałam sam na sam z tym paralizującym mnie strachem. Chciałam za tobą pobiec, ale wydawało mi się, że nie jestem w stanie. Chciałam krzyknąć, ale strach ścisnął mnie za gardło. Było mi duszno i słabo. Wydawało mi się, że umrę. Dałeś mi zadanie, które próbowało

mnie zabić. Przy kolacji nie byłam w stanie przełknąć kęsa. Powiedziałeś, że zadanie skończone, że powinnam się teraz odprężyć, ale to zadanie nie dało się skończyć. Te myśli w kółko przewalały się przez moją głowę. Za każdym powtórzeniem było coraz gorzej i gorzej. Coś źle zrobiłam albo coś nie zadziało. Bałam się coraz bardziej i bardziej. Mój strach narastał, a nie malał. Wydawało mi się, że na pewno umrę, jadąc do Fiano. Uszkodziłam samochód w nadziei, że tam dzisiaj nie pojedziemy. Być może klient nie powinien oceniać psychoterapeuty, ale ja ci powiem, że główniana była ta twoja wczorajsza terapia. Ona chciała mnie zabić. A może to ty chciałeś mnie nią zabić? Chciałam ci dzisiaj rano powiedzieć o uszkodzonym samochodzie, ale wstałam za późno. Kiedy się obudziłam, to nie było cię już w domu. Przestraszyłam się, ale pomyślałam, że pojechałeś rowerem po bułki. Nie pomyślałam, że będziesz chciał jechać samochodem. Nie pamiętam, jak wygląda prowadząca tutaj droga. Tylko raz nią jechałam. Zniszczyłam twój samochód, zachowałam się jak idiotka, ale przynajmniej nie pojechaliśmy do Fiano...

\*\*\*

Mam jednak masło, nie wolę. Nie jestem profesjonalistą. Nie uczę się na błędach. Nie wyciągam wniosków z porażek. To nie powinno się było wydarzyć. Pamiętam, jak usiadła tuż obok mnie na łóżku, jak próbowała mi wszystko wyjaśnić, jak mówiła coraz ciszej i spokojniej, jak odgarniała opadające jej na twarz włosy, jak położyła dłoń tuż przy mojej dłoni, jak na

chwilę splotły się nasze palce. Założyła nogę na nogę i niby przypadkiem podwinął się brzeg jej sukienki. Że też bywają takie cudowne przypadki. Jej stopa dotknęła mojej stopy, jej uda zbliżyły się do moich. Opalona skóra ud kontrastowała ze śnieżnobiałym kolorem koronkowej bielizny. Zobaczyłem nasz wspólny cień na ścianie, otoczony jasnym blaskiem ostatnich promieni powoli zachodzącego słońca. Usłyszałem jej szept, że przecież wszystko może się zdarzyć, i kompletnie zapomniałem o dystansie i profesjonalizmie. Zbliżyłem się do niej jeszcze bardziej, objąłem, zacząłem całować. „Dlaczego by nie?” – przemknęło mi przez myśl. „Przecież ona jest taka piękna”. Od rozstania z nią z nikim się nie kochałem. Wydawało mi się to niepotrzebne. Nagle moje ciało potrzebowało jej ciała, jak nigdy przedtem. Przyłgnęła do mnie, wsunęła dłonie pod moją koszulę. Czułem dotyk jej rąk wędrujących po moim brzuchu, klatce piersiowej, ramionach... Zgrabnie zaczęła rozpinać guziki mojej koszuli, zamek przy spodniach. Jej ciepły oddech wędrował po różnych zakamarkach mojego ciała. Jak niewiele potrzeba, żebym przestał się kontrolować. Wystarczą opalone, wysmukłe uda, koronkowa bielizna, aksamitna gładkość jej skóry, ciepły szept, pieszczoty jej dłoni, muśnięcia jej języka i zapach jej perfum. Moja dłoń, nie pytając o zgodę rozumu, powędrowała w kierunku jej ciała. Przejechałem dłonią po jej udzie, zahaczyłem palcami o brzeg bielizny. Na chwilę się tam zatrzymałem. Moje palce zaczęły pieścić to miejsce. Poczułem dreszcz przebiegający po jej ciele. We mnie też wszystko się prężyło i drżało. Karolina ma piękne ciało. Prawie o tym

zapomniałem. Żadna pieśczoć odchyliła się do tyłu. Moje palce wsunęły się pod koronki. Jej ciało tęskniło za moim ciałem. Ja też jej pożądałem. Dekolt sukienki odsłonił nabrzmiałe rozkoszą piersi. Sterczące brodawki czekały na pieśczoć i pocałunki. Przesunąłem po nich językiem. Przyłgnałem ustami. Pieściłem. Moja dłoń nie przestawała czule dotykać jej krocza. Dreszcz rozkoszy raz po raz przebiegał jej ciało. Piękna jest ta Karolina. Nie dziwię się, że inni też jej pożądają. Piękno zwykle należy do wielu. Opętał mnie jej gorący oddech na mojej skórze, wilgoć ust, pieśczoć dłoni, ciche szepty i jęki rozkoszy, zapach jej perfum... Gorąca, wilgotna, namiętna, szalona... Prawie zapomniałem, jaka jest Karolina. Ta szafirowa sukienka miała moc z piekła rodem, albo ja nigdy nie przestałem kochać Karoliny.

\*\*\*

Obudziłem się na długo przed świtem. Nie mogłem już zasnąć. Karolina spała z głową na moim ramieniu. Jej włosy łaskotały mnie po twarzy, jej oddech zwalniał bieg moich myśli, ciepło jej ciała i zapach perfum powodowały, że moje zmysły nadal szalały. Raptem pomyślałem, że wszystko wymknęło się spod kontroli. Zaczęło żyć własnym życiem, niezależnie od planów, zamierzeń i celów. Pomyślałem, że teraz będzie nam jeszcze trudniej, chociaż i tak nie było łatwo. To nie powinno się było wydarzyć, nie między nami, nie w tej sytuacji, nie tutaj i nie teraz. Moje myśli przesuwwały się leniwie. Nie dawały się kontrolować. Wydawało mi się, że jestem na pograniczu jawy i snu, wszystko miesza się z sobą, nic nie ma linearnego

przebiegu, wydarzenia się przeplatają, trudno oddzielić iluzję od prawdy. Za oknem budził się nowy dzień. Najpierw świat poszarzał. Później szarość zastąpił blady, nieśmiały błękit, który z pojawieniem się pierwszych promieni słońca przeszedł w wyrazisty lazur. Świergot ptaków zagłuszał moje myśli, drażnił, nie pozwalał się skupić. Pomyślałem, że za chwilę obudzi się Karolina i trzeba będzie rozpocząć dzień, który na pewno nie będzie należał do łatwych. Wydawało mi się, że drgnęła. Jej włosy połaskotały mnie po twarzy. Dmuchnąłem w czubek jej głowy. Wtuliła się we mnie jeszcze mocniej. Przyłgnęła do mnie całym ciałem.

- Co teraz będzie? - Usłyszałem jej szept.

- A co ma być? - Mój głos zabrzmiał spokojnie.

- Wracamy do Polski? - zapytała z lękiem.

- Zapewne tak, ale nie dzisiaj. Jest jeszcze coś, co musimy załatwić w Toskanii...

- To się nie uda...

- To musi się udać. Inaczej to coś, co cię przeraża, nas zniszczy.

- Nie uda się - powtórzyła.

- Uda się! Zaufaj mi, jak zaufałaś mi dzisiaj w nocy!

Nagle coś ukłuło mnie w środku. Zazdrość to paskudna choroba, a ja jestem potwornie zazdrosny. Nie znam tego gnoja, a już go nienawidzę. Na samą myśl, że przyjdzie mi go spotkać, dłonie zaciskają mi się w pięści. Ciekawe, czy Karolina musi ufać temu, z kim się kocha?

\*\*\*

Wstała od stołu. Stała przy wyjściu na taras. Odwróciła się ode mnie plecami. Chciała odciąć się tym gestem od naszej rozmowy. Utkwiła wzrok w zieleni, jakby to, co było tu i teraz, nagle przestało ją zupełnie interesować. Zdradzały ją tylko dłonie, które pobrały, zaciśnięte mocno na brzegu parapetu. Zbliżało się już południe, a zaczęliśmy naszą rozmowę tuż po śniadaniu. Od ponad dwóch godzin próbowałem z nią rozmawiać. Nic nam z tego nie wychodziło. Karolina milczała. Ja stawiałem pytania, na które i tak nie słyszałem odpowiedzi. To prawda, że nie można być lekarzem kogoś bliskiego, a już na pewno nie można być lekarzem jego duszy. Ludzie to aktorzy. Życie to teatr. Odgrywamy bezwiednie swoje role. Gramy sami przed sobą. Budujemy fałszywy obraz rzeczywistości, w który później próbujemy sami uwierzyć. Próbuje się wpasować się w coś, co sami wymyśliliśmy. Po latach dziwimy się, że wszystko okazało się nieprawdą. Nie stać nas na szczerść nawet przed samymi sobą. Otaczamy się grubym murem niedopowiedzeń i nieprawdy, za którym próbujemy się ukryć. Bez naszej gry czujemy się jak ślimaki pozbawione skorupy. To chyba dotyczy wszystkich, tak przynajmniej mi się wydaje. Karolinie trudno będzie nagle wypaść z roli przyjętej i realizowanej już od lat. Przede mną trudno będzie się jej otworzyć. Łatwiej by jej było przed kimś obcym. To był głupi pomysł. Idiotycznie dałem się namówić Markowi. Rozum mi wtedy odebrało. Dawne emocje na chwilę pokonały zdrowy rozsądek i racjonalny profesjonalizm. I pomyśleć, że wszystko to za sprawą tej jednej nędznej rodzynki.

- Nie ufasz mi? - spytałem kolejny już raz.

- A ty sobie ufasz? - Zaskoczyło mnie to pytanie. „Ufam sobie - pomyślałem - chociaż czasami bywam niepoczytalny, jak dzisiaj w nocy”. To, co stało się dzisiaj w nocy, nie powinno było się zdarzyć. Nie teraz, nie w tej sytuacji.

- Ufam sobie. Dlaczego miałbym sobie nie ufać? Na zaufaniu do siebie jakoś nigdy się jeszcze nie przejechałem... A ty sobie ufasz?

- Nie za bardzo - odpowiedziała cicho. - Ostatnio zbyt wiele spraw wymknęło mi się spod kontroli. Sama dla siebie stałam się niewiarygodna.

- A mi ufasz? - dziesiąty już chyba raz powtórzyłem to samo pytanie. Powtarzałem je w różnej formie już od dwóch godzin. Bezskutecznie. - Bez zaufania terapia nie może się udać. Nie będę w stanie ci pomóc.

- To nie chodzi o zaufanie... - powiedziała z ociąganiem. - Ja ci ufam...

- Coś ufasz mi bez przekonania, zupełnie beznamiętnie... Rozdzielmy dwie rzeczy. Nasze życie prywatne od psychoterapii - mówiłem spokojnie. - Odsuńmy od siebie wszystkie prywatne sprawy, wszystkie wspomnienia, wszystkie wątpliwości i emocje. W porządku, prywatnie kiedyś cię zawiodłem. Tak przynajmniej ty uważasz. Przeprosiłem cię za to. Tak bardzo chciałem wtedy rozumieć innych, że zapomniałem, że ty możesz przestać rozumieć mnie. Spierniczyłem wszystko... Pewnie łatwiej wybaczyłabyś mi zdradę niż to, co robiłem. Rozumiem. Byłem nie do wytrzymania. Zaskakiwałem cię każdego dnia. Przekroczyłem

twoje granice tolerancji. Moje zachowanie nie mieściło się w granicach normy. Budziło twój niepokój. Miałaś mnie dosyć... Miałaś powyżej dziurek w nosie mojego zachowania i moich pacjentów. Rozstaliśmy się. To zostawmy. Przeszło, minęło. Mogłaś czuć się mną rozczarowana i zawiedziona... Odeszłaś. Nie chciałaś już o tym rozmawiać. Rozumiem... Nie było mi łatwo, ale musiałem to zaakceptować...

Siedziała naprzeciw mnie i nie spuszczała wzroku z mojej twarzy. Słuchała uważnie, jakby nigdy wcześniej tego nie słyszała. Jakbym miał powiedzieć w tej sprawie coś zupełnie nowego. I powinienem był powiedzieć coś zupełnie nowego. To, co mówiłem, było czystą hipokryzją, grą słów, ukrywaniem własnych myśli. Minął rok. Miałem czas to wszystko przemyśleć. Zostawiła mnie i odeszła, bo wydało jej się, że tak będzie najprościej. A było najprościej tylko dla niej samej. Ratowała siebie, pogrążając mnie jeszcze bardziej. To ja powinienem się zastanowić nad tą terapią. Terapia opiera się na wzajemnym zaufaniu. To ja jej nie ufam. Zostawiła mnie w biedzie i uciekła w popłochu z mojego życia.

- Ty tak wcale nie myślisz - powiedziała spokojnie. - Myślisz zupełnie inaczej...

- Masz rację. To mnie będzie trudno ci zaufać - powiedziałem powoli. - Nadwyrężyłaś moje zaufanie...

- Wiem - przerwała mi. - Zrozumiałam to trochę później...

- Stara historia. Nie ma o czym mówić... Było, minęło, nie wróci. Spójrz teraz na mnie tylko przez pryzmat mojego zawodu. Jestem psychoterapeutką. Ufa mi wielu ludzi. Nie ufasz mi jako psychoterapeucie?



- Ufam ci - odpowiedziała pewnie.

- To dlaczego milczysz?

- Jest mi niezręcznie mówić ci o pewnych rzeczach - powiedziała chłodno. - Każdy ma swoje tajemnice...

„Nie dziwię się - pomyślałem - też byłoby mi na jej miejscu niezręcznie. Trudno jej będzie opowiedzieć mi o Enricu”.

- Wyobraź sobie, że jestem dla ciebie obcym człowiekiem, że jestem tylko twoim psychoterapeutą. Spotkałaś mnie po raz pierwszy przed paroma dniami. Ktoś ci mnie polecił. Przyszłaś na pierwsze spotkanie. Wymieniliśmy parę zdań. Uwierzyłaś, że potrafię ci pomóc. Uznałaś, że możesz mi zaufać i zgodziłaś się przejść psychoterapię. Wyobraźmy sobie taką sytuację. Wszystko stanie się prostsze - mówiłem spokojnie, powoli. Nie przestawałem jej obserwować. Raz po raz podnosiła na mnie wzrok. Kiedy spotkały się nasze spojrzenia, w popłochu uciekała wzrokiem. - Dzisiaj spotkaliśmy się po raz drugi, żeby omówić wspólnie terapię. Muszę ci parę rzeczy wyjaśnić. Zawsze tak na początku robię. Nie lubię niedopowiedzeń, rozczarowań i nieporozumień. Wielu myśli, że to takie ble-ble-ble. Takie czcze gadanie. Ktoś się wygada i będzie mu lepiej. W psychoterapii zupełnie nie o to chodzi. Niewielu wie, jak wiele to gadanie może zmienić. To trochę takie leczenie na życzenie. Przynajmniej tak to wygląda na początku. Wyznacza się cel, wybiera metodę, a później, dzień po dniu, spotkanie po spotkaniu konsekwentnie dąży się do celu. Wtedy nie ma już klienta i psychoterapeuty, jest dwóch partnerów idących ramię w ramię. To taki kontrakt. Taka umowa. Zbudowana na

wzajemnym bezgranicznym zaufaniu. Rozumiesz?

- Oczywiście, że rozumiem.

- Każda terapia ma działania uboczne. Ta również. Te działania uboczne nie przełożą się na niewydolność nerek ani marskość wątroby, nie spowodują biegunek ani wstrząsu anafilaktycznego, ale mogą mieć wpływ na całe życie, bo mogą zmienić postrzeganie rzeczywistości.

Siedziała naprzeciw mnie. Dzielił nas blat stołu. Obok wazonu z bukietem zebranych wczoraj przez Karolinę polnych kwiatów stała filizanka z dawno już ostygłą kawą. Wzrokiem hipnotyzowała trzymaną w ręku łyżeczkę. Wyglądała inaczej niż wczoraj. Nie było już przewiewnej, przewrotnej sukienki. Były dzinsy i podkoszulek. Całe szczęście, bo z tą sukienką zburzyła wczoraj mój spokój, pobudziła wszystkie zmysły, uświadomiła mi, że nie przestałem jej kochać.

- Nie mam cię oceniać, tylko ci pomóc - tłumaczyłem jej dalej. - Bez względu na to, co powiesz, mam za zadanie trzymać twoją stronę, patrzeć na problem twoimi oczami. Muszę poznać ten problem, muszę go określić, spróbować go nazwać, dopasować do niego terapię, wdrożyć tę terapię i zwyciężyć. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa od momentu, kiedy zaczniesz mówić, aż do grobowej deski. Ta terapia jest zorientowana tylko na ciebie. Ma pomóc tylko tobie. Terapia nie zmienia otoczenia. Zmienia ciebie. Może zmienić twój stosunek do innych. Otoczenie nie zawsze musi tę zmianę odbierać jako pozytywną, nie zawsze będzie ją akceptować...

- Słyszałam - przerwała mi. Spojrzała na mnie przelotnie.

- Marek wspominał, że niedawno poturbował cię mąż jakiejś pacjentki... Byłeś nawet parę dni w szpitalu.

„Że też Marek musi o mnie opowiadać” - pomyślałem z niechęcią. „Szczególnie o tym, jak ląduję na ścianie”.

- Zdarzyło się - zbagatelizowałem. - Nic wielkiego się nie stało. Rozjuszony mąż jednej z pacjentek rzucił mną o ścianę. Nie miałem za dużych szans. Facet waży z pięćdziesiąt kilo więcej ode mnie i jest z dziesięć centymetrów wyższy. Każdego dnia chodzi na siłownię. Ma bardzo małe rozmiary mózgowcaszki w porównaniu z rozmiarami obręczy barkowej. Jednym ruchem ręki rozpląszczył mnie na ścianie i wyszedł. Wylądowałem na oddziale chirurgii urazowej. Miałem wstrząśnienie mózgu i złamane dwa żebra. Rzucił mną o ścianę, bo nagle mu się wydało, że ja jestem winny wszystkim jego nieszczęściom.

- A co zrobiłeś?

- Zmieniłem przerażoną kobietę cierpiącą na zaburzenia lękowe, która już od lat ze strachu nie wychodziła z domu, w młodą, atrakcyjną dziewczynę z głową pełną planów. Działaniem ubocznym był rozwód. Jak widać, to się nie wszystkim spodobało...

- Kiedyś ktoś cię zabije...

- To ryzyko wpisane w ten zawód.

- Naprawdę tak uważasz? Uważasz, że tak myślą wszyscy psychoterapeuci?

- Ja tak myślę - poprawiłem się. - Sam dla siebie mam to dobrze przemyślane.

- Myślałam, że coś się zmieniło pod tym względem...

- Pod tym względem zmieniło się niewiele... Lubię to, co robię.

Kolejny raz zapanowało milczenie. Coś wyjątkowo trudno nam się rozmawiało.

- I co, zaczynamy? - spytałem. - Jesteś już gotowa?

- Chyba nie potrafię - zaczęła się wycofywać. - Nie o wszystkim jestem w stanie ci opowiedzieć...

- Ułatwię ci. Zacznijmy od końca - powiedziałem monotonnym, pozornie pozbawionym wszelkich emocji głosem. - Od momentu, kiedy przestałaś pisać dziennik.

Wyprostowała się nagle. Dziwny grymas przebiegł po jej twarzy. Wstała gwałtownie. Krzesło z hukiem runęło na kamienną posadzkę. Podeszła do drzwi prowadzących na taras. Odwróciła się do mnie plecami. Zastygła w bezruchu, zapatrzona w zieleń za oknem. Raptem to, co tu i teraz, przestało się liczyć. Wściekła się na mnie i miała rację. Czytanie cudzych tajemnic należy do rzeczy czasami koniecznych, ale zupełnie nieetycznych.

\*\*\*

Te parę kartek znalazłem w kuchni na stole. Zapisane były drobnym pismem Karoliny i wyglądały na dziennik.

*Piątek po południu*

*Widziałam go. To jakiś obłąd. Zmysły płatają mi figle. Zwodzą mnie i oszukują. Prawda miesza się z iluzją, iluzja z prawdą. Wokół mnie dzieje się coś, czego nie potrafię zrozumieć. Ktoś kiedyś powiedział, że od nas zależy, co przyjmiemy w życiu za iluzję, a co za prawdę. Wiem, że to*

niemożliwe, a jednak... Jechałam do Pitigliano i nagle zobaczyłam tamten samochód. Najpierw zobaczyłam go we wstecznym lusterku. Jechał szybko, w błyskawicznym tempie malała odległość pomiędzy nami. Jak okiem sięgnąć na drodze nie było żadnego innego pojazdu. Raptem chęć zobaczenia twarzy prześladującego mnie kierowcy stała się silniejsza od resztek rozsądku, które gdzieś jeszcze we mnie drzemią. Pomyślałam sobie, że nie będę uciekać. Decyzja była słuszna. Nie należę do dobrych kierowców. Nie potrafię jeździć szybko po wąskich drogach. Nie znam tej trasy. Pierwszy raz jechałam do Pitigliano. Nie miałam pojęcia, co znajduje się za następnym zakrętem - prosta czy kolejna serpentyna, karkołomny spad w dół czy ostry podjazd. Ucieczka mogłaby się zakończyć staniem w przydrożnym rowie i oczekiwaniem na pomoc drogową. Nietwarzowo, głupio i czasochłannie. Nic z klasy... Siara... Strata kasy, której i tak już nie posiadam. Zaczęłam zwalniać. Zdjęłam nogę z gazu. Patrzyłam spokojnie, jak opadała strzałka szybkościomierza i jak coraz szybciej i szybciej zbliżał się do mnie tamten samochód. Chciałam, żeby mnie wyprzedził. Na krótką chwilę samochody się zrównały. Za kierownicą siedziała postać w dobrze znajomej mi masce. Napis na bocznej szybie był większy niż poprzednie. Przeczytałam go bez problemu. „Wyjedź dzisiaj z Toskanii, bo inaczej zostaniesz tutaj na zawsze”. Czemu ten palant mnie prześladuje? Serce mi przyspieszyło. Durny strach chwycił za gardło. Zrobiło mi się mdło. To jakiś obłąd. „Nie stać mnie na słabość” - pomyślałam. „Nie stać mnie na to, żeby być taką

miękką bułą”. Kto to jest, do jasnej cholery? Wróg czy przyjaciel? Chroni mnie czy straszy? Samochody jechały równolegle, lampa w lampę, drzwiczki w drzwiczki, szyba w szybę. Opuściłam boczną szybę. On też opuścił.

- Cześć! - krzyknęłam w kierunku twarzy ukrytej za maską.

Odpowiedział mi machnięciem ręki. Wydawał się przyjazny. Podniosłam rękę do twarzy i wykonałam ruch sugerujący ściąganie maski. Postać siedząca za kierownicą uniosła rękę w kierunku maski i w tym momencie z naprzeciwka jak spod ziemi wyjechała na drogę ciężarówka. Serce podskoczyło mi do gardła. Odruchowo odbiłam kierownicą w prawo. Nieznajomy przyspieszył, ale i tak wyglądało na to, że nie zdąży, że zderzy się czołowo z nadjeżdżającym z przeciwka pojazdem. Powietrze rozdarł przeciągły dźwięk klaksonu. Odbiłam jeszcze bardziej kierownicą, robiąc miejsce nieznanemu. Rzuciło mnie na pobocze, skosiłam zderzakiem parę oleandrów, wpadłam bocznymi kołami w jakieś drobne, leżące tuż przy drodze kamienie. Przed sobą zobaczyłam ostry spad i położone w dole, zasnuwane poranną mgłą przepiękne wzgórza Toskanii. Przerazona odbiłam w lewo i samochód zaczął tańczyć na drodze. Wpadłam w poślizg. Miałam gdzieś w pamięci, że w takiej sytuacji trzeba kontrować. Skontrowałam. Obróciło mnie o sto osiemdziesiąt stopni i silnik zgasł. Samochód się zatrzymał. „Żyję!” - pomyślałam z ulgą. Na chwilę zapomniałam o tamtym samochodzie i nieznanym kierowcy. Zjechałam powoli na pobocze. Wysiadłam.

Chciałam sprawdzić, czy ta miękkość moich nóg to tylko strach, czy coś poraziło moje kończyny. „Nie jest tak źle” – pomyślałam. „To tylko strach”. Zrobiłam parę kroków. Miękkość nóg minęła i ustąpiła miejsca drżeniu. „To tylko strach” – pomyślałam jeszcze raz z ulgą. Kilkadziesiąt metrów ode mnie stał na poboczu tamten samochód. Zupełnie o nim zapomniałam. Nieznajomy machnął mi ręką i samochód w szybkim tempie zaczął się ode mnie oddalać. Szlag by trafił tę ciężarówkę! Zostałam sama na tej wąskiej bocznej drodze. Skąd ten ktoś mógł wiedzieć, że ja dzisiaj jadę do Pitigliano? Wymyśliłam to dopiero dzisiaj z rana. Nikomu tego nie mówiłam. Do nikogo nie dzwoniłam. Z nikim nie rozmawiałam. Ktoś czyta w moich myślach, czy obserwuje wyjście z mojego domu, siedząc w samochodzie zaparkowanym przy chodniku? Nie mogłam się skupić. Dźwięk radia dekoncentrował moje myśli. Szybko czytane najnowsze informacje z rejonu jak zawsze przeplatała muzyka. Wtem usłyszałam nazwisko Alberta. Zaczęłam się wsłuchiwać w informację i włosy zjeżyły mi się na głowie. Coś zaczęło mnie dusić w klatce piersiowej. Nie mogłam złapać powietrza. Co to za gówna, do jasnej cholery? O czym oni pieprzą?! Dzisiaj w nocy doszło do pożaru na przedmieściach Florencji. Płonął jeden z zabytkowych obiektów. Straż pożarna odnalazła spalone zwłoki właściciela pałacu i zarazem redaktora naczelnego i właściciela mieszczącego się w tym budynku wydawnictwa Avventura. Policja podejrzewa podpalenie w celu zniszczenia dowodów dotyczących morderstwa. Morderstwa? Wydawało mi się, że

coś źle zrozumiałam. Pomyślałam, że jednak muszę jeszcze trochę posiedzieć nad tym moim włoskim, bo nie jest jeszcze doskonały. Od czasu do czasu nie rozumiem potocznej mowy. Jednak słowo „morderstwo” wracało w różnych kombinacjach, odmieniane przez wszystkie przypadki. Nie mogłam się pomylić. Z relacji radiowej wynikało, że pies sąsiadów na godzinę przed wybuchem pożaru był bardzo niespokojny. Lekarz medycyny sądowej stwierdził, że Alberto Accardi nie żył już na kilka godzin przed wybuchem pożaru. Przyczyną zgonu był uraz głowy. Prawdopodobnie ktoś uderzył go w głowę kanciastym przedmiotem o ostrych brzegach. Przedmiot ten miał około pięciu centymetrów szerokości. Przy zwłokach go nie odnaleziono. Policja podejrzewa, że mógł być drewniany i spłonął w trakcie pożaru. W związku z pożarem poszukiwana jest młoda kobieta, która wczoraj w godzinach wczesnopopołudniowych bardzo wzburzona opuściła biuro Alberta Accardiego. Zgodnie z zeznaniami sąsiadki, która pracowała wczoraj po południu w ogrodzie graniczącym z ogrodem pałacu, między Albertem Accardim a kobietą doszło do kłótni. Przez otwarte okno słychać było ich podniesione głosy. Wyglądało to na spór kochanków. Ponoć kobieta była stroną atakującą. Sąsiadka słyszała, jak wychodząc, odgrażała się. Na podstawie zeznań sąsiadki stworzono portret pamięciowy podejrzanej. „Dziwne” - pomyślałam. „Może i byłam bardzo wzburzona, ale nie aż tak, żeby nie zauważyć kobiety pracującej w ogrodzie”. Pamiętałam tylko tego dużego psa, podbiegł radośnie do płotu i z rozmachem machał przyjaźnie ogonem.



Pomyślałam nawet sobie, że taki sympatyczny pies jest skazany na sąsiedztwo takiego gbura. Że zwierzęta nie mają wyboru... Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej byłam przekonana, że w ogrodzie nie było nikogo. Ten ogród jest niewielki. Tuż za płotem rozciąga się trawnik, na nim niewielki klomb z krzewami róż. Do domu przylega ściana bzu. Pomyślałam nawet, że ktoś kocha te kwiaty. Bez kwitnie w tym ogrodzie jak oszalały. Kwitnący na biało krzew sąsiaduje z innymi, o kwiatach niebieskich i fioletowych. Do ściany bzów przylega ścieżka prowadząca do tamtego domu. Może z tyłu domu był jeszcze jakiś ogród, ale stamtąd raczej nikt by niczego nie słyszał. Dziwne... „Świadek zeznał, że kobieta ma około dwudziestu pięciu lat, jasne, opadające na ramiona włosy i szczupłą budowę ciała. Ubrana była w krótką lnianą spódnicę i jedwabną czarną bluzkę w ręcznie malowane różnobarwne motyle. Ponoć bluzka była nietuzinkowa, wybitnie oryginalna, piękna”. Odetchnęłam z ulgą. Charakterystyczna jest tylko ta bluzka, ale nie mam jej teraz na sobie. A zresztą kobieta mi się nawet nie przyjrzała, bo moja bluzka nie jest czarna, a ciemnoszafirowa. W sumie to jest fantastyczne, że ludzie zapamiętują sztukę. To uderza w teorię Franceski, że sztuka jest potrzebna tylko artystom. Puls mi zwolnił. Uspokoiliam oddech. Dłonie przestały mi się pocić na kierownicy. To przecież są jakieś totalne bzdury. Nie mam nic wspólnego z zabójstwem Alberta Accardiego, bez względu na to, co o tym myśli jego sąsiadka. Nie będę po nim płakać, bo okazał się obślizgłą szują, ale nawet przez chwilę nie chciałam go

zabić. Jak wrócę z Pitigliano, to zgłoszę się na policję. Koncentrują się na mnie, zamiast szukać winnego. Wszystko przez jakiegoś wstrętne, wścibskiego babona. Świat jest pełen dupków wypełniających swoje pozbawione emocji życie burzliwym życiem innych. Wtem rozdzwoniła się moja komórka. Zawahałam się. Ten jeden dzień przyniósł mi aż za wiele emocji. Pomyślałam, że pewnie Enrico też słuchał w tej chwili lokalnej stacji radiowej. Miał stale włączone radio.

- Gdzie jesteś? - Głos w słuchawce zabrzmiał pogodnie.

- Jakies dwadzieścia kilometrów przed Pitigliano.

- Tak też myślałem - powiedział ciepło. - Zdołałem cię już trochę poznać.

- Co ty powiesz? Wiesz o mnie coś więcej poza tym, że mam tatuaż na lewym ramieniu i że ostatnio pijam chianti z winnic Sergrana?

- Znacznie więcej. Uwierz mi... - powiedział rozmarzonym głosem. - Wiem o tobie mnóstwo rzeczy... Wiem na przykład, jaką bieliznę nosisz, że masz pieprzyk przy lewym sutku, że uwielbiasz długo się kochać i szczytować wiele razy... Wiem, gdzie są te miejsca, które mam pieścić...

- Daruj sobie - warknęłam.

- Co cię ugryzło? - spytał zaskoczony.

- Przed chwilą o mało nie zginęłam w wypadku samochodowym.

- Nic dziwnego, jeździsz fatalnie.

- Pomyślałam sobie, że nawet nie mam w paszporcie danych osoby, którą należy zawiadomić w przypadku mojej

śmierci.

- Cudzych długów nie przejmuję - zażartował. - Pokopało cię? - Oprzytomniał. - O czym ty mówisz?

- Jakiś palant jechał na trzeciego.

- Na trzeciego? Na tej drodze? Niemożliwe. To musiał być ktoś niepoczytalny. W niektórych miejscach jest tam tak wąsko, że musisz składać lusterka, żeby ich nie stracić, kiedy mijasz samochód jadący z przeciwka.

- To była szczególna sytuacja... - próbowałam mu przerwać. - Facet mnie właśnie wyprzedzał, kiedy zza zakrętu wyłoniła się ciężarówka.

- Wyprzedzał cię? To był jakiś idiota. - Enrico był wzburzony. - Na całej drodze do Pitigliano jest zakaz wyprzedzania i ograniczenie szybkości do czterdziestu. Jak jedziesz tam prawidłowo, to wyprzedzają cię rowerzyści. Stało ci się coś?

- Nic. Pomijając miękkie ze strachu nogi i odrobinę porysowany samochód. Wjechałam w rosnące przy drodze oleandry.

- Mam po ciebie przyjechać? Głupio pytam. Już jadę... Ściągnę tylko Francescę. Będzie potrzebny drugi kierowca. Ona ponoć jest dzisiaj na miejscu, w swojej pracowni.

- Bez sensu! Nic mi nie jest! - powiedziałam pospiesznie. Jeszcze mi tylko dzisiaj do szczęścia Enrica brakowało. Szczególnie w pakiecie z Francescą. - Jadę dalej.

- Do Pitigliano?

- Do Pitigliano.

- Jedziesz na konkurs? Malowidła chodnikowe o tematyce

sakralnej? Konkurs organizowany przez miejscową parafię. Ty i taki temat? Aż mi się wierzyć nie chce... Hamując, chyba uderzyłaś się w głowę... Ty wśród dewotów i dewotek? Chyba żartujesz. Ubrałaś się przynajmniej odpowiednio?

- Mam krótką spódnicę i koronkowe majtki... Bluzkę nie za długą, żeby nie było mi za gorąco. Przewiewna bluzka kończy się tuż nad pępkiem. Ramiona mam odsłonięte, bo postanowiłam je opalić. Plecy też są gole. Rozcięcie sięga aż do pasa, raz po raz ukazując koronkową bieliznę. Bluzka jest przewiewna. Nawet bardzo. Z przodu ma spory dekolt, tak że widać brzeg bielizny...

- Nie rozpraszaj mnie...

- Majtki mam te, które lubisz, z białej delikatnej koronki... Biustonosz też jest z kompletu. Wiesz, ten który sam się odpina...

- Prowadzę samochód... - oświadczył chłodno. - Ruch jest duży. Jestem na Fi-Pi-Li. Jadę z Pizy do Florencji. Przestań mnie dekoncentrować. Przed chwilą prawie wjechałem w tył jakiemuś palantowi, który ostro przyhamował przede mną.

- Żartowałam. Mam jeszcze resztki rozumu. Zwłaszcza kiedy chcę zarobić pieniądze. Wyglądam mało ponętnie. Nawet byś na mnie nie spojrzał. Mam na sobie dzinsy, zgrzebny podkoszulek i trampki. Wyglądam jak pokutnik udający się do kościoła. Gdybym była w ulubionym przez ciebie stroju, to nikt by mnie nie wpuścił do świątyni. Nie usłyszałabym nawet reguł konkursu...

- Ten konkurs nie jest dla ciebie.

- Jadę spróbować. Potrzebuję kasy...

- Przecież to zupełnie nie twoje klimaty.

- Klimaty klimatami, a może się uda. Zalegam pani Mornetti z czynszem za dwa miesiące. Signora nie będzie czekała wiecznie... Wspominała mi wczoraj, że ma już kogoś chętnego na to moje mieszkanie. Nie mam chwilowo żadnych perspektyw na stałą pracę. Ta chałtura czy inna. Nie ma różnicy... Spróbuję to potraktować jak artystyczne wyzwanie...

- Nie masz stałej pracy? - spytał zdziwiony. - Alberto cię zwolnił? Żartujesz?

- Nie wiedziałeś?

- Nie wiedziałem. - Zabrzmiało to wiarygodnie.

- Rozstaliśmy się w sposób dość burzliwy wczoraj po południu.

- Przejdzie mu... Jemu zawsze przechodzi. To typowy choleryk. Jak mu przejdzie, to na pewno do ciebie zadzwoni.

- Nie zadzwoni. Nie słuchasz dzisiaj radia?

- Nie. Ktoś mi urwał wczoraj antenę. Nie zdążyłem jeszcze kupić.

- Przed paroma minutami usłyszałam w radiu, że Alberto Accardi nie żyje. Ponoć ktoś go zamordował i później dla zatarcia śladów podpalił wydawnictwo.

- Żartujesz?! - Zaniemówił na chwilę. - To niemożliwe. Facet kopnął w kalendarz? Ktoś go zabił? Ktoś go zabił w momencie, kiedy on jest mi winny kupę kasy? Powiedz, że żartujesz! To się nie mogło wydarzyć. Leżę. Leżę na całej linii. Mogę się już tylko powiesić... Kogo podejrzewają? Mają już kogoś na oku? Gdyby żył Sergrano, to stawiałbym na niego,

*ale szelma nie żyje.*

*- Ja jestem podejrzaną...*

*- Szlag trafi cały przewodnik - zbagatelizował moją odpowiedź, a może ona go swą treścią tak zaskoczyła, że przekroczyła w tym momencie możliwości jego percepcji. Jego mózg odrzucił automatycznie to, co było mu obce. - Będę musiał wrócić do pracy w brukowcu. Jak dobrze pójdzie, to znowu wyląduję w kronice towarzyskiej. Taka wstrętna, nudna, koszmarna praca. Ciepłe laurki i życzenia urodzinowe, kondolencje z powodu śmierci i gratulacje z okazji ślubu, okrągłe rocznice i urodziny dzieci... Takie wszystko mdłe i nudne, że można się zrzygać. Mózg w tej pracy ulega zwyrodnieniu i zaczyna zanikać. Nawet dement sobie poradzi. Latami przyjdzie mi ciuć kasę na nowy samochód. Na starość dochrapię się nędznego, małego, kamiennego domu na jakimś paskudnym zadupiu. Ożenię się po sześćdziesiątce, bo wcześniej nie będzie mnie stać na żonę. Że też go ktoś musiał zakatrupić... I to w takim momencie. Jakby nie mógł poczekać z tym przynajmniej tych nędznych paru miesięcy do premiery przewodnika. To była taka rewelacyjna praca z perspektywą na niekończące się dochody. Że też jakiś palant musiał go zabić. Ludzie są beznadziejni. Totalni egoiści. Załatwiają swoje prywatne sprawy, nie licząc się z innymi...*

*\*\*\**

*Piątek wieczorem*

*Wracałam z Pitigliano bogatsza o pięćset euro.*

„Wystarczy na zaległy czynsz i na zadatek na bieżący” – kalkulowałam. Signora Mornetii powinna być zadowolona. Udobrucha się i zostawi mnie w tym mieszkaniu. Powiedziała mi niedawno, że do wszystkiego można przywyknąć z wyjątkiem braku wpływu pieniędzy. Ostatnio już nawet te rysunki na ścianach przestały jej przeszkadzać. Wpływ pieniędzy będzie, to pewnie i mieszkanie zostanie. Lubię to mieszkanie. Teraz będę regularnie dostawać pieniądze. Proboszcz parafii w Pitigliano zaproponował mi pracę. Dobrze, że on nic wie o Boccacciu i błogosławionej Julii z Certaldo Alto, bo zapewne nie dostałabym tej pracy. Będę rysować obrazki do modlitewnika, który ma powstać na rocznicę czegoś, czego i tak nie udało mi się zapamiętać. Modlitewnik będzie wydany w nakładzie pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy. Będzie rozdawany pielgrzymom. Może zarobek nie najlepszy, ale przynajmniej pewny, a nowy zleceniodawca nie będzie mnie obmacywał. Jeszcze przed rokiem pogardziłabym taką pracą. Jeszcze przed kilkunastoma miesiącami interesowała mnie tylko prawdziwa sztuka. Tymczasem cały mój świat się przewartościował. Rysunki do modlitewnika to sztuka użytkowa, jak malowanie na materiale, malowanie na szkle, portrety rysowane na ulicach... Michał Anioł w końcu też malował freski na ścianach kościoła. Co prawda tym kościołem była Kaplica Sykstyńska, ale to tylko szczegół. Łączy nas jeszcze jedno. On urodził się w Toskanii i tworzył w Toskanii. Ja tutaj mieszkam. Jesienią będę mieć wystawę w jego Florencji. To jest wspaniały pomysł. Świat emocji ukazany tylko za pomocą

kolorów. Marek też dał się w to wkręcić, chociaż na początku odnosił się do pomysłu dość sceptycznie. Uczucia i kolory... Emocje zaklęte w barwy. Mam biały, czarny i niebieski. Aż mi zimno od tych kolorów. Myślę teraz nad żółtym, ale takim złamanym czerwienią, ciepłym, słonecznym... Byle tylko nie czerwonym. Żar sierpnia kojarzy mi się z Wojtkiem. Czerwień spaliła wszystko na popiół... Jechałam, słuchałam muzyki. To był taki spokojny wieczór. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Przydrożne drzewa rzuciły długie, miękkie cienie. W powietrzu unosił się zapach rozgrzanych słońcem cyprysów. Raptem stało się coś, czego nie rozumiem. Wiem, że to, co się stało, jest niemożliwe. Przeczą temu rozum i logika. To nie mogło się stać. To jakiś obłąd. Zmysły płatają mi figle. Zwodzą mnie i oszukują. Prawda miesza się z iluzją, iluzja z prawdą. Jak to napisał ten Marco z kiosku? „Patrzymy i nie widzimy rzeczywistości, tylko świat iluzji stworzony wyłącznie dla nas”. Jechałam i nagle w promieniach zachodzącego słońca zobaczyłam stojący na poboczu tamten samochód. Coś kazało mi się zatrzymać. To coś nie było rozumem... A teraz wszystko krzyczy we mnie jak ściany w moim pokoju, na których w nocy namalowałam dziesiątki zawodzących w krzyku przerażenia i rozpaczony twarzy. Boję się wszystkich i wszystkiego, a przede wszystkim samej siebie. Jak to było z tą mistyką kolorów? Biały to zły kolor, podobnie jak czarny. Czerń i biel to dwa beznadziejne kolory...

\*\*\*



## Sobota rano

*Enrico powiedział, że mi pomoże, że zawiezie mnie moim samochodem do Polski, że tam muszę się poddać leczeniu... Mówił mi, że jestem szalona, że widzę rzeczy, których nie ma, że mam omamy wzrokowe, że słyszę dźwięki, które podrzuca mi chora wyobraźnia, że one wywołują u mnie lęk, że zachowuję się irracjonalnie, żyję jakby w dwóch światach, że moja wyobraźnia poddaje mi obrazy, które ja przyjmuję za prawdę. A mnie się nagle wydało, że to wszystko jest iluzją albo snem. Całe to wydarzenie było jak film przesuwający się przed moimi oczami. Raptem czułam się jak ktoś obcy, jak widz w kinie, który biernie obserwuje przebieg akcji, jak ktoś, kto nie ma żadnego wpływu na rozwój wypadków. Wszystko pamiętam jak przez mgłę. Pamiętam, jak podjechałam do tamtego samochodu. Zatrzymałam się równolegle do niego. Drzwi w drzwi, okienko w okienko. Zapadał już zmrok. Ostatnie słoneczne promienie przeciskały się pomiędzy gałęziami pinii. Chwilę wcześniej obserwowałam, jak złoto zachodzącego słońca podświetlało na różowo pojedyncze chmury zawieszona na lazurze nieba. Ten lazur gdzieś na horyzoncie przechodził powoli w zimny, nocny granat. „Kicze podpowiada natura” – pomyślałam. Najbardziej kiczowaty z kiczowatych zachód słońca. Nawet przez moment przyszło mi na myśl, że to takie dziwne – spotkanie o zachodzie słońca. W pierwszej chwili zobaczyłam tylko cień siedzącej za kierownicą postaci. Mrok wtargnął już do wnętrza samochodu, kładł się cieniem na twarzy nieznanego. Obok postaci, na siedzeniu pasażera leżała ta biała maska, pomięta*

*i zniekształcona, z powykrzywianymi w krzyku ustami i pełnymi przerażenia okrągłymi oczami. Twarz jakby żywcem wzięta z Krzyku Muncha.*

*- Cześć! - rzuciłam niepewnie. Odpowiedziało mi milczenie. - Cześć! - powtórzyłam głośniej.*

*Człowiek za kierownicą nawet nie drgnął. Jego profil wydał mi się znajomy. Gdzieś już widziałam tę twarz.*

*- Cześć! - powtórzyłam kolejny raz, coraz bardziej zaniepokojona. Wtem postać osunęła się na bok, drzwiczki samochodu otworzyły się ze skrzypnięciem pod ciężarem bezwładnego ciała i na bruk upadły zwłoki z nożem wbitym w plecy. Ciemna plama na plecach wydawała się aż lepka od niezakrzepłej jeszcze krwi. Usłyszałam głuchy dźwięk upadającego na ziemię ciała i wtedy wokół zapanowała niczym niezmqcona cisza. Sergrano! Czy można umrzeć dwa razy w odstępie kilkunastu dni?! Noga sama opadła mi na pedał gazu. Mój mózg działał podświadomie. Moja świadomość zamarła w krzyku, który zastygł mi na ustach. Samochód ruszył jak szalony. „Byle przed siebie” - myślałam. „Byle jak najdalej stąd. Nieważne, w którą stronę”. Ochłonęłam odrobinę, gdy znalazłam się w korku na przedmieściach Florencji. Raptem zaczęłam się dusić w sznurze stojących samochodów. Coś ograniczało mi oddech. Serce biło jak szalone. Coś przeszkadzało w gardle. W uszach słyszałam monotony szum. Było mi mdło i słodko. Bałam się spojrzeć na samochody obok. Bałam się, że zobaczę w nich twarze w maskach, powykrzywiane w krzyku przerażenia i rozpaczy usta, przestraszone, puste oczy.*

*Postanowiłam zadzwonić do Enrica. Musiałam z kimś porozmawiać.*

*- Widziałam zabitego Sergrana! - zaczęłam krzyczeć do słuchawki. - Jak może ktoś umrzeć dwa razy w przeciągu kilkunastu dni?! Sergrano nie żyje. On nie żyje na nowo. Leży na poboczu drogi z Pitigliano z nożem wbitym w plecy...*

*- Piłaś coś? Ktoś poczęstował cię działką? Jakies grzybki albo zioła? - Głos Enrica zabrzmiał chłodno, rzeczowo.*

*- Nie piłam. Nie ćpam. Wiem, co mówię. Musisz mi uwierzyć. Widziałam martwego Sergrana. Leży z nożem w plecach. Podjechałam do jego samochodu. Nie wiedziałam, że to jego samochód. Raptem się przechylił, drzwi auta się otworzyły i wypadł na drogę z nożem w plecach... - próbowałam mu opowiedzieć. Mówiłam chaotycznie. Pewnie dla Enrica zupełnie niezrozumiale. - To na pewno był Sergrano!*

*- Niemożliwe - stwierdził sceptycznie. - Sergrano nie żyje już od ponad tygodnia. Zmarł w wyniku zatrucia oparami toksycznej substancji chemicznej - dodał powoli. Dobitnie cedził każde słowo. Mówił spokojnie, jak do upośledzonego umysłowo idioty.*

*- Nie mów do mnie jak do idiotki!*

*- Ty dzisiaj miałaś ten konkurs - ciągnął spokojnie. - Malowałaś w pełnym słońcu. Pewnie się przegrzałaś. Przy udarze słonecznym mogą wystąpić omamy wzrokowe... Połóż się! Zrób sobie zimny okład na głowę. Zaraz do ciebie przyjadę.*

*- Nic mi się nie stało w głowę. Nie przegrzałam się. Nie*

mam udaru słonecznego. Nie mam omamów wzrokowych.  
Wypchaj się!

*Nie czekałam już na jego odpowiedź. Rozłączyłam się.*

*„Głupi palant” – pomyślałam. „Nie jest w stanie wyjść poza stereotypy logicznego myślenia. Biedny! Upośledzony! Niech się wypcha! Sama wiem, że to wszystko jest nielogiczne. Cóż mam poradzić na to, że widziałam Sergrana? Cóż mam poradzić na to, że był martwy z nożem w plecach?” Podgłośniłam radio. Wyło już na cały regulator. Próbowałam głośną muzyką uciszyć całą burzę rozszalałych emocji. Nie działało. W każdym razie nie działało tak, jak powinno. Jak na złość w radiu leciał kawałek, który nie tak dawno tańczyliśmy z Sergranem. Że też, kurde, ja mam takiego pecha i nawet w programie muzycznym musi się wydarzyć taki fatalny zbieg okoliczności. Radio wyło, samochód stał w korku, a we mnie wszystko krzyczało. Łzy same napłynęły mi do oczu. Wszystko, co we mnie było, przeszło w jeden przeciągły szloch. Pomogło na tyle, że zobaczyłam, że ktoś dzwoni. Enrico. „Niech się wypcha” – pomyślałam. Na krótkim szlochu się nie skończyło. Rozbeczałam się na dobre. To wszystko przez ten korek, próbowałam się tłumaczyć sama przed sobą. Stoję tu jak palant już od godziny i z braku zajęcia rozczulam się nad sobą. Nad sobą? To takie dziwne. Może nad Sergranem? A może nad Krzykiem Muncha? Chusteczki mi się skończyły. Nos mnie bolał od wycierania. Oczy piekły, a powieki zapewne były spuchnięte i czerwone. Nie mogłam się uspokoić. Tłumaczyłam sobie, że to mnie nie dotyczy, że to są*

ich miejscowe sprawy, że nie interesuje mnie martwy Sergrano, spalone ciało Alberta, ani to, że z powodu zeznań sąsiadki Accardiego jestem poszukiwana przez policję. Jeszcze raz rozdzwonił się telefon. Znowu Enrico. „Jest mi tak źle – pomyślałam – że go odbiorę”.

- Gdzie jesteś? – padło od razu. Wyglądało na to, że jest zdenerwowany. – Byłam u ciebie w domu. Nie ma cię – mówił głośno. Krzyczał. – Signora Mornetti powiedziała, że nie widziała cię od rana. Nie odbierasz moich telefonów. Bez przerwy dzwonię. Możesz mi powiedzieć, co ty właściwie wyprawiasz? Za kogo ty mnie masz? Za idiotę? Za drania? Jak mam ci pomóc, kiedy odkładasz słuchawkę? Gdzie jesteś? – Pytanie goniło pytanie. Enrico był wzburzony. Poczułam się podle. Zadzwoiłam do niego, zburzyłam mu wieczorny spokój, rozłączyłam się, skupiłam się na sobie i go olałam, zupełnie nie zastanawiając się nad tym, co on zrobi z tym, co ode mnie usłyszał.

- Przepraszam – wykrztusiłam z trudem. – Jestem na przedmieściach Florencji.

- Na przedmieściach Florencji? – powtórzył zdziwiony. – Co ty robisz na przedmieściach Florencji?

- Od godziny stoję w korku. Na wjeździe do miasta był jakiś wypadek.

- Ale dlaczego jesteś we Florencji?

- Było mi wszystko jedno. Chciałam uciec jak najdalej. Nagle zobaczyłam, że dojeżdżam do Florencji. To było zupełnie podświadome. Zapewne dlatego, że to duże miasto, mnóstwo ludzi... W tłumie nie będę się bać. Wśród wielu

*obcych ludzi nie będę sama.*

*- Nie będziesz sama - powiedział stanowczo. - Idź do tej kawiarni, gdzie byliśmy razem. Pamiętasz? Tej przy Via dei Neri. Pogadaj z Filippem. Poczekaj tam na mnie. Już jadę...*

*\*\*\**

*Enrico musiał wyruszyć zaraz po naszej rozmowie. Musiał jechać szybko, albo ja tak się wlekłam noga za nogą, idąc do tej kawiarni, bo czekałam na niego zaledwie pół godziny. Filippo już wiedział, że przyjdę. Amelia zagoniła mnie do pracy.*

*- Nic bardziej nie poprawia humoru niż dekorowanie kawy - stwierdziła na mój widok. - Ale najpierw musisz to wypić. To likier mojej babci. Specjalnie pobiegłam po niego przed chwilą do domu. To najwspanialsze amaretto na świecie. Zrobione z migdałów, pestek moreli i wanilii. Kompozycja zapachu i smaku, która natychmiast uspokaja.*

*Mówiła prawdę. Amaretto zaczęło działać od pierwszego łyku. Najpierw zrobiło mi się przyjemnie ciepło, później zakręciło mi się w głowie, a potem nawet wspomnienie martwego Sergrana przestało mnie przerażać. Taki likier to cudowne lekarstwo o tajemnej mocy. Pomyślałam, że muszę kupić od Amelii trochę likieru, tak zupełnie na wszelki wypadek. Postawię amaretto w mojej sypialni i będę używać tylko przy specjalnych okazjach, jak malowanie nocą potwornych postaci na ścianach. Zaczęłam dekorować kawę. Caffè latte z sercem na mlecznej pianie była dla siedzącej pod oknem pary zakochanych. Owieczka dla Amelii. Dla*

*Filippa saksofonista. Kapelusz z kwiatami dla starszej kobiety siedzącej w rogu sali. Zapach kawy, smak amaretto, słodczy tiramisu i kolor chianti. Nie ma chyba bardziej relaksującego zajęcia na świecie niż praca w tej kawiarni. Amelia postawiła przede mną puszkę na datki. Znowu pojawiła się przy niej kartka z napisem: „Zbieramy na chianti dla wszystkich”. Znowu raz po raz brzęczały wrzucane do puszki monety. Byłam tutaj przed dwoma tygodniami. Tymczasem w moim życiu wydarzyło się tak wiele, że mam wrażenie, jakby minęły wieki. W kawiarni czas jakby się zatrzymał. Filippo był nawet podobnie ubrany. Znowu miał na sobie lniane jasne spodnie, rozpiętą do połowy klatki piersiowej jasnoniebieską koszulę, biały podkoszulek. Nagle wydało mi się, że nigdy stąd nie wychodziłam. Odtajałam, wszystko zaczęło się toczyć wolniej. Zmysły się rozleniwiwały. Myśli zaczęły płynąć stateczniej. Malując owieczki, pawie pióra i serca, zapomniałam o Sergranie, prawdę powiedziawszy, zapomniałam o całym świecie. Nagle cały mój świat ograniczył się do cichej muzyki, zapachu kawy, słodczy likieru, przyjaznych ludzi... Zajęta tworzeniem pękatego serca przebitego strzałą dla dziewczyny pracującej w kuchni, nie zauważyłam, kiedy Enrico wszedł do kawiarni.*

*- Poproszę kawę z krajobrazem Toskanii. - Usłyszałam jego głos. - Zapłacę za nią dużo więcej niż inni. Zapłacę każdą cenę.*

*Spojrzałam na niego. Pomyślałam, że musiał biec. Zapewne zaparkował samochód daleko stąd. Tutaj w pobliżu trudno o miejsce. Włosy miał mokre od potu. Wilgotna*

koszula przylegała mu do pleców. Nie mógł uspokoić oddechu. „Przejął się mną” – pomyślałam. Zrobiło mi się ciepło gdzieś w środku. Malowany piórkiem pejzaż wyszedł mi wyjątkowo. Na powierzchni gorącej kawy pojawiła się wysadzana cyprysami droga, biegnąca w kierunku stojącego na wzgórzu domu.

- Szkoda, że nie można tego zachować – szepnęła za moimi plecami Amelia. - Pięknie malujesz...

- Jak chcesz, to namaluję ci pejzaż na płótnie. Nie będzie tak ulotny... Musisz mi tylko opowiedzieć o twojej Toskanii...

- Nie rozumiem... - Spojrzała na mnie zdziwiona.

- Nie rozumiesz? To zależy, czego oczekujesz. Jeżeli wiernego oddania rzeczywistości, to sprawa jest bardzo prosta – zaczęłam jej tłumaczyć. - Jestem w stanie namalować ci takie płótno w dwa wieczory. Będzie podobne do tych sprzedawanych tuż przy Ponte Vecchio. Będzie piękne, ale powtarzalne. Będzie twoje, ale nie do końca. Będzie uniwersalne, czyli stworzone dla ciebie i dla wszystkich. Lipa... Nic szczególnego... To będzie prezent, ale zupełnie nieindywidualny. Nie będzie w nim ducha. Nie będzie emocji. Nie będzie uczuć. Będzie to jakiś tam pejzaż Toskanii. A ja mogę ci namalować coś zupełnie innego. Tylko dla ciebie. Roboczo możemy to nazwać „Toskania widziana oczami Amelii”.

- Nie rozumiem – powiedziała niepewnie. - Dziwnie mówisz...

- To będzie pejzaż i będą emocje... Obraz, w który spróbuję zakląć twoje uczucia... Będzie tylko dla ciebie i tylko



*twój od dnia namalowania już na zawsze.*

*Może i udałoby mi się wytłumaczyć to wszystko Amelii i może i ona by mnie zrozumiała, gdyby nie to, że Filippo włączył po cichu radio. Do moich uszu zaczęły dochodzić strzępy lokalnych informacji. Wtem poczułam serce w gardle... „Na trasie łączącej Pitigliano z Montemerano doszło do wypadku. Policja bada okoliczności zdarzenia. Zdarzenie miało miejsce około dwudziestej drugiej trzydziści. Jadący wąską, krętą, górską drogą w kierunku Montemerano granatowy samochód marki Alfa Romeo Giulietta spadł ze skarpy, przeokoziółkował parę razy po stromym zboczu i stanął w płomieniach. Wybuch zbiornika z paliwem spowodował olbrzymią detonację. Kierowca najprawdopodobniej zginął, choć jego ciała do tej pory nie odnaleziono. Nie ma bezpośrednich świadków zdarzenia. Pożar samochodu zauważyli mieszkańcy Montemerano. Dotarł do nich również huk detonacji...” „Co za bzdury” – pomyślałam. „Ja byłam tam około dwudziestej pierwszej. Ktoś rzucił ten samochód ze zbocza półtorej godziny później?” Widziałam Sergrana wypadającego z nożem w plecach z granatowego samochodu Alfa Romeo Giulietta. Wszystko wróciło. Znowu miałam przed oczami martwego Sergrana. Widziałam dokładnie niebieską koszulę z olbrzymią plamą powoli gęstniejącej krwi. Widziałam nóż po rękojeść wbity w plecy... Serce biło mi z przerażenia jak oszalałe.*

*\*\*\**

*- Słyszałem, że Alberto nie żyje. – Głos Filippa docierał do*

*mnie z trudem. Filippo zaprosił nas do siebie na noc. Odstąpił mi swoją sypialnię. Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam. To był koszmarnie długi dzień. Najpierw droga do Pitigliano, prawie dwieście kilometrów po wąskich serpentynach, później konkurs, po nim powrót i martwy Segrano, droga do Florencji i parę godzin spędzonych w kawiarni. Amelia przyniosła z domu gitarę. Nawet nie wiedziałam, że Enrico rok temu był w finale The Voice of Italy. Brzęki gitary, lekko zachrypnięty, ciepły głos Enrica, piosenka o zwiewności chwili, ulotności marzeń i iluzji życia. Jak to napisał ten Marco z kiosku? „Patrzymy i nie widzimy rzeczywistości, tylko świat iluzji stworzony wyłącznie dla nas. Uważaj na Enrica. To szuja”. „Bzdura” – pomyślałam. „Muszą się po prostu nie lubić. Nie wszyscy muszą za sobą przepadać”. Enrico śpiewał, raz po raz patrząc na mnie. Niepokój minął, obraz zabitego Sergrana stał się mniej wyrazisty, zaczął przypominać teatralną scenografię. Cień na twarzy, przewracające się ciało, drzwi samochodu otwierające się ze skrzypem, głuchy dźwięk zwłok padających na drogę, błękit koszuli złamany olbrzymią czerwoną plamą niezakrzepłej jeszcze krwi, nóż wbity w plecy aż po rękojęść. Do tego ostatnie promienie zachodzącego właśnie słońca, długie cienie rzucane przez rosnące przy drodze cyprysy. Nienaturalne, kiczowate... Jak przejaskrawiony obraz, nieudana scenografia, kiepski film. Jak on mógł siedzieć za kierownicą z tym nożem w plecach? Zaczęło mi się wydawać, że to moja wyobraźnia mnie zwodzi... To był bardzo męczący dzień. Wszystko mogło się wydarzyć. W sumie w ciągu tego*

*dnia przejechałam prawie pięćset kilometrów, i to głównie po drogach, których nie zaznaczają na mapach. Coś się dzieje z moją głową... Moja własna wyobraźnia płata mi figle. Moja fantazja drwi ze mnie. Pamiętam, jak jadąc, bałam się, że zasnę. Postanowiłam zająć czymś myśli. Próbowałam sobie wyobrazić, co mogłoby się stać na tej spokojnej, zapomnianej przez wszystkich drodze. Może to była tylko imaginacja? Z minuty na minutę byłam o tym coraz bardziej przekonana. Przecież nikt nie może umrzeć dwa razy, i to w przeciągu kilkunastu dni. Zasnęłam, mając pod powiekami obraz grającego na gitarze i śpiewającego Enrica, nie martwego Sergrana. Obudziły mnie ciche głosy dochodzące z zewnątrz. Enrico i Filippo rozmawiali na tarasie, na który wychodziły okna sypialni.*

*- Słyszałem, że Alberto nie żyje... - Głos Filippa docierał do mnie jak z zaświatów. - I co teraz?*

*- Nic. Może i lepiej. Stary zrobił się pazerny. Zaczęło to być ryzykowne. Pieniądz zmienia człowieka. Z każdym dniem chciał więcej i więcej. Nie potrafił odpuścić niczego i nikomu. Coraz wyższe ceny dla sponsorów. Coraz wyższa i wyższa stawka za milczenie. Stary układał plany. W planowaniu był mistrzem. Wymyślił opłatę wstępną i opłaty roczne. Każdy zainteresowany ukryciem jakichś informacji, które uważa za bardzo poufne, miał wnieść opłatę wstępną za nieujawnienie tych informacji w przewodniku. Przewodnik miał być aktualizowany co roku. Co roku zainteresowany miał wносить opłatę roczną, potwierdzającą jego nieustającą wolę, by pominąć pewne dotyczące go fakty, które są dla niego*

*z różnych powodów mniej lub bardziej kłopotliwe.*

*- Haracz roczny - przerwał mu Filippo.*

*- Brzydka nazwa - fuknął Enrico.*

*- Dlaczego brzydka? Nazwałem tylko rzecz po imieniu. Ja lubię nazywać rzeczy po imieniu.*

*- Alberto nazywał to przedłużeniem umowy milczenia.*

*- Że też dałeś się w to wciągnąć...*

*- To raczej ja wciągnąłem w to Alberta. Pieniądze. Czy ty wiesz, co znaczy forsa?*

*- Kiedyś byłeś inny... Czasami mnie przerażasz, bracie.*

*- Wiem - przerwał mu gwałtownie Enrico. - Byłem głupim, łatwowiernym i wierzącym w sprawiedliwość palantem. Byłem naiwny jak dziecko. Żle nas w domu wychowano. Tobie to w życiu w niczym nie przeszkodziło. Mnie prawie zabiło. Ojciec zawsze nam powtarzał, że uczciwość się opłaca, a honor nie ma ceny. Nie pamiętasz, co się stało? Niemożliwe, żebyś zapomniał.*

*- Pamiętam.*

*- Gównu, nie pamiętasz - warknął Enrico. - Wyjechałeś wtedy do Stanów, żeby zdobyć kasę na własną knajpę. Od czasu do czasu pisałeś e-maile z uwagą „Głowa do góry, braciszku”, a ja staczałem się każdego dnia. Zasypiałem zalany i budziłem się zalany. Nie trzeźwiałem, żeby nie musieć się ponownie zmierzyć z tym wszystkim...*

*- Wiem.*

*- Gównu wiesz. Nie było cię, a jak wróciłeś, to nie było już o czym rozmawiać. Pracowałem u Alberta, w jego gazecie, prowadziłem nudną stronę towarzyską, startowałem w The*

Voice of Italy. Ty kupiłeś knajpę... Nie masz prawa mnie oceniać.

- Nie oceniam cię - mówił pojednawczo Filippo. - Próbuję zrozumieć.

- Pracowałem w policji. Jakiś dureń zarzucił mi korupcję. Moi przełożeni mu uwierzyli. Moje słowo przeciwko słowu skorumpowanego burmistrza. Słowa jakiegoś tam młodego podoficera kontra słowo najwyższego postawionego urzędnika miasta. Nie ta waga. Do tego tak apolitycznie... Nie miałem szans, ale jeszcze wtedy wierzyłem w sprawiedliwość. Byłem naiwny jak dziecko. Nagle przestało się liczyć, ile szuj wcześniej wsadziłem za kratki. Raptem to nie miało żadnego znaczenia. Z dnia na dzień zawiesili mnie w obowiązkach służbowych. Do czasu wyjaśnienia zostałem odsunięty od wszystkich spraw. Dostałem na komendzie papierowe pudło, do którego zapakowałem swoje rzeczy. Zabrano mi legitymację służbową i broń. Zostałem bez pracy i bez kasy. Ludzie, których tropiłem, śmiali mi się w twarz. Staczałem się i nikt nie chciał, a może nie mógł mi pomóc. Zrobiłem się mistrzem w sięganiu dna. W przeciągu paru miesięcy stałem się zupełnie innym człowiekiem. Ciebie nie było, rodzice, przerażeni, nie wiedzieli, w co mają wierzyć. Postępowanie wyjaśniające trwało dwa lata. W sumie aż do następnych wyborów. Po wyborach do głosu doszła inna opcja polityczna, przeproszono mnie i zaproponowano powrót do pracy. Ja już nie chciałem. Mam gdzieś tak rozumiane prawo. W dupie mam skorumpowaną sprawiedliwość. Szuja jest szują. Przestępca jest przestępcą i należy go dopaść, bez względu

*na to, w czyich rękach jest w danym momencie władza. Łajdactwa nie mogą pozostawać bezkarne. Można to zrobić na wiele sposobów. W każdym razie po tych dwóch latach nie miałem ochoty tropić nikogo jako glina... Niewdzięczne, mało opłacalne, frustrujące zajęcie.*

*- Tropisz ich nadal, tylko w inny sposób?*

*- W końcu kiedyś byłem w tym dobry...*

*- Postanowiłeś się zemścić...*

*- Ja bym tego tak nie nazwał. Zemsta to odwet za doznaną krzywdę. Z mojej strony to żaden odwet. Postanowiłem ich po prostu dopaść.*

*- Jesteś popierdolony.*

*Na chwilę na tarasie zapanowała cisza. Usłyszałam kroki na kamiennej posadzce. Później brzęk stawianych na stoliku kieliszków.*

*- Za popierdolenie!*

*- Za sprawiedliwość!*

*Siedzieli, milczeli. Zapewne pili wino. Filippo zapalił papierosa. Zapach papierosowego dymu wdarł się przez otwarte okno do sypialni. Nie widziałam go, ale to musiał być on, bo Enrico na co dzień nie pali. Chyba tylko raz widziałam go z papierosem. Pozował z cygaretką w ustach do jednego ze zdjęć do tej szalonej kolekcji Franceski.*

*- Już wszystko rozumiem - odezwał się po chwili Filippo.*

*- To ty wymyśliłeś ten przewodnik. Podsunąłeś pomysł Albertowi. Trafiłeś na podatny grunt.*

*- Stary był chciwy. Wiedziałem, że mu się spodoba ten pomysł. koncepcja jest genialna. Pomysł, jak to wszystko*

pozornie niewinnie brzmi. Wydawnictwo Avventura postanawia wydać nowy przewodnik po Toskanii. Inny niż wszystkie dotychczasowe. Jego inność ma polegać na ciekawostkach, informacjach, które jeszcze nie były publikowane, ma przedstawiać nowe oblicza starych i znanych miejsc. Ma informować o miejscach i związanych z tymi miejscami ludziach, dodatkowo być bogato ilustrowany nie tylko zdjęciami, ale też akwarelami. Ma być aktualizowany co rok, ciągle aktualny. Przewodnik miał zostać przetłumaczony na kilka języków. Francesca przypomniała sobie o Karolinie. Kiedyś krótko studiowały razem. Karolina genialnie maluje. Właśnie była na jakimś plenerze w Toskanii. Francesca się z nią spotkała. Przedstawiła nasz pomysł. Karolina początkowo odmówiła. Mówiła, że nie da rady, że ma w Polsce mnóstwo spraw do załatwienia. Wyjechała na krótko i wróciła. Po paru miesiącach zgodziła się na współpracę... Już z tego pomysłu można byłoby wyżyć. Wydawnictwo jest dość znane. Jeszcze dobrze nie rozpuściliśmy wici, a już zgłosiło się paru sponsorów.

- Ale to nie był ten twój pomysł?

- To była część pomysłu. Druga część jest o wiele ciekawsza. Wielu ludzi chce, żeby o nich coś wiedzieć, ale jeszcze więcej wolałoby, żeby pewne rzeczy przemilczeć...

- Chyba powoli zaczynam rozumieć.

- To proste. Weźmy na przykład faceta, który prowadzi największy sklep rowerowy w Toskanii. Za wzmiankę o jego sklepie w przewodniku zapłaci wiele, ale jeszcze więcej

zapłaci za to, żeby nikt nie wspomniał, że fortuny dorobił się jako alfons. Teraz jest szacowną głową rodziny, ma piękną żonę i dwójkę udanych dzieci, wychowywanych na dzieci z dobrego domu. Chodzą do prywatnej szkoły. Ze szkoły są odbierane przez bonę. Rodzina jest bardzo szanowana. Facet jest jednym ze sponsorów odnowy miejscowego kościoła. A tu raptem informacja, że on był alfonsem. Taka wiadomość z przeszłości zniszczy mu życie rodzinne. Może go zniszczyć zawodowo. Wykurzy go z miasteczka, w którym mieszka... Facet zapłaci za pominięcie tej informacji każdą cenę.

- Czyli ile? - spytał rzeczowo Filippo.

- U Alberta każda rzecz miała własną cenę...

- A w tym przypadku?

- Nie tak wiele. U innych bywało znacznie więcej. Dwadzieścia tysięcy euro za milczenie. Dziesięć tysięcy za informację o sklepie i po pięć rocznie za przedłużenie umowy...

- Facet zapłacił?

- Zapłacił. Był wdzięczny za to, że to nie tak drogo. Obawiał się, że milczenie będzie go kosztowało więcej.

- Nieprawdopodobne...

- Wydaje się nieprawdopodobne, ale to prawda. Milczenie ma swoją cenę.

- I wszyscy dawali się szantażować? - spytał Filippo z niedowierzaniem.

- Nie wszyscy. Pierwszym, który nie dał się zastraszyć, był właściciel Ogrodu Bajek. Kiedyś pedofil. Swoje odsiedział. Przeszedł resocjalizację i w ramach zadośćuczynienia



postanowił założyć Ogród Bajek dla dzieci.

- Paranoja.

- Też tak myślę, ale on twierdził, że tak mu poradził jakiś psychoterapeuta, który prowadził z nim terapię jeszcze w więzieniu.

- Wierzysz w to? To jakaś bzdura - powątpiewał Filippo.

- Nie mam zielonego pojęcia o psychoterapii. Nie znam się na tym.

- Przecież to jakiś idiotyzm - nie dawał za wygraną Filippo. - To coś jak zatrudnienie byłego narkomana w aptece.

- Wszystko jedno... Może idiotyzm. W każdym razie on chciał, żeby napisać, że jest byłym pedofilem. Alberto, zamiast przełknąć to gładko, przejść nad tym do porządku dziennego i opublikować tę wiadomość jako coś, co doda pikanterii nudnym opisom zabytków i atrakcji Toskanii, tym samym zwiększając wiarygodność naszego przewodnika, postanowił przemilczeć istnienie Ogrodu. Rozum odebrało staremu, bo napisał o tym do zainteresowanego. Napisał, że nie zamieści tak pikantnych informacji w przewodniku, a więc w ogóle nie może być wzmianki o Ogrodzie. Dodał jeszcze, jakby tego było mało, że nie będzie potwierdzał nieprawdy swoim nazwiskiem. Dla właściciela Bajkowego Ogrodu stało się jasne, że nie on jeden jest szantażowany. Powiedział, że tak tego nie zostawi... Dzwonił do mnie w tej sprawie. Był bardzo wzburzony.

- Myślisz, że zaczęłyby mówić?

- Zapewne tak. Trochę go poznałem. Myślę, że wcześniej

*czy później zaczęłby mówić i wyszłoby na jaw, że ten przewodnik to jeden wielki przekręt. Taki szantaż va banque.*

*- To w ogóle był ryzykowany pomysł - zauważył Filippo.*

*- Może i ryzykowany, ale bardzo się opłacał - przerwał mu Enrico.*

*- Każdy mógł chcieć się zemścić. Nikt nie lubi być szantażowany.*

*- Przed ludzką zemstą zawsze można się jakoś zabezpieczyć...*

*- Jak widać, nie można. Alberto nie żyje - skwitował Filippo.*

*- To jeszcze nic nie znaczy... To, że nie żyje, wcale nie oznacza, że zamordował go ktoś z szantażowanych. Dobrze zabezpieczył listę sponsorów. To była jego polisa na życie. Zastrzegł sobie, że w przypadku gdyby nie umarł śmiercią naturalną, ta lista zostanie opublikowana. Każdy z potencjalnych zainteresowanych wiedział o jej istnieniu. Opublikowanie czegoś takiego byłoby niebotycznym skandalem. To ludzie ustawieni, bogaci, na znaczących stanowiskach... Śmietanka towarzyska, politycy, ludzie biznesu... Na tej liście nie ma szaraków. To elita.*

*- A jednak ktoś go zabił...*

*- I tego właśnie nie rozumiem - stwierdził Enrico. - Myślę, że ta śmierć do niczego nie pasuje. W każdym razie nie do tego przewodnika.*

*- Dlaczego? - zdziwił się Filippo. - Szantażowani ludzie myślą irracjonalnie. Ktoś dociśnięty do muru może zacząć się bronić, działać w afekcie. Gniew i strach to mieszanka, która*

może się okazać bardziej wybuchowa od prochu.

- Nie, to nie to - przerwał mu Enrico. - To ja rozmawiałem z tymi ludźmi, ja prowadziłem te rozmowy. Alberto sprawdzał sponsorów pod względem finansowym. Sponsoring był dostosowany do kieszeni klienta. Nikogo nie stawiał pod murem. Plan był wyważony. Przemyślany w każdym szczególe. Dopasowany do każdego indywidualnie. Można by powiedzieć, że szyty na miarę.

- Chcesz powiedzieć, że ta kalkulacja była humanitarna? - zadrwił Filippo.

- Chcę powiedzieć coś zupełnie innego - odpowiedział spokojnie Enrico. - Wiele z tych gnid wcale nie zasługuje na humanitarne podejście.

- Ale nie można zarżnąć kury, która znosi złote jajka? - spytał Filippo z sarkazmem.

- No właśnie - roześmiał się Enrico. - Jednak płynie w nas ta sama krew. Jeszcze chwila, a pomyślę, że przydałbyś się do tego naszego interesu...

- Nie nadaję się. - Głos Filippa zabrzmiał poważnie. - Nie chcę - powiedział dobitnie. - Zupełnie mnie to nie interesuje.

- Jak uważasz... Zawsze możemy wrócić do rozmowy. Szczególnie jak kiedyś zaczniesz brakować ci kasy.

- Ja nie potrzebuję kasy - odparł Filippo z przekąsem. - Mam małe potrzeby. Wolę mieć mało pieniędzy, ale za to spokojne życie.

- Nie masz jaj - powiedział zaczepnie Enrico.

- Może i nie mam, ale jakoś to mi nie przeszkadza.

- Matka wychowała cię na mięczaka. - Enrico stał się

napastliwy. - Zawsze byłeś jej ukochanym synkiem, Filippo. Czas wydorosnąć.

- Lubię swoje życie - odpowiedział Filippo. - Lubię spokojne, leniwe życie wśród paru przyjaciół.

- Kasa przyciąga przyjaciół. Działa na nich jak magnes. - Enrico cedził powoli każde słowo.

- Nie wiem, czy tak zdobyta kasa zwiększa liczbę przyjaciół. Wiem za to na pewno, że znacznie zwiększa liczbę wrogów. Nie zniósłbym tej presji. Okrutne uczucie. Może zabić każdą radość. Spędzić nocą sen z powiek. Napawać niepewnością, budzić lęk. To nie dla mnie.

- Do końca życia chcesz prowadzić tę knajpę? - spytał z ironią Enrico.

- Lubię swoją knajpę.

Zamilkli. Rozmowa potoczyła się chyba inaczej, niż oczekiwali. Pewnie zastanawiali się obaj, co teraz z nią zrobić. Zabrzęczało szkło. W ciszy słychać było dźwięk wylewającego się z butelki i napełniającego kieliszki płynu. Papierosowy dym wdzierał się przez otwarte okno do sypialni i coraz bardziej drapał mnie w gardło. Bałam się nawet przełknąć ślinę, żeby w panującej ciszy nie zabrzmiało to jak wystrzał armatni. Zdrętwiałam już cała, ale lękałam się drgnąć na łóżku, żeby nikt nie usłyszał, że nie śpię. Na pewno nie miałam być świadkiem tej rozmowy. Ależ ja mam talent do wdeptywania w gówno! Moja babcia zawsze mówiła, że wdepnąć w psie gówno leżące na ulicy to jeszcze nic strasznego, można wytrzeć buty o trawę i iść dalej, ale wdepnąć w gówno w życiu to już zupełnie co innego. To

*gównu przylega i bardzo trudno je wytrzeć. Smród potrafi ciągnąć się za człowiekiem latami. Niestety, tym razem to nie było psie gówno. A szkoda.*

*- Mówiliśmy o śmierci Alberta... - Usłyszałam spokojny głos Filippa. Zapewne i jego denerwowała przedłużająca się cisza. - Mówiłeś, że nie wiążesz jej z waszą działalnością.*

*- Mam wrażenie, że jego śmierć jest przypadkowa - powiedział Enrico. - Myślę, że nie ma nic wspólnego z przewodnikiem... Jestem pewny, że nie zrobił tego nikt z listy sponsorów. To byłoby nielogiczne.*

*- To w takim razie kto? - zapytał Filippo. - Zaatakował Alberta przypadkowy włamywacz nakryty na kradzieży?*

*- Wątpię - zabrzmiało pewnie.*

*- Co zarejestrowały kamery? Mówiłeś kiedyś, że w domu Alberta czujesz się zawsze obserwowany...*

*- W radiu mówili, że kamery niczego nie zarejestrowały - odpowiedział Enrico.*

*- Jak to? Nie rozumiem.*

*- Kamery nie zarejestrowały niczego, i to właśnie daje mi do myślenia. Stary miał zwyczaj wyłączać kamery, kiedy spotykał się z kimś prywatnie.*

*- Dziwny zwyczaj.*

*- Dlaczego? - obruszył się Enrico. - Tutaj go akurat rozumiem. Każdy chce mieć swoją prywatność. Pod pewnymi względami Alberto był starej daty. Miał jedną słabość.*

*- Jaką? - dopytywał się Filippo.*

*- Kobiety.*

*- Słyszałem, że był samotny.*

- Dobrze słyszałeś. Był samotny, ale nie był impotentem. Z tego, co wiem, w tym zakresie miał duże potrzeby. Wybór kochanek też nie był przypadkowy. Żadne panienki na telefon. Alberto miał słabość do pięknych i subtelnych kobiet. Raz na jakiś czas zaspokajał tę swoją słabość. Mówił, że piękno należy do wielu, ale ma być niedopowiedziane i bezimienne. Tym razem to też była kobieta. Tak przynajmniej wynika z zeznań sąsiadki. Mieszkająca w sąsiednim domu niewiasta widziała piękną młodą kobietę, która opuszczała dom Alberta. Kobieta wyglądała ponoć na wzburzoną, a głosy dochodzące wcześniej do uszu pracującej w ogrodzie sąsiadki wydawały się sprzeczką kochanków.

- Podejrzewasz kogoś? Myślisz o kimś konkretnym?

- Myślę o Karolinie - odpowiedział pewnie Enrico.

- Chyba żartujesz? - Filippa aż zatkało. - Pieprzysz! W głowę ci się coś stało! Karolina i morderstwo? To zupełnie nie pasuje. Gadasz bzdury. Chyba sam nie wiesz, co mówisz...

- Zastanawiam się nad tym od wczoraj. - Głos Enrico zabrzmiał dziwnie poważnie.

- Idiotyzm! - powiedział wzburzony Filippo. - Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz? To zupełnie brednie.

- Nie do końca. Im dłużej nad tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to prawdopodobne.

- Pieprzysz!

- Odsuwam te myśli od siebie, ale to jest prawdopodobne. - Głos Enrica docierał do mnie jak z zaświatów. - Sam nie mogę w to uwierzyć, ale to jest możliwe. Posłuchaj! Ona nie była w nic wtajemniczona - zaczął wyjaśniać Enrico. - Nie

zgodziłaby się w tym uczestniczyć. Jest na to za wrażliwa, za uczciwa, zbyt prostolinijna. Dla niej tworzyliśmy po prostu przewodnik. Ten przewodnik był czysty i oczywisty. Nie miał żadnych spraw w tle. Nic za nim nie stało. Forsa pochodziła z reklam. Ja zdobywałem ciekawostki, ona malowała akwarelki, tworzyła rysunki i karykatury. Bawiła się przy tym świetnie. Znowu mogła tworzyć dla przyjemności. Miała czas na ilustracje do przewodnika i czas na to swoje wielkie, poważne malowanie, które docenią dopiero potomni. Znowu miała środki, by tworzyć na serio. Wiesz, ona się bawi kolorami. Stary, ona ma niesamowitą wyobraźnię, tworzy niezwykle obrazy. W jej twórczości chodzi o emocje, a emocje według niej są ukryte w kolorach. Rozumiesz? Każdy obraz to przekaz emocji. Coś niesamowitego.

- Nie rozumiem - powiedział niepewnie Filippo. - Nie znam się na sztuce - dodał.

- Nie musisz znać się na sztuce. Zobaczysz, to zrozumiesz. Ja też nie mam zielonego pojęcia o współczesnym malarstwie. Poszukaj w Internecie! Wpisz w przeglądarkę: Karolina Bielawska. Zobaczysz Karo zupełnie inaczej... Debiutowała wystawą Malowane emocjami... Chcę, żebyś to zobaczył. Ja znalazłem w Internecie chyba wszystkie jej obrazy. Szukałem ich, żeby móc ją lepiej zrozumieć... Niesamowite obrazy. Niesamowite kolory. Emocje i uczucia, uczucia i emocje. Nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo, kto byłby tak gorący. Przy niej można się ogrzać. Można spróbować odkryć na nowo znaczenie pewnych dawno już zapomnianych słów...

- Zakochałeś się - stwierdził Filippo. - Niesamowite. Zakochałeś się naprawdę?

- Nie... - Odpowiedź padła błyskawicznie. - Nie wiem - dodał Enrico po chwili. - Teraz to już bez znaczenia. Muszę ją stąd wywieźć. Nie mam żadnego innego pomysłu... - Enrico zamilkł niespodziewanie.

Na werandzie zapanowała cisza. W tej ciszy słyszałam tylko tykanie zegara powieszonego na ścianie w sypialni. Wydawało mi się, że to tykanie zlewa się w jeden dźwięk z biciem mojego serca. Cisza się przedłużała. Ciężka. Stawała się nie do wytrzymania. Pierwszy odezwał się Filippo.

- Mówiłeś o Karo i o Albercie. Powiedziałeś coś nielogicznego. Stwierdziłeś, że twoim zdaniem ona mogła go zabić. Nie powiedziałeś tylko, dlaczego tak myślisz.

- W ubiegłym tygodniu wydarzyło się coś zaskakującego. Byliśmy w wydawnictwie. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, o co chodzi. Chwilę wcześniej pokłóciłem się z Albertem. Poszło o tego pedofila i jego Bajkowy Ogród. Jeszcze byłem za bardzo wściekły, żeby słuchać, o czym z sobą rozmawiają. Stary forsował swoje zdanie. Nie słuchał moich argumentów. Sam ładował się w gówno. Przeraziłem się, że i mnie w to gówno może za sobą wciągnąć. Jak się uparł, to nie słuchał już żadnych argumentów. Zachowywał się jak wszytkowiedzący, łaskawie nam panujący pan i władca. Właśnie próbowałem się uspokoić, kiedy dotarł do mnie podniesiony głos Alberta. Tym razem mówił do Karoliny. „Musisz to zmienić! Szkic dobry, ale ci wisielcy. Skąd ci



przyszedł do głowy taki pomysł?” Spojrzałam na leżące na blacie biurka akwarele, rysunki i szkice. Ciarki przebiegły mi po plecach. Co tę Karolinę opętało? Zamiast ciepłych akwarelek z Florencji zobaczyłem same trupy. Na pierwszym rysunku pomiędzy filarami Ponte Vecchio, na środkowym prześle kołysały się na wietrze trzy męskie trupy. Na tych trupach się to szaleństwo nie skończyło. Każdy rysunek zrobiony we Florencji przynosił nowe sensacje. W ogrodach Boboli po ścieżkach obok kolorowych dziecięcych piłek turlały się w dół poobcinane głowy. Centralną postacią fontanny na Piazza della Signoria nie był Neptun, tylko płonąca jak pochodnia kobieta. Spuszczona ręka Dawida Michała Anioła trzymała ociekający krwią ludzki skalp. Myślę, że to był tylko zbieg okoliczności, że były to artystyczne wizje, ale te wizje przeraziły Alberta. To był chyba czysty przypadek, ale Accardiemu zaczęło się to kojarzyć z rzeczywistymi wydarzeniami. Pomyślał, że te ilustracje nawiązują do występków paru naszych sponsorów. Jak to mówią, na złodzieju czapka gore. Raptem zaczęło mu się wydawać, że Karolina wie wszystko. Zadzwoił do mnie i żądał wyjaśnień. Myślał, że to ja się wygadałem. Wpadł w panikę. Nie wierzył w przypadki. Postanowił ją zwolnić.

- I zwolnić? - dopytywał się Filippo.

- Nie wiem, czy zdążył...

- Myślisz, że ona go zabiła?

- Nie wiem... Nie jestem pewny. Jest to jednak wysoce prawdopodobne. Znam tę bluzkę z raportów policji. Należy do ulubionych ubrań Karoliny...

\*\*\*

*Już dawno ucichły głosy na werandzie, a ja nadal bałam się poruszyć. Że też weszłam w takie gównno! Chyba na chwilę Opatrzność przestała nade mną czuwać. Straciłam instynkt samozachowawczy. Zatraciłam wrodzoną czujność. Uwierzyłam w łut szczęścia. Jako to napisał Marco? „Pożądanie hamuje działanie rozumu, a seks powoduje, że zanika czujność naszych zmysłów. Patrzymy i nie widzimy rzeczywistości, tylko świat iluzji stworzony wyłącznie dla nas. Uważaj na Enrica...” No i jego ostrzeżenie okazało się uzasadnione. Ten jego kiosk to rzeczywiście świetne miejsce do obserwacji. Nie mogłam zasnąć. Tabuny głupich myśli przebiegały mi przez głowę. Enrico wszedł do pokoju. Podeszedł do okna. Podciągnął rolety. Usiadł w fotelu. Ułożył się w nim wygodnie. Wyciągnął przed siebie nogi. Zobaczyłam zarys jego postaci na tle powoli szarzejącego za oknem nieba. Świtało. „Szlag by to trafił” – pomyślałam. „Zostało mi tak niewiele czasu na zebranie myśli”. Enrico siedział już od dłuższej chwili bez ruchu. Byłam pewna, że zasnął. Ja nie chciałam zasnąć. Moje myśli nie dawały się wyciszyć ani uporządkować, galopowały tam i z powrotem po mojej głowie. Chciałam i musiałam coś z tym zrobić. Postanowiłam spróbować oddzielić to, co działo się naprawdę, od tego, czego nie rozumiałam. Co jest prawdą? A może ściślej, co wydaje mi się prawdą? Spróbowałam w myślach stworzyć listę wydarzeń, które miały miejsce naprawdę. Historia sponsoringu przewodnika usłyszana przed chwilą. Śmierć Alberta. Śmierć Sergrana w wyniku*

zatrucia oparami chemikaliów. Moje zatrucie chemikaliami. Przyjaźń z Markiem z kiosku. Sesja zdjęciowa do czasopisma „Moda”. Wygrana w konkursie w Pitigliano... I na tym właściwie koniec. Nie było już żadnych innych wydarzeń, które mogłabym uznać za prawdę. „Mało tego” – pomyślałam. „Więcej rzeczy wydaje się iluzją, tylko dla mnie stworzoną fikcją, czymś, co ma odwrócić uwagę, ukryć albo rozmydlić prawdę. Wśród tych rzeczy są rysunki na ścianach, nóż wbity w tynk, kompozycje z żyletek, napisy w łazience, przerobione szkice, sprytnie poprawione akwarelki, wysyłane z mojej skrzynki e-maile, o których nadaniu nie miałam pojęcia, ten prześladujący mnie samochód, człowiek z maską na twarzy, Sergrano z nożem w plecach. Może powinno się tu znaleźć jeszcze o wiele więcej różnych wydarzeń? Na przykład cała erotyczna historia z Enrikiem? Po co ta iluzja? Jaką prawdę ma ona zastąpić? Co takiego wiem, co może być dla kogoś niebezpieczne? Co widziałam, chociaż nie zdołałam tego zrozumieć? Czego byłam świadkiem, a nawet nie jestem tego świadoma?” Już do rana nie mogłam zasnąć... Myśli pędziły mi po głowie jak tabuny spłoszonych koni... Bez sensu, bez określonego kierunku, bez jakiegokolwiek porządku, bez logiki...

\*\*\*

Doszłam do wniosku, że muszę się uspokoić, spróbować wyciszyć zmysły, pomyśleć o czymś przyjemnym. Postanowiłam pomyśleć o Toskanii. Toskania. Bardzo lubię poranki w Toskanii. Każdy z nich jest inny. Każdy to swoiste

widowisko. Okna mojego mieszkania wynajmowanego od pani Mornetti wychodzą na dwie strony - na południowy wschód i południowy zachód. Taras znajduje się od południowego wschodu. Rozciąga się z niego widok na plataninę ceglanych dachów, tarasów, przejść i balkoników, które przylegają do siebie, tworząc tajemne przejścia pomiędzy poszczególnymi domami. Każdy taras to oddzielny ogród. Najbardziej lubię taras signory Boni. Stoją na nim w rzędzie opaste donice, a w każdej z nich całkiem sporych rozmiarów drzewko oliwne obok paru krzaków lawendy i olbrzymiego starego oleandra. Taras jest na tyle duży, że znalazło się tam miejsce na kamienną ławę i kamienny stolik. Piękny jest też ostatni z tarasów, położony najniżej, obsadzony krzewami bugenwilli, które rosną w donicach tuż przy ścianie domu i pną się w górę aż do wysokości dachu, tworząc ciemnofioletową ścianę kwiatów. Okna mojej sypialni wychodzą na drugą stronę, na południowy zachód. W tym kierunku nie ma już domów, dom signory Mornettii należy do ostatnich. Z okien mojej sypialni widać już tylko wzgórze Toskanii. O tej porze roku jest tu chyba najpiękniej. Jak okiem sięgnąć olbrzymie jasnozielone przestrzenie falujących na wietrze łąnów jeszcze zielonego zboża. Gdzieś drogi wiodące do pojedynczych gospodarstw rozrzuconych na szczytach wzgórz. Każda polna droga wygląda jak rzucona niedbale na tę zielen beżowa wstążka, która ułożyła się w łuki, zakola i serpentyny. Linie niektórych dróg podkreślają rzędy ciemnozielonych wysmukłych cyprysów, gdzieś szpalery rozłożystych pinii. Na południowych stokach wzgórz

*obok sadów oliwnych rozciągają się jasnozielone winnice. Przez otwarte okno sypialni słyszę dzwonki wypuszczonych na pastwiska owiec, czasami poszczekiwania pasterskich psów. Zaczarowany, łagodny, baśniowy świat, w którym czas zwalnia, zmysły się uspokajają, myśli płyną leniwie i wolniej. Gdzie sztuka miesza się z życiem i fantazją... Taki raj na ziemi, który może zepsuć tylko człowiek.*

*\*\*\**

*Rano wyruszyliśmy moim samochodem do Polski... Nie byłam nawet w domu. To Enrico zapakował mi parę rzeczy. Twierdził, że tak będzie lepiej, że może uda mi się uciec od tych wszystkich spraw, które mnie opętały. Mówił o tych postaciach na ścianie w kuchni, których z dnia na dzień pojawiała się coraz więcej, o zniekształconych strachem i powyginanych rozpaczą twarzach jak z obrazu Muncha, o tamtym samochodzie, który mnie prześladował, o trupie Sergrana z nożem w plecach, którego przecież nie było, o szalonych akwarelkach, szkicach i rysunkach... Mówił, że jestem chora, że w wyniku tej choroby zabiłam Alberta. Twierdził, że coś się ze mną stało, że być może opary tego środka chemicznego w jakiś sposób uszkodziły mi mózg, bo przecież inaczej się tego wszystkiego wytłumaczyć nie da. Jego zdaniem wszystko zaczęło się właśnie po tym dniu, w którym malowałam wjazd na posesję Sergrana, a nieopodal przewróciła się ta ciężarówka. Ja myślę inaczej. Myślę, że wszystko rozpoczęło się parę dni wcześniej, po pierwszej nocy spędzonej z Enrikiem... Nie rozmawialiśmy po drodze.*

Nie było już chyba o czym. Przyznałam się, że nie mam już w Polsce domu. Zamieszkaliśmy w hotelu. Powiedziałam mu, że tylko tobie ufam. Obiecał mi, że przyjedziesz. Sam musiał pilnie wracać do Toskanii. Miałeś być o dziesiątej. Nie przyjechałeś. Tuż przed dziesiątą zadzwonił Enrico. Powiedział, że rozmawiał przed chwilą z przerażoną panią Mornetti. Rano obudziło ją energiczne pukanie do drzwi. Przyszła policja z nakazem przeszukania mojego mieszkania. Policjanci robili zdjęcia tych strasznych postaci na ścianie, zarekwirowali wszystkie moje prace. Pani Mornetti twierdziła, że na sztalugach stał szkic przedstawiający płonący dom Alberta... Policjanci wypytywali się dokładnie o moje związki z Sergranem... Serce podeszło mi do gardła. Jakaś obręcz zacisnęła mi się na piersi i ograniczyła oddech. Zakręciło mi się w głowie. Cały świat tańczył dookoła. Wydawało mi się, że nie jestem w stanie zrobić kroku. Ja to ja czy jakiś zupełnie inny człowiek? A może ja mam w jednym ciele dwie dusze? Dwie jaźnie, które spotykają się tylko czasami i jedna nie rozumie drugiej? Oszalałam. Jestem szalona. Mój mózg się rozdwoił. Mózg czy dusza? Dwie jaźnie funkcjonują zupełnie niezależnie, dziwiąc się efektem swojej działalności. Raptem pojedyncze impulsy zaczęły się mieszać. One nie mogą razem mieszkać w mojej głowie. Moja czaszka jest za mała, żeby pomieścić to szaleństwo. Ile jest we mnie dawnej Karo, a ile tej drugiej? Ta druga jest jak dawna ja, tylko odbita w krzywym zwierciadle, jak najciemniejsza strona mojej duszy. Ta druga maluje przerażone twarze na ścianach, wbija nóż w tynk, zamawia żyletki u Marca, robi

*szalone napisy w łazience... Ta druga zabiła Alberta... A może zabiłam też Sergrana? Może to ja wbiłam mu nóż w plecy, a mój mózg tego nie zarejestrował? Zarejestrował tylko moment, kiedy bezwładne ciało osunęło się na drzwi samochodu, drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, a zwłoki runęły na ziemię. Widziałam szybko powiększającą się plamę krwi na niebieskiej koszuli Antonia... To chyba jedna z moich dusz zabiła Sergrana. Tak jak tworzyła szalone obrazy, malowała przerażone postacie, wbijała nóż w tynk... Mijały kolejne minuty, a ty nie przyjeżdżałeś. Ty się nigdy nie spóźniasz. Przeszło mi przez myśl, że w ogóle nie przyjedziesz. Ja na twoim miejscu bym nie przyjechała. Uciekłam kiedyś, zostawiając Cię w biedzie. Dlaczego miałbyś przyjechać? Pomyślałam, że nie wytrzymam tego szaleństwa. Na biurku leżał nóż do otwierania kopert. Postanowiłam zakończyć to wszystko, przerwać ten obłąd, zasnąć z widokiem wiosennej Toskanii pod powiekami.*

\*\*\*

„Postanowiłam zakończyć to wszystko, przerwać ten obłąd, zasnąć z widokiem wiosennej Toskanii pod powiekami...” Skończyłem czytać i zacząłem od początku. Przeczytałem te parę stron kilka razy. Nauczyłem się tego tekstu prawie na pamięć. Nagle cała historia wydała mi się zupełnie inna. Te parę stron zmieniło wszystko. W szpitalu młody lekarz rozpoznał u Karoliny schizofrenię. Bzdura. To na pewno nie jest schizofrenia. Doktor Kowalski nie potrafił postawić diagnozy. Do postawienia rozpoznania potrzebował dalszej

obserwacji. Twierdził, że to czas nada imię tej chorobie, jeżeli to w ogóle jest choroba. Niedawno doszedłem do wniosku, że to zespół stresu pourazowego, że coś straszego musiało się wydarzyć przed kilkunastoma dniami w Toskanii. Ten tekst jednak wiele zmieniał. Dorzucał do całości parę nowych, nieznanych wcześniej faktów. Przyszło mi na myśl, że Karolina może cierpieć na rozdwojenie jaźni. W końcu na podstawie jej dziennika można by wywnioskować, że współistnieją u niej co najmniej dwie niezależne i różniące się wyraźnie osobowości, które naprzemiennie wpływają na jej zachowanie. Rozdwojenie jaźni... Zaburzenie dysocjacyjne tożsamości... „Niewiele o tym wiem” – pomyślałem z przerażeniem. „Moje doświadczenie jest równe zeru”. Nigdy nie miałem takiego pacjenta. Choroba występuje rzadko. Najczęściej dotyka młodych kobiet. Moja wiedza o rozdwojeniu jaźni jest czysto akademicka, pochodzi z wykładów i książek. Pamiętam wykład profesora Wrońskiego, który próbował nam wytłumaczyć, że jaźni może być wiele, że w historii medycyny znani są też pacjenci z ponad dwudziestoma osobowościami. Mówił, że najczęściej przyczyną rozdwojenia jaźni są głębokie urazy z dzieciństwa. Raptem uzmysłowiłem sobie, że ja o Karolinie nic nie wiem. Byliśmy razem przez rok, ale jakoś nigdy nie rozmawialiśmy o jej dzieciństwie. Automatycznie przyjąłem, że musiało być pogodne, radosne i szczęśliwe, takie, jaka jest Karolina. A może było zupełnie inne? Może zdarzyło się w nim coś, co mogło wywołać po latach rozdwojenie jaźni? W pewnym momencie życia może dojść do zepchnięcia traumatycznych przeżyć w podświadomość. Z tych



zepchniętych do podświadomości przeżyć może z czasem powstać odrębna tożsamość. W ten sposób osobowość właściwa uwalnia się od dramatycznych wydarzeń i ma przestrzeń do normalnego funkcjonowania. Wszystko toczy się pozornie tak, jakby wspomnienia traumatyzujących wydarzeń przestały istnieć, jakby tamte straszne przeżycia nigdy nie miały miejsca. Rozdwojenie jaźni to mechanizm obronny przed głęboko skrywanym w nieświadomości urazem, ucieczka psychiczna przed doznawanym lękiem. U osób z rozdwojeniem jaźni dochodzi do dysocjacji, czyli do zerwania połączeń między myślami, wspomnieniami, uczuciami, działaniami i poczuciem własnej tożsamości. Wówczas pojawiają się dwie odrębne osobowości, a czasami nawet może ich być znacznie więcej. Osobowości naprzemiennie przejmują kontrolę nad zachowaniem chorego, przy czym w danej chwili ujawnia się tylko jedna z nich. Co istotne, te osobowości zwykle drastycznie różnią się między sobą pod względem charakteru. Przejście od jednej do drugiej odbywa się zwykle nagle i następuje jako odpowiedź na bodźce, które przywołują traumatyczne wydarzenia. Że też ja, kurde, nic więcej nie pamiętam! To jest zdecydowanie za mało. Zbyt mało, żeby móc postawić rozpoznanie, stanowczo za mało, żeby leczyć.

\*\*\*

Wiedziałem, że nie śpi. Drgnęła, kiedy wszedłem do pokoju.

- Śpisz? - spytałem.

Odpowiedziała mi cisza.

- Śpisz? - powtórzyłem odrobinę głośniejszym głosem. Opuszczone

rolety nie przepuszczały z zewnątrz prawie wcale światła. W pokoju panowała ciemność. Pomieszczenie rozjaśniła na krótko nika smuga światła padająca z przedpokoju. Moje oczy powoli zaczęły się przyzwyczajać do ciemności. Podniosłem roletę w oknie. Białe światło księżyca omiotło pokój - stół, dwa krzesła, rozłożysty fotel, szerokie łóżko, szafa... Odsunąłem pościel. Usiadłem na brzegu jej łóżka. Odruchowo przesunęła się trochę. Na chwilę nasze ręce spotkały się niby przypadkiem, na chwilę splotły się nasze palce. Serce biło mi jak oszalałe. Jej twarz była coraz bliżej mojej twarzy. Poczułem jej wargi na moich ustach. Otoczył mnie zapach jej perfum. Drapieżny, kuszący, zmysłowy, w którym słodka nuta drzewa sandałowego współgrała z ciężkim zapachem piżma, a wszystko okraszone było subtelną wonią różowego pieprzu, wisterii, trawy cytrynowej i wanilii. Sam przed rokiem zamówiłem te perfumy specjalnie dla niej. Ktoś kiedyś mówił, że zapachy określają ludzi. Ten zapach idealnie pasował do gorącej natury Karoliny. Podkreślał jej zmysłowość, tajemniczością pobudzał wyobraźnię, kojarzył mi się z pożądaniem, szaleństwem i rozkoszą. Otoczył mnie i raptem poczułem się jak odurzony. Zmysłowa jest ta Karolina. Zawsze była taka. Ona jest kusząca i piękna. Kolejny raz dałem się opętać opadającym na ramiona jasnym włosom, dużym oczom, delikatnie rozchylonym ustom, szczupłym ramionom, wąskiej talii, kusząco zaokrąglonym biodrom, gotowym do pieszczot piersiom, długim, wysmukłym nogom, gładkim, jędrnym udom, dwóm jaskółkom na lewym ramieniu i tym przebitym strzałą sercom...

- Nie dzisiaj... - Próbowałem się od niej odsunąć. - Porozmawiajmy. - Usiłowałem zachować się rozsądnie.

- Nie chcę dzisiaj rozmawiać... - szepnęła.

- Spróbujmy...

- Nie chcę próbować. Porozmawiamy jutro - powiedziała szeptem. - Dzisiaj chcę się tylko z tobą kochać. Przecież ty też chcesz... Czuję to.

- Jestem zmęczony - skłamałem. Kolejny raz próbowałem sam siebie przywołać do porządku.

- Zmęczony? - szepnęła czule. Jej ciepły oddech poślaskotał mnie w ucho. Dreszcz przebiegł mi po ciele. - Nic nie szkodzi. Długo dzisiaj na ciebie czekałam. Ja nie czuję się zmęczona. Dam radę za nas dwoje... Będzie cudownie.

Jej ręce coraz śmieiej ślizgały się po mojej skórze. Rozpinały się kolejne guziki. Ciepły oddech wędrował coraz odważniej po moim ciele. Dłonie niby przypadkiem zsunęły się w okolice mojego krocza. Sam pospiesznie ściągałem spodnie. Dałem się opętać gładkości jej skóry, jej pocałunkom, kuszącemu zapachowi perfum, blaskowi księżycy, otulającej nas ciemności. Przez krótką chwilę pomyślałem, że nie mam ani siły, ani ochoty się jej opierać. Zawsze lubiłem się z nią kochać. Karolina w łóżku jest odważna i szalona. Oprzytomniałem po trzecim orgazmie. Kurwa! Mam gówna, nie wolę! Moim światem zaczął rządzić penis.

\*\*\*

- Która z was kochała się ze mną? - rzuciłem pytanie w kierunku leżącej na moim ramieniu głowy Karoliny.

- O czym ty mówisz? - spytała zaskoczona. Nie odsunęła się ode mnie. Nie udawała obrażonej. Przez moment miałem wrażenie, że przylgnęła do mnie jeszcze mocniej.

- Kochałem się z dawną Karoliną czy z tą nową? - zapytałem.

- A z którą byś wolał? - spytała przewrotnie.

Nie odpowiedziałem. Przesunęła dłonią po moim ciele. Po chwili poczułem jej ciepły oddech wędrujący po mojej klatce piersiowej, po brzuchu, zsuwający się coraz niżej i niżej... Przeszył mnie dreszcz.

- Daj spokój! - powiedziałem. - Wstajemy! Jak długo można leżeć w łóżku? - Mówiłem bzdury. Sam z sobą nie byłem szczery. Nie potrafiłem się przyznać, że uzależniłem się od tej rozkoszy, że nie miałem ochoty wstać, że marzyłem o kolejnych pieszczotach i kolejnych orgazmach. Rozkoszowałem się ciepłem jej oddechu i delikatnością jej pocałunków. Że też Karolina potrafi pobudzić wszystkie moje zmysły. Założyła udo na moje biodro. Przylgnęła do mnie. Poczułem, że całe moje ciało chce się znowu z nią kochać. Rozum poszedł spać, rozsądek się gdzieś zawieruszył, a mną znowu zawładnęły żądze.

- Która z was się ze mną teraz kocha? - szepnąłem.

- Najpierw ona, później ja, a na końcu obie... A później znowu od początku...

\*\*\*

Wstałem, kiedy zaczęło świtać. „Żadnego kolejnego dnia w łóżku” - pomyślałem. Dwa dni spędzone w łóżku to i tak za

dużo. To taki sposób Karoliny na ucieczkę przed rzeczywistością. Swoista terapia lęku i strachu za pomocą jęków rozkoszy, czułych szeptów, niekończących się pieszczot i kolejnych orgazmów. Wiem o tym i jej na to pozwalam. Dupa ze mnie, a nie psychoterapeuta. Pomyślałem, że ja też podświadomie odwlekam moment, kiedy trzeba będzie zmierzyć się z problemem i go rozwiązać. Cel terapii jest prosty i jasny. Karolina musi wrócić do normalnego życia. Dla kogo ja to robię? Dla niej? Dla siebie? Dla nas? Słowo „nas” przebiegło parokrotnie po synapsach mojego centralnego układu nerwowego i wróciło do mojej świadomości. Bzdura, nas już nie ma. Jest para ludzi, którzy lubią się z sobą kochać. To moje ciało stęskniło się za jej ciałem. To właściwie tak niewiele. Stałem pod prysznicem. Spuściłem sobie na głowę hektolitry chłodnej wody. Pomogło. Na chwilę przestałem myśleć o seksie, a moje myśli skoncentrowały się na planowaniu dnia. Na stole w kuchni zostawiłem kartkę: „Jadę do Florencji. Wrócę za parę godzin. Dzisiaj śpimy osobno. Potraktujemy to jako prewencję uzależnienia. Uzależniony od seksu psychoterapeuta to byłby koszmar”. Obok tej kartki położyłem drugą: „Nakarm kota!”, a tuż obok trzecią: „Z naszego tarasu rozciąga się piękny widok. Czy mogę liczyć na akwarelkę? Wiem, że takich rzeczy nie malujesz. Potraktuj to jako kiczowatą wprawkę do ambitnego dzieła na temat emocji związanych z zielenią. Dla mnie zieleń to kolor nadziei”. W gruncie rzeczy taka akwarelka to dobry pomysł. Powiesiłbym ją obok studium tej samotnej rodzynki. Te dwa dzieła powieszzone obok siebie tworzyłyby swoisty przekaz,

który można byłoby opatrzyć tytułem: *Pacjenci leczą psychoterapeutę*. Swoją drogą widok, który rozciąga się za oknami, zasługuje na uwiecznienie. Zupełnie przez przypadek znalazłem nam niepowtarzalne lokum - kamienny dom na zielonym wzgórzu, oddalony kilka kilometrów od bitej drogi, leżący w odległości ośmiu kilometrów od najbliższej osady. Do domu prowadzi nierówna, wąska, szutrowa droga wijąca się zakolami i serpentynami, spadająca ostro w dół, to znów pnąca się w górę. Ta droga biegnie poprzez zielone pagórki, pomiędzy falującymi łąkami jeszcze zielonych o tej porze roku zbóż. Jak okiem sięgnąć cisza, spokój, zieleń, pustkowie, żadnych samochodów, żadnych ludzi. Takie wyjątkowe miejsce na ziemi, gdzie czas przestaje się liczyć, wszystko toczy się wolniej, gdzie można się na chwilę zatrzymać, wyciszyć wszelkie emocje, uspokoić zmysły. Świat wyjęty jakby z innej czasoprzestrzeni, tak nierealny i piękny, spokojny i bajkowy, że aż trudno uwierzyć, że tuż obok pędzącej codzienności są jeszcze takie miejsca na Ziemi. Bezkresna zieleń zaczyna się łąkami zielonej pszenicy tuż przy schodach wiodących do tego domu i ciągnie się aż po horyzont. Na najbliższe wzgórze pnie się zakolami polna droga obrosnięta krzewami kwitnącego żarnowca. Droga prowadzi do stojącego na sąsiednim wzgórzu domu. Pagórek wylania się z za pagórka. Zielona przestrzeń z za zielonej przestrzeni. Różne odcienie zieleni, różnie załamywane światło, cienie chmur wędrujące po zielonych bezkresnych płaszczyznach. Niekończące się widowisko. Ciekawe, jak Karolina to namaluje... Zostanie pięknie i zielono, czy potoczają się po zielonych pagórkach

poobcinane głowy, tłum fałszywych żałobników poniesie na barkach trumnę, pastwisko przetnie strumień czerwonej krwi, ktoś zawisnie na drzwiach naszego domu... Ciekawe, która Karolina stanie dzisiaj rano przy sztalugach.

\*\*\*

Zadzwońnię do Marka. Chciałem z nim pogadać.

- Przeszkadzam? - spytałem.

- Czy coś się stało? - warknął do słuchawki.

- Dlaczego miało się coś stać? - zapytałem, udając zdziwienie. - Chciałem pogadać.

- Wiesz, która jest godzina? - powiedział chłodno.

- Nie wiem.

- Czy w Toskanii jest inna strefa czasowa? - zapytał z przekąsem.

- Nie. Ta sama, co u nas - odparłem zaskoczony. - Dlaczego pytasz?

- Jest piąta trzydzieści - poinformował mnie lodowatym tonem. - Piąta trzydzieści - powtórzył. - Byłem w pracowni do drugiej. Zasnąłem około czwartej. Budzisz mnie o piątej trzydzieści. To jest dla mnie środek nocy. Mam wrażenie, że umrę ze zmęczenia, zasnę na stojąco.

- Nadal pracujesz nad aktem?

- Akt już sprzedałem - ożywił się odrobinę. - Takie rzeczy rozchodzą się jak ciepłe bułeczki. Nie to, co ta wielka, prawdziwa sztuka, czekająca latami na konesera, który odkryje jej niepowtarzalną wartość. Mam zamówienia na dwa następne akty. Ludzie lubią mieć coś takiego w domu. Takie

dzieła komponują się łatwo z wystrojem sypialni. Dobrze wyglądają zawieszane nad łóżkiem. Poprawia to wiele. Wiele może zmienić. Sztuka użytkowa. Można powiedzieć, że najbardziej użytkowa z użytkowych. Nie wiem, czy wiesz, o czym mówię?

- Wiem - burknąłem.

- Za jakieś dwadzieścia lat dostaniesz ode mnie taki akt w prezencie urodzinowym. Teraz mógłbyś go jeszcze nie docenić... - Pomyślałem, że to jest zaskakujące, jak nagle Marek stał się miłośnikiem sztuki użytkowej. - Mam teraz nową modelkę. - Usta mu się nie zamykały. - Dziewczyna jest niesamowita, ma wyjątkowe ciało... Natura obdarowała ją twarzą niewinnego anioła i ciałem, którego nie powstydziliby się żadna kurtyzana. Wyjątkowe połączenie. Wyjątkowo niespójne, drażniące i podniecające. Wyjątkowo dobrze się ją maluje... - dopowiedział zupełnie niepotrzebnie. Nic mnie nie obchodzi jego intymne sprawy. To sprawa lojalności, tolerancji, wierności i zdrady. To sprawa jego i żony.

- Skoro nie pracowałeś na aktem - powiedziałem z przekąsem - to co robiłeś do drugiej w pracowni?

- Próbowałem się zmierzyć z kolorem pomarańczowym - warknął.

- I co? - spytałem rozbawiony. Kolor pomarańczowy widocznie nie dorastał do pięt tamtej modelce.

- Lepiej nie pytaj - powiedział rozdrażniony. - Mam ochotę zamordować Karolinę... - dorzucił. - Jej pomysły bywają toksyczne, nawet jeżeli w pierwszym momencie na takie nie wyglądają. Że też ja mam słabość do pięknych kobiet,



a w szczególności do Karoliny. Miłość platoniczna. Wcale nie musisz być zazdrosny - rzucił jakby mimochodem. - Wielkie i beznadziejne uczucie, które ona wykorzystuje każdego dnia. Nie wiem, czy ty to rozumiesz. Ona jest dla mnie chodzącym po ziemi nieosiągalnym ideałem, obiektem moich skrytych westchnień, a w zamian za to ja jestem dla niej szarym wyrobnikiem, który w mniej lub bardziej udany sposób pomaga realizować jej kopnięte pomysły artystyczne.

- Myślałem, że lubisz z nią współpracować... Pozory mylą - wtrąciłem z przekąsem.

- Nie cierpię z nią współpracować! - oświadczył gwałtownie. - Ja ją kocham, a ona to wykorzystuje. Kobiety są okrutne... - marudził po swojemu. - Świat jest pełen okrutnych kobiet i dręczonych przez nie facetów. Czy coś się stało? - oprzytomniał nagle.

- Nic się nie stało... - skłamałem.

- Przestraszyłem się, że ktoś umarł - powiedział poważnie. - Telefon o tej porze może zwiastować tylko nieszczęście.

- Nikt nie umarł. Pod tym względem wszystko w porządku... Żyjemy.

- A tak w ogóle?

- A tak w ogóle to kłapa. Nie potrafię pomóc Karolinie. Nie znam się na jej problemie. Moje doświadczenie w tym zakresie jest równe zeru. W tym zaburzeniu specjalizuje się niewielu. Znam tylko jednego faceta, który mógłby jej pomóc, a on jest w Polsce. Para w gwizdek! Stracony czas!

- A może zadzwonisz do tego gościa... - Marek jednym

zdaniem sprowadził mnie na ziemię.

Raptem pomyślałem, że on jest mistrzem w podpowiadaniu najprostszych rozwiązań.

\*\*\*

- Wysłał pan do mnie e-mail. Poprosił o pomoc. Pan chyba nie za bardzo uważał na moich wykładach, skoro ma pan teraz tego typu wątpliwości. - Głos Wrońskiego brzmiał chłodno, zasadniczo. Od razu pożałowałem, że do niego wczoraj napisałem i dzisiaj zadzwoniłem. - Być może opuszczał pan moje wykłady, być może w trakcie ich trwania zajmował się pan czymś zupełnie innym. Nieważne - kontynuował lodowatym tonem. - Moje wykłady są dobrze przemyślanym ciągiem logicznym. Nie da się w tym ciągu czegokolwiek pominąć. W każdym razie niczego pominąć nie wolno. Pominięcie szczegółu uniemożliwia prawidłowe zrozumienie tematu. Można coś źle rozpoznać. Można się pomylić. Można leczyć nieprawidłowo. Opacznie prowadzić terapię. Wszystko jedno. Ma pan braki w wiedzy i potrzebuje pan teraz mojej pomocy. Nie odmawiam pomocy moim byłym studentom... Jestem być może odrobinę niedzisiejszy, ale pozostaję wierny przysiędze Hipokratesa. Moją wiedzą i moim doświadczeniem dzielę się z innymi...

Przeszło mi przez myśl, że Wroński nic się nie zmienił. W każdym razie nie zmienił mu się ton głosu ani denerwujący sposób mówienia. Pomyślałem, że tacy ludzie się nie zmieniają. Są na tyle zadowoleni z siebie, że nawet nie przyszłoby im do głowy, że mogliby coś w sobie zmienić. Był

pewny siebie, zarozumiały, bufonowaty, obślizgły. Denerwował mnie jak dawniej. Zapewne również wyglądał tak samo. On zawsze był idealnie ubrany, wypielęgowany i wypoczęty. Nosił marynarki, zaprasowane w kant spodnie, dokładnie wyprasowane koszule, których mankiety zdobiły kosztowne spinki. Do tego zawsze starannie zawiązany krawat, obowiązkowo tworzący swoją barwą, tonacją i fakturą materiału harmonijną, idealnie pasującą całość z resztą ubrania. Kolor krawata był zawsze tak samo ważny jak krój marynarki, kolor spodni czy odcień koszuli. Skarpetki też miał zawsze pod kolor, o jeden ton ciemniejsze od barwy spodni. Buty idealnie wyczyszczone i wyglancowane, tak że w ich czubkach można było się przejrzeć. Kolor butów też musiał zawsze pasować do tej perfekcyjnej całości. Włosy strzygł krótko, na jeża. Twarz miał zawsze gładką, wypielęgowaną i ogoloną. Uważał, że na twarzy nie może być widać zmęczenia, bo zmęczenie jest czymś zupełnie nieeleganckim, a zmęczony lekarz lub psychoterapeuta wygląda mało wiarygodnie i mało profesjonalnie.

- Postanowiłem więc koledze pomóc... - kontynuował Wroński, nadal w obleśnie obślizgłym tonie. - Mam nadzieję, że pan doceni tę pomoc i ją właściwie wykorzysta.

Ależ ja mam głupie pomysły! Chyba mi już desperacja rozum odebrała i zmniejszyła możliwości rzetelnej oceny realiów. Po jaką cholereę ja do niego zadzwoniłem? Długo będzie mi się ta moja prośba odbijała czkawką. Profesor Wroński nigdy nie należał do grona moich ulubionych wykładowców. Prawdę mówiąc, to go nie lubiłem. Należał do

tych, co to aż za bardzo znają swoją wartość i z przyjemnością wyszydzą potknięcia innych. Według niego psychiatria była nauką ścisłą, opartą na dziesiątkach definicji. Za olbrzymią liczbą obco brzmiących słów zniknął gdzieś u niego chory człowiek, a na plan pierwszy wysuwał się problem medyczny i wiodące do jego rozwiązania metody. Profesor Wroński był beznadziejny. Nikt go nie lubił. Była wszakże jedna jedyna rzecz, która budziła powszechny szacunek, powodowała, że wybaczało mu się dziwactwa i tolerowano jego trudne do zniesienia zachowanie. Facet miał niesamowitą wiedzę i ogromne doświadczenie. Nie znam nikogo, kto wiedziałby coś więcej od niego o nieprawidłowościach mogących się ukrywać w ludzkim mózgu.

- Przesłał mi pan opis przypadku. Zapoznałem się z nim. Przeanalizowałem go i nie zgadzam się z pana diagnozą - mówił spokojnie, monotonnym głosem, cedząc powoli słowa. - A więc nie mogę *a priori* odpowiedzieć leczenia. Zapomniał pan o jednej z najważniejszych cech rozdwojenia jaźni, a mianowicie o niepamięci wstecznej. W tej chorobie jedna osobowość nie ma świadomości istnienia drugiej. Rozumie to pan? Te osobowości są niezależne, każda z nich żyje własnym życiem, nic nie wiedząc o tym, że nie jest sama. Ich byty są rozdzielone, toczą się zupełnie od siebie niezależnie. Zawsze to powtarzam, na każdym wykładzie poświęconym rozdwojeniu jaźni. To jest bardzo ważne. Przy rozpoznaniu tej choroby to jest najważniejsze. Umożliwia postawienie prawidłowej diagnozy. Pamięta pan, że często osobowość mnoga jest mylnie utożsamiana ze schizofrenią? W przypadku

schizofrenii pojawiają się zmiany nastrojów, obniżenie aktywności i halucynacje, ale u chorego nie występuje niepamięć wsteczna, jak to ma miejsce w rozdwojeniu jaźni. Chory jest świadomy obecności innych postaci, jest świadomy swojej choroby. W rozdwojeniu osobowości chory nie uświadamia sobie istnienia innych jaźni - mówił Wroński spokojnie, tłumaczył. - Ta kobieta, o której mi pan napisał, nie ma, moim zdaniem, rozdwojenia jaźni. Ona z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu udaje chorą albo ktoś z otoczenia próbuje jej wmówić tę chorobę. Na początku całej tej historii istnieje jakby rozdwojenie postaci, ale już od samego początku wszystko wydaje się nietypowe. Postać A nie ma świadomości istnienia postaci B. A nie wie nic o tym, co robi B. Postacie są do siebie podobne, mają tę samą płeć, wiek, znajomych, zainteresowania, pasje. Wykonują ten sam zawód. Postać B jest odbiciem postaci A w krzywym zwierciadle. To jest trochę dziwne. Powiedzmy, że niespotykane i nietypowe. Ja w każdym razie z tym się jeszcze nie spotkałem... A jest młodą kobietą, artystką, skończyła Akademię Sztuk Pięknych, ma za sobą pierwsze wystawy, pierwsze pochlebne opinie krytyków. Jej twórczość jest ciepła i radosna, przepełniona uczuciami, pełna ciepłych barw. B też maluje, też ma artystyczną duszę, bezsprzecznie ma talent. Zna się na historii sztuki. Postać A jest łagodna i ciepła. Tworzy dzieła pełne uczuć i emocji. Postać B jest jak ciemna strona duszy postaci A. Spod jej ręki wychodzą pozornie sielankowe widoczki z Toskanii, na których obok piękna pojawia się śmierć, przemoc i gwałt. Po alejkach w ogrodach Boboli toczą się poobcinane głowy, na przęśle

Ponte Vecchio we Florencji kiwają się na wietrze trzy ciała wisielców, na Piazza della Signoria płonie żywcem kobieta, Dawid Michała Anioła trzyma w ręku ociekający krwią ludzki skalp. Postać A nie przypomina sobie faktu malowania obciętych głów ani krzyczących postaci na ścianie. Nie pamięta, żeby wbijała nóż w tynk. Nie pamięta wbijania żyletek w ciało namalowanej na ścianie postaci. Postać A ma jednak pewne wspomnienia. Kiedyś na uczelni malowała już podobną postać, żywcem wyjętą z obrazu Muncha. Nie wiem, czy kolega wie, do czego zmierzam? – spytał. – Nie wiem, czy kolega mnie rozumie? – Zawiesił głos w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Powoli zaczynam rozumieć – bąknąłem niepewnie pod nosem.

- To dziwny przypadek. Już na początku wydaje się nietypowy. Nie spotkałem się z czymś takim ani w życiu, ani w literaturze. Podobny do rozdwojenia jaźni, ale inny... Nie spełnia kryteriów diagnostycznych.

Niewiele jeszcze z tych jego wywodów tak naprawdę rozumiałem. Jasne stało się dla mnie tylko to, że nie powinno się leczyć znajomych. Nie powinno się sypiać z pacjentką. Nie należy prowadzić psychoterapii u bliskich. Traci się dystans. Emocje zabierają zdolność logicznego myślenia. Nie widzi się rzeczy nawet najprostszych, które dla innych są od razu widoczne jak na dłoni.

- Widzi kolega, pewne zasady są proste – mówił spokojnie Wroński. Ostrożnie dobierał słowa. Tłumaczył coś, co sam dobrze wiedziałem. – Tych zasad należy przestrzegać.

Uniknie się wtedy wielu problemów. Wielu rozczarowań. Nie powinno się leczyć znajomych, a już na pewno nie należy prowadzić u nich psychoterapii. – Czytał w moich myślach. – Traci się dystans, emocje zaburzają postrzeganie. Widzimy w sposób życzeniowy. Widzimy to, co chcemy zobaczyć, co jest dla nas wygodne. Nie zawsze to, co widzimy, jest prawdą. Emocje zaburzają percepcję, zniekształcają odbierane obrazy, odbierają zdolność logicznego myślenia, stają się przyczyną popełniania błędów. Pan przez te swoje emocje poległ już na samym rozpoznaniu.

- Rozumiem - niechętnie przyznałem mu rację.

- A wracając do naszego przypadku... On już od początku nie spełnia kryteriów rozdwojenia jaźni - powiedział ożywiony.

- Niech kolega prześledzi mój tok rozumowania. Wszystko stanie się logiczne. Chcę, żeby pan to zrozumiał. Poczuję to, co mówię, całym sobą. Osoba cierpiąca na rozdwojenie jaźni nie ma własnego „ja”, tylko jest tak jakby paroma osobami. W tym przypadku mamy postać A i postać B. Obie postacie to tak naprawdę jedna postać, tylko w wersji dobrej i w wersji złej. W rzeczywistości w rozdwojeniu jaźni wygląda to inaczej. Te osoby różnią się znacznie. Osoba dotknięta tą chorobą raz podaje się na przykład za Annę, raz za Marzenę, innym razem za Bartka. Raz może być mężczyzną, a raz kobietą. Raz twierdzi, że ma dwadzieścia lat, kiedy indziej, że dwadzieścia osiem albo dziesięć. Wszystkie osobowości mają oddzielne wspomnienia, inny iloraz inteligencji, ciśnienie krwi, alergię, zainteresowania, potencjał, możliwości. Za kogokolwiek by się taka osoba podawała, za każdym razem mówi prawdę.

Stwierdzenia, które wypowiada, są dla niej faktem, każda z jej osobowości jest prawdziwa. Rozumie pan?

- Chyba rozumiem.

- Tutaj sprawa wygląda inaczej. Ta kobieta ma świadomość choroby. Ma wrażenie, że coś dzieje się z jej głową, że są rzeczy, których nie rozumie - mówił spokojnie. - W rozdwojeniu jaźni tak nie jest. Ponieważ żadna z osobowości nic nie wie o innych osobowościach, człowiek dotknięty chorobą nie ma najmniejszego wrażenia, że jest chory. Poszczególne osobowości nie istnieją równoległe, a naprzemiennie, w różnych kombinacjach czasowych i interwałach. Tutaj wygląda to zupełnie inaczej. Kobieta ma stale ten sam wiek, te same wspomnienia, ten sam potencjał twórczy. Ma tych samych znajomych i żyje w tym samym otoczeniu. Nic się nie zmienia poza tym, że pewne fakty dzieją się jakby niezależnie od jej woli i te fakty są pokryte niepamięcią wsteczną. Kobieta nie pamięta, że malowała toczące się po trawie głowy, ale rozpoznaje, że były malowane jej ręką. Nie pamięta, że namalowała wisielców na wieżach w San Gimignano, ale dokładnie pamięta, że malowała zachód słońca nad tym miastem... Ta kobieta ma wrażenie, że jest chora, a nie powinna mieć takiego wrażenia. Wydaje się jej, że coś się dzieje z jej głową, a nie powinno jej się tak wydawać. Nie wiem, czy kolega mnie rozumie, ale to nie jest rozdwojenie jaźni, a stworzona przez kogoś mistyfikacja. Nie mam pojęcia, czy przez tę kobietę, czy przez jej otoczenie...

Pomyślałem, że już skończył. Po drugiej stronie na krótko zapadła cisza.



- Nie wiem, co jest tej dziewczynie. Może nic... - powiedział Wroński z wahaniem. - Nic w tej historii nie trzyma się kupy. To nie psychoza i nie rozdwojenie jaźni. Nic nie pasuje do niczego. W rozdwojeniu jaźni nie może zaistnieć konsolidacja postaci. Te osobowości nie mogą się połączyć. Tak jak wspomniałem, wszystko następuje linijnie po sobie. Nic się nie dzieje równolegle. Te postacie żyją własnym życiem. Nie mogą się raptem te ich życia połączyć, nie mogą stworzyć jedności, jednego życia, które toczyłoby się dalej długo i szczęśliwie. Do tego w pewnym sensie dążymy w terapii. Terapia trwa latami. W tym przypadku dwie osobowości się połączyły, a właściwie to jedna osobowość wchłonęła i przejęła doznania drugiej osobowości. Doszło do niemożliwego w tej chorobie zjawiska. Chodzi mi o tę historię o trupie z nożem w plecach. I jeszcze jedno: strach. Strach jest nietypowy dla rozdwojenia jaźni. Nie słyszałem o próbach samobójczych. Ma pan twardy orzech do zgryzienia. Nie zazdroszczę. Na pana miejscu zacząłbym od zastanowienia się nad tym, czy ona naprawdę jest chora... A może komuś, z jakiegoś zupełnie teraz niejasnego dla nas powodu, zależy na tym, żeby wszyscy uwierzyli w tę jej chorobę...

\*\*\*

Zadzwońnięm do Krzysztofa. Miał dla mnie zdobyć parę informacji.

- I co? - spytałem bez większego wstępu.

- Po pierwsze: Francesca Roni. Francesca Roni przebywa poza granicami Włoch. Jej kolekcja robi furorę. Aktualnie

próbuję sprzedać ją we Francji. W ostatnim czasie nie była w Toskanii. Jest coś dziwnego w tym jej sukcesie. Wszystko zaczęło się od prezentacji kolekcji w magazynie „Moda”. Rewelacyjne zdjęcia, przeszywające na wskroś erotyzmem. Nieprzeciętni modele. Widziałeś te zdjęcia?

- Wspominałeś mi już o nich - burknąłem pod nosem.

- Ja się pytam, czy je widziałeś?

- Nie widziałem...

- Żałuj! - Wyraźnie się ze mną droczył. Mniej lub bardziej świadomie wchodził z butami w moją prywatność. - Powinieneś to zobaczyć! Pani Roni zawdzięcza swój sukces modelom. Ubrania jak ubrania... Sprawa gustu i obyczajowości. Dla mnie nic nadzwyczajnego. Ale modele... Modele są rewelacyjni. Musisz to zobaczyć. Wysłałem ci zdjęcia e-mailem. Pooglądaj, jak niesamowita jest ta Karolina Bielawska. Nie wiem, jak ona maluje. Na sztuce się nie znam. Wiem tylko, jak potrafi wyglądać. Każda młoda kobieta marzy o tym, żeby wyglądać jak ona. Każdy facet chciałby się kochać z taką dziewczyną. - Denerwował mnie z minuty na minutę coraz bardziej. Świadomie lub nieświadomie pastwił się nade mną. - Te zdjęcia powinny trafić na okładki wszystkich pism dla facetów. Ponoć jedno z nich jest już na okładce ostatniego numeru „Playboya”. Niesamowita jest ta dziewczyna! Subtelna, a zarazem drażniąca wszystkie zmysły, nieśmiała, a jednocześnie prowokująca... Porażająco piękna. Patrzysz na te zdjęcia i już myślisz tylko o tym, jak cudownie byłoby się z nią kochać... I pomyśleć, że byliście kiedyś razem.

- Odczep się! - warknąłem do słuchawki. - Od moich

prywatnych spraw wara! Mnie nie interesuje, z kim ty sypiasz...

Krzysztof zamilkł na moment, zaskoczony moją reakcją.

- Z żoną - powiedział po chwili. - Chociaż moja żona nie wygląda jak Karolina Bielawska. Mówiłeś, że to nic osobistego... - dokończył zakłopotany. - Nieważne... Na zdjęciach, które ci wysłałem, są Karolina i Enrico. Popatrz tylko, czy to ten sam facet, który przyszedł do ciebie do gabinetu.

- Na pewno ten sam. Zobaczę... - rzuciłem niechętnie.

- Wracając do Franceski Roni i jej sukcesu... - Krzysztof raptem zmienił temat. Odetchnąłem z ulgą. Wszystko było lepsze od rozmów o Karolinie i Enricu. - Początek sukcesu pani Roni zawdzięcza modelom, ale szalony dalszy bieg sprawy olbrzymim pieniądзом. Ciekawe, skąd ona ma taką kasę... To niewyobrażalne, ile ona pieniędzy wydała już na reklamę. Jej kolekcja mody jest na tysiącach billboardów w niemal całej Europie. Wykupiła mnóstwo reklam na różnych kanałach telewizyjnych, i to w godzinach najlepszej oglądalności. Reklamy pojawiły się na tramwajach, w metrach, domach handlowych... Gdzie spojrzysz, tam kolekcja Franceski Roni. To promuje jej nazwisko, ale na pewno się nie zwróci ani w tym, ani w następnym sezonie.

- Ciekawe... - Zaintrygował mnie.

- Oczywiście, że to ciekawe, nawet bardzo ciekawe, biorąc pod uwagę, że jeszcze przed paroma tygodniami z trudem uzbierała pieniądze na uszycie pojedynczych sztuk odzieży z zaprojektowanej przez siebie kolekcji, że wynajmuje

skromny dom w wiosce pod Certaldo i ma niespłacony kredyt, który wzięła na samochód.

- Może znalazła jakiegoś sponsora? Na przykład jedną z markowych firm odzieżowych...

- Te raczej by ją zagryzły. W końcu ona wchodzi na rynek i z czasem może zagrozić konkurencji.

- Może chcą ją wypromować, a później pochłonąć... - gdybałem.

- Może. Nie znam się na tym, ale wydaje mi się to bardzo mało prawdopodobne.

- Sponsor spoza branży? - myślałem na głos.

- Też już to rozważałem, ale kto mógłby mieć w tym interes? Sponsoring bez widoków na zyski? - powątpiewałem. - Do tego taki cichy, bez rozgłosu. Wydaje mi się to bez sensu, bo niby na co miałyby się to przełożyć? Taka sztuka dla sztuki. Mało prawdopodobne. Idiotyczne. Nielogiczne.

- Ktoś, kto pierze brudne pieniądze?

- Może - powiedział bez przekonania Krzysiek. - Moim zdaniem istnieje wiele lepszych i mniej rzucających się w oczy sposobów na pranie nielegalnych pieniędzy. Ten jest trochę za bardzo prostacki. Jakby komuś sprytu zabrakło. Jakby się ktoś prosił o kontrolę fiskusa... To chyba nie to - rozważał na głos.

- Może bogaty kochanek?

- Wątpię - skontrowałem od razu. - Enrico raczej do bogatych nie należy. Z tego, co wiem, z trudem wiąże koniec z końcem...

- To przecież nie musi być Enrico. Dlaczego zakładasz, że to Enrico? - spytał zaskoczony Krzysiek. - To może być ktoś

zupełnie inny. Z tego, co zdołałem się zorientować, pani Roni ma dość swobodne obyczaje. Może seks i uczucia traktuje zupełnie osobno? Może do seksu nie potrzeba jej uczuć? Seks uprawia z Enrikiem. Może tylko idealnie pasują do siebie w łóżku, szczytują w tym samym momencie? W końcu Enrico też nie jest jej wierny. Może uczucia ulokowała w kimś zupełnie innym?

Nagle pomyślałem, że pieprzę to wszystko. Seks bez uczuć, uczucia bez seksu. Wartości stojące na głowie. Może to ja potrzebuję już psychoterapii? Jestem za sztywny, za staroświecki, ograniczony zasadami, w których związek ciał i związek dusz muszą iść w parze, a miłość jest zespoleniem bratnich dusz i niemogących bez siebie żyć ciał. Te poglądy i zasady mam tylko na własny użytek. Dotyczą mnie i mojego życia. W mojej pracy jest zupełnie inaczej. Nie ma mnie. Patrzę na świat oczami moich klientów i akceptuję ich zasady. Prowadzimy terapię pod dyktando ich wartości moralnych. Jestem tolerancyjny i wyrozumiały. Moja tolerancja i moja wyrozumiałość nie mają granic. W końcu klient kupuje u mnie to, co jemu jest potrzebne, i tylko za to zapłaci. W końcu gdyby ktoś chciał się wypowiedzieć, oczyścić swą duszę, wyprostować kręte ścieżki swojego życia, to poszedłby z tym do księdza, a nie do psychoterapeuty. To klient stawia cel i dyktuje warunki. Psychoterapią, jak całym tym popieprzonym światem, rządzi ekonomia.

- Coś tak zamilkł? - dopytywał się Krzysiek. - Znowu coś nie tak powiedziałem? Jesteś koszmarnie drażliwy. Trudno się z tobą ostatnio rozmawia.

- Pomyślałem o Enricu... - skłamałem. - Udało się go namierzyć?

- Nie. Zniknął jak kamień w wodę. Nie ma go we Fiano. Nie był u brata we Florencji. Nikt go ostatnio nie widział. Z nikim się nie spotykał.

- Może jest we Francji razem z panią Roni?

- Nie. We Francji też go nie widziano. Przepadł. Wysiadł z taksówki w Polsce. Poszedł do terminalu i później nikt go już więcej nie widział. Jest jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć... - Głos Krzyśka zabrzmiał poważnie. - Pani Bielawska jest poszukiwana przez włoską policję. Poszukują jej w związku z zabójstwem Alberta Accardiego, właściciela florenckiego wydawnictwa Avventura. Ktoś widział panią Bielawską wychodzącą w godzinach popołudniowych z domu Accardiego w dzień, w którym parę godzin później wybuchł tam pożar. Stwierdzono, że w momencie wybuchu pożaru Accardi już nie żył. Zginął od uderzenia jakimś podłużnym przedmiotem w tył głowy. Przedmiotu nie znaleziono. Policja przypuszcza, że musiał być drewniany i spłonął w trakcie pożaru.

- Temat nie jest mi obcy. Coś niecoś o tym wiem - przerwałem mu.

- Od Karoliny? - spytał zaskoczony.

- W pewnym sensie...

- Nie rozumiem. Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

- Karolina nic nie mówi. Nie chce rozmawiać na ten temat. Dopisała dalszy ciąg dziennika. Dała mi go do przeczytania. Informacje o śmierci Alberta Accardiego

znalazłem w dzienniku.

- I co? - ponaglił mnie.

- I nic. Z jej zapisków wynika, że wybiegła z domu Alberta Accardiego, kiedy ten zaczął ją molestować. W momencie, kiedy opuszczała jego dom, facet żył. Według niej było to około wpół do czwartej po południu. Pożar, według relacji radiowych, wybuchł dopiero w nocy. W momencie wybuchu pożaru Accardi już nie żył.

- Ponoć trudno określić dokładnie czas, kiedy zginął. Spokojnie mogło to być tuż przed wpół do czwartej... - wszedł mi w słowo Krzysztof.

- Karolina twierdzi, że kiedy wybiegła z jego domu, on jeszcze żył - powtórzyłem.

- Wierzysz jej? - Jednym krótkim pytaniem zmusił mnie do zweryfikowania tego, co myślę. Oddzielenia tego, co myślę, od tego, co czuję. Do spojrzenia na wszystko z pewnego dystansu.

- Wierzę - odpowiedziałem.

- Coś mało przekonująco to brzmi... - Musiał zauważyć, że się na moment zawahałem.

- Wierzę - powtórzyłem. „Chciałbym wierzyć” - pomyślałem. - Ten dziennik wydaje mi się wiarygodną relacją przeżyć Karoliny, chociaż niczego nie wyjaśnia i niczego nie tłumaczy. Wprowadza jeszcze więcej niewiadomych. Jestem w punkcie wyjścia...

- W punkcie wyjścia? - spytał Krzysztof zdziwiony. - Co to znaczy?

- Nie jestem w stanie prowadzić terapii.

- Dlaczego? - spytał rzeczowo.

- Nie mam diagnozy - odpowiedziałem rozdrażniony. - Nie wiem, co mam leczyć. Leczenie bez nazwania problemu jest niemożliwe. Jestem w tym samym punkcie, w którym byłem przed dwoma tygodniami. Nie zrobiłem ani kroku do przodu.

- Nie masz diagnozy? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie mam - odpowiedziałem chłodno.

- Co ty robiłeś przez te dwa tygodnie?

- Gówno! - palnąłem bez zastanowienia. Nagle puściły mi nerwy. - Pojechałem na wakacje i podziwiam krajobrazy w Toskanii. Spijam hektolitry wina, wyleguję się na tarasie, rozkoszuję toskańskim żarciem... Jak się nie znasz, to się nie odzywaj! Twoje pytania są wkurwiające.

Przez chwilę panowało milczenie. Pomyślałem, że Krzysztof się obraził. Poczułem się winny. Co ja wyczyniam, do jasnej cholery?! Odreagowuję na nim własną bezsilność i ogarniającą mnie frustrację?

- Przepraszam - odezwałem się po chwili. - Jestem wściekły na samego siebie. Drepczę w miejscu jak kretyn. Do dzisiaj wciąż próbowałem postawić diagnozę. Skoncentrowałem się na nazwaniu patologii. Teraz już wiem, że to było bez sensu - wróciłem do przerwane go tematu. - To wszystko nie jest takie proste. Karolina była kilkanaście dni w szpitalu, a w dniu wypisu nikt nie potrafił sformułować żadnego sensownego rozpoznania. Na karcie wypisowej w miejscu diagnozy wpisano: próbę samobójczą, wykluczenie schizofrenii, wykluczenie psychoz egzogennych, zaburzenia lękowe. To nie są żadne wiążące diagnozy. Rozumiesz? -



nakręcałem się coraz bardziej. Tłumacząc jemu, próbowałem sam jeszcze raz wszystko przeanalizować. – To jest po prostu nic. Spełnienie obowiązku wypełnienia pustych miejsc na karcie wypisowej pacjenta. Przecież nie można zostawić pustego miejsca... Po nazwisku, imieniu, dacie urodzenia i czasie pobytu w szpitalu musi się pojawić rozpoznanie. Coś, co wyjaśnia, dlaczego ktoś był w szpitalu, usprawiedliwia długość okresu leczenia. W tych diagnozach nie ma ani jednej, która mogłaby cokolwiek wyjaśnić ani w czymkolwiek pomóc. W szpitalu chcieli podjąć terapię behawioralną. Ja osobiście nie widziałem i nie widzę do dziś żadnego powodu, dla którego miałyby to być właśnie terapia behawioralna. Po paru dniach pobytu w Toskanii doszedłem do wniosku, że próba samobójcza była wynikiem ostrego zespołu pourazowego z towarzyszącymi zaburzeniami lękowymi. Stwierdziłem, że w Toskanii musiało się stać coś strasznego. Coś, o czym Karolina nie chce mówić. To coś wywołało całą burzę reakcji i całą gamę objawów, które można było zamknąć w diagnozie „zespół ostrej reakcji na stres”. Napisałem nawet o tym do doktora Kowalskiego. Odpisał mi, że też skłania się ku tej diagnozie, że i jemu wydaje się ona bardzo prawdopodobna. Ta diagnoza utrzymała się bardzo krótko. Karolina dopisała kolejne strony dziennika. Po przeczytaniu jej zapisków musiałem zweryfikować wszystkie wcześniejsze przemyślenia. Nic już do niczego nie pasowało. Raptem nabrałem przekonania, że Karolina cierpi na rozdwojenie jaźni, że jej choroba to osobowość wieloraka. To rozpoznanie też nie utrzymało się długo. Padło po mojej rozmowie z profesorem

Wrońskim. Wroński to niepodważalny autorytet, jeżeli chodzi o rozdzielenie jaźni. Jednoznacznie wykluczył tę diagnozę u Karoliny... - Przełknąłem ślinę. Nabrałem głębiej powietrza. Poczuję się zmęczony tym moim monologiem. - No i tak to wygląda na dziś - dokończyłem po chwili. Po drugiej stronie panowała cisza. - Jesteś tam jeszcze? - rzuciłem w jego kierunku.

- Jestem - padła błyskawiczna odpowiedź.

- Coś tak nagle zamilkł?

- Próbuję zebrać myśli. Dużo tego... - Krzysztof mówił powoli, jakby się nad czymś zastanawiał. - Umknął mi pewien istotny szczegół. Musiałem się chyba na moment rozkojarzyć. Jak w tej chwili brzmi diagnoza?

- Nie ma diagnozy - odpowiedziałem bez chwili zastanowienia.

- Nie masz pomysłu na nową diagnozę? - próbował doprecyzować to, co usłyszał.

- Nie ma diagnozy - powtórzyłem, wyraźnie akcentując każde słowo.

- Jak to: nie ma diagnozy?! - nie mógł zrozumieć Krzysiek.

- Nie ma diagnozy, bo nie ma choroby - powiedziałem odrobinę głośniejsze.

- Co?! - Wpadł w bezdech. - Nie rozumiem.

- Karolina jest zdrowa - powiedziałem spokojnie. - W każdym razie ja tak uważam. Uważa tak też profesor Wroński.

- Jak to: zdrowa?! - wrzasnął Krzysiek do słuchawki, aż odruchowo odsunąłem telefon od ucha. - Nic z tego nie

rozumiem. Piłeś coś dzisiaj? Jeździsz pijany samochodem po Toskanii?

- Nie piłem - uspokoiłem go. - Karolina jest zdrowa. Nie ma żadnej choroby psychicznej. Jest zdrowa - jak ty i ja.

- Jeżeli ona jest zdrowa, jak wyjaśnisz to wszystko, co działo się z nią w ostatnim czasie? Jeżeli ona nie ma halucynacji, omamów ani chorej wyobraźni, to czym to wszystko można wytłumaczyć? - spytał zdeorientowany.

- Jeszcze nie wiem - odpowiedziałem szczerze. - Nie mam zielonego pojęcia. Zapewne trzeba będzie każde z wydarzeń przeanalizować od nowa. Spojrzeć na nie zupełnie inaczej. Z Wrońskim rozmawiałem dopiero przed chwilą. Nie zdążyłem jeszcze tego przetrwać. Dla pewności chcę jeszcze coś sprawdzić. Jutro do ciebie zadzwonię. Muszę wrócić do domu na wzgórze i coś zobaczyć.

\*\*\*

Karolinę zastałem na tarasie. Stała w głębokim cieniu rzucanym przez ścianę domu, pomiędzy donicami z drzewkami cytrynowymi. Tuż obok niej stały rozłożone sztalugi. Włosy miała upięte wysoko, a i tak pojedyncze, niesforne, jasne kosmyki opadały jej na czoło i ramiona. Rolę stroju roboczego przejęły krótkie spodnie i umazany farbami podkoszulek. Ręce nosiły ślady farb aż po łokcie. W jednej ręce trzymała pędzel, w drugiej drewnianą paletę, na której właśnie mieszała farby. Wyglądała jak Karolina, którą kiedyś kochałem.

- I jak idzie malowanie? - rzuciłem bez troski.

- Nadal potrafię malować - stwierdziła tryumfalnie. - Nie

zapomniałam - powiedziała radośnie. - Bałam się, że to można zapomnieć. Parę tygodni nie malowałam. Przeczytałam twoją kartkę i się przestraszyłam. Zupełnie bez powodu. Miałeś dobry pomysł - szczebiotła. - Wypełnił mi całe przedpołudnie i zabierze jeszcze parę godzin. To nie będzie żaden kicz. To będzie coś wyjątkowego. Mam wspaniały pomysł.

Nie patrzyła już w moją stronę. Raz po raz przenosiła wzrok ze stojącego na sztalugach płótna na rozciągające się aż po horyzont wzgórze. Zacząłem się rozglądać po tarasie. Leniwe rude kocisko wylegiwało się w słońcu. Pod ścianą Karolina ułożyła parę pobieżnie zrobionych szkiców. Nic mi te rysunki nie mówiły. Zupełnie dziwna plątanina różnej grubości kresek, gdzieniegdzie krzywizn. Kiedyś też tak malowała. Te szkice to były zakłute w linie i krzywe fragmenty obrazu. Zapisane pomysły, przemyślenia. Ulotne wyobrażenia, których bała się zapomnieć. Kiedy mieszkaliśmy jeszcze razem, to bywało, że wszystkie ściany poobstawiane były różnej wielkości arkuszami brystolu. Bywało, że karton gęsto pokryty liniami stał tuż obok takiego, na którym Karolina narysowała pojedynczą, nie wiadomo do czego pasującą linię. Teraz było podobnie. Cała koncepcja dzieła została już rozłożona na kawałki papieru oparte o kamienną ścianę tego naszego tokańskiego domu. Nigdy nie chciała mi tych szkiców tłumaczyć. Mówiła zawsze, że one są jak rymy u poety. Nie czyta się rymów, tylko cały poemat. Te szkice to zapowiedź dzieła, którego jeszcze nie ma. Zbliżyłem się do rysunków i zacząłem się im przyglądać.

- Nie patrz! - powiedziała jak kiedyś. - Poczekaj trochę!

To fragmenty jeszcze przed obróbką. Wszystko chaotyczne, surowe. Poczekaj na całość...

Pamiętam, jak kiedyś porównała te szkice do produktów kupionych na zupę.

- Zgadnij, jaką ugotuję dzisiaj zupę na kolację? - spytała.

Na stole w kuchni w moim mieszkaniu stały dwie szklanki pełne jakiegoś namoczonego w wodzie grochu i butelki z oliwą. Tuż obok leżały główki cebuli oraz gałązki jakiegoś ziela, które później okazało się rozmarynem. Przy nich dwie inne zielone gałązki, które były szalwią. Dalej stały dwie szklanki pełne dziwnej ciemnożółtej cieczy, która ponoć była bulionem warzywnym. A obok nich zobaczyłem słoiczek koncentratu pomidorowego i ziarna czarnego pieprzu. Obejrzałem to wszystko dokładnie. Żadna zupa nie przyszła mi na myśl.

- Nie wiem. Nie znam się na gotowaniu - chciałem się od razu poddać.

- No dawaj! - zachęcała mnie Karolina. - Do trzech razy sztuka.

- Grochowa - palnąłem.

- Pudło - stwierdziła uradowana.

- Pomidorowa - brnąłem dalej.

- To nie będzie zupa pomidorowa.

- Jakaś ziołowa - powiedziałem zdesperowany.

Nie były to produkty ani na zupę pomidorową, ani na grochową, ani na ziołową. Na kolację jedliśmy wtedy toskańską zupę krem z ciecierzycy. Chyba nikt by tego nie wymyślił. Dawne czasy... Prawie już o tym zapomniałem.

Teraz nagle mi się ta zupa przypomniała, gdy zobaczyłem te szkice. Każdego dnia przypominam sobie coraz więcej i więcej. Coraz bardziej tęsknię za tamtym czasem, kiedy wydawało mi się, że moje życie już na zawsze związane jest z życiem Karoliny.

- Z czym ci się kojarzy kolor zielony? - wyrwał mnie ze wspomnień głos Karoliny.

- Napisałem ci, że z nadzieją...

- A z czym jeszcze? - spytała ciepło.

- Do czego ci to potrzebne?

- Do skończenia tego obrazu.

Usiadłem na kamiennej posadzce pod ścianą, wśród tych jej szkiców, i spróbowałem oderwać swe myśli od Karoliny i skoncentrować się na kolorze zielonym.

- Kolor zielony kojarzy mi się z wiosną, z Toskanią, z naturą, z życiem, z ziemią, latem, roślinami, czterolistną koniczyną...

- Z czymś jeszcze?

- Z harmonią, spokojem, szczęściem.

- Z czymś jeszcze?

- Z suknem na stole bilardowym, z dolarami, z pokojem, ze stałością, z wolnością, z piłką nożną, z islamem...

- Z islamem? - Spojrzała na mnie zdziwiona. - Jak to z islamem? Tego nie rozumiem.

- Ulubionym kolorem Mahometa był zielony. W Koranie jest opis raju i zbawienia. Napisano tam: „Będzie nosił szatę z zielonego jedwabiu”.

- Skąd ty wiesz takie dziwne rzeczy?

- Mam znajomego muzułmanina.

Zieleń kojarzyła mi się jeszcze na dziesiątki różnych sposobów z Karoliną, ale tego nie chciałem jej powiedzieć. Obraz pokazała mi dopiero po kolacji. Zaskoczyła mnie. Zdziwiła. Oczarowała. Sprawiała, że moje serce zabiło mocniej. Spodziewałem się pejzażu, jak ten widok z tarasu, a zobaczyłem coś zupełnie innego. Nie było żadnych innych barw, tylko wszechobecna zieleń. Od jasnej jak kolor winnic na wiosnę przez świeżą jak falujące łąny zbóż, srebrnozielony kolor gajów oliwnych, do głębokiej zieleni lasów piniowych i ciemnozielonego koloru wysmukłych cyprysów. Obraz przedstawiał pejzaż widziany z naszego tarasu. Spod domu aż po horyzont wszystko było zielone. Widać było falujące łąny zbóż. Na jednym pagórku zboże falowało w prawą, a na drugim w lewą stronę. W miejscu zatknięcia się obu falujących łąnów dwa pola podawały sobie swoje zielone ręce.

\*\*\*

Pojechałem do Volterry. Zadzwoiłem do Krzysztofa, tak jak mu dzień wcześniej obiecałem.

- Karolina jest zdrowa - zacząłem bez żadnego wstępu. - Mam to wszystko już z grubsza przemyślane. Wystarczyło ją tylko odizolować i całe jej szaleństwo zniknęło. Mówiłem ci wczoraj, że muszę tylko coś sprawdzić. Chciałem zobaczyć, jaki ona namalowała obraz. Jadąc wczoraj do Florencji, poprosiłem, żeby coś namalowała. Chciałem, żeby to był pejzaż przedstawiający wzgórza Toskanii, taki jaki widzimy za oknem. Namalowała po swojemu. Krajobraz za oknem, ale

widziany oczami Karoliny. Obraz jest niesamowity. Zielony, szalony, ciepły, i do tego z przesłaniem. Nie ma na nim przemocy, gwałtu, poobcinanych głów, dyndających na wietrze trupów...

- Do czego zmierzasz? - przerwał mi Krzysztof. - Moi przełożeni chcą mi głowę urwać. Jeszcze trochę, a odsuną mnie od sprawy. Zarzucają mi brak kompetencji. Pozostawienie ci zbyt dużej swobody. Podejmowanie nieprzemyślanego ryzyka. Włoscy policjanci domagają się kontaktu z tobą, a ty chcesz ze mną rozmawiać o sztuce? Popierdoliło cię do reszty?

- Nie chcę mówić o sztuce. Chcę rozmawiać o Karolinie - zaprzeczyłem gwałtownie.

- Mówiłeś o obrazie...

- Ten obraz jest dowodem na to, że profesor Wroński ma rację. Karolina jest zupełnie zdrowa. To komuś zależy na tym, żeby ona i wszyscy naokoło uwierzyli w tę jej chorobę. Komuś musi to być do czegoś bardzo potrzebne.

- Mów dalej! - ponaglił mnie Krzysztof.

- Dzisiaj w nocy przeczytałem jeszcze raz dziennik Karoliny. Próbowałem to zrobić bez emocji. Tak naprawdę to wszystko zaczęło się od dnia, w którym malowała bramę wjazdową do posiadłości Sergrana. Wcześniej wszystko było normalnie, to znaczy nie było w tym wszystkim, co działo się wcześniej, nic dziwnego...

„Ależ pieprzę bez sensu” - pomyślałem. „Krzysiek przecież czytał ten dziennik. Dostałem go od niego. Jest dowodem w sprawie. Czytał go pewnie wiele razy. Ogniste



opisy orgazmów. Seks z obcym facetem. Czysty erotyzm pozbawiony uczuć. Ależ ze mnie palant, pieprzę mu takie głupoty, zamiast powiedzieć, że szlag mnie trafił, zazdrość mnie prawie zabiła, a ręce same zaciskały mi się w pięści. Próbuję za nic nieznaczącymi słowami nieudolnie ukryć swoje emocje. Moja była dziewczyna bzykała się namiętnie z jakimś włoskim palantem, a ja mówię, że to było normalne. Niedługo stanę się tak zakłamany, że sam sobie przestanę wierzyć”.

- Pieprzę głupoty! - palnąłem. - Szlag mnie trafił, jak przeczytałem te początkowe zapiski Karoliny - powiedziałem jednym tchem. - Nóż mi się otwierał w kieszeni. Myślałem, że zdechnę z zazdrości. Nie wiem, jak się zachowam, kiedy spotkam tego faceta. Nienawidzę gnoja. Na samą myśl o nim dłonie zaciskają mi się w pięści... - Ulżyło mi. Wyrzuciłem to z siebie i nagle poczułem się lepiej. - Ale to nie należy do sprawy - dodałem znacznie spokojniej. - To, co nas interesuje, zaczęło się od tamtego poniedziałku, kiedy przewróciła się ciężarówka przewożąca chemikalia.

- Też się nad tym zastanawiałem - wszedł mi w słowo Krzysztof. - Wszystko zaczęło się od poniedziałku albo od niedzieli. W niedzielę Sergrano ostrzegął Karolinę przed Enrikiem. Spróbuj się czegoś więcej dowiedzieć o tamtej niedzieli i o tym poniedziałku! Może Karolina pamięta coś więcej. Może zacznie wreszcie coś mówić. Oglądałeś te zdjęcia, które ci przesłałem Internetem? - zmienił nagle temat.

- Oglądałem - powiedziałem z ociąganiem.

„Oglądałem, ale wolałbym ich nie oglądać” - pomyślałem.

Były tam różne fotografie. Niektóre z nich były niedopowiedziane, subtelnie drażniły zmysły, pobudzały wyobraźnię. Inne przesiąknięte erotyzmem. Takie zdjęcia z pogranicza pornografii, na których było widać „napięte nabrzmiąłem penisem spodnie i stojące w gotowości do pieśczoł sutki, gęsią skórę i maślane oczy”, jak to trafnie powiedziała Francesca. Tytuł kolekcji pasował do tych zdjęć idealnie. Nikt by chyba lepszego nie mógł wymyślić - *Przeleć mnie*.

- I coś tak nagle zamilkł? - zniecierpliwiał się Krzysztof. - To Enrico był u ciebie?

- Enrico. Tego jestem pewny, chociaż u mnie w gabinecie wyglądał trochę inaczej. Myślę, że był ucharakteryzowany. Wyglądał na starszego. Prawdopodobnie zmieniał charakterystykę każdego dnia. Wspomniałeś kiedyś, że nikt w hotelu go nie zapamiętał, że niemożliwe było stworzenie portretu pamięciowego. Może właśnie dlatego, że każdego dnia wyglądał odrobinę inaczej. Ja też go widziałem w dwóch różnych wcieleniach. Siostra Karoliny opowiadała mi kiedyś, że ponoć ten facet występował przez krótki czas w jakimś amatorskim teatrze...

- Zapomniałem ci coś powiedzieć - przerwał mi Krzysiek.  
- Enrico się odnalazł. Widziano go wczoraj we Fiano.

\*\*\*

Czekała na mnie z przygotowaną kolacją. Nakryła na tarasie. Na kamiennym stole wylądował biały obrus, a na nim gliniany wazon z bukietem polnych kwiatów, w którym żółty żarnowiec

sąsiadował z czerwienią polnych maków, błękitem chabrów i świeżą zielenią źdźbeł owsa. Tuż obok stał świecznik. Migotliwe światło świec oświetlało tę część tarasu, odbijało się w oczach Karoliny, pełzało po ścianie domu, lizało swym blaskiem chybotliwą powierzchnię wina. Podjadaliśmy oliwki i chleb moczony w oliwie, piliśmy chianti, jedliśmy gnocchi z pesto z rukoli, smakowaliśmy panna cottę z truskawkami. Przez moment poczułem się szczęśliwy. Karolina zawsze lubiła kolacje przy blasku świec. Ja też je polubiłem. A później wyrzuciłem je ze swoich wspomnień. Wyparłem z pamięci jak wszystko inne, co kojarzyło mi się z Karoliną. I tak każdego dnia wracało coraz więcej i więcej ciepłych wspomnień. Piliśmy wino, patrzyliśmy w migotliwe płomienie świec, milczeliśmy. Raz po raz spotykały się nasze spojrzenia. Coraz rzadziej któreś z nas uciekało w bok wzrokiem. Coraz dłużej i dłużej patrzyliśmy sobie w oczy. Raptem poczułem się szczęśliwy jak kiedyś. U mnie chyba już zawsze serce będzie ważniejsze od rozumu. Pomyślałem, że moje durne serce nie uczy się na błędach. Znowu dąży do samozagłady. Zza wzgórza po prawej stronie wychylił się okrągły księżyc. W jego srebrzystym blasku wszystko stało się tajemnicze i niedopowiedziane. Trochę jak marzenie, jak sen. Na powoli ciemniejącym niebie zaczęły migotać pierwsze gwiazdy. Karolina pokazała mi jedną spadającą.

- Pomyśl szybko marzenie! - powiedziała po cichu, jakby się bała, że głos może wszystko zniszczyć, że głośniejsze wypowiedziane słowo przerwie czar tej magicznej chwili.

„Tak jak teraz, niech będzie już zawsze” - pomyślałem.

„Jestem sentymentalnym idiotą” – dodałem w duchu.

Karolina włożyła na ten wieczór sukienkę z czarnym koronkowym dołem i kremową obcisłą górą, która kończyła się czarną bawełnianą koronką tuż nad biustem. Sukienka była romantyczna i kusząca niedopowiedzeniem, pobudzała moje zmysły, powodowała, że nie mogłem oderwać wzroku od Karoliny. Nagle przypomniałem sobie, że miałem z nią dzisiaj porozmawiać. Że też ona musiała właśnie dzisiaj wymyślić tę kolację...

- Muszę z tobą porozmawiać – powiedziałem cicho.

- Ja też chciałam z tobą porozmawiać – odpowiedziała nieoczekiwanie.

- To się dobrze składa. – Próbowałem się uśmiechnąć.

- Też tak myślę – powiedziała ciepło. – Ty mówisz pierwszy...

Nie zacząłem od razu. Patrzyłem, jak stawia swoje krzesło tuż obok mojego. Jak próbuje przysłonić uda zbyt krótką sukienką, ściąga buty, kładzie bosc stopy na moich udach. Poczulem jej stopy na ciele, jej rękę przy mojej ręce i z minuty na minutę traciłem nadzieję na to, że zdołamy dzisiaj porozmawiać. Przyłgnęła plecami do oparcia krzesła. Odchyliła głowę do tyłu. Przymknęła oczy. Brzeg sukienki zsunął się odrobinę niżej, delikatnie odsłaniając piersi. Nie drgnęła. Nie poprawiła się. Nie otworzyła oczu. Czekala. Wtedy zaczęło mi się wydawać, że ona nie czeka na rozmowę, a na pieszczoty. „Czemu nie” – pomyślałem. „Przecież jest taka piękna”. Nieoczekiwanie przypomniały mi się te cholerne zdjęcia. Szlag mnie trafił od razu. W okamgnieniu zniknął

gdzieś romantyczny nastrój. Jego miejsce zajęło pożądanie. „Mógł się z nią kochać ten włoski palant, to i ja mogę” – pomyślałem. „W końcu ja byłem pierwszy”. Dotknąłem jej stopy, przeciągnąłem dłonią do kolana, wsunąłem rękę pod brzeg sukienki i zacząłem pieścić jej uda. Moja ręka przesuwała się coraz wyżej i wyżej.

- Może porozmawiamy w sypialni? – Usłyszałem cichy szept Karoliny. – Tutaj robi się chłodno.

No i znowu dałem się opętać. Tym razem było inaczej, jakbyśmy się kochali po raz pierwszy. Nieśmiało, delikatnie, niepewnie... To ona pocałowała mnie pierwsza. Początkowo subtelnie, nieśmiało, jakby nie była pewna, czy tego pragnę, jakby się obawiała, że nie oddam jej pocałunku. Czułem drżenie każdego mięśnia, przyspieszony rytm serca, przerażające tętnienie w uszach. Całowałem jej usta, twarz, szyję, uwolnione z sukienki piersi. Pożądanie narastało do granic bólu. Hamowana namiętność uderzyła ze zwielokrotnioną siłą. Była delikatna, ciepła, namiętna i moja. Opętały mnie gorący dotyk jej ciała, słodczy pocałunków, owal bioder, gładkość ud, ciepłe szepty i spokojny oddech w trakcie snu, wilgotne od potu ciała i delikatny zapach jej perfum. Zasnąłem. Obudził mnie jej szept.

- Śpisz? – Usłyszałem w ciemności.

- Już nie.

- Chciałam ci coś powiedzieć.

Wtuliła się we mnie jeszcze mocniej. Przyłgnęła do mnie całym ciałem.

- Nadal cię kocham – powiedziała cicho.

\*\*\*

Usiedliśmy na kamiennych schodach wiodących z tarasu wprost na łąkę, która pięć metrów dalej przechodziła w falujące na wietrze zielone łąny owsa i pszenicy. Powoli wstawał dzień. Gdzieś w dolinach pomiędzy wzgórzami zalegała jeszcze mgła. Wyglądało to tak, jakby szczyty wzgórz wyłaniały się z białego mleka. Wszystko było zamglone, delikatne, nieostre, nielogiczne i tajemnicze. Zieleń też wydawała się dziwnie łagodna.

- Wspaniałe miejsce dla smoka - powiedziała raptem Karolina. - Pamiętasz? Ilustrowałam kiedyś bajkę dla dzieci. Gotową książkę przesłałam ci pocztą. Książka nosiła tytuł *Dione Metis*. To było tak niedawno, a wydaje mi się, że od tamtego czasu minęły całe wieki. Tyle dziwnych rzeczy wydarzyło się tymczasem. Gdybym teraz ilustrowała *Dione Metis*, to zza tej mgły leżącej pomiędzy wzgórzami wyłoniłaby się potężna postać władcy tej ziemi - smoka. Widzisz to? - spytała.

- Próbuję sobie wyobrazić.

- Pomogę ci. Zamknij na chwilę oczy i posłuchaj! Słyszysz świergot budzących się ptaków - mówiła cichym, spokojnym głosem. - Z minuty na minutę ten ich świergot przybiera na sile, staje się coraz głośniejszy, coraz większa liczba podniebnych śpiewaków chwali budzący się dzień. Raptem głosy ptactwa cichną i wokół zaczyna panować złowieszcza, dzwoniąca w uszach cisza. W tej ciszy pojawia się niespodziewanie jeden jedyny dźwięk. Trudno go nazwać, nie można go określić. Dźwięk przybiera na sile, staje się coraz

głośniejszy. Przypomina trzepot olbrzymich ptasich skrzydeł. Słyszysz go? – spytała szeptem. – Jest złowrogi, groźny, przerażający. Serce zaczyna bić ci szybciej. Powoli ogarnia cię niepokój. Niepokój przeradza się w lęk. Otwierasz oczy i naraz widzisz smoka szybującego nad wzgórzami wyłaniającymi się z porannej mgły.

Otworzyłem oczy i prawie go zobaczyłem. Szalona jest ta Karolina. Ma niezwykłą wyobraźnię. Kiedyś właśnie ta wyobraźnia mnie zauroczyła. Wszystko przecież zaczęło się od pewniej wystawy i od *Żaru sierpnia*.

– Musimy pogadać – powiedziałem niechętnie. Sam obawiałem się tej rozmowy. Pomyślałem, że za chwilę szlag trafi cały piękny poranek i wszystkie ciepłe wspomnienia minionej nocy.

– Musimy – przyznała Karolina.

Siedziała wtulona we mnie. Czuję jej głowę opartą na moim ramieniu, jej rękę w mojej ręce. Nie odsunęła się. Nie uciekła. Miałem nawet wrażenie, że jeszcze mocniej do mnie przylgnęła.

– Przemyślałem to na wszelkie możliwe sposoby. Przeanalizowałem w myślach wiele rozpoznań. Pogadałem z pewnym mądrym facetem i udało mi się spojrzeć na wszystko jego oczami. Oprzytomniałem. – Początkowo mówiłem pospiesznie. Obawiałem się, że Karolina mi przerwie. Słuchała. Milczała. Uspokojony zacząłem mówić wolniej. – To stara prawda, że nie powinno się leczyć bliskich. Emocje wszystko zniekształcają. Zaburzają logiczne myślenie. Powodują spaczoną, życzeniową interpretację faktów.

Zapewne gdyby nie emocje, zauważyłbym to znacznie wcześniej. Myślę, że ty nie jesteś chora. Nie potrzebujesz żadnej terapii.

- Nie jestem chora? - spytała zdziwiona.

- Myślę, że nie.

- W takim razie, czym jest to wszystko, co działo się wokół mnie, a czego nie potrafię sobie wytłumaczyć?

Odsunęła się ode mnie. Wbiła wzrok w moją twarz. Czekala na to, co powiem.

- Myślę, że to była mistyfikacja. - Chciałem, żeby mój głos brzmiał spokojnie, żeby jego ton nie dodawał do tej rozmowy już żadnych niepotrzebnych emocji. - To gra pozorów stworzona tylko dla ciebie. Prawda zmieszana z kłamstwem, wydarzenia prawdziwe przeplatające się z aranżowanymi, świat iluzji i mistyfikacji spleciony z rzeczywistością. Wszystko dokładnie wymieszane, rozdrobnione i ugniecione na miłą papkę, w której na pierwszy rzut oka nikt nie jest już w stanie odróżnić iluzji od prawdy. Myślę, że komuś bardzo zależało na tym, żebyś poczuła się chora, żebyś miała wrażenie, że nikt nigdy ci nie uwierzy. Komuś zależało na tym, żebyś sama sobie też przestała wierzyć, żebyś myślała, że oszalałaś. Skasowałaś pliki w komputerze, bo się bałaś, że ktoś je odkryje, że przeczyta twój dziennik i pomyśli, że jesteś kopnięta. Ja przeczytałem ten twój dziennik wiele razy i jestem w stanie we wszystko uwierzyć, od pierwszej napisanej litery do ostatniej postawionej tam kropki.

- Ten dziennik jest prawdziwy - powiedziała cicho. - Opisałam tam rzeczy, które się działy naprawdę, bez względu



na to, czy potrafiłam je sobie wytłumaczyć. Ja naprawdę wiele razy widziałam tamten samochód. Czytałam napisy na przyklejonych do szyby kartkach. Na ścianach mojego pokoju pojawiały się rysunki...

- Wierzę, że to wszystko wydarzyło się naprawdę - przerwałam jej. Głos Karoliny drżał podejrzenie. Nie chciałam, żeby się rozplakała. Chciałam nam oszczędzić tych jej łez. - Komuś bardzo zależy na tym, żebyś myślała, że jesteś szalona. Ktoś konsekwentnie, dzień po dniu, noc po nocy stwarzał mistyfikację, otaczał cię światem iluzji. To jest trudne, ale nie niewykonalne. Ktoś mógł przerabiać twoje rysunki, malować postacie na ścianie, wysyłać e-maile z twojej skrzynki, zamawiać żyletki na twoje nazwisko...

- Ja ci to wszystko mogę pokazać - przerwała mi. - Musimy tylko pojechać do Fiano. Wiele rzeczy schowałam w moim mieszkaniu. Bałam się, że sama sobie przestanę wierzyć. Zbierałam je tylko dla siebie. W chwilach zwątpienia przeglądałam je już wiele razy. To są dowody na to, że nie wymyśliłam sobie tego wszystkiego, że to wszystko działo się naprawdę. Mam schowaną tę kartkę od Marca, w której ostrzegał mnie przed Enrikiem. „Patrzymy i nie widzimy rzeczywistości, tylko świat iluzji stworzony wyłącznie dla nas...” Mam zdjęcie tego napisu, który pojawił się na lustrze w łazience, zdjęcie pomalowanego sprayem samochodu, fotografię tamtych postaci na ścianie, moje prawdziwe rysunki i te koszmarne... Wszystko ci pokażę. Musimy tylko pojechać do Fiano...

Nie ruszyliśmy do Fiano od razu. Przyniosłem kartkę

papieru i podzieliłem ją pionową kreską na dwie kolumny. W lewej kolumnie Karolina wypisała wszystkie wydarzenia, które uważała za rzeczywiste, w prawej te wszystkie niewytłumaczalne, które należały do świata iluzji.

Niewiele było wydarzeń pewnych i prawdziwych, bardzo dużo tych, które prawdopodobnie były stworzoną przez kogoś mistyfikacją. Karolina uważała podobnie jak ja, że wszystko rozpoczęło się w poniedziałek, w dzień, w którym przewróciła się cysterna, a ona malowała od wczesnego poranka swoje *Toskańskie wrota do nieba*, siedząc na przydrożnym kamieniu parę metrów od bramy prowadzącej na teren posiadłości Antonia Sergrana. Pomyślałem, że Karolina musiała wtedy zobaczyć coś, czego jej zmysły nawet nie zarejestrowały, być świadkiem czegoś, czego nie była świadoma. Ktoś poczuł się zagrożony i postanowił ją wepchnąć w szpony szaleństwa.

\*\*\*

Namówiłem Karolinę i pojechaliśmy zobaczyć tę bramę prowadzącą na teren posiadłości Antonia Sergrana. Rzeczywiście wyjątkowe miejsce. Drewniana brama nadal była półotwarta. Za bramą rozpoczyna się biegnąca ostro w górę aleja. Korony drzew rosnących po obu jej stronach stykały się z sobą. Przez gęsty zielony tunel z trudem przebijały się pojedyncze słoneczne promienie. Na wyboistej wąskiej drodze igrały gdzieś radośnie smugi światła. Ciemnozielony tunel kończył się rozświetloną słońcem plamą błękitnego nieba. *Toskańska droga do nieba*. „Coś w tym jest” – pomyślałem. Stanęliśmy w miejscu, w którym siedziała wtedy

Karolina. Rozejrzałem się dookoła. Nie zauważyłem nic szczególnego. Z tego miejsca widać tylko półotwarte wrota, zielony tunel, fragment wyboistej drogi. Po lewej stronie jest tamto wzgórze, na którym wtedy stał przez parę godzin samochód, który później prześladował Karolinę. Z tej odległości Karolina widziała tylko to auto. Nie miała szansy zobaczyć nikogo siedzącego w środku. Ruszyliśmy powoli w kierunku Lawendowego Uroczyska. Kiedy dotarliśmy na górę, nagle wszystko stało się jasne. Pod sam szczyt podchodził szeroki parów, którego drugi koniec dochodzi do ścieżki biegnącej pomiędzy winnicami aż pod drzwi domu Sergrana. Przejechałem na wzgórze autem. Postawiłem je w miejscu, gdzie stał wtedy tamten samochód. Dzisiaj nie było to takie proste. Drogą poruszało się mnóstwo pojazdów. Ich nieprzerwany sznur sunął w jedną i w drugą stronę. Manewr skrętu w lewo pochłonął wiele czasu. Wtedy było tu zupełnie pusto. Droga była zamknięta. W całej okolicy był tylko ten ktoś w samochodzie stojącym na Lawendowym Uroczysku i siedząca na kamieniu Karolina. Z miejsca, w którym siedziała, nie widać parowu ani drogi prowadzącej pod drzwi domu Sergrana, nie zobaczyłaby więc, że ktoś wsiada do samochodu ani że z niego wysiada. Sprawdziłem to dokładnie. Na Lawendowym Uroczysku znaleziono zwłoki Antonia Sergrana. Ciekawe, jak zginął...? Czy ktoś umówił się z nim w tym samochodzie, a później go zabił? A może ten ktoś był gościem Sergrana, spędził u niego parę godzin i zabił go, kiedy ten odprowadził go do samochodu? Albo było jeszcze inaczej? Może Sergrana zabito w jego domu, a zwłoki przeniesiono na

Lawendowe Uroczysko? Wszystko jedno... Ktoś zabił Antonia i nagle zobaczył Karolinę siedzącą na przydrożnym kamieniu tuż obok łąnu pszenicy, szkicuującą *Toskańskie wrota do nieba*. Siedząc w tamtym miejscu, niczego nie mogła zobaczyć, ale ten ktoś tego nie wiedział. Być może ruszył śladem jadącej na rowerze Karoliny z myślą, żeby ją zabić. Raptem odstąpił od tego zamiaru. Może rozpoznał uciekającą przed nim dziewczynę? A może byli już za blisko Fiano? Od tego dnia wszystko się zaczęło. Kluczem do sprawy jest śmierć Antonia Sergrana. Ktoś postanowił zrobić z Karoliny niewiarygodnego świadka. Tak na wszelki wypadek, gdyby kiedyś przypadkiem uświadomiła sobie, że widziała zabójcę Sergrana.

Zadzwoiłem do Krzyśka. Był w domu. Właśnie próbował odpocząć. W nocy miał ciężki dyżur.

- Nie wiesz, w jaki sposób zginął Antonio Sergrano? - spytałem bez żadnego wstępu.

- Wiem - odpowiedział chłodno. - Został zamordowany.

- A dokładniej?

- Ponoć ktoś go udusił - burknął. - Śmierć przez zadławienie. Z tego, co przeczytałam w raportach włoskiej policji, wynika, że śmierć nastąpiła przez uduszenie w mechanizmie ucisku na narządy szyi ręką osoby trzeciej. - Wyglądało na to, że przełamał jakimś cudem senność i rozgadał się na dobre. - Patomechanizm zadławienia polega na zamknięciu dostępu powietrza do dróg oddechowych. Struny głosowe zbliżają się do siebie, zamyka się szpara głosowa, a przesunięty do góry język dokonuje reszty. Początkowo sądzono, że Antonio Sergrano zginął w wyniku

zatrucia oparami substancji chemicznej, która uwolniła się z przewróconej cysterny. Na pierwszy rzut oka wszystko się zgadzało. Denat miał wybroczyny na twarzy, wylewy dospojówkowe, zaczerwienioną twarz, spuchnięte wargi, podpuchnięte powieki. Wszystko pasowało do toksycznego działania tych oparów. Prawie go pochowano jako ofiarę tamtego wypadku. Zabójcy byłoby to zapewne na rękę. W zakładzie pogrzebowym chciano przygotować zwłoki do uroczystości pochówku. Jakiś bystry grabarz zobaczył półksiężycowate otarcia naskórka na bocznych powierzchniach szyi. Skojarzył to jakimś cudem ze śladami paznokci i zawiadomił o tym policję. Pogrzeb w ostatniej chwili wstrzymano. We Fiano powiało sensacją. Każdy mieszkaniec na swój sposób interpretował decyzję policji. W końcu ludzka wyobraźnia jest niczym nieograniczona, a małe miejscowości słyną z plotkarstwa. Wykonano sekcję zwłok. Jej wynik rozwiązał już wszelkie wątpliwości. Wykonujący sekcję lekarz stwierdził podbiegnięcia krwawe w tkance podskórnej, w mięśniach szyi, pod torebką tarczycy, w języku. Sergrano miał złamaną kość gnykową i chrząstkę tarczową. Jego mózg i opony mózgowie były przekrwione. Nikt już po tej autopsji nie miał wątpliwości, że Antonio Sergrano został zamordowany przez zadławienie.

- Mówisz: przez zadławienie?

- A co myślałeś? - warknął. Chyba zmęczenie znowu zaczęło brać górę nad wszystkim.

- Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. My z Karoliną jesteśmy właśnie przed bramą prowadzącą na

posesję Sergrana.

- Czy to jest daleko od Florencji?

- Niedaleko. Może z trzydzieści kilometrów.

- To się świetnie składa. - Wyglądało na to, że odetchnął z ulgą. - Taki fantastyczny zbieg okoliczności - bredził bez sensu. - Rozmawiałem dzisiaj kolejny raz z oficerem śledczym prowadzącym dochodzenie w związku z zabójstwem Antonia Sergrana i śmiercią Alberta Accardiego. Wymieniliśmy się informacjami. Parę dni temu przesłałem mu dzienniki Karoliny. Ponoć bardzo im pomogły. Pytał o nią. Powiedziałem mu, że jesteś naszym człowiekiem, że pracujesz jako psycholog w policji. - Zawiesił na chwilę głos. Czekał na moją reakcję.

- To przecież jasne, że utrzymam tę wersję.

- Facet nazywa się Roberto Brossi. Prosił, żebyś do niego zajrzał. Urzęduje przy Via Val Fonda siedemnaście we Florencji. Znajdziesz go w pokoju numer czternaście. Myślę, że nic nie pokręciłem. Zawsze możesz kogoś zapytać. Facet wydaje się konkretny i kompetentny. Wie, że my próbujemy wyjaśnić okoliczności próby samobójczej. Twierdzi, że te dwa postępowania są z sobą ściśle powiązane.

\*\*\*

Wczoraj Roberto Brossi przyjął mnie w drzwiach. Bardzo się spieszył. Powiedział, że śledztwo dobiega końca. Spytał o zdrowie Karoliny. Mówił, że głupio wyszło, że przez przypadek narazili dziewczynę na niebezpieczeństwo. Mówił szybko. Jego angielski nie różnił się melodyką od języka włoskiego. Nie do końca wiedziałem, czy go dobrze rozumiem.

Zaprosił nas następnego dnia na dziesiątą. Poprosił, bym przywiózł z sobą Karolinę. Powiedział, że ze wszystkim powinien zdążyć, że wszystko wyjaśni. Podał mi rękę na pożegnanie i poszedł. Dzisiaj było zupełnie inaczej. Przywitał nas serdecznie. Zaprosił do gabinetu. Posadził w głębokich fotelach. Usiadł tuż obok. Nie przestawał się przyglądać Karolinie. Jego wzrok przesuwiał się po jej twarzy tam i z powrotem. Widziałem lęk w jej oczach. Usztywniła się cała, wyprostowała, zacisnęła dłonie na poręczach fotela. Milczenie się przedłużało. Ciszę przerywało brzęczenie muchy, która próbowała się zmierzyć z szybą w oknie.

- Należą się pani wyjaśnienia - powiedział Brossi do Karoliny. - Właśnie zakończyliśmy śledztwo. To wielki dzień dla naszego wydziału. Takiej akcji jeszcze nie było. Nigdy nie odnieśliśmy takiego sukcesu. Ponad trzydzieści osób siądzie na ławie oskarżonych, w tym jedna za podwójne morderstwo.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - powiedziała cicho Karolina.

- Zaraz pani zrozumie. Zastanawiam się tylko, od czego powinienem zacząć. To będzie długa opowieść, chociaż wszystko trwało bardzo krótko. Wydarzyło się mnóstwo rzeczy. Trudno zachować chronologię. Dużo spraw działa się równolegle - mówił spokojnym, ciepłym głosem, raz po raz spoglądając na Karo. - Chyba zacznę od tego przewodnika, do którego robiła pani ilustracje. Enrico jest od nas - powiedział niespodziewanie. W pierwszej chwili wydawało mi się, że go nie rozumiałem. - Enrico pracuje w policji - powtórzył. - Przed paru laty skorumpowany urzędnik doprowadził do

zawieszenia go w czynnościach służbowych. Trochę trwało, nim udało się wszystko wyjaśnić. Czuł się urażony. Nie chciał wrócić do pracy, twierdził, że świat jest pełen skorumpowanych urzędników, nieuczciwych sędziów i bojących się własnego cienia policjantów, pełen większych i mniejszych przestępców, którym z różnych względów nic nie można udowodnić. Przyszedł do mnie po paru miesiącach. Powiedział, że stworzył pewną listę. Położył mi ją na biurku i wyszedł. Zapoznałem się z tą jego listą i włosy zjeżyły mi się na głowie. Było na niej ponad trzydzieści nazwisk. Listę zatytułował *Nietykalni*. Powiedział, że wymyślił sposób, jak można ich dopaść. Opowiedział mi o pomysłe na przewodnik. W pierwszej chwili się przestraszyłem. Pomyślałem, że Enrico jest szalony. Nie chciałem się zgodzić. Przeraził mnie. Zszokował. Zadziwił. Powiedział mi wtedy, że takich ludzi może dopaść tylko szuja i że on z przyjemnością się poświęci. Mówił, że do tej misji pasuje idealnie: nie ma skrupułów, nie ma sentymentów, nie ma rodziny, którą może stracić, ani osób, które kocha. Nie ma niczego, co by mu mogło przeszkodzić w realizacji zadania... Zgodziłem się. Poszedł *va banque*. Na początek wybrał z listy Alberta Accardiego. Alberto zdobył swoją fortunę, sprzedając dzieciom narkotyki na ulicach. Nigdy mu niczego nie udowodniono. Nikt go nigdy nie złapał z towarem w ręku. Enrico pojechał do niego, zaraził go ideą stworzenia przewodnika. Accardi był chciwy, a pomysł genialny. Wszystko brzmiało pozornie niewinnie. Wydawnictwo Avventura postanowiło wydać nowy przewodnik po Toskanii, inny niż wszystkie dotychczasowe przewodniki.



Jego inność miała polegać na ciekawostkach, informacjach, które jeszcze nie były publikowane, na przedstawianiu dobrze znanych miejsc w sposób niestandardowy. Przewodnik miał mówić o miejscach i o związanych z tymi miejscami ludziach. Dodatkowo miał być bogato ilustrowany – nie tylko zdjęciami, ale też akwarelami, szkicami i rysunkami. I właśnie w tym momencie, zupełnie przypadkowo, pani znalazła się w środku tej całej historii. – Spojrzał na Karolinę. – Przewodnik miał być aktualizowany co roku. Miał zostać przetłumaczony na kilka języków. To była tylko pierwsza część pomysłu. Druga była o wiele ciekawsza. Wielu ludzi chce, żeby coś o nich mówiono, ale są też tacy, którzy dadzą wiele, żeby pewne informacje o nich nigdy nie ujrzały światła dziennego. Enrico zdobywał dane. Alberto wyznaczał haracz, a dla nas powstała lista, z której jasno wynika, ile kosztuje milczenie o zabójstwie, o handlu ludźmi, gwałcie, przemocy, wymuszeniu, sutenerstwie, kradzieży...

Zamilkł, jakby nagle zaczął się zastanawiać, co jeszcze może powiedzieć.

– Genialny pomysł, szalona realizacja, niesamowite wyniki. Nie ma już trzydziestu „nietykalnych”, jest trzydziestu przestępców, którzy usiądą na ławie oskarżonych. Są niestety i ofiary... Nie wszystko dało się przewidzieć. Ludzka natura jest nieprzewidywalna. Na liście Enrica nie było Antonia Sergrana, bo nie mogło go tam być, a mimo to Alberto go zaszantażował. Antonio Sergrano był czysty. Sprawdzaliśmy go wiele razy, bo jego życie usiane było pechowymi zbiegami okoliczności. Za każdym razem musiałem go przeproszać po

zapoznaniu się z wynikami śledztwa. Jego żona nie zginęła w wypadku, a doznała urazu mózgu. Od paru lat przebywa na oddziale leczenia śpiączki. Zapewne się już nigdy nie obudzi, ale Sergrano uważał inaczej. Wszystko, co robił, robił z myślą o niej. Dla niej kupił ten dom, dla niej dokupywał nowe winnice... Z myślą o niej pomnażał swój majątek. Jeździł do niej bardzo często. Ostatnio przymierzał się do remontu domu. Chciał stworzyć dla niej tutaj warunki do życia. Nieważne. Antonio Sergrano nie żyje tylko dlatego, że Alberto postanowił go zaszantażować. Sergrano był bardzo majątnym człowiekiem. Może ten majątek sprawił, że Alberto go zaatakował. Zapewne myślał, że takiego majątku nie da się zdobyć uczciwie. Sergrano zagroził, że pójdzie na policję. Cały misterny plan czerpania z szantażu nieustających zysków zawisł na włosku. Antonio Sergrano wydał na siebie wyrok. Musiał zniknąć, zanim zaczął mówić. Został zamordowany. Z tego, co udało nam się ustalić, wiadomo, że spotkał się z panią Francescą Roni. Umówili się w dość nietypowym miejscu, na wzgórzu zwanym Lawendowym Uroczyskiem. Pani Roni czekała na niego w samochodzie. Prawdopodobnie w samochodzie był też Alberto Accardi. Któreś z nich obezwładniło Sergrana, drugie chwyciło go za gardło. Antonio Sergrano umarł w wyniku zadławienia. Takie rozpoznanie postawił biegły lekarz sądowy po wykonaniu sekcji. Przez przypadek pani znalazła się niedaleko miejsca przestępstwa – zwrócił się do Karoliny. – Sprawcy byli pewni, że coś pani widziała. Mieli do wyboru: zabić niewygodnego świadka albo sprawić, że stanie się niewiarygodny. Zdecydowali się na to

drugie. I tak dzień po dniu, noc po nocy robiono wszystko, żeby pani sama uwierzyła w swoje szaleństwo. Zadanie było trudne, ale nie niewykonalne. Francesca Roni studiowała kiedyś z panią w Akademii Sztuk Pięknych. W końcu ona też była na Wydziale Malarstwa. Znała jeszcze ze studiów historię z postacią z obrazu Muncha. Miała pani stare notatki. Bez najmniejszych problemów podrabiała pani pismo. Potrafiła przerobić szkice, poprawić po swojemu akwarelki. Pamiętała hasło do pani poczty internetowej. Do pani mieszkania można dojść przez płataninę tarasów. Pani rzadko zamyka okno... Nie zawsze zamyka pani drzwi. Prześladowający panią samochód należał do Alberta Accardiego, ale z toku śledztwa wynika, że korzystali z niego oboje: Francesca Roni i Alberto Accardi. - Roberto Brossi raptem zamilkł. Wstał i zaczął chodzić po gabinecie. Miotał się po tej małej przestrzeni tam i z powrotem. - Czuję się winny - powiedział niespodziewanie. - Nie zdołaliśmy pani ochronić. Mało nie doszło do nieszczęścia. - Mówiąc, nie odrywał wzroku od Karoliny. - Robiło się wokół pani coraz bardziej gorąco. Wiele rzeczy wymknęło się nam spod kontroli. Baliśmy się o panią. Mieliśmy do wyboru przerwać akcję albo panią chronić. Chronić panią nie jest łatwo. Ma pani własną wizję życia, własne zdanie. Po śmierci Accardiego byliśmy pewni, że Francesca Roni będzie panią jeszcze bardziej nękać. Musiała znaleźć kozła ofiarnego. Do tego potrzebowała pani szaleństwa. Przeszła do ofensywy. Wszystko toczyło się coraz szybciej i szybciej. Jeszcze chwila, a uwierzyłaby pani, że jest szalona, że zabiła Sergrana, który nie żył już od kilkunastu dni. Nie było na co

czekać. Nasza akcja trwała nadal. Brakowało nam jeszcze paru istotnych dowodów. Wszystko było ściśle tajne. Enrico miał panią wywieźć i oddać w dobre ręce. Coś nie wyszło. Źle oceniliśmy sytuację. Pani chciała się zabić. Nie wiem, co powiedzieć. Czuję się winny...

- Niepotrzebnie. - Usłyszałem spokojny głos Karoliny. - Przecież nic się nie stało...

Ona powiedziała, że nic się nie stało, a we mnie gotowało się w środku. Że też przez przypadek można wejść w takie gówno!

- Na ławie oskarżonych zasiądą „nietykalni” i pani Francesca Roni. Ona współuczestniczyła w zamordowaniu Antonia Sergrana i zabiła Alberta Accardiego - wrócił do swoich opowieści Roberto Brossi. - Prawdopodobnie pani Roni potrzebowała większej gotówki na kampanię reklamową swojej letniej kolekcji. Sądzę, że Accardi się na to nie zgodził. Jak udało nam się ustalić, byli kochankami od ponad roku. Niespodziewanie po śmierci Accardiego kampania reklamowa kolekcji pani Roni ruszyła pełną parą. Sąsiadka Accardiego rozpoznała ją na zdjęciu w jednym z magazynów zajmujących się modą, pomimo że tamtego dnia pani Roni miała jasną perukę i była ubrana w bluzkę, która wyszła spod pani ręki. Macie podobne bluzki. Z tym że pani jest ciemnoszafirowa, a pani Roni czarna. Znaleźliśmy taką bluzkę w pani mieszkaniu. Wiedzieliśmy, że istnieje. Potrzebna nam była jako dowód. Pani Francesca Roni chciała skierować śledztwo na panią.

- A ten samochód z Sergranem?

- Wszystko wskazuje na to, że to pani Roni próbowała panią przestraszyć tą maskaradą, zmusić do ucieczki, skoncentrować na pani uwagę policji. Parę rzeczy wymaga jeszcze wyjaśnienia. Parę drobiazgów wymaga dopracowania - mówił spokojnie. - W każdym razie zbliżamy się do końca. Dzisiaj w Paryżu zatrzymano panią Roni. Przyznała się do popełnienia obu morderstw...

Nie wiem, jak się czuła Karolina, mnie od tego wszystkiego kręciło się w głowie i miałem powyżej dziurek w nosie całej tej pięknej, słonecznej, sielankowej Toskanii.

\*\*\*

Roberto zatrzymał nas w drzwiach.

- To dla pani. - Podał Karolinie kopertę. - Od Enrica - dodał. - Nie mógł czekać. Pani sama rozumie. On musi po tej akcji na chwilę zniknąć. Tak będzie dla niego o wiele bezpieczniej. Pewnie chciał się pożegnać.

Karolina bez chwili zwłoki otworzyła kopertę. Wyjęła kartkę papieru. Zaczęła czytać. Spojrzałem jej przez ramię.

*Karo,*

*niech szlag trafi to wszystko! Nie upilnowałem cię. Nigdy sobie tego nie daruję. Zostałaś sama, a on się spóźnił. Tego nie przewidziałem. Na jego miejscu nigdy bym się nie spóźnił. Widocznie on czuł i myślał inaczej. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołasz mi to wszystko wybaczyć. Chciałaś popełnić samobójstwo. Przez ponad dwa tygodnie byłem twoim aniołem stróżem, a na koniec wszystko szlag trafił. Nie*

*nadają się na anioła stróża. Anioł stróż ma mieć rozsądek i czystą duszę. Mnie często brakuje rozsądku, a moja dusza już od dawna nie jest czysta. Anioł stróż nie powinien mieć uczuć. Uczucia to przekleństwo. One tylko wszystko utrudniają. Emocje zaburzają ostrość postrzegania, spowalniają myśli, powodują, że zaczynamy marzyć o rzeczach, o których nam marzyć nie wolno. Jeszcze nigdy w życiu nie miałem tak wstrętnej pracy i nigdy wcześniej się tak nie zakochałem. Sukces ma gorzki smak. Nasze drogi muszą się kiedyś jeszcze spotkać – w innym miejscu, w innym czasie, wśród innych ludzi... Inaczej nic nie miałoby sensu. Pokazałaś mi, że w Toskanii jest droga do nieba. A mnie się zawsze wydawało, że tutaj jest tylko piekło. Ukradłem z depozytu tę akwarelę. Przepraszam za wszystko, co zrobiłem, i za wszystko, czego nie udało mi się zrobić. Patrząc na Toskańską drogę do nieba i znowu wyruszam samotnie w drogę do piekieł.*

*Enrico*

Po co ja to przeczytałem... Niech szlag trafi tego Włocha!

*W labiryncie obłądu*

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-370-8

© Jolanta Kosowska i Wydawnictwo Novae Res 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

KOREKTA: Anna Gajda

OKŁADKA: Wiola Pierzgalska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: [InkPad.pl](http://InkPad.pl)

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl), <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl)

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

